SYLWEK CMENTARNIK

POWIEŚĆ.

Wydawnictwa E. Orzszkowéj i S-ki.

XVII.

Sylwek Cmentarnik

POWIEŚĆ

przez

Elizę Orzeszkową.

WILNO.
Drukiem J. Blumowicza, Rudnicka, d. ks. Ogińskich.

1881.

Дозволено цензурою. 2 Ноября 1881 г. Вильна.

Скоропечатня О. Блюмовича въ Вильнѣ,
Рудницкая ул., д. кн. Огинскихъ.

I.

Dzień jesienny miał się ku końcowi. Pomiędzy niebem a rozłogami brunatnych ról, wisiała mgła drobnego deszczu. W mgle téj toczyły się turkoty i gwarzyły szepty wiatrów, a u spodu jéj fale wielkiéj rzeki biły się z pluskiem o wysokie brzegi.

Gdyby ktokolwiek, zawieszony na jednéj z chmur, ciężko wlokących się pod brudno-białém niebem, spojrzał z góry na pas przestrzeni, równoległy od jednego z brzegów rzeki. ujrzałby trzy punkty różnych wielce rozmiarów, lecz na jednéj linii i w niewielkiéj od siebie odległości zostające. Piérwszym i największym z punktów tych było miasto, zajmujące sobą wielkie koło gruntu i wybiegające po za to koło kilkunastu prostemi i krętemi odroślami. Odrośle te wyglądały jak ramiona, wyciągane, przez olbrzyma ku przestrzeni, po łup albo ratunek. Ujęte w gęstszą. niż gdzieindziéj mgłę deszczu i wyziewów, niby w banię z brudnego szkła, miasto owo wydzierać się zdawało w górę wieżami swych kościołów. a żalić się przed samotnością pól lub z niéj naigrawać się mruganiem i błaskiem. gęsto po ciemném tle rozsianych. ogników. Z szerokiego koła tego, od wywijających się zeń ramion, od mrugających świateł, nad strze-

liste wieże, nad obejmującą to wszystko brudno-szklanną banię, wzbijały się głuche, chaotyczne gwary, w których, gdyby przez długą chwilę zatopiło się baczne ucho, usłyszałoby turkoty kół, dźwięki muzyki, szczekania psów, uderzenia dzwonków, rubaszne śmiechy, urwane wołania, wrzaski, szepty, szmery mnóstwa śpieszących kroków, cały słowem wiecznobrzmiący akord zbiorowego ludzkiego żywota. Gwary te buchały w niebo gorączką, lecz spodem ich wiała nieznurtowana melancholia ludzkich przeznaczeń.

Drugim punktem był cmentarz, szeroko na wysokim a spadzistym brzegu rzeki rozłożony, podobny w zmroku do gaju, napełnionego tłumem postaci nieruchomych, niewyraźnych, szarych, albo śnieżnie białych. I tu także ciszy zupełnéj nie było. Nie przerywały jéj wprawdzie szepty wiatru w drzewach i pluski deszczu, bijącego o grobowce, były to bowiem składowe jakby jéj części; lecz mącił ją gwar, złożony z kilku głosów ludzkich i donośnego, choć ochrypłego nieco, śpiewu, napełniający dom cmentarnego stróża. Dom ten, przyrosły jakby do murowanego ogrodzenia cmentarza, był raczéj murowaną chatą, niż domem. Nizki, zżółkły od wilgoci i zaniedbania, z zapadłym dachem, posiadał on jedne drzwi i trzy okna. W dwu oknach gorzało jaskrawe światło rozpalonych łuczyw; u jednego z nich stała wązka ławka, wilgocią przesiąkła. Rozmowy i śpiewy, napełniające cmentarną chatę, leciały z jednéj strony na groby, z drugiéj—na błotniste i suchemi badylami sterczące grunta.

Punktem trzecim, o kilka stai od cmentarza oddalonym, lecz coraz ku niemu zbliżającym się, była kobieta, powoli bardzo i z ciężkością widoczną, postępująca nad stromym brzegiem rzeki. Zkąd szła? Od dalekich jakichś krańców

brunatnych pól tych, które słały się aż pod stopy niedojrzanych prawie lasów, czarną nicią odznaczających skłon nieba. Z najdalszéj głębi téj deszczowéj mgły, która od krańca do krańca napełniała widnokrąg. Od punktu jakiegoś niewiadomego, z którego wyrywały się wiatry te, które. uderzając w jéj plecy, zdawały się wypędzać ją zkądciś, kędyś ją gnać, za coś ją karcić. Szła sama, zupełnie. Ani przed nią, ani za nią, nie widać było żadnéj żywéj duszy ludzkiéj. Chwilami wiatr miotał połami jéj odzienia, a gdy uciszyło się w powietrzu, stawała przy drzewie albo krzaku przydrożnym, dla odpoczynku zapewne. Doszedłszy do cmentarza, powoli i nieśmiało zbliżyła się ku domowi stróża i usiadła na ławie, pod ścianą jego stojącéj. Czerwona smuga światła ukośnie spływała na nią z okna. Odzież, okrywająca ją, nie była bardzo ubogą, lecz na wskróś przejętą deszczem i gęsto oblepioną błotem, po drodze zebraném. Na głowie i ramionach miała wielką czarną chustkę, która i twarz jéj także zakrywała do połowy, tak, że w migotliwém i skąpém oświetleniu ukazywało się tylko głęboko śniade czoło jéj, włosami kruczéj czarności bezładnie zarzucone i pod czołem tém gorejące wielkie czarne oczy. W ramionach trzymała, a siadając na kolanach swych złożyła, duże jakieś zawinięcie, kawałem baraniego kożucha okręcone.

Przez okna wylatywały wciąż urywki rozmów i śpiewów. Głos jakiś męzki, lecz cienki i ochrypły, śpiewał.

— Od Boga zesłana,
Śmierci ty kochana,
Stań się twoje żniwo,
Będzie mnie na piwo!

Sposób odśpiewania cynicznéj strofki téj tém się odznaczał, że dwa piérwsze jéj wiersze brzmiały skocznemi taktami krakowiaka, a dwa ostatnie powlekły się przeciągłą i żałośliwą nutą, przypominającą pieśni kościelne, znane pod nazwą Gorzkich żalów.

W odpowiedzi, odezwał się głos kobiécy krzykliwy i rozjątrzony.

— Piwo! piwo! jemu tylko piwo w głowie! weselenie się! radowanie się! chichotanie! śpiewanie! Będziesz ty miał na piwo, jak cię ks. dziekan od *mogiłek* odpędzi! Kijem cię wtedy pod kościół pognam! Lokajem za młodu byłeś, kościelnym dziadem umrzesz!

— A no!—ozwał się głos, który przed chwilą śpiewał piosnkę do śmierci,—gdzie umrzeć, to umrzeć, byle wesoło przeżyć! czy na schodach kościelnych, czy w złocistych pałacach, śmierć znajdzie się i chwyci! Ja stróż cmentarny, tamten pan wielki; ja człek prosty i tylko marnych prochów ludzkich pilnować umiém, tamten uczonym jest i gwiazdy na niebie liczy, a wszyscyśmy równi w obec Ojca naszego Wszechmogącego, który pochwalonym niech będzie na wieki wieków, Amen!

— Amen,—z wyraźném przejęciem się powtórzyło chórem kilka głosów a wnet potém dał się słyszeć wykrzyk cienkiego i chrapliwego męzkiego głosu:

— Nastasiu! kiełbasy kawałeczek daj! no, daj kiełbasy! na zakąskę po piwie kiedy poczęstunek, to już niech będzie poczęstunek! kiedy bal, to bal!

— Nie trzeba, nie trzeba! niech pani Łukaszowa nie fatyguje się! — ozwali się goście, a jeden z nich ciągnął:

— My tak sobie, na gawędkę tu przychodzim i dla okazania grzeczności naszéj. Pana Łukasza słuchać lubo! jakby z książki nabożnéj czytał!

Gospodyni, udobruchanym nieco, lecz zawsze grubym i popędliwym głosem, z kąta izby, w którym szukała może żądanéj kiełbasy, odrzekła:

— Ja tam poczciwym ludziom, co nam grzeczność okazują, nie żałuję niczego. Kiedy jest, to niech sobie będzie. Już *on* mnie do tego przyzwyczaił. Tylko strach pomyśleć, ot, o starości! człek goły, jakby tylko co się urodził! *On*, co zarobi, to przepije i przeweseli, a potém co? żebrać przyjdzie?

Im więcéj mówiła, tém więcéj w głosie jéj brzmiało rozjątrzenie, zmieszane z płaczliwością. Gliniane naczynie jakieś, misa czy talerz, stuknęło o stół, na który stawiła go popędliwa snać ręka, a cienki głos męzki przewlekle mówić zaczął:

— To nasze, co dziś, Nastasiu, to nasze, co dziś! Czas ucieka, śmierć goni, wieczność czeka! Człowiecze, z matki śmiertelnéj zrodzony, nie wiesz dnia, ani godziny swojéj. Dziś jesteś, jutro cię nie będzie. W zimną ziemię cię włożą, piaskiem oczy zasypią i czego nie widziałeś, to już i nie zobaczysz, a czego nie zjadłeś, to już i nie zjesz, a czego nie uradowałeś się, to już nie uradujesz się... Do królestwa niebieskiego droga daleka i przez czyściec wiodąca.

I wnet potém ozwała się znowu piskliwa i chrapliwa śpiewka:

— Oj, głębokaż to mogiła,
W któréj leży ludzi siła;
Gdy w nią legniesz, grzeszny człecze,
Strawa z misy ci ucieczе....

— Cha, cha, cha, cha, cha! piskliwym, lecz serdecznym chichotem zakończył śpiewający, a zarażając się jakby wesołością jego, zaśmieli się i inni. W wesołym chórze tym

jeden tylko głos kobiécy odzywał się gdérliwém i rozjątrzoném mruczeniem.

Czy kobiéta, siedząca na ławie, u zewnętrznéj ściany domu, słuchała tych rozmów, śpiewów i śmiechów, które przecież wyraźnie do ucha jéj dochodziły, trudno było powiedzieć. W oprawie czarnéj chusty, okrywającéj głowę jéj i ramiona, twarz jéj zostawała wciąż nieruchomą. Błyszczącemi oczami swemi patrzała wciąż w jeden punkt szaréj przestrzeni. W sztywnym wzroku jéj malowało się osłupienie, sięgające stopnia bezmyślności. Z wystającego gzémsu dachu, pod którym siedziała, spadały na odzież jéj gęste i grube krople deszczu, lecz ona nie zdawała się ich czuć, ani spostrzegać, i nic nie czyniła, aby się od nich uchronić. Parę razy podniosła się z ławki, jakby do odéjścia, postała chwilę, z twarzą zwróconą ku miastu, i siadła znowu.

W chacie cmentarnego stróża gwar, to wzmagał się, to przycichał. Od czasu do czasu wybuchał zeń gruby, rozjątrzony głos kobiécy, zdający się zapowiadać srogą kłótnię. Za każdym razem jednak, cienki głos męzki przewlekle, i tonem monotonnie odmawianego pacierza, recytować zaczynał o doczesności człowieka na ziemi i o potrzebie użycia, dopóki czas, wszelkich uciech żywota, a kończył śpiewem, którego piérwsze takty skoczne były i wesołe, a ostatnie z żałośliwych pieśni kościelnych zapożyczone, a w których figurowały nieodmiennie: śmierć i piwo, mogiła i misa. W obec przemówień tych i przyśpiewek kłótliwy i rozjątrzony głos kobiécy topił się w gniewne, lecz ciche i jakby zniechęcone, mruczenie.

Nakoniec, otworzyły się drzwi domostwa i biesiadnicy po jednemu wychodzić z niego zaczęli. Byli to wszyscy

ludzie prości i grubijańscy w ubogiej odzieży, ze zczerniałemi twarzami. Każdy z nich, na progu jeszcze, wymawiał jakieś słowo uprzejmego pożegnania i podziękowania za częstunek, każdy też, mijając siedzącą u ściany kobiétę, spoglądał na nią przez chwilę z obojętną ciekawością i odchodził. Z za otwartych drzwi od sieni gospodarz wykrzyknął jeszcze pożegnanie:

— A bywajcie tam zdrowi i żywi, bo wasze umieranie człowiekowi i dziurawych butów nie przysporzy!

Tu na nótę krakowiaka zaśpiewał:

— Od Boga zesłana
Śmierci ty kochana....
Zatrzęś kostkami swojemi....

I dokończył monotonnym pacierzowym tonem.

— Nad pałacami złocistemi, nad kamienicami murowanemi, nad szkatułami pełnemi. nad tymi, co nosy do góry zadzierają. a przed tobą w proch padają, jak marne twory Pana Boga Wszechmogącego, któremu niech będzie cześć i chwała na wieki wieków, Amen.

Gdy przekleństwo to, w dziwny sposób z modlitwą zmieszane, milkło w głębi domostwa, na progu zjawiła się gruba i wysoka postać kobiéca. Obejrzała się dokoła i nagle krzyknęła.

— A toż co? Zgiń maro, przepadnij! Kto tu taki siedzi pod ścianą?

Kobiéta, siedząca pod ścianą, zwróciła głowę ku mówiącéj i zwolna powstając, z cicha i nieśmiało wymówiła:

— Przepraszam... to ja!...

— Kto ja? jakie ja? — brzmiał w progu głos gniewny, gruby i kłótliwy. Włóczęga jakaś? czy żebraczka? czy zło-

dziejka może? Panie Boże, odpuść! Po nocach włóczyć się i pod cudzemi oknami siadać...

Z pod ściany, cichy i nieśmiały głos odezwał się.

— Siadłam odpocząć...

— Odpocząć! jak odpocząć? co odpocząć? gdzie odpocząć? pod naszemi oknami odpoczywać! Podsłuchiwać może i podpatrywać! Czy nie Jeżewicz to czasem przysłał tu panią, żebyś nas szpiegowała i żeby do ks. dziekana z językiem lecieć: u Łukasza piją! u Łukasza jedzą! u Łukasza hulają! Idź, idź, zkąd przyszłaś, i gadaj coś widziała i coś słyszała...

Kobiéta, całkiem teraz ukryta w cieniu, wymówiła:

— Przyszłam z daleka...

— Zdaleka! zdaleka! Od Jeżewicza, od wroga naszego od szpiega naszego! z pod Fary! z kamiennego zaułku! zdaleka! zdaleka! zkądże naprzykład?

W cieniu ozwał się szept:

— Ze wsi...

Tym razem kobiéta, stojąca w progu, nie odpowiedziała nic. Nagle jakoś umilkła i wyciągnęła szyję w kierunku przybyłéj, chcąc snać śród cienia dostrzedz jéj rysy. Po chwili, ciszéj znacznie i łagodniéj, niż wprzódy, wymówiła.

— Ze wsi... A zkądże? z jakiéj strony?

— Z Targowa, — odrzekła przybyła.

— Z Targowa? Nie znam. Nie wiem. Gdzież to jest?...

— Dziesięć mil ztąd... za temi wielkiemi lasami...

— Za lasami...— w zamyśleniu powtórzyła gospodyni domostwa i dodała: dziesięć mil... no, no! kawał drogi! I cóż? piechotą szłaś? długo? wieleż dni?

— Piechotą. Trzy dni. Nie mogę iść prędko...

— No, no! ze wsi... za lasami!... ze wsi! cóż, możebyś lepiéj w chacie odpoczęła, jak tutaj! Z dachu leje się... cały boży dzień deszcz padał. Możebyś przenocowała u nas. Noc ciemna... ludzie ot zaraz spać pokładną się... jak pójdziesz do miasta, to chyba na ulicy nocować będziesz... chodź do chaty...

Przybyła nie poruszyła się z miejsca. Milczała.

— No cóż—z powracającą niecierpliwością powtórzyła gospodyni, – głucha jesteś, czy niema? Ja do niéj gadam jak do człowieka, a ona jak słup... O Matko Boska! jakiż wicher zrywa się na dworze! Chodź do chaty!

Przybyła, z większą jeszcze, jak wprzódy, nieśmiałością szepnęła.

— Dziękuję pani... przenocowałabym... czemuż? zmęczona jestem i... tak zimno. Ale... nie wiem... ja mam...

— Chodź do chaty! słyszysz!—stentorowym już głosem i trzęsąc się od gniewu krzyknęła gospodyni. Noc taka, że psa z domu nie wypędzić... a ona tu jeszcze: dziękuję! niewiem!... ceregiele, fanaberye, głupstwa jakieś stroi! Jak nie pójdziesz mi zaraz, to obiję, przepędzę i drzwi zarygluję! Idź i przepadaj! Cóż idziesz — czy nie?

— Idę, idę, — szybko odrzekła przybyła i weszła do domostwa.

Gospodyni z gwałtownym stukiem zaryglowała drzwi od podwórza.

Sporą izbę z dwoma niewielkiemi oknami, wklęsłemi głęboko w mur i ujętemi w przegniłe i zczerniałe ramy, oświetlał płomyk łuczyny, dopalającéj się i zwisającéj u szczeliny glinianego pieca. Przy drgającém, czerwonawém światełku tém, sprzęty, napełniające izbę, zlewały się w ciemną i bezładnie grupującą się masę. Były to stoły grube

i nieheblowane, drewniane zydle, koszlawe stołki, cebry, niecki, garnki, grabarskie i ogrodnicze narzędzia. Przez otwarte i nizkie drzwi ukazywała się druga malutka izdebka, z dwoma szerokiemi tapczanami, służącemi za łóżka, i z długim szeregiem świętych obrazów i obrazków zawieszonych na ścianie, a w różnokolorowe i pozłacane ramki oprawionych. Przed jednym z obrazów tych, po samym środku ściany zawieszonym, na mosiężnym łańcuszku zwieszona, blado paliła się mała lampka. W piérwszéj od wejścia izbie czuć było wilgoć, stęchliznę, duszne gorąco silnie rozpalonego pieca, resztki swędu od jakiegoś smażonego mięsa i cuchnący dym tytuniu najgorszego gatunku. Słychać też tam było przeciągłe chrapanie kogoś śpiącego. Na zydlu pod ścianą, z twarzą ku sufitowi zwróconą i rękami zarzuconemi na głowę, spał suchy, kościsty człowiek, w wyszarzanym spencerze, nie posiadającym rękawów. Cienkie a długie ramiona jego okryte były rękawami grubéj, szaréj koszuli.

— Masz tobie!—wchodząc do izby mruknęła gospodyni.— już i śpi! tak to zawsze! naje się, napije, wygada się, wyśpiewa i chrapie... a cała robota na moje ręce spada. Kto naczynie po nim i po jego częstunkach pomyje? ja. Kto graty pozbiera, żeby w brudzie nie marnowały się? ja. Kto drzewa z sieni na jutro nanosi? ja. Kto Jeżewiczowi oczy wydrapie za jego przeklęte plotki i intrygi? ja. Kto przed księdzem dziekanem wyjęczy i wypłacze, żeby nas ztąd nie wypędzał? ja. Wszystko ja. A co mnie za to? ot dziura ta na teraz, a na starość... kościelne schody i tyle! Żebym ja była lepiéj światła dziennego nie zobaczyła... jeżeli kiedy żebraczką mam być...

W ten sposób szeptem lub półgłosem gdérząc i żaląc się, chodziła po izbie wielkiemi, ciężkiemi krokami, zbierała

ze stołu i przy piecu myła gliniane, ubogie naczynia, resztki jadła starannie chowała, grubym fartuchem ścierała ze stołu okruchy chleba i rozlane piwo. Nagle zwróciła się ku drzwiom.

— Cóż tak stoisz pod progiem, jak bałwan jaki! — zawołała. Czemu nie siadasz? Czy może ława nasza za twarda, izba za ciasna... Podejdź, siądź... i pogadaj po ludzku, a nie, to ruszaj sobie... Ja tu martwych nie potrzebuję, mam już ich dosyć tam...

Rzuciła ręką w stronę cmentarza.

Przybyła zbliżyła się cicho, usiadła na zydelku pod piecem i milcząc rozwijać zaczęła zawinięcie, które wciąż przedtem trzymała w ramionach. Gospodyni stanęła na środku izby, jak wryta.

— Co to? — zawołała. Dziecko?

— Dziecko, — odpowiedziała przybyła.

— Czyjeż? twoje?

— Moje.

— Aha! rozpowińże to! udusić się może w takiém gorącu.

Dziecko zakwiliło zcicha.

— Wieleż to ma? — zapytała gospodyni.

— Ośm miesięcy.

— Z takiém maleństwem, w taką porę, w drogę wyprawiać się... no!— O kilka kroków stojąc, bacznie przypatrywała się przybyłéj.

— Wdowa, co? mąż zmarł? — zapytała.

— Nie, — krótko brzmiała odpowiedź!

— Cóż? porzucił może łotrzysko jakiś?

— Nie,—ciszéj jeszcze odpowiedziała kobiéta.

— Nie i nie! cóż tedy? dla czegóż włóczysz się po świecie, sama jedna i z dzieckiem?

Nagle umilkła i pytać przestała.

— Aha! — rzekła, jakby dowiedziała się już o wszystkiem.

— No, no,—zaczęła potém łagodnie. Cóż robić? cóż robić? zdarza się różnie na świecie. Źle, bo źle. Wstyd i obraza boska! ale kiedy stało się, to już się nie odstanie. Chrystus Pan nam powiedział: kto z was bez grzechu, niech kamień rzuci!

We wspaniałomyślnéj przemowie téj było nieco szczerej pobłażliwości; daleko więcéj jednak wywołała ją ciekawość, bo małe oczki jéj, zagłębione śród policzków pulchnych, lecz żółtą bladością okrytych, dziwnie żywo błysnęły i zamigotały. Usiadła pod piecem, obok przybyłéj.

— Biedna ty! — zaczęła,—któż ty taka? na panienkę jakby wyglądasz? sukienka elegancka kiedyś była, tylko teraz poplamiona i podarta, a i ten płaszczyk niczego... na chłody nie zdał się... ale cienki... zgrabny, któżeś ty taka...

Przybyła uczuła się znać ujętą i ośmieloną przez okazywane jéj współczucie. Czarne źrenice jéj, zatopione w malutkich, szarych oczkach pytającéj, posiadały w téj chwili wyraz śmiertelnie ranionéj łani.

— Sługą byłam, — odpowiedziała głośniéj, niż mówiła wprzódy,—garderobianą u nieboszczki pani, matki młodego pana... dzieckiem z chaty mię wzięli, lubili, robót uczyli, ładnie ubierali... dobrze mi było.

Umilkła.

— Cóż daléj? co daléj?— natarczywie pytała gospodyni.

Przybyła, kołysząc w ramionach dziecię i nie spuszczając z twarzy gospodyni cierpiącego wzroku swego, mówiła daléj:

— Kiedy nieboszczka pani umarła, byłam jeszcze cały rok przy pannie Placydzie, krewnéj pana; ale jak panna

Placyda za mąż poszła, ot będzie już ze cztery lata temu, pan bratu memu dom zbudował w lesie i leśnikiem go zrobił. Mieszkałam przy bracie: pijak on i złośnik, bratowa prosta chłopka, ale pana lękali się i dobrzy dla mnie byli...

— No to czegożeś od nich wyszła? Trzeba było w chacie siedzieć i z braterstwem pracować.

Przybyła, po chwili milczenia, odpowiedziała.

— Wypędził.

— Kto wypędził?

— Brat.

— A za cóż on cię wypędził? leniuch pewnie jesteś, albo złośnica!

— Nie, tylko się mu na nic nie zdałam. Żąć nie umiem, ani ogrodów kopać, ani strawy gotować... przytém... ludzie mu za mnie dojadali... i pan przestał przez palce patrzeć na to, że on drzewo z pańskich lasów sprzedaje,.. Komisarz zapowiedział, że wypędzi go ze służby, bo złodziejem jest i pijakiem... Wtedy on do mnie przyczepił się: a ty taka i taka! co ja z ciebie za korzyść mam? czego ty tu siedzisz mnie na karku i chleb zjadasz! Już to rok minął od tego czasu... cierpiałam, znosiłam... ale raz, jak upił się, to tak mnie wybił, że kaszlać zaczęłam i teraz jeszcze piersi bolą i kaszlę... A bratowa mówi: idź ty od nas, bo on jeszcze zabije cię kiedy po pijanemu i kryminał będzie... To i poszłam...

Gospodyni słuchała z uwagą.

— No, no, — rzekła, — coto się na tym świecie dzieje! Źleś ty zrobiła, nie ma co! bardzo źle! ależ i braciszek, niech go! póki korzystał, trzymał; jak korzyści nie miał, przepędził! No...

Zawahała się chwilę, lecz ciekawość przemogła wszystkie inne względy.

— No, a... pan?—zapytała bardzo cicho i nad samem niemal uchem przybyłéj.

Pytanie to wywarło na znękaną kobiétę wpływ szczególny. Wstrząsnęła się cała, jakby od elektrycznego uderzenia, z miejsca się porwała, dziecko uśpione na ławie złożyła i chustę gwałtownym ruchem z głowy i ramion zerwała.

— Ach! ach! ach!—krzyknęła,—żeby jemu każda godzina taka gorzka była, jak całe moje życie! żeby on światłości boskiéj nigdy nie oglądał! Niech jemu Pan Bóg krzywdy mojéj nie pamięta! niech szczęście jego będzie takie wielkie, jak moja niedola! Niech jemu własne dziecko nóż w serce zatopi! niech go Aniołowie Stróżowie strzegą od mąk takich, jak moje! żeby jemu jednę godzinę tak gorzko było, jak mnie będzie do śmierci!

Łzy potokiem lały się po rozognionéj jéj twarzy. Oczy jéj gorzały, głos to wzdymał się namiętnie, to przebrzmiewał żalem, połączonym z rzewnością.

Gospodyni wstrząsała głową, wpół z litością, wpół z pośmiewiskiem.

— Waryatką jesteś, moja kochana, — ozwała się trochę już gniewnie,—przeklinasz i winszujesz... nienawidzisz i lubisz... sama nie wiesz co gadasz i koniec! Ale, jakże to tam było? hę!

Z wrytemi w ziemię oczami, przybyła odpowiedziała ponuro:

— Ożenił się.

Uspokoiła się nieco, siadła znowu na ławie i, kołysząc w ramionach dziecko, zaczęła:

— Ot byłby może i nie ożenił się jeszcze; ale ludzie gadać zaczęli, że on ma romans z jedną panną z sąsiedztwa.

Ktoś mu to w żywe oczy powiedział... Była podobno z tego powodu wielka kłótnia... wyzwał na pojedynek tego, kto o téj pannie takie rzeczy mówił... strzelali się... plotki zrobiły się z tego jeszcze większe... raniony był w ramię i, jak tylko wyzdrowiał, oświadczył się téj pannie i ożenił się... Panu Sienickiemu, który z nim w wielkiéj przyjaźni żyje, powiedział: ja nie ścierpię, żeby przezemnie kobiéta stracić miała honor i opinię... Stałam wtedy pod oknem i podsłuchałam. On bo już taki jest, moja pani; dobrego serca i strasznie honorowy... to i nie dziw, że za panną ujął się i wynagrodził jéj krzywdę, przez złe języki ludzkie wyrządzoną...

Anastazya słuchała opowiadania tego ze szczególnym uśmiechem na wydatnych i bladych wargach. Małe oczki jéj świeciły gniewną ironią.

— No, a tenże?—zapytała. Czemuż tobie nie wynagrodził?

Przybyła ze zdziwieniem wpatrzyła się w nią.

— Toż to wcale co innego, rzekła. Tamta pani z panów, śliczna jak obraz, po francuzku mówi i na fortepianie gra... czy mnie z nią równać się?...

Nie było w słowach tych ani goryczy, ani szyderstwa. Mówiła szczerze.

Anastazya zamyśliła się. Zmarszczki, okrywające wielkie, blade jéj czoło, poruszały się i falowały, pod wpływem jakby ciężko pracującéj myśli.

— Tak to tak, to prawda,— zwolna i po chwili mówić zaczęła. Pani z panów... po francuzku mówi... co nam równać się do takich... Jednakowoż, żeby mój Łukasz nie spał, a słuchał... on, widzisz, leniwy jest i obżarty, nie opój broń Boże, bo piwo tylko pije, a wódki do gęby nie bierze; ale, co obżarty, to obżarty, i tego sobie leniwy... ale przytém

rozumny bardzo, tak że aż ludzie schodzą się słuchać jego gadania... toż żeby on nie spał teraz to ani chybi powiedziałby: ja stróż cmentarny, tamten pan wielki, ja prosty człek, tamten uczony i gwiazdy liczy... a wszyscyśmy równi w obec Ojca naszego Wszechmogącego...

Chwilę milczały obie. Przybyła ozwała się pierwsza.

— Żeby mi tylko chłopca z rąk zbyć... jakkolwiek już dałabym sobie rady... w służbę pójdę.

— Do miasta? — zapytała gospodyni.

— Do miasta, czy na wieś, jak się zdarzy... ale z dzieckiem ciężko... nie weźmie nikt...

— A no! zostawcie chłopca u kogo na hodowanie, płacić za niego będziecie, a sami służyć.

— U kogo zostawić? w mieście żywéj duszy nie znam.

Anastazya zamyśliła się.

— Ochrzczone to? — zapytała.

— A jakże! w targowskiéj parafii. Metrykę z sobą wzięłam, bo ludzie mówili, że bez niéj nikt chłopca nie weźmie.

Zwróciła się do gospodyni i kolana jéj rękami objęła.

— Matko najmilsza,—zaczęła,—narájcie mi miejsce jakie, dla dziecka chatę jaką, gdzieby je przytulili, a podhodowali choć troszkę. Ja w służbę pójdę i całą choć pensyę oddawać będę, sobie tylko na trzewiki i łachman jaki zostawiając... Narajcie dla miłości boskiéj, zarekomendujcie, pomóżcie, bo sama sobie w nieznajomém mieście rady nie dam!

Anastazya milczała długo.

— A no,—ozwała się z trochą wahania w głosie, niech może chłopiec u nas zostanie... Dzieci nie mamy, we dwoje tu, w dziurze téj mogilnéj jak wilki mieszkamy i bogactwa u nas nie ma, oj nie ma! bo choć jaki taki grosz wpadnie czasem do chaty, to go mój wnet przeje i przeweseli...

Przybyła pochwyciła jej rękę i ucałowała ją gorąco. Długi jednak kwadrans upłynął, zanim zawarły z sobą stanowczą umowę. Anastazya wahała się. Chciała i nie chciała. Obiecywała i odmawiała.

— Dobrzeby było,— mówiła,— mieć jaką taką pomoc do tego nędznego naszego życia i czasem... śmiech dziecinny posłyszéć. My bo tylko dzwony a śpiewy pogrzebowe, lamenty a płacze słyszym ciągle i na mogiły patrzym... dla tego może Łukasz mój weselić się tak lubi... niechby moją wesołością chłopiec ten był... bezdzietnam.

Po chwili jednak, ostro wpatrując się w przybyłą, zapytywała.

— A jeżeli nam nic dawać nie będziecie? pójdziecie kędyś na skraj świata... goń wiatr w polu... my zaś jednéj gęby więcéj karmić nie mamy za co, nie mamy, nie mamy...

Z ostrych i gniewnych błysków, które strzelały z oczów jéj, gdy to mówiła, można było odgadnąć, jak bardzo byłaby rozgniewaną, gdyby przyszło jéj dziecko to za darmo hodować.

Przybyła przyrzekała być słowną, przysięgała i w ręce ją całowała.

Po długiéj rozmowie Anastazya wzięła w ramiona uśpione dziecię i, przypatrując się mu, mówić zaczęła:

— Pan Bóg Wszechmogący, niech się stanie wola Jego święta, szczęścia mi nie dał... Ze szlacheckiéj okolicy rodem jestem, szlachcianką urodziłam się... i tęgą kiedyś dziewuchą byłam. Starało się o mnie wielu, ale ot Łukasza umiłowałam... dla czego? Bógże to wie! Za serce mię wziął mądrém swojém gadaniem i może tym czarnym surdutem, który nosił na sobie, bo lokajem w sąsiednim dworze był. Przeciw woli rodziców i familii całéj poszłam za niego,

a tu traf! i za nieposłuszeństwo kara boska na nas spadła. Miejsce stracił... powędrowaliśmy do miasta. W mieście, jak w mieście... on, to miał służbę, to nie miał, a żyć z grosza na bruku, ciężko. Prałam tedy, maglowałam, do ciężkich robót wszelakich najmowałam się, wodę nawet wiadrami nosiłam, jak się zdarzyło; zwyczajnie kobiéta, bez domu ni łomu zostająca. Aż tu raz, zachorował... z choroby wstał, ale służby już ani rusz! nie dostał. Panowie mówili, że stary, mizerny, niepozorny i niezgrabny. Gdy bez służby został, bywało z początku ani go w chacie utrzymać, ani do roboty jakiéj napędzić... na lokajskim chlebie źréć tylko, a weselić się przywykł, toż go i krótko trzymać zaczęłam... bez pardonu łajałam, biłam, jak wypadało... do piłowania drzewa i kopania miejskich ogrodów napędzałam i jakoś, z łaski boskiéj! nie rozpił się przynajmniéj, a uczciwym i rozumnym człekiem jak był, tak i pozostał... Potém, zdarzyło się to ot miejsce, przy *mogiłkach*. Chata, kawał ogrodu i jaki-taki grosz od tych, co tu swoich mają, a mogił doglądać każą... Dwanaście lat już tu siedzim, ale kto wié, czy długo siedziéć będziem! Źli ludzie intrygują, a szczególniéj Jeżewicz ten, któremu te miejsce pachnie... Ks. dziekan powiada, że to zgorszenie i nieprzystojność, aby u cmentarnego stróża zgromadzenia jakieś bywały i gadania i śmiechy. A mój bez tego ani rusz! jak tylko grosz jaki w kieszeni, gości sprasza i częstuje... co ja mu zrobię! Już i sił nie mam krzyczéć i bić i żal mi go... stérany! Jeżelić jednak nas ztąd wypędzą, o Bożeż mój! prościuteńko pod kościół pójdziem. On stary, cherlawy i do żadnéj pracy, a ja... pięćdziesiąt téż z górą lat mam i ot... zmęczyłam się... Niby to nic tak przy umarłych żyć... jednakowoż umarli żywych śmiercią zarażają... W obojgu nas zdrowia nie ma, ani za

grosz... ja niby gruba jestem i silna na oko, ale w rękach i w nogach mocy żadnéj i w piersiach coś takiego, że czasem ledwie dyszę...

Zadyszała się istotnie od długiego mówienia i długo milczéć musiała, zanim odpoczęła nieco. Umiejętne oko rozpoznałoby natychmiast, że była silnie astmatyczną. Zarazem jednak była ona i gadatliwą. Odpocząwszy, więc mówiła daléj:

— I z charakteru nie byłam ja taka dawniéj, jak teraz. Złość w duszę z biedą razem wstąpiła. Dawniéj bywało, żeby mi tam nie wiem co, znoszę i milczę, a kiedy dobrze, to tak śmieję się i wyśpiewuję, że aż z rodzicielskiéj chaty, na ogrody i pole chichoty i pieśni moje lecą... Oj, ogrody i pola i lasy szumiące i potok ten czysty, co po zielonéj łące płynie!... Wszak ci to cała młodość moja tam pomiędzy niemi przeszła... starość przechodzi między mogiłami!...

Małe, zapadłe jéj oczki zwilżyły się, policzki pulchne i wydatne, lecz pozór chorobliwéj obrzękłości mające, zadrgały; nizko na pierś głowę opuściła.

— Terazem taka zła, — mówiła znowu po chwili, — że w złości gotowam człowieka zabić... Ot tak, co trzymam w ręku tém cisnę... Jużem się i spowiadała z tego i codzień Pana Boga proszę, aby mi cierpliwość i poprawę zesłał. Nie i nie. Coś we mnie wstąpiło i to nie od razu. Wstępowało, wstępowało, aż i opanowało. A najmocniéj nieczysty wtedy mnie trzyma, jak sobie wspomnę, co ze mną i z Łukaszem będzie, kiedy nas ztąd wypędzą... Nie, już nam przyjdzie ostatnie lata nasze pod kościołem przeżyć i gdzie, pod płotem jakim, zamrzéć... Uf!

Zatrzęsła się cała i obydwoma rękami objąwszy głowę, z któréj spadały w nieładzie siwiejące włosy, kołysała, przez

chwilę, w strony obie grubą postać swoję, luźnym wyszarzanym kaftanem okrytą.

Nazajutrz, o wschodzie słońca, przybyłéj wczoraj kobiéty nie było już w domostwie cmentarnego stróża. Ledwie zaświtało, wstała, chwilę porozmawiała z Anastazyą i zostawiwszy jéj trochę pieniędzy, a ręce jéj ucałowawszy, wybiegła. Była to kobiéta dwudziestokilkoletnia, piękna, z cygańską cerą i namiętnemi, czarnemi jak noc, oczami. Szła ku miastu, które budzić się już zaczynało, nie tak jak wczoraj, z ciężkością i powoli, lecz szybko i śmiało. Znać było, że spadł z niéj ciężar, któremu podołać nie mogła, którego może dźwigać nie chciała. W wyrazie ust jéj, w wyrazie oczu, utkwionych w mury miejskie, nie było już ani wstydu, ani trwogi. Czoło jéj tylko, zorane nieco, zdradzało wielką jakąś boleść przeżytą, a w głębinach serca jeszcze tlejącą. Lecz, nad zgliszczami temi podniosły się widocznie nowe jakieś nadzieje, żądza życia, ciekawość przyszłości. W starannie oczyszczoném i nawet gdzie-niegdzie barwistym łachmankiem jakimś upstrzoném odzieniu, biegła raczéj, niż szła, aż wpadła w tę banię z brudnego szkła, w której ciemna i ciężka, w fantastyczne kształty połamana masa, będąca miastem, zaczynała rozwidniać się, gwarzyć, jęczyć dzwonami swemi i połyskiwać oknami purpurowo i złocisto gorejącemi we wschodzącém słońcu. Wpadła w banię tę i zniknęła, niby ziarnko piasku, porwane ruchem klapsydry.

W téj saméj chwili, Łukasz, stróż cmentarny, po krótkiéj rozmowie z żoną, zbliżył się do małego okna, oprawionego w zczernione i zgniłe ramy, rozwinął zmięty arkusz papieru i nie bez trudności wysylabizował.

„Roku 18... d. w parafialnym kościele targowskim, ochrzczoném zostało dziecię płci męzkiéj, urodzone z Rozalii Klinównéj, włościanki i niewiadomego ojca. Imię mu dano Sylwester.“

II.

Pierwszą sceną z lat dziecinnych, którą Sylwek przypominał sobie potém jasno i wyraźnie, była następująca.

Jednego z wiosennych poranków obudził się pośród cmentarza, na wielkiéj spadzisto ułożonéj płycie białego marmuru. Bose nogi jego opiérały się o wypukłe marmurowe kwiaty, zdobiące grobowiec, a głowa spoczywała na tablicy z grobowym napisem. Dniało. Powietrze posiadało blado-siną barwę i przezroczystą gęstość zwolna rozwiewającego się dymu. Szarawe drzewa cmentarne i białe grobowce milczące były i nieruchome. Kędyś tylko, w dole, zcicha szemrała rzeka i od czasu do czasu chłodny wiatr przylatywał, wstrząsał sinawém powietrzem, kołysał gałęźmi drzew i milkł nagle, a wszystko dokoła stawało znowu, w pełnéj niby oczekiwania i sztywności, ciszy.

Chłodnemi powiewy temi zbudzony ze snu Sylwek, przeciągnął się, ziewnął i wpół nagie ramiona zarzucił na głowę, okrytą niezmierną gęstwiną, głęboko czarnych, kędzierzawych włosów. Z twarzą, zwróconą ku niebu, ścigał wzrokiem powolne falowanie górnych warstw powietrza, które z sinawych stawały się żółtawemi i jak z lekka pozło-

cone dymy zakreślały przeróżne koła i skręty, pod błękitniejącem coraz sklepieniem. Bawiła go snać ta napowietrzna gra barw i linij, bo przypatrywał się jéj i bacznie i wesoło. Po cienkich, bladawych wargach jego przebiegały uśmiechy, a bose małe nogi wybijać poczęły fantastyczne jakieś takty, po zimnéj i twardéj płycie marmuru. Nagle, nad samą prawie głową jego, przeleciał szary ptaszek, wpadł w gałęzie płaczącéj brzozy, zaszamotał niemi i na jednéj z nich zawiesił się w ten sposób, że młode liście musnęły czoło chłopca i oblały je gęstemi kroplami rosy. Sylwek zaśmiał się głośno. W téj saméj zaś chwili, na krańcu widnokręgu, wybuchnęło jaskrawe, ogromne ognisko słońca. Pomiędzy drzewa cmentarne spadł deszcz iskier i błyskawic. Po zielonych mogiłach i białych grobowcach popłynęły złote i różowe łuny, a jedna wielka płachta światłości spadła pod stopy kilku brzóz płaczących, na płytę białego marmuru i dziecko, pośród niéj rozciągnięte, a śmiejące się do ptaka, który nad twarzą jego kołysał się na srebrzystéj gałęzi. Była to dla Sylwka chwila niewymównéj rozkoszy. Przedewszystkiém zziębłe, od chłodu nocy i marmuru, małe członki jego obejmowało i przenikało, na wskróś, miłe słoneczne ciepło. Nie po raz to piérwszy wprawdzie przepędzał on noc w ten sposób pod gołém niebem i na kamiennéj pościeli, lecz jakiemi bywały dotąd przebudzenia jego—nie wiedział. Nie posiadał jeszcze wyraźnéj pamięci przeszłości. Dziś, po raz piérwszy, uczuł świadomą siebie rozkosz ciała, wygrzewającego się w słońcu po długim chłodzie, a uczuł ją z mocą, zapowiadającą naturę silną i namiętną. Wyciągnął się na płycie w całéj swéj długości, stopy zarzucając już po za wieniec róż marmurowych, które płytę i jego obejmował dokoła, ramiona chude i śnia-

de, podobne w słońcu do ciemnego brązu, z uczuciem niewypowiedzianéj błogości rozrzucił w krzyż. Oprócz jednak fizycznéj téj przyjemności, doświadczał on jeszcze innego uczucia, które, w sposób niewyraźny, wydawało mu się już znajomém, nienowém, lecz które w téj chwili dopiéro stawało się świadomém siebie, jakkolwiek ani umiałby on go nazwać, ani o nazywaniu go pomyślał. Było to przecież uczucie, pospolicie nazywające się zachwyceniem. Piérwsze drgnienia wewnętrznéj struny téj, którą nie każdy organizm i nie w równym stopniu posiada, a którą przyroda w organizmie Sylwka zaciągnęła, piérwsze drgnienia téj struny uczuł on przed chwilą, kiedy z ciekawością i upodobaniem szczególném przypatrywał się górnemu falowaniu mgieł porannych, przemieniających zwolna barwę sinawą na żółtą a rozpływających się w różnokształtne szmaty. Teraz, w słoneczném oświetleniu, nad nim i dokoła niego, rozległ się obraz, złożony z ogromnego bogactwa szczegółów, które twórcza natura składa w najskromniejszy choćby zakątek swego państwa. Cmentarz wyglądał jak czara, po brzegi napełniona pięknością i kipiąca życiem. Sylwek nie rozważał szczegółów obrazu, ani się nad żadnym z nich nie zastanawiał. Patrzał na wszystko. Patrzał z uśmiechem zrazu, potém ze szczególną powagą, zdradzającą się zarysem, w jaki ułożyły się drobne jego wargi, i wyrazem czarnych źrenic, które promień słoneczny, a także uczucie jakiego doznawał rozogniały. Jak inne dzieci, w wieku jego będące, bawią się błyszczącém i dzwoniącém cackiem, tak on bawił się pięknościami natury. Patrząc na żeglujące pod niebem obłoki, wyciągnął w górę ramiona i wpół ze śmiechem, wpół z gniewem, mówił do siebie. Uciekają! uciekają! uciekają! Najdrażliwszym jednak ze zmysłów jego

był słuch. Kiedy bowiem po raz pierwszy. nad głuchy gwar poranku. wzbiła się i powietrzem popłynęła srebrna i smętna melodya dzwonów miejskich. Sylwek porwał się. usiadł, łokieć wsparł na kolanie, a bronzowo-śniadą twarz na małéj, chudéj dłoni i słuchać zaczął. Dla czego słuchał? Ani wiedział. ani myślał zapytywać się o to. Płynąca powietrzem melodya. w nawpół obnażonéj piersi jego. podnosiła falę uczucia zupełnie mu niezrozumiałego. lecz które przejmowało go i bólem i rozkoszą. W uczuciu tém biegły psycholog odnalazłby dwa pierwiastki: tęsknoty i gniewu. Za czém Sylwek tęsknił, na co i na kogo gniewał się? Nie wiedział nawet o tém, że tęsknił i gniewał się, a gdyby dowiedział się, nie umiałby wskazać. ani przedmiotów tęsknoty swéj, ani przyczyn gniewu. Jednakże uczucie, które w nim melodya dzwonów obudziła, nie było czém innem, tylko tęsknotą i gniewem. Zasłuchał się. spochmurniał i żałośnie westchnął. Oj, Bożeż mój, Boże! Lecz, kiedy dzwony uderzyły silniéj. a wiatr, który powiał w tę stronę. pchnął nad cmentarz potężny, zgiełkliwy akord huczeń ich i jęków, Sylwek oderwał dłoń od twarzy, ścisnął obie pięści i wstrząsając niemi w powietrzu, wykrzyknął: a żeby was wszystkich dyabli wzięli! żeby pod wami ziemia rozstąpiła się! żeby was piekło pochłonęło!...

Czarne brwi jego zbiegły się pod brązowém czołem, z oczu posypały się iskry.

W téj saméj chwili. kędyś od krańca cmentarza ozwał się donośny, gniewny głos kobiécy.

— Sylwek! Sylwek! Sylwek!

Zasłuchany w napowietrzną muzykę. a wpatrzony w ognisko światła, które tuż przed nim zapaliło się w krzaku głogowym i oświetliło ukryte w głębi jego gniazdo ptasie,

Sylwek nie słyszał wołań tych, powtarzających się wciąż i zbliżających się ku niemu.

Sylwek! Sylwek! Sylwek! brzmiało wciąż wołanie na ścieżkach i w gąszczach cmentarza, ale coraz bardziéj zmęczonym i zdyszanym głosem powtarzane. Nagle, chłopak uczuł się porwanym z tyłu przez dwoje twardych a gwałtownych ramion, które ścisnęły go, jak żelazne obręcze, i uniosły z nad marmurowéj płyty. Nad twarzą jego pochylała się twarz kobieca wielka, żółta, z boleśnie pooranem czołem i małemi oczkami, które wśród obrzękłych policzków i wydatnych siwych brwi zatopione, błyszczały złością. Na owo czoło poorane, z pod brudnéj chusty, opadały pasma siwych włosów. Łagodny szmer powietrza i melancholijną muzykę dzwonów, zagłuszył w uchu Sylwka grad łajań i złorzeczeń.

— Mléko! mléko!—krzyczała kobieta,—gdzie moje mléko, którém wczoraj w garnku za piecem postawiła! Wypiłeś je łotrze, złodzieju, włóczęgo, podrzutku jakiś! Do dna, do ostatka, do kropelki wypił mléko! A nam teraz krupnik postny jeść i tego nawet nędznego posiłku nie ma, którym ja za ostatni grosz przygotowała! Poczekaj! niech ja cię tylko do chaty przyniosę! Będziesz ty miał mléko!

Ramiona jej i pięści wpijały się w ciało Sylwka, ze zdyszanéj piersi buchał ciężki astmatyczny oddech, oblewający mu twarz dusznem gorącem. Pomimo, iż zdawała się dusić prawie, nie puszczała dziecka i szła z nim ścieżkami cmentarza, okrążając mogiły.

W izbie palił się w piecu szeroki ogień; niedaleko pieca leżał stos nierówno porąbanych i ułożonych polan. Anastazya, wszedłszy do izby, postawiła Sylwka na ziemi, a sama upadłszy na zydel, długo i ciężko dyszała. Nie mogąc

jednak przez chwilę jakąś ani słowa przemówić, ani poruszenia żadnego uczynić, oczami roziskrzonemi piorunowała chłopca, który, przysiadłszy na ziemi, oparł twarz na obu rękach i osłupiałym wzrokiem wpatrzył się w ogień. Gdy odpoczęła już trochę, porwała się z siedzenia, pochwyciła znowu Sylwka i, uniosłszy go z nad ziemi, umieściła na stosie porąbanego drzewa, w postawie klęczącéj.

— Klęcz!—wołała,—klęcz tu przez cały dzień, do wieczora. Wstać nie pozwolę i jeść nie dam! niech ci polana nogi pokaleczą! niech ci brzuch z głodu przepadnie!

Sylwek chciał być posłusznym nie przez łagodne poddanie się woli karcącéj go kobiéty, ale przez trwogę, którą go ona napełniała i mieszającą się z trwogą głuchą złość! Gdyby go miała zabić, nie przemówiłby w téj chwili do niéj ani słowa i nie spojrzałby na nią. Odwracając głowę, uparcie patrzał w ogień, który nawet zaczął go zajmować i bawić. Trwało to jednak krótko. Szczególny piedestał, na którym klęczało dziecię, oblane gorącą łuną płomienia, począł stawać się ruchomym. Polana rozsuwały się pod nim. Nie mówiąc nic, nie odwracając twarzy od ognia, Sylwek usiłował zachować równowagę. Odzież jego była zniszczoną i podartą; ostre szpilki drzewne bez przeszkody wchodziły mu w ciało. Nagle, runęło wszystko, polana rozpadły się we wsze strony, a Sylwek upadł na nie twarzą.

— A żebyś ty wskróś ziemi się zapadł!—krzyknęła Anastazya, — podnieś się mi zaraz i klękaj znowu!

Podniósł się i, milcząc zawzięcie, ukląkł znowu. Kilka kropel krwi ukazała się na policzku jego, zranionym w upadku. Kolana jego, oparte o kanciasty kawał drzewa, drżały; na całéj twarzy pobladłéj, ponuréj, malowała się męka.

W téj chwili pod oknami domostwa rozległy się szybkie, pośpieszne kroki i do izby wpadł suchy i przygarbiony człowiek, z grobowo bladą twarzą i odrobiną rudawo-siwych włosów, sterczących nad wpół łysą czaszką. Ze stukiem drzwi otwierając, wołał:

— Po umarłym, Nastasiu! po umarłym! po umarłym!

— Po umarłym! —powtórzyła kobiéta tonem takim, jakby rozumiała już o co chodzi. A skądże wiesz? nie kłamiesz?

— Ot kłamię! a cobym miał ciebie i siebie oszukiwać! Dzwony posłyszawszy, poleciałem ku miastu i spotkałem zaraz Ambrożego. Stróż nocny wié o wszystkiém, co się w nockę Bożą z ludziskami dzieje. Umarł kto? pytam. A cóżeś to ogłuchł? mówi. Toż słyszysz. Dzwonią. A kędy dziś śmierć chodziła? pytam. Sklepową ulicą, odpowiada, do pięknéj kamienicy weszła i bogatego kupca schwyciła. Kiedy kończył się, pod samemi oknami jego puściłem grzechotkę moję w taniec. Myślał pewnie, że śmierć mu nad uchem kościami klekoce! ha, ha, ha, ha!

Długo i wesoło śmiał się z ponurego konceptu przyjaciela swego, nocnego stróża. Potém zawołał.

— Będzie zarobek, Nastasiu, będzie i dobry! Żonkę zostawił i dzieci już podrosłe. Patrzéć tylko, jak zacznie się kopanie, murowanie, stawianie pomnika, ubieranie mogiły... A bez stróża cmentarnego, nic nie zrobią. nic, nic! O wszystko muszą mnie prosić, bo ja tu pan... to moje hrabstwo udzielne, moja arenda, moja szkatuła...

Wziął się w boki i na środku izby podskakując, a szczególne jakieś hołubce, stopami zaledwie okrytemi dziurawém obuwiem, wybijając, zanucił:

— O śmierci kochana,
Przez Boga zesłana,
Trząś ty kośćmi swemi.

Nagle wzrok jogo upadł na dziecko. klęczące wciąż przed ogniem. Stanął i śpiewać przestał.

— A to co?—zapytał. Za co ty, Nastasiu, klęczeć jemu kazałaś? i to na polanie! aj, aj! piękna mnie poduszka, kości przepiłować może! Co zrobiłeś łotrzyku ty? Może swojéj opiekunce i dobrodziéjce niegrzecznie odpowiedziałeś. Może, tak jak onegdaj, z żaru kartofle wygrzebałeś i za piecem zjadłeś? cha, cha, cha, cha! sprytny z ciebie łotrzyk!

— Śmiéj się, śmiéj się jeszcze!—zawołała Anastazya ze znacznie jednak mniejszą już, niż wprzódy, złością; — tobie wszystko śmiech a mnie tylko troska i bieda! Mléko mi z garnka wypił podrzutek ten! Wczoraj wypił i z chaty uciekł. na *mogiłkach* nocował! Jeszcze go tam kiedy na chłodzie nocnym cholera weźmie, z mogiły wylazłszy, i grześć go nam przyjdzie!

— Mléko wypił!— powtórzył Łukasz z namysłem,— aha mléko ci wypił z garnka! znaczy ukradł, znowu ukradł! onegdaj kartofle, wczoraj mléko! źle, bardze źle, Sylwku! Boskie przykazanie: nie kradnij! Nauczyłem cię przecież 10-ciu boskich przykazań! No, mów za pokutę dziesięć boskich przykazań! Jam jest Pan Bóg twój... no, mów daléj!

— Jam jest Pan Bóg twój...—ozwał się głosik dziecinny, w którym łzy drgały. Kolana poranione i policzek, przerznięty drzazgą, taki ból sprawiały Sylwkowi, że dotychczasowy stoicyzm jego topniał szybko, a oczy szkliły się łzami. Łukasz stał przed nim, z rękami opartemi na kłębach i najsroższym tonem, na jaki zdobyć się mógł cienki głosik jego, do śmiechu jakby stworzony, powtarzał:

— No, mów daléj!

Sylwek recytował dziesięć przykazań tak, jakby spodziewał się, że koniec ich będzie końcem jego męki. Na wyrazie: nie kradnij! Łukasz zatrzymał go.

— O!—zawołał, wyciągając ku niemu wskazujący palec,— o! nie kradnij! widzisz! Pan Bóg Wszechmogący, Stwórca nasz, rzekł Mojżeszowi na górze Synai: nie kradnij! A tyś mléko ukradł? Dla czegoś kradł? dla czegoś grzeszył?

Oczy dziecka oschły nagle i strzeliły namiętną błyskawicą. Wpatrzył się w opiekuna swego i krzyknął:

— Głodny byłem!

Ramiona Łukasza opadły nagle i głowa, z wyrazem pognębienia, opuściła się na piersi. Chwilę milczał i trząsł głową. Potém mówić zaczął:

— Głodny był! ukradł dla tego, że był głodny! Nastasiu! o, jest racya! głód, to rzecz brzydka! kiedy w brzuchu pusto, to i w głowie robi się niejako... brzydkie myśli zaczynają po niéj chodzić... Wiem ja to, wiem z praktyki! Ho, ho! Bożeż mój! wiele to razy człowiek głodny był w téj ziemskiéj pielgrzymce swojéj...

— A przecież złodziejem nie byłeś, choć ci głód nieraz dokuczył, z nad garnka, w którym mieszała strawę, mruknęła Anastazya.

Łukasz nie odpowiedział nic. Siwe brwi jego ściągnęły się ponuro, wzrok utkwił w ziemi, a garstka włosów jego, jeżąca się zwykle, zdawała się bardziéj jeszcze zjeżoną. Milczał długo; potém, podnosząc nagle głowę i prostując się, wypowiedział:

— Nastasiu!—dodał,—daruj ty już łotrzykowi temu winę jego! I odpuść nam nasze winy, jako i my... niechaj wstanie sobie i siądzie po ludzku! głodny był, to i ukradł!

Anastazya, która przez całą powyższą scenę zajmowała się gotowaniem strawy, zupełnie już z gniewu ochłonęła. Czy perspektywa grubego zarobku, przynoszonego przez śmierć bogatego kupca, złagodziła wzburzone jéj uczucia?

czy zresztą gniewy jéj, o ile były gwałtowne, o tyle musiały być krótkiemi? Obojętnie już spojrzała na Sylwka i rzekła:

— No, wstań już! wstań!

Sylwek z ciężkością powstał i wnet usiadł na ziemi pod piecem, bo na nogach, zbolałych i poranionych, utrzymać się nie mógł.

Anastazya nalała dwie misy krupniku z kartoflami, okraszonego trochą słoniny i, postawiwszy je na stole dla siebie i męża, napełniła strawą trzecią sporą miseczkę i umieściła ją na ziemi, przed chłopcem.

Usiadła i zaczęła jeść, ale po chwili zwróciła się ku dziecku, które chciwie pochłaniało strawę drewnianą łyżką.

— Może więcéj kartofli chcesz?— zapytała. Hm? chcesz jeszcze kartofli?

I nie czekając odpowiedzi, wstała i z garnka, stojącego przed ogniem, wydobywszy warząchwią trochę kartofli, włożyła je do miseczki dziecka.

— Kiedy mam sama, to ci daję,—mruknęła; a kiedy wszystkim nam głodno, to i tobie także! co to gadać! U nas tak: jednego dnia za wiele, drugiego za mało! co ja winna?

Zmoczyła szmatę jakąś w zimnéj wodzie i omyła nią skaleczony policzek Sylwka. Pod łagodném dotknięciem grubéj i wielkiéj jéj dłoni, chłopiec pozostał równie sztywnym, ponurym, jak wtedy, gdy ściskała go, niby kleszczami twardemi ramiony, i rzucała na raniący stos polan. Potém, w zwyczajny sobie sposób, wsparłszy łokieć na kolanie, a twarz na dłoni, kołysać począł w obie strony drobną swą postać i żałośliwie, przeciągle westchnął: oj, Boże mój, Boże!

Takiem było piérwsze, zupełnie jasne, wspomnienie Sylwka. Miał wtedy lat pięć.

Wkrótce potém zaszło zdarzenie, które w pamięci jego, a bardziéj jeszcze w uczuciach i myślach, twarde pozostawiło ślady.

Było to w śnieżny wieczór zimowy, nazajutrz po pogrzebie jednego z zamożnych mieszkańców miasta. Łukasz miał pieniądze i wyprawiał bal. Przy świetle jednéj łojówki. palącéj się na stole, i szerokiego ogniska płonącego w piecu, na zydlu i stołkach siedziało kilku mężczyzn w podartych i zbrudzonych siermięgach lub kożuszkach, z ciemnemi, grubemi twarzami. Pili piwo, a zakąsywali razowym chlébem i twardym sérem. Przed ogniem, Anastazya gniewna i ponura, jak bywało zwykle, gdy mąż jéj sprawiał częstunek, zacierała mąkę na kluski i na trójnożku smażyła słoninę. Przy stole rozmowa toczyła się gwarna, lecz spokojna. U Łukasza ludzie jedli i pili, ale nie upijali się nigdy. Nie pozwalała na to blizkość cmentarza, budzącego zawsze pewną cześć, zmieszaną z przestrachem; sprzeciwiał się temu urząd cmentarnego stróża, nadzorowany przez kościelną władzę; nie pozwoliłaby na to przedewszystkiém Anastazya, która, na samo wspomnienie o wódce, i z mężem i z gośćmi obeszłaby się ze zwykłą sobie, a w wybuchach swych straszną, bezwzględnością. Mieszkańcy zresztą ubogiéj dzielnicy miasta, przez kawał pola tylko rozdzielonéj z cmentarzem, zupełnie szczerze twierdzili, iż cmentarnego stróża odwiedzają daleko mniéj dla poczęstunku, który ich tam oczekiwał, jak dla rozumu i pięknéj mowy gospodarza, który kawał świata w życiu swojém zwiedził, wiele ciekawych rzeczy widział, różne pieśni i piosenki śpiewał, a nawet sam je komponować umiał. W zdaniach, które o życiu i ludziach wygłaszał Łukasz, i w piosnkach, które wyśpiewywał, było coś, co głaskało mętne pojęcia

i dla nich samych może tajemne pragnienia i żale ludzi takich, jak brodaty i ponury Ambroży, stróż nocny; stary i siwy Jakób, niegdyś cieśla, dziś tracz; blady i wysmukły Antosiek, parobek ogrodniczy; Janek mularz, nigdy roboty nie mający i t. p. Kędyś tam, na mieście, różnie z nimi bywało, ale tutaj trzeźwi byli i tylko, od czasu do czasu, żarty lub przyśpiewki gospodarza wtrącały ich w wesołość, objawiającą się wybuchem śmiechów i tryumfujących jakby wykrzyków.

.W chwili właśnie jednego z takich wybuchów wesołości powszechnéj, otworzyły się drzwi izby i w progu pokazał się człowiek, nikomu z towarzystwa całego nieznany. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, szczupły bardzo, w dostatnim, choć prostym, baranim kożuszku, grubém, lecz mocném i do kolan sięgającém, obuwiu i czapce, oszytéj baraniém futrem. Na plecach niósł spory tłómok, a w ramionach podługowatą skrzynię, starannie w płótno i ceratę owiniętą.

Stanął na progu i odezwał się:

— Pokój temu domowi!

Obecni zwrócili się ku niemu twarzami.

— Pokój ludziom prostym i dobrym, weselącym się w niewinności serc swoich! — wyrzekł jeszcze przybyły.

— Dziękujemy!—odpowiedziało parę głosów, a Łukasz zawołał:

— Prosimy do chaty pana podróżnego, prosimy! Na dworze mróz i śnieżyca. Wejdźcie i ogrzéjcie się!

Anastazya, z warząchwią w ręku, pożerała oczami i podróżnego, który, ku wielkiemu jéj niezadowoleniu, powiększyć miał grono tych, których ona „objadaczami" nazywała, i męża swego, który go zapraszał.

Podróżny wszedł do izby.

— Dziękuję ci, gościnny i dobry człowieku, zaczął, mógłbym pójść do miasta nocować... ale zobaczyłem wesoły ogień w oknach domówstwa waszego, usłyszałem wasze poczciwe głosy i serce pociągnęło mię ku wam.

Mówiąc to zdjął z pleców tłómok, postawił na zydlu podługowatą skrzynię i otrząsnąwszy z odzienia okrywający je śnieg, zbliżył się do stołu.

Czy był młodym albo starym? trudno byłoby powiedzieć na pewno. Włosy miał lnianéj prawie barwy, mękkie i długie; czoło bardzo białe, lecz zorane rojem drobnych zmarszczek; oczy błękitne jak turkusy z niezmiernie łagodném, nieruchomém spojrzeniem. Zresztą, twarz jego, blada i bez zarostu, młodzieńczą wydawała się i zarazem zestrzałą.

Zbliżywszy się do stołu mówić zaczął.

— Jestem Szymon Kępa, nauczyciel wiejski z powołania. Niemam potrzeby taić przed nikim nazwiska mego. Nic złego nikomu nie uczyniłem, a pragnę czynić wszystko, co jest w możności mojéj, aby służyć ludzkości, szczególniéj zaś tym z jéj członków, którzy pędzą życie w prostocie, niewinności i niezasłużonych cierpieniach. Kocham ludzkość, kocham przedewszystkiém wszystkich ubogich, poniżonych i skrzywdzonych. Kocham i was, bracia moi, choć pirwszy raz w życiu spotykam się z wami. Pozwólcie mi zasiąść w kole swojem; nie splamię go z pewnością ani słowem, ani czynem.

Szczególnéj przemowy téj obecni słuchali z pootwieranemi od zdziwienia ustami. Anastazya, przed ogniem stojącą, mruknęła. Ależ gada! jak najęty!

Sylwek wylazł z ciemnego kąta jakiegoś w którym dotąd niewidzialny zostawał, przeniósł się do innego kąta,

bliższego stołu, i przykucnąwszy na ziemi, oczy swoje, ogniste, bystre a ciekawe, w przybyłego wlepił.

Łukasz miał pozór człowieka zachwyconego. Przybywał mu gość, towarzysz do gawędy i szklanki, a w dodatku jakiś bardzo rozumny i wymowny. Goście podzielali uczucie gospodarza domostwa. Piękna wymowa była pośród nich we czci szczególnéj. Jak zwykle bywa z ludnością miejską bezwiednie uczuwającą w sobie pracę pojęć i żądz, do dna nurtujących ogniska cywilizacyi, namiętnie lubili oni słuchać górnych wyrazów, długich rozpraw, płynnie wypowiadanych okresów, choćby w małéj tylko części zrozumiéć je byli w stanie. Rozsunęli się téż pośpiesznie i z uszanowaniem, czyniąc pośród siebie miejsce przybyłemu. Przybyły usiadł, a gospodarz, z ledwie tajoną ciekawością, wnet go zapytał.

— Zkądże Pan Bóg prowadzi? Zdaleka pewno?

— Nie tak bardzo i zdaleka,— odparł przybyły;— mnie, przywykłemu do pieszych wędrówek, mil piętnaście ujść, rozglądając się po okolicach, podziwiając wszędzie rozsiane piękności natury i od czasu do czasu wchodząc pod skromne dachy, aby z prostymi i dobrymi ludźmi przełamać się chlébem i sercem, to rozkosz i nauka. Bo uczyć się. bracia moi, powinniśmy wszyscy i nieustannie, uczyć cię budowy świata, piękności i dobroczynności natury, a przedewszystkiém miłości, téj wzajemnéj miłości, która wszystko rozumié, wszystko przebacza, wszystkiém się dzieli i kiedyś ziemię tę naszę w raj przemieni.

Umilkł; turkusowe oczy jego znieruchomiały; po cienkich, zwiędłych wargach przesunął się uśmiech niewymownego zachwycenia. Przy stole dało się słyszéć parę głośnych i głębokich westchnień, takich zupełnie, jakie wtórują

kwiecistym kazaniom, donośnie rozlegającym się pod sklepieniami kościołów.

Szare źrenice Łukasza migotały z wielkiego zadowolenia.

— Tak to, tak,—zaczął;—kiedyś lepiéj będzie na świecie a tymczasem trzeba biedę klepać i zgryzotę, jak można, odpędzać misą, szklanką i dobrym humorem. Kiedy Chrystus Pan pokaże się na obłokach i podzieli ludzi na kozły i barany, kto wie, gdzie człowiek popadnie? Co dziś, to nasze!

— Kozły, mój bracie,—zaczął przybyły,—to pyszni, samoluby, ludzie z twardemi sercami, którzy nic nie czynią dla przybliżenia królestwa niebieskiego ku ziemi, ale owszem oddalają je przez swoje grzeszne rozkosze i zbytki. Barany, moi bracia, czyli wybrani i błogosławieni, to wy, którzy pracujecie w pocie czoła, niesiecie krzyż swój w pokorze, a serca macie niepokalane cudzą krzywdą, i to ja także, który myślą moją, a przedewszystkiem sercem mojém, zobaczyłem wielkie dzieło przyszłości i opowiadam je maluczkim, aby, widząc je, umieli iść ku niemu.

Przy ostatnich wyrazach położył na piersi rękę swą, długą i bladą, a na twarz całą wytrysnęły mu: duma i radość. Przy stole ozwały się znowu westchnienia. Słuchacze uczuwali się wzruszonymi i zarazem zgnębionymi rzuconym na nich potokiem słów, które wydawały się im i bardzo pięknemi i zarazem niezmiernie zadziwiającemi. Jakby dla ulżenia sobie, Antosiek, parobczak ogrodniczy, który młodzieńcze lata swe na wsi przepędził, zapytał:

— A jakież tam urodzaje po wsiach, panie podróżny? czy runie pięknie z jesieni pokazywały? Téj bo zimy chléb zdrożał. Gadają, że, w przeszłym roku, żyto pod wczes-

nemi śniegami wygniło. Nie wiedzieć, jak to na przyszły rok będzie?

— Urodzaje,—odparł podróżny,—nie będą, zdaje się, tak złe na rok przyszły, jak były w roku zeszłym. Runie były bujne, śniegi spadły w porę, na zmarzłą ziemię... i gdzie dobre było gospodarstwo, tam i chleba dosyć będzie. Nieszczęściem, gospodarstwa nie są wszędzie dobre. Więcéj nawet jest złych, jak dobrych. Ludzie nie opanowali jeszcze wszystkich sił natury, nie zawładnęli jeszcze wszystkiemi jéj bogactwami; zresztą. uprawiać rolę, ciężki to mozół, który kiedyś zdjętym będzie z bark ludzkości...

— Jakto! panie podróżny!— zawołał Łukasz, który tak pilnie i ciekawie słuchał, że, wykrzywiając szyję w stronę mówiącego, konchę uszną dłonią w stronę jego zwracał. Jakto, panie podróżny! ludzie uprawiać ziemi nie będą? ani orać, ani siać, ani żąć? A jakże to... samo przez się...

— Nie samo przez się, człowieku dobry, ale przez maszyny, przez rozmaite maszyny, które serca, miłością ludzkości gorejące, wynajdą i wydoskonalą. Maszyny wszystko robić będą... dziś już widzimy początek tego, ale koniec daleki jeszcze, daleki. U końca dzieła, kula ziemska caluteńka przedstawiać będzie widok ogrodu, pełnego zbóż, falujących jakby złote morza. drzew, uginających się pod niezmiernym ciężarem owoców, kwiatów rajskiej piękności i woni. Pustyni, piasków jałowych. podstępnych trzęsawisk i gruntów źle uprawionych, na całej powierzchni ziemi na ukłucie szpilką nie zostanie. Nie będzie też już nigdzie i nigdy, ani skwarów, ani mrozów, ani śnieżycy, ani ulewy, ani posuchy, ani mokroty, lecz nad ziemią zapanuje wieczne ciepło, miarkowane przez powiewy łagodnych wiatrów i ożywczą wilgoć strumieni, czystych jak kryształ, jak sieć

srebrzysta opasujących zboża, drzewa, kwiaty i białe domostwa, ciche przybytki miłości, cnoty i pokoju.

Tym razem zachwycenie słuchaczy było wielkiém. Przed oczami ich rozpostarto obraz, lśniący najponętniejszemi dla nich barwami; oni zaś, jak dzieci, albo ludy, zostające w pierwszych fazach rozwoju, pojęciem i wyobraźnią lgnęli najłatwiéj do obrazu i symbolu. Białe domostwa szczególniéj, stojące pośród zbóż i drzew owocowych, podobały im się bardzo.

— Za pozwoleniem,—głosem stłumionym i głębokiego poszanowania pełnym. ozwał się stróż nocny, Ambroży,—jakże to... czyżby to wszystko... maszyny zrobić mogły?

— Wszystko to, bracie mój, zrobi przedewszystkiém miłość... która, gdy wszystkie serca napełni, cuda sprawi...

— Hej! hej!—wykrzyknął stary Jakób,—żeby już ta miłość prędzéj wszystkie serca napełniała... człowiek nie potrzebowałby piły na starym grzbiecie nosić i po całych dniach pod bramami na robotę czekać... Aleć, panie mój, oddawna już Chrystus, Pan nasz, rozkazywał ludziom, ażeby miłowali się pomiędzy sobą... jednak nie miłują się i... co im zrobić?

Podróżny wyprostował się, oczy mu gorąco błysnęły.

— Co zrobić?—wykrzyknął,—nauczać! opowiadać! błagać! wzywać! ziębłych rozgrzewać! sennych budzić! opornych gromić!

Łukasz promieniał. Złośliwe śmiechy biegały po całéj jego twarzy...

— Otóż to!—otóż to! wołał. Gromić, gromić! niech ich śmierć gromi. Ja sobie zawsze przyśpiewuję:

Śmierci ty kochana,
Zatrząś kośćmi swemi.

— Nad tymi, co nosy do góry zadzierają, a przed tobą w proch padają, jak nędzne twory Pana Boga Wszechmogącego, któremu niech będzie cześć i chwała, na wieki wieków, Amen.

Jak zwykle, pierwsze dwa wiersze, szczególnego tego utworu swego, wyśpiewał na nótę krakowiaka, która, stopniowo spływając w ton litaniowy, przechodziła nakoniec w montonne, pacierzowe mruczenie.

Anastazya umieściła pośrodku stołu wielką dymiącą się misę, a wszystkim obecnym rozdawszy drewniane łyżki, przed Szymonem Kępą postawiła fajansowy, wyszczerbiony talerz.

— Nabierzcie sobie z misy i jedzcie! — rzekła.

Przybyły porwał się z miejsca, pochwycił w dłonie swe mokrą i utłuszczoną rękę gospodyni i złożył na niéj, pełen czci, pocałunek.

— O Matko Boska!—krzyknęła Anastazya,—cóżem to ja obraz święty, albo wielka pani, że mię po rękach całujecie...

— Nigdy, — odparł Kępa, prostując się, — nigdy głowa moja nie pochyliła się w pokorze przed wielkimi świata tego. Dłoń twoję, matko, pocałowałem dla tego właśnie, że wielką panią nie jesteście, ale dzielną i mądrą niewiastą, w czystości i pracy strzegącą domowego ogniska...

Anastazya wpatrzyła się w niego szeroko roztwartemi oczami, a odchodząc ku „domowemu ognisku,“ splunęła i zcicha mruknęła: Panie Boże! plecie, jak na mękach! A język, jak kołowrót! Waryat, czy co!

Kępa tymczasem odsunął podany mu fajansowy talerz i prosił obecnych o pozwolenie spożywania z nimi strawy z jednéj misy. Naturalnie, wszystkie głowy poruszyły się w znak twierdzenia i zezwolenia, a chór głosów odpowiedział:

— Prosimy! prosimy, kiedy łaska!

— Honorem to dla nas będzie,—z powagą dodał Łukasz,— pan podróżny jest bardzo uczonym człowiekiem, a chociażeśmy wszyscy równi w obliczu Ojca Wszechmogącego, któremu niech będzie...

— O tak!—z zapałem przerwał Kępa;—tak! tak! wszyscyśmy sobie równi: uczeni i prostacy, wszyscyśmy, bracia, wyszli z łona jednéj natury. Ja nigdy wyróżniać się nie chciałem z pomiędzy braci mojéj, ani głowy nad nią podnosić, ani ze wspanialszych naczyń jadać...

Bóg tylko wié, jak bardzo, ów wyszczerbiony, fajansowy talerz, dalekim był od wszelkiego symbolu wspaniałości. Niemniéj, Kępa odsunął go od siebie i drewnianą łyżkę zatopił w wielkiéj misie, w któréj jednocześnie topiły się łyżki wszystkich obecnych. Jedli i, jak zwykle bywa z ludźmi, którzy głód swój rzadkim dla nich przysmakiem zaspokajają, wpadali w coraz weselszy humor.

— Ałeż pani Łukaszowéj kluski... to no!—tonem najwyższéj admiracyi wyrzekł Ambroży.

— Moja nieboszczka téż tęgą sobie gospodynią była, a jednakowoż kluski jéj ani się umywały do tych!...—potwierdził stary Jakób i, dłonią ocierając otłuszczone słoniną siwe wąsy, dodał ze śmiechem:— ot żeby sobie codzień tak podjeść, to by człowiek, choćby dwa sążnie drzewa na dzień spiłował.

Blady Antosiek, tak pełne miał usta, że ledwie wybełkotał:

— Ot żeby komu kluską taką dać w łeb, toby i kryminał był! Jak Boga kocham!

Łukasz jednak, aczkolwiek najłakomiéj ze wszystkich pożerał jadło, nie chciał tracić czasu na błahe gawędy.

— Panie podróżny!—zaczął,—a kiedyż to one szczęśliwe czasy nastąpią...

Przeżuł nieco jadło, które mówić mu nie pozwalało, i dokończył:

— Te czasy, kiedy maszyny wszystko za ludzi robić będą, a świat stanie jednym rajskim ogrodem?

Kępa przestał jeść i odpowiedział:

— Czasy te, dobry człowieku, nastąpią wtedy, kiedy na ziemi znajdzie się więcéj ludzi miłości, ofiary i zaparcia się... ludzi, którzy, tak jak ja, ludzkość całą w sercu swojém noszą...

— A jakżeby to zrobić, żeby ci ludzie prędzéj narodzili się na świat?—filuternie nieco i niedowierzająco zapytał stary Jakób.

Tajemniczy uśmiech przewinął się po ustach Kępy.

— Trzeba, ażebyśmy wszyscy na to pracowali!—odparł. Ja pracuję... Od kilku już lat piszę dzieło, które, gdy ukończę... ludzie spojrzą na świat ten, na siebie samych i na wszystkie ideały ludzkości, tak, jak ślepi, którym nagle wzrok przywrócono. Dzieło to moje pozdejmuje im łuski z oczu, ukaże co uczynić oni mogą, a nie czynią, jakie słońca nad nimi świecą i jak leniwie a opornie oni się ku nim wspinają. Dzieło to moje będzie zwiastunem nowéj ery świata...

Obecni zatrzymali łyżki swe pomiędzy misą a ustami. Pierwszy raz w życiu widzieli na żywe oczy człowieka, piszącego książki.

— Pan podróżny jest autorem,—w kształcie objaśnienia, i wzrokiem tocząc po wszystkich twarzach, rzekł Łukasz. Otóż to pan uczonym być musisz! Pewno, jakich z tysiąc książek sam przeczytałeś...

— Czytałem! czytałem wiele w młodości mojéj,—zaczął Kępa,—ale teraz czytam już tylko we własném sercu i przepisuję to, co w niém napisano.

— Oto serce! o to złote serce! które człowieka takim rozumnym robi, że i książki pisać on potrafi!—z emfazą zawołał Łukasz i wnet dodał;—ale czemuż to pan podróżny nie je i łyżkę już położył? czy kluski nie smakują?

— Owszem, owszem,—pośpiesznie odpowiedział gość,—zanadto są smaczne, abym miał prawo jeść ich dużo! Od najwcześniejszego dzieciństwa postanowiłem sobie nie dawać woli łakomstwu i pożądliwościom ciała. Kiedy mi co smakowało bardzo, nie jadłem wcale, albo mało jadłem, a głód zaspakajałem byle czém... Zresztą, dzięki wam ludzie gościnni, głodny już nie jestem...

Że był jeszcze głodnym, świadczyły o tém mimowolne spojrzenia, które rzucał na misę i nad któremi zapanować nie mógł; świadczył też o tém kawał razowego chleba, który posypywał solą i ze smakiem zjadał. Łukasz zaledwie mógł wierzyć uszom swoim.

— Nie jeść smacznéj strawy, kiedy jest, ej!—z przeproszeniem pana podróżnego,—to wielkie głupstwo. Raz dla tego, że nie zawsze ona jest, więc trzeba korzystać; powtóre:

Oj, głęboka to mogiła,
W któréj leży ludzi siła;
Gdy w nią legniesz grzeszny człecze,
Strawa z misy ci uciecze...

— Cha, cha, cha, cha!—zakończył śmiechem a po chwili dodał:—niechże pan piwka przynajmniéj łyknie po suchym chlebie.

Kępa odmówił.

— Nigdym,—rzekł,—żadnego trunku w usta nie brał. Dotychczasowe podziwienie i uszanowanie Łukasza zdawało się zmieniać w ironią.

— No, no!—rzekł,—żeby z panem nie było tylko tak, jak z tym jakimś, który skąpił, głód cierpiał, umartwiał się, a kiedy umarł, na pomniku mu napisali: nie najadłeś się, nie napiłeś się, jeżeli w niebie nie będziesz, otóż srodze okpiłeś się! cha, cha, cha, cha!

Kępa nie odpowiadał. Odkąd wspomniał o dziele swojém, wpadł w głęboką zadumę. Nagle jednak obudził się, powiódł wzrokiem dokoła i zawołał:

— Czémże ja wam, dobrzy ludzie, zapłacę za gościnne przyjęcie wasze, za miejsce przy waszym stole, za chléb i za sól. Skrzywdziłbym was, gdybym, w zamian tych darów serdecznych, dawał wam lichy pieniądz, którego pewnie nie pożądacie...

— Oj! oj! i jak jeszcze pożądamy!— półgłosem sarknęła przy piecu Anastazya, ale Kępa odezwania się tego nie słyszał. Wstał i wziął z zydla długą skrzynię, którą był przyniósł w ramionach.

— Wywdzięczę się wam czém mogę i jak umiém,—rzekł; uniosę na chwilę duchy wasze w wyższe sfery, wzmocnię je szlachetném wzruszeniem...

Zdjął ze skrzyni płótno i cératę, otworzył ją i wyjął z niéj, skrzypce. Obecni wydali okrzyk zdziwienia i uradowania. Tak jak piękne frazesy, lubili téż oni muzykę.

— Oho! — zawołał ktoś, — i książki pisze i grać umié!

— I stare obuwie naprawiać,—żartobliwie dodał Kępa;— rzemiosła tego nauczyłem się, w dzieciństwie jeszcze, od ojca, który za młodu był dobrym szewcem, ale potém nie

powiodło mu się jakoś, i ot samo tylko stare obuwie do naprawiania mu dawali.... Jestem dzieckiem ludu, bracia moi. Wiecie już, kim był mój ojciec. Matka zaś żyje jeszcze i na Zielonym rynku warzywo i bułki sprzedaje.... przekupką jest....

— Na Zielonym rynku,—zawołali obecni,—pan tedy rodem z naszego miasta!

— A z waszego, drodzy moi, z waszego! tylko, żem tu od bardzo dawna nie był....

Pociągnął smyczkiem po strunach i nastrajał je przez chwilę. Siedzący dokoła stołu ludzie, oddech nieledwie powstrzymywali w piersiach; Anastazya nawet stanęła pod piecem ze skrzyżowanemi rękami, w postaci oczekiwania pełnéj.

Kępa grać zaczął. Zrazu uderzył silnie w struny i wywołał z nich tłum tonów, pół wesołych, pół smętnych, które przez czas jakiś zdawały się wirować w chaosie i nieporządku, z płaczem i śmiechem zbiegać się ku sobie, łączyć się, to odtrącać naprzemian, aż nakoniec, szeregiem niby wyciągnąwszy się w długim i hucznym passażu, związały się w jeden wielki, pełen rozgłośny akord. Z akordu tego dopiéro, niby nić z kłębka, wysnuła się melodya dziwna. Z początku byłto walc tylko, jeden z tych utworów muzycznych, które, w epokach pewnych, brzmią po świecie całym od góry do dołu, od sklepień wspaniałych sal koncertowych do błotnistego podwórza, napełnionego skrzypiącemi dźwiękami ulicznéj katarynki. Wkrótce jednak, znana powszechnie melodya ta ustąpiła przed improwizacyą grającego, improwizacyą rozpaczliwą, a zarazém usianą tu i owdzie uśmiechami ekstatycznéj radości, namiętną aż do szału, to znowu rozlewającą się morzem sennych i łagod-

nych marzeń. Zgrzyty ponuréj żałości łączyły się tam z westchnieniami bezbrzeżnéj jakiéjś nadziei, burze szumiały i lały się łzy, wykrzyki i jęki topniały w przyciszone miłośne szepty. Nie była to gra prawidłowa, ani czysta zupełnie, ani mistrzowska. Audytoryum, złożone z wybrednych znawców, nie zostałoby przez nią zachwyconém bezwarunkowo i trwale; jednak przypuszczać można, że, na chwilę przynajmniéj, mogłaby je ona porwać i unieść. Była to gra genialnego samouka, bezładna, lecz porywająca, gra szaleńca, który dla tego tylko może mistrzem nie został. że był szaleńcem. Słuchacze, zebrani w izbie cmentarnego stróża, nieruchomo poschylali twarze swe, gęsto obrosłe, lub blade i wychudłe, nad stołem, okrytym okruchami chleba i rozlaném tu i owdzie piwem. Na stole stała jeszcze misa wypróżniona, leżały w nieładzie drewniane łyżki i dopalała się, w wielką brukiew oprawiona, łojówka. Daléj, w czerwonawem oświetleniu dogorywającego ogniska, na tle żółtawego pieca, zarysowywała się gruba i ciężka postać zasłuchanéj Anastazyi; daléj jeszcze, po za niziutkiemi otwartemi drzwiami, w sąsiednéj izbie migotała, jak blada iskra, lampka, przed świętym obrazem płonąca; z ciemnego zaś kąta, z tego samego kąta, w którym przed kilku laty, w pokorze i trwodze, stanęła była, wchodząc tu. matka Sylwka, płynęła, porywając, a nieprzerwana, w wiekuisty zda się strumień tonów przemieniona, muzyka.

Kępa grał bardzo długo, nakoniec jednak grać przestał. Urwał w połowie taktu, opuścił w dół ramię ze smyczkiem i stęknął ze zmęczenia. Upłynęło kilkanaście sekund, a nikt z obecnych nie wymówił ani jednego słowa i nie uczynił najlżejszego poruszenia. Wszyscy pozostali w postawach uprzednich, jak skamieniali. Cisza zapanowała w izbie,

niezupełna jednak; pośród niej bowiem słychać było jakieś, tłumione ciągle, głębokie szlochanie. Po chwili, szlochanie to przebiło się do przepojonego jeszcze muzyką, słuchu obecnych. Spojrzeli po sobie, obejrzeli się dokoła siebie. Dwie pary oczów, Anastazyi i bladego Antośka, zwilżone były łzami. Nie szlochali jednak. Szlochanie to odzéwało się kędyś z dołu, czyniło takie wrażenie, jakby odgłos jego wychodził z pod ziemi.

— Wszelki duch pana Boga chwali!—niosąc rękę do czoła, szepnęła Anastazya.

— Zgiń maro, przepadnij!—spluwając, wykrzyknął Łukasz. Pan podróżny umarłych chyba muzyką swoją obudziłeś.... ot, z mogiłek, podziemnym jakimś korytarzem, pod izbę moję podleźli i.... płaczą!...

— Kto płacze?—zawołał Kępa, który, w téj chwili dopiéro, zbudził się z ekstazy i usłyszał to, czemu inni przysłuchiwali się już od minuty. Kto tam płacze?—powtórzył i poskoczył w stronę, z któréj dochodziły nietylko nie ustające, lecz owszem coraz wzmagające się łkania. Odsunął ławę, odepchnął stół, pochylił się, a gdy wyprostował się, w ramionach jego obecni ujrzeli płaczącego Sylwka. Dziecię, skurczone w kątku, pomiędzy ścianą a zydlem, przysłuchiwało się ciekawie rozmowom, prowadzonym przy wieczerzy; kiedy Kępa grać zaczął, oczy jego zaiskrzyły się i błyszczały przez chwilę w cieniu, jak dwie ponure iskry, potém łzy jak groch spadać zaczęli z długich rzęs jego na ciemne i chude policzki, aż, nakoniec, zniknął on z kątka swego, wsunął się pod stół, przy którym siedzieli biesiadnicy, i tam płakał. Pochwycony i wydobyty na światło, jak wąż wił się w ramionach Kępy, usiłując się z nich wydobyć, a obu drobnemi, ciemnemi dłońmi zakrywał twarz gorącą i spłakaną.

— Patrzcie państwo!—wołała Anastazya.—to łotrzyk ten płakał tam pod stołem! Poczekaj! dam ja ci zaraz za te beki! Wzięłam cię do chaty na to, żebyś mi czasem świat boży rozweselił....

— Nie dałaś mu klusek, Nastasiu.—zauważył Łukasz,— tegoż pewnie i płakał.

Kępa całował dziecko i przyciskał je do piersi.

— Nie!—zawołał,—mylicie cię, panie gospodarzu! dziecię to nie z łakomstwa płakało, ale ze wzruszenia. Gra moja poruszyła w dziecięcéj piersi jego jakieś struny tkliwości, żalu, czy przeczucia. Dźwięki muzyki przyniosły mu może przed oczy jakieś podniebieskie, czarowne obrazy, może, niewyraźną mową jakąś, opowiedziały mu przyszłe jego cierpienia i męki... Rozumiem to, bom w latach dziecinnych doświadczał uczuć i wzruszeń podobnych... Widocznie natura dziecka tego podobną jest do mojéj. Jest to natura ognista, głęboka... wybrana!

Usiadł na ławie, Sylwka posadził na swych kolanach i łagodnie odjął mu dłonie od twarzy.

— Jakie prześliczne rysy!—zawołał. Co za prawidłowość linij! jakie bogactwo karnacyi! Twarz ta dziwnie, dziwnie przypomina mi kogoś znanego... dwie, jakby znane, osoby... Matko! czy to wasze dziecko?

Z pytaniem tém zwrócił się do Anastazyi. Niecierpliwa ciekawość brzmiała mu w głosie. Anastazya, jak zwykle bywało, gdy ktokolwiek pytał ją o pochodzenie Sylwka, wybuchnęła gniewem i skargami...

— Moje dziecko! czy to moje dziecko! Alboż Pan Bóg Wszechmogący dał mi radość tę i to szczęście! Bezdzietnam! Ot, przybłęda to, podrzutek! benkart! Wzięłam go od matki na hodowanie, na lat dwa, trzy... no, niech kilka...

Płacić mi miała... przyrzekała, przysięgała, po rękach całowała... Zlitowałam się nad tą niegodziwą... wzięłam... poszła—i tyle już ją widziałam... Na oczy moje już ją nie widziałam... Zginęła, jakby w wodę wpadła... Cóż? na dwór dziecka nie wyrzuciłam, na ulicę nie wygnałam... hoduję, karmię, przyodziewam... a pociechy z tego żadnéj nie mam. Ponure to, krnąbrne, chaty nie lubi, po cmentarzu wciąż się włóczy i... kradnie!

Mówiła dłużéj jeszcze, długo bardzo, podnosząc wciąż głos, chrypiąc i ciężko dysząc. Jedno i to samo powtarzała po wiele razy. Złorzeczyła przedewszystkiém matce, która jéj dziecko swe na kark rzuciła, a sama jak poszła, tak poszła.

— I co z nim będzie?—zakończyła;—my z Łukaszem nie długowieczni, edukować go nie mamy za co, ani téż wiemy jak... Zamrzemy, i co potém? pójdzie to na włóczęgę po świecie i jeszcze, nie daj Boże, złoczyńcą jakim zostanie... Ot! nieszczęsne stworzenie i dość!

Ostatnie wyrazy wymówiła znacznie już łagodniéj, odwróciwszy się twarzą do ognia, smutnie głową wstrząsała.

Sylwek nie zakrywał już twarzy dłońmi. Oschłemi już i szeroko otwartemi oczami wpatrywał się w Anastazyą i widać było, że mowy jéj słuchał, słuchał, słuchał, z wielkiem natężeniem wszelkich swych władz umysłowych. Nieruchome źrenice jego pełne były jakiéjś mętnéj, głębokiéj zadumy.

Kępa słuchał téż mowy Anastazyi, ale z roztargnieniem widoczném. Wpatrywał się wciąż w twarz Sylwka i zcicha mówił do siebie:

— Dziwne podobieństwo! dziwne, dziwne...

Potém, z nagłém uniesieniem i ze łzami, które mu do oczu nabiegły, całować począł usta, czoło i policzki dziecka.

— A!—szepnął po chwili, wstając, — wspomnienie... mara przeszłości... senne marzenie...

Dokoła stołu, goście poruszać się zaczęli. Powstał gwar podziękowań i pożegnań. Wszyscy z kolei podchodzili do Kępy i podawali mu ręce, dziękując za piękną rozmowę, muzykę i honor...

— Honor! — podchwycił Kępa,— o, żaden, żaden honor! Wyrazem tym, bracia moi, nie kalajcie sobie zacnych ust waszych! używają go ludzie próżni i pyszni... o! znałem takiego, który, za honor niby kobiety jednéj, na śmierć się wystawiał, a drugą kobiétę zgubił i zdeptał... Jam brat wasz... równy wam, szczęśliwy jestem, żeście mię polubili, że jednę przynajmniéj chwilę waszego uczciwego i pracowitego życia uprzyjemnić wam mogłem...

Wyszli wszyscy. Łukasz zwrócił się do Kępy:

— Przenocujecie u nas, panie podróżny,—rzekł.

— Jeżeli pozwolicie, — odpowiedział.

— Tylko bo to..—zaczęła Anastazya,—gdzież pan nocować będzie? Chyba my z Łukaszem tu na zydlach, a pan...

— Za nic!—zawołał Kępa,—za nic, matko! nie przystanę na to, abyście dla mnie zwykłe miejsca spoczynku waszego opuszczali. Prześpię się tu na zydlu, albo na ziemi... i pościeli mi nie dawajcie żadnéj; pod głowę sobie tłómok mój podłożę, a przykryję się swoim kożuszkiem...

Anastazya jednak przyniosła mu mizerną poduszkę jakąś i kawał staréj, sukiennéj siermięgi. W krótce potém, w domostwie cmentarnego stróża cicho było i ciemno. Lampka tylko, dniem i nocą płonąca przed świętym obrazem, migotała blado w izdebce, w któréj rozlegało się głośne chrapanie Łukasza i odzywał się, od czasu do czasu, ciężki kaszel Anastazyi. Kępa nie spał. W połowie nocy wstał

z zydla, cicho bardzo zbliżył się do pieca, u stóp którego położył się do snu Sylwek. Potarł o piec zapałkę. Migotliwy płomyk oświetlał przez chwilę dziecko, śpiące na garści chrustu rozsypanego i przykrytego szarym płóciennym workiem, z twarzą rozognioną i ku sufitowi zwróconą, z nagiemi ramiony, zarzuconemi nad zczochraną gęstwiną czarnych włosów. Zapałka zgasła. Wzburzona twarz śpiącego dziecka i nędzna pościel jego, wraz ze wznoszącym się nad nią żółtym piecem, pogrążyła się w ciemności. Kępa rzekł cicho do siebie:

— Byłożby to jéj dziecko? Miałżebym trafić na jéj ślad?

Dniało zaledwie, gdy podróżny stał znowu nad uśpionym Sylwkiem. W starém murowaném domóstwie zrobiło się przez noc bardzo zimno. Sylwek spał w postawie skurczonéj i zziębłéj. W białém świtaniu zimowego dnia, na szmacie szarego płótna, z pod któréj wysuwały się suche gałęzie chrustu, miał on pozór małego, cierpiącego nędzarza.

Z żywością wielką Kępa zwrócił się do Anastazyi, która, poziewając i kaszląc naprzemian, w nocnym czepcu na siwych włosach, wchodziła do izby:

— Matko!—rzekł przytłumionym, błagającym głosem,— powiedzcie mi: kim była matka tego dziecka? jakim sposobem poznaliście ją? ile od czasu tego lat upłynęło?

Pytaniami temi zaskoczona Anastazya, gniewnie i patrząc na gościa, rzuciła się ku piecowi. Zrana bywała zwykle w najgorszym humorze.

— A, dajcie mi pokój i z bębnem tym i z jego matką!— krzyknęła. Ot, sen okropny miałam! ostrzeżenie boskie, czy co? Zdaje się, jakbyśmy z Łukaszem na wschodach kościelnych siedzieli i żebrali, a Jeżewicz z żonką swoją szli koło

nas i śmieli się... i wydrwiwali... O, nie daj mi Panie Boże Wszechmogący, godziny téj doczekać!...

Cała postać jéj, wielka, ciężka, a chorobliwą niedołężnością napiętnowana, wstrząsnęła się od zgrozy.

— Uf!—stęknęła,—w chacie, jakby w mogile! zimno!— Bosą nogą potrąciła śpiącego Sylwka.

— Wstawaj no! dość wysypiać się! Tamten leniwiec śpi, (tu wskazała na przyległą izdebkę, w któréj rozlegało się chrapanie Łukasza), dobudzić się go nie mogłam! i ten mi tu jeszcze pod nogami spać będzie. Wstań no mi zaraz i drew nanoś, a wody dzbanem z sieni... jak codzień! słyszysz?

Chłopiec zerwał się z posłania, przetarł oczy, worek, na którym spał, za piec rzucił i wybiegł do sieni. Anastazya chrust zebrała z podłogi, wrzuciła go do pieca i rozniecila ogień.

Izbę napełniało białe, zimne światło, bijące od śniegów, leżących dokoła domostwa. Ogień, rozniecony w piecu, iskrzył się i huczał; przed nim Anastazya wygrzewała wielkie, żółte, od zimna skostniałe, swe ręce, a Sylwek, w płóciennych spodeńkach, rozpadających się w szmaty, i spencerku bez rękawów, chodził wciąż od drzwi do pieca i z powrotém, przynosząc drwa i wodę. Za każdym razem, gdy otwierał drzwi od sieni, po izbie rozlewał się strumień mroźnego powietrza, a namarzłe zawiasy skrzypiały i zgrzytały.

Kępa siedział na zydlu, z czołem ukrytém w dłoniach. Od czasu do czasu podnosił twarz i ścigał wzrokiem chodzącego po izbie chłopca. Po chwili, gdy Anastazya usiadła na ziemi pod piecem i poczęła nożem oskrobywać z łupin kartofle, odezwał się:

— O, matko kochana, wy nie wiecie, jakie wspomnienia obudziły we mnie rysy dziecka tego... i jakie żale... jakie

grzeszne, ale, Bóg widzi, niezwalczone gniewy czuję w piersi mojéj, gdy na dziecię to patrzę. Tak, matko, gniew wszelki, nienawiść wszelką, uważam za grzech, upadek, przeniewierzenie się względem ideału dobroci i miłości, do którego dążę, któremu życie moje całe poświęcić postanowiłem. Cóż, kiedy nie mogę! Bóg świadkiem moim, że nie mogę zapomnieć... ani przebaczyć...

Obie swe długie blade ręce zanurzył w jasnych swych, jak len miękkich, włosach, i ze wzrokiem, posępnie wbitym w ziemię, mówił daléj:

— Myślałem, że jest on lepszym od wielu, równych mu, w tem, co oni nazywają urodzeniem i stanowiskiem, w świecie... Gdy wezwał mię, gdym go poznał, pokochałem go szczerze, gorąco, jak dziecko nie podejrzewające zdrady... Piękny, kochający sztukę... mistrz w sztuce!... gdy dotykał klawiszów fortepianu, myślałem, że gra po mojem sercu! Kocha się téż w malarstwie... dom jego, to świątynia piękna... mówił téż, że kocha ludzi...

Zaśmiał się gorzko i, po chwili, przerwane opowiadanie swe dokończył:

— Chciał oświecać lud... szukał nauczycieli wiejskich... dowiedziałem się o tém... stanąłem u jego boku... trzy lata, trzy najszczęśliwsze lata mego życia przeżyłem tam, pracując, marząc i łudząc się... O czemże marzyłem, wielki Boże! aby mi to danem być nie mogło! Pragnąłem w tym białym domku, który mi był świątynią pracy, w którym z ust moich w umysły maluczkich lały się strumienie światła, zamieszkać z nią... z nią, która była córką ludu, tak jak ja jestem synem jego, mistrzem i przywódzcą. Chciałem téż mieć moję cząstkę szczęścia... on wiedział o tém... lecz ja nic nie widziałem... przez trzy lata nie widziałem nic...

byłem ślepy... Nagle przejrzałem i, czy uwierzycie matko! przebaczyłem. Tak, przebaczyłem. Stanąłem przed nim i powiedziałem: pojmij ją za żonę i uczyń ją szczęśliwą! ja... oddalę się. Nie ma na świecie nic takiego, czegobym nie wyrzekł się i niedokonał dla szczęścia jéj i... twego... Wtedy, wiecie matko, jak on mi odpowiedział? Oto wybuchął śmiechem i... kazał mi wyjść za drzwi!

Podniósł twarz i wpatrzył się w Anastazyą wzrokiem, tak głęboko zdumionym, jakby wzywał ją na świadka niepojętéj jakiéjś katastrofy, albo błagał, ażeby rozjaśniła przed nim niezgłębioną jakąś tajemnicę. Anastazya od kilku chwil już przerwała robotę swą i, z nożem w jednéj ręce, a kartoflem w drugiej, wsłuchiwała się ciekawie w bezładne opowiadanie Kępy.

— Znaczy to,—ozwała się po chwili,—że umiłowałeś pan płochą dziewczynę, która wolała bogatego pana... Jakże ona wygląda? co?

— Była prześliczną,—matko. Wysoka, hoża, włosy miała, jak heban czarne, i czarne ogromne oczy, a cerę ciemną, cygańską... To dziecko ma jéj oczy i jéj cerę...

Anastazya z ciężkością podniosła się z ziemi.

— Sylwek!—zawołała,—obieraj kartofle!

Wyszła do przyległéj izdebki, gdzie słychać było, że otwierała skrzynię, a po chwili wróciła, niosąc arkusz papiéru, starannie w płócienną szmatę owinięty.

— Może to i ta sama... kto ją wié?—rzekła. Przeczytaj to Pan sobie... tam jest imię jéj i nazwisko...

Kępa pochwycił papiér, a rozwinąwszy go i rzuciwszy nań szybkie wejrzenie, zapłonął cały gwałtownym rumieńcem, potém twarz ukrył w dłoniach i płakał cicho, nieruchomie, ale tak rzęsiście, że grube i gęste łzy przeciekały

mu przez palce. Od czasu do czasu, w bezdennéj jakby żałości, przechylał się z boku na bok i zcicha wymawiał: biedna! biedna! śliczna ty moja! różo ty moja! biedne ty moje dziecko skrzywdzone! zgubione!

W cichym, rzęsistym płaczu jego i stłumionym szepcie było tyle szczerego, namiętnego żalu, że Anastazya z poszanowaniem, czy może zmięszaniem, odeszła ku ognisku, a Sylwek przerwał robotę swoję i wpatrywał się w płaczącego człowieka ciekawemi i zamyślonemi oczami. Mętnie rozumiał, że szło tu o niego. Potém Kępa przestał płakać i zaczął gorączkowo rozpytywać się Anastazyi: ile lat temu ona tu była? jak wyglądała? co mówiła? dokąd się udała? co czynić zamierzała?

Anastazya skąpych tylko udzielić mogła odpowiedzi. Sama wiedziała niewiele.

— W służbę iść miała i poszła pewnie, a co z nią stało się potém, alboż ja wiem? Całe miasto strzęsłam i ani śladu jéj nie znalazłam. Umarła może, albo zmarnowała się, albo i za mąż dobrze poszła, to wstydu swego przed mężem i ludźmi pokazywać nie chce...

Kępa zawołał do siebie Sylwka, wziął go na kolana, całował mu twarz i oczy i rozczochrane włosy drżącą ręką gładził. Anastazya nie wzbraniała mu tych pieszczot. Zbliżyła się w zamyśleniu i ze wzrokiem, iskrzącym się ciekawością, zapytała zcicha: cóż? bogaty on? bardzo bogaty?

— Bardzo bogaty,—stłumionym głosem odparł Kępa;—majątki ma rozległe, lasy ogromne, pałacyk pełen książek, obrazów, źwierciadeł... raj, mówię wam, matko, raj ziemski; a on sam, w raju tym, jak bożek, wysoki, piękny i z taką szlachetną, wspaniałą postawą... Cerę twarzy ma téż smugłą,

ale ręce białe i takie, jakby je mistrz jaki wyrzeźbił... Patrzcie, matko, dziecię to ma rękę ojcowską...

Wskazywał Anastazyi drobną rękę dziecka, która istotnie, pomimo że słońce ją opaliło, a oszpeciły ślady oparzenia i przymrożenia, dziwnie była kształtną i delikatną.

Anastazya wstrząsała głową wpółgniewnie, wpółszyderczo.

— Znaczy to,—rzekła w zamyśleniu,—że ojczulek używa sobie wszystkich zbytków i rozkoszy, a nam, ubogim ludziom, dziecko swoje na kark zwalił...

Kępa, nagłym ruchem, zsunął dziecię z kolan swych i obu dłońmi pochwycił się za głowę.

— O Boże!—zawołał,—wyrzuć ty mi z serca gniew ten i tę nienawiść! O! Boże! daj mi siłę do walki z tym jadem!...

Walka istotnie, walka namiętna malowała się na twarzy człowieka tego, któréj zwykłym wyrazem była miękkość niewieścia prawie i dziecięca słodycz. Teraz, ze wzrokiem ponurym a rozognionym, trzęsącemi się usty szeptać on zaczął:

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... O! wzniosła modlitwo, wryj się ty aż do dna istoty mojéj... O! przebaczenie! tyś nierozłączne jest z miłością... ja, sługa i apostoł miłości, przebaczyć powinienem! przebaczyć! przebaczyć!...

Nagle opadł na ławę, zmęczony, zdyszany. Otarł dłonią pot, który mu wystąpił na czoło, i stłumionym głosem wymówił:

— Nie mogę! nie mogę zapomnieć, nie mogę przebaczyć! Nienawidzę go za nią, za siebie, za tę niewinną istotę... nienawidzę go za to, że on piérwszy wlał we mnie ten jad

występny, pokalał mego ducha, sprawił to, że nie mogę już powiedzieć o sobie: jestem doskonały!...

Z ciemnym ogniem w turkusowych źrenicach i jadowitym uśmiechem wijącym się po zwiędłych wargach, pociągnął znowu ku sobie Sylwka i, obejmując go ramieniem, nad samą twarzą jego szeptać zaczął:

— Słuchaj mię, moje dziecko, i zapamiętaj, dobrze zapamiętaj to, co ci powiem. Jesteś skrzywdzony srogo, strasznie skrzywdzony przez jednego z tych, którzy mieszkają tam... wysoko... To ubogie, zimne domostwo, w którém wyhodowałeś się, te łachmany, które cię okrywają, to grube i niedostateczne jadło, które spożywasz, nie są tém, co ci się od świata i ludzi należy. To wszystko przedstawia tylko krzywdę twoję; słyszysz? domostwo to, łachmany te i te rany, które masz na rękach, i te sińce, które od uderzeń czyichś nosisz na plecach, wszystkie smutki i tęsknoty, które kiedy uczujesz, i nawet grzechy, które popełnisz... to krzywda twoja! nic więcéj, tylko krzywda twoja! Miejsce zaś przynależne ci na świecie, to śliczny pałac ciepły, jasny, pełen rzeczy cudownéj piękności, pełen pieszczot, pocałunków, zabawek, przysmaków, szczęścia. Oto, co ci się na tym świecie należy... i z czego cię odarli. Powinieneś być panem... będziesz nędzarzem. Pamiętaj, że to wina jednego z tych, którzy mieszkają tam... wysoko... Nie mówię ci: przebacz! bo sam przebaczyć nie mogę. Ale nie mogę téż zemścić się, więc mówię ci: mścij się! mścicielem bądź krzywd swoich i wszystkich tobie podobnych. Ty i ja, różnemi drogami prowadzić będziemy ludzkość do doskonałości i szczęścia; ja — opowiadając miłość, ty — dokonywając pomsty. Pomsta twoja ugodzi kiedyś w sumienia ludzkie i obudzi je ze snu... Rośnij na to, abyś się pomścił!

Kiedy podniósł twarz, wypuścił z objęć swych Sylwka i powstał, wyraz twarzy jego był wpółobłąkany. Odwrócił się plecami ku izbie i przycisnął czoło do zamarzłéj szyby. Anastazya, która przemowie jego do Sylwka przysłuchiwała się pilnie, w połowie ją tylko dosłyszéć i zrozumieć mogąc, poczęła rzucać nań podejrzliwe nieco spojrzenia. Że trochę waryatem być musi! to pewno!—szeptała nad garnkiem, w którym warzyły się kartofle,—źle to jednakowoż, że łotrzykowi temu rzeczy takie gada! On już i bez tego włóczęga i na złodzieja kieruje się, a czasem tak jakoś patrzy, jakby mu, Panie odpuść, nieczysty, z głownią w zębach, w oczach siedział...

Do izby, poziewając i przeciągając się, wszedł Łukasz. Anastazya wnet mu z krzykiem wyrzucać zaczęła, że tak długo sypia i jéj w gospodarstwie nie dopomaga. Gromiony, odpowiadał łagodnie i, cienkim swym, ochrypłym głosikiem, dopominał się o śniadanie.

— Na! masz! pchaj w siebie, kiedyś taki głodny!—krzyknęła kobiéta ze stukiem stawiając na stole misę, na dnie któréj znajdowało się jeszcze trochę wczorajszych klusek. Łukasz chciwie pochwycił drewnianą łyżkę.

— A dobrze!—zawołał,—zjem, zjem sobie wczorajsze kluseczki! zimne to, zastygłe, stwardniałe, nie to już, co wczoraj było... ale... brzuch nie żwierciadło, co schwyci, to przepadło! cha, cha, cha, cha! Panie podróżny, prosimy na śniadanie! prosimy! kartofelki zaraz będą... świeże, gorące, słoninką oblane...

Kępa odwrócił się od okna.

— Dzień dobry—panie gospodarzu,—zaczął, dziękuję... jeść nie będę...

Uderzył dłonią w czoło.

— Na co ja mu to powiedziałem? na co ja to niewinne serce strułem... o! jakże jestem słaby i do zboczenia z drogi méj skory...

Doświadczał widocznie srogich wyrzutów sumienia.

— Jeżeli łaska wasza,—zaczął znowu po chwili,—wezmę kawałek chleba i posilę się nim w drodze... iść już muszę... czasu nie mam... dostałem posadę o dwadzieścia mil ztąd, we wsi dużéj i ludnéj... pole do działania obszerne czekają tam na mnie ci, których oświecać, doskonalić i do szczęścia prowadzić, jest mojém zadaniem. Bądźcie zdrowi ludzie zacni, pod których dachem spotkała mię ciężka boleść, sroga walka i upokarzający upadek... Bądźcie zdrowi!

— Co on plecie?—zcicha do żony szepnął Łukasz. Anastazya niecierpliwie wzruszyła ramionami. Kępa stał już przy progu, z tłómokiem na plecach i skrzynią, zawierającą skrzypce, w ramionach.

— Bądźcie zdrowi, przyjaciele moi.—powtórzył głosem, w którym brzmiało serdeczne ciepło, lecz wnet, z kaznodziéjską uroczystością, dodał: kochajcie się, dzielcie się dobrém waszém z biedniéjszymi od was, bądźcie gorliwymi siewcami przyszłéj doskonałości i przyszłego szczęścia ludzkości.

Kiedy wyszedł i drzwi zamknęły się za nim, Łukasz przyłożył sobie wskazujący palec do czoła i, wpół żałośne, wpół drwiące, spojrzenie zwrócił na żonę.

— Aha!—potwierdzająco odpowiedziała Anastazya.

— Szkoda!—dodał Łukasz,—bo i uczony i gra ślicznie i śliczne rzeczy przepowiada! Oj, żeby to już prędzéj maszyny zaczęły wszystko robić za ludzi, a świat przemienił się w rajski ogród. Chodź sobie tylko wtedy po gładkich ścieżkach, jabłka rwij i do gęby?... Niewiem tylko, czy to,

w ogrodzie tym, i kluski ze słoniną i zrazy zawijane, tak sobie, same przez się, wyrastać także będą!

I zanucił:

— Przez Boga zesłana,
Śmierci ty kochana,
Dziéj się wola Twoja...
Pełną będzie misa moja.

— Zrazów zawijanych, klusek oblewanych i jadła wszelkiego, doskonałego, na pociechę i ukrzepienie człowieka grzesznego, którego ciężkie winy odpuść Panie Boże Wszechmogący, przez miłosierdzie swoje nieskończone i granic niemające. Amen.

Anastazya pochwyciła się nagle za głowę.

— Oj, głupia ja kobiéta!—jęczeć i krzyczeć zaczęła,—oj! nieszczęśliwa ja kobiéta! Oj! głowa moja biédna, skłopotana taka i stérana, że pamięć wszelką utraciła i rozumku, co mi Pan Bóg Wszechmocny dał, pozbyła się! Oj, biłabym się i biła i włosy bym sobie z głowy rwała, ot tak!

Zczerwieniała z gniewu, jak piwonia, ściskała w garściach trochę siwych włosów, z których zsunął się czepiec nocny, i niemiłosiernie targała je w obie strony. Łukasz, oswojony znać z podobnemi uniesieniami żony, rzucał na nią wpółtrwożliwe, wpółfiluterne spojrzenia i spokojnie przeżuwał jadło.

— Albo co Nastasiu?—wybełkotał nakoniec,—czego ty sobie, duszko, życie trujesz? Co dziś, to...

Dalszy ciąg, nieśmiałych i niezrozumiale wypowiadanych, pytań i uwag jego zagłuszył wrzask Anastazyi, która, śród gradu wyrzekań i złorzeczeń, wyrzucała sobie, że niedowiedziała się od porożnego: kim był i gdzie mieszkał ojciec Sylwka. Mówiła, a raczéj krzyczała, że byłby on wyna-

grodził im za hodowanie dziecka, a może... możeby téż chłopcu edukacyą jaką dał, a przez to szczęście mu zapewnił. Teraz, przez głupotę i nieprzytomność swoję, pozbawiła się sprawiedliwego wynagrodzenia, kto wie? łaskawego może chleba do śmierci, we dworze bogatego pana, a dziecku zamknęła drogę do szczęścia doczesnego i wiecznego zbawienia, za co, na tamtym świecie, przenosić jéj przyjdzie najpewniéj męki czyścowe. Głos jéj, z rozjątrzonego i srodze gniewnego, przeszedł w płaczliwe zawodzenia; przestała targać siwe włosy, zaczęła, w zamian, ściśniętemi pięściami pokutniczo uderzać się w piersi, aż, nakoniec, zalała się rzęsistemi łzami i bez tchu padła na zydel.

Łukasz, wyrozumiawszy przyczynę krzyków jéj i lamentów, wzgardliwe ręką machnął.

— Ej! rzekł z flegmą, kpij sobie z tego, Nastasiu! Czy wiesz jak ten pan nazywa się i gdzie mieszka albo niewiesz, to wszystko jedno, bo gdybyś wiedziała i do niego udała się, toby cię jeszcze lokajom swoim wypędzić ze dworu kazał. Albo on wie? albo on pamięta? alboby uwierzył? Albo to jeszcze prawda co tamten gadał? A jeżeli i prawda, mało to takich prawd włóczy się po świecie? Ktoby im tam wszystkim nadawał się edukcyi Ho, ho! znam ja te rzeczy, znam jak swoje dziesięć palców! Lokajem za młodu byłem, a potém świat cały zwędrowałem. Od końca do końca świata dzieje się tak nie zaś inaczéj. Z matki grzesznéj człowiek śmiertelny zrodzon jest, grzechy téż rodzić musi. Krótki dzionek życia jego na téj ziemi, napełniać go téż radościami i przyjemnościami żąda. Do królestwa niebieskiego droga daleka i przez czyściec wiodąca, od mąk czyścowych i długiego w nich przebywania racz nas zbawić Panie, Amen.

Przemowy męża Anastazya słuchała z coraz większą uwagą i uspakajała się stopniowo. Respekt jéj dla rozumu i wymowy Łukasza był tak wielkim, że hamował częstokroć najsroższe wybuchy złości jéj lub żalu. Przypomniała sobie o krupniku i uczuła głód. W kwadrans potém z jednéj misy jedząc z mężem śniadanie, półgłosem i oglądając się na Sylwka, opowiadała o całéj porannéj scenie z podróżnym.

— Jednakowoż,—zauważyła,—niedobrze to, że on mu rzeczy takie gadał... o skrzywdzeniu tém niby i o pomście. Niech Bóg najwyższy sam mści się... dziecku grzeszne myśli przychodzić mogą do głowy.

— E!—machnął ręką Łukasz,—albo to zrozumiało? Jednem uchem weszło mu, drugim wyszło! Małe to i głupie!

Małym był istotnie, bo ośm lat miał podówczas, ale głupim nie był wcale. Podziwiany przez Anastazyą i mieszkańców ubogiego przedmieścia, rozum Łukasza, nie posiadał najmniejszéj możności wnikania w małą głowę dziecinną i spostrzegania bujnie w niéj kiełkujących zarodów myśli. W dniu, który nastąpił po odejściu Kępy, Sylwek wyglądał tak, jakby go kto upoił. Dopomagając Anastazyi w gospodarskich jéj zajęciach, chodził po domostwie krokiem nie pewnym i z osłupiałym wzrokiem. Rozlewał wodę z dzbana, upuszczał z rąk naczynia, które mu myć kazano; okrutnie sparzywszy sobie rękę głownią, wydobywaną z pieca, ani jęknął, tylko, wpatrując się w ranę i zwolna dmuchając na nią, groźnie brwi ściągał. Nakoniec, gdy zajęcia około gotowania i sprzątania żywności skończone zostały, Anastazya w olbrzymich okularach na nosie zajęła się w sąsiedniéj izdebce cérowaniem pończoch i bielizny, a Łukasz powlókł się do miasta; Sylwek, zamiast jak zwykle

w téj porże dnia bywało, biedz na cmentarz, usiadł na ziemi, w najciemniejszym kącie izby, brodę oparł na ściśniętych pięściach i myślał. Pod wieczór, Anastazya, z czołem opuszczoném na rozrzucone po stole szmaty płótna, zasnęła; w domóstwie zapanowała grobowa cisza, przerywana niekiedy frunięciem skrzydeł przelatującego za oknami wróbla, albo stuknięciem w szyby wpółzmarzłego dzięcioła. Lecz i wtedy jeszcze, gdy zmrok, od leżących dokoła śniegów, przezroczysty napełnił izbę, pomiędzy wielkim, żółtym piecem, a zielonawym pasem pleśni, obiegającéj dół brudno-białéj ściany, nizko przy ziemi szarzała i pałającemi oczami błyskała skurczona i nieruchoma postać dziecięca. W psychicznéj istocie Sylwka odbywał się dnia tego akt niezmiernéj. w życiu każdego człowieka, wagi; akt, w którym, przed człowiekiem, poraz pierwszy, z grubych jakby mroków, wyłania się i, w porankowém niby świtaniu, staje świadomość położenia, w jakiém go los postawił, cierpień przenoszonych i ich źródła, żądz uczuwanych i ich przedmiotów. Pamięć miał wyborną, zapamiętał wszystko dokładnie. Słuch miał szczególnie wrażliwy, pochwycił téż nim dźwięki i nagięcia głosu, z jakiemi wyraz każdy był wymawianym. Wyobraźnia jego była żywą, z każdego więc prawie wymówionego słowa przed oczami jego wytworzył się obraz. O zmroku, w ciszy, w wielki kłąb zwite przypomnienia, zapytania i obrazy, rozwijały się w jedną, długą nić... po nici téj przesuwała się myśl dziecka, słaba zrazu, niby omackiem, śród ciemności, drogi szukająca, potém silniejsza coraz i coraz jaśniéj widząca wszystko, w sinych głębiach rozlewającego się przed nią świtu. Zrozumiał przyczynę srogich gniewów, których doświadczał często. Domyślił się, dowiedział się, że przyczynami temi były duszne i brzydkie

izby, z których uciekał we dnie i w nocy, odkąd tylko nauczył się chodzić i biegać, dni głodowe, których wiele już przeżył, pięści Anastazyi, których twardość i siłę zdawał się uczuwać na wszystkich swych drobnych członkach, śmiertelny chłód grobowców, będących najzwyklejszém jego posłaniem, i ten inny jeszcze chłód, niemniéj od tamtego mrożący i boleśny, z którego natury i teraz jeszcze sprawy sobie nie zdawał, lecz który jednak określał w ten sposób: „dobrego słowa nigdy nie dadzą... nie przytulą.“ I otóż, z kolei, rozwidniać się przed nim zaczęły przyczyny smutków, obudzanych w nim przez lecącą nad cmentarzem melodyą dzwonów miejskich, przez jakiś żałosny poświst wiatru, przez monotonny huk ognia w kominie, obudzonych wczoraj, z siłą nigdy przedtém nieznaną, przez muzykę podróżnego. Oprócz tego, myślał on jeszcze wtedy o różnych, bardzo pięknych, rzeczach; przed oczami jego mgły lekkie, takie jak te, które latem widywał na dalekich łąkach, zbiegały się zewsząd, gęstniały, rosły, aż wyrastały w domy, białe jak śnieg, takie wysokie, że dachem ich było błękitne niebo, a oknami gwiazdy; to znowu poranne obłoki spuszczały się ku niemu zwolna, podobne do puszystych złocistych kolebek, a wtedy słyszał on w powietrzu grania i śpiewy, niby echa ponurych pieśni tych, z któremi pogrzebowe orszaki tak często przybywały na cmentarz, niby nieskończenie urozmaicone przedłużenie srebrnéj piosenki, którą, w pobliskiéj chacie, najstarsza córka kowala usypiała małego brata. Teraz wiedział już, że płakał z żądzy mieszkania w takim białym domu, którego okna świeciły jak gwiazdy, rozciągnięcia się na takiéj puszystéj kołyszącéj się pościułce, słuchania takich srebrnych śpiewek, jakiemi usypiano dzieci kowala, albo jeszcze, jeszcze piękniejszych, tych, co przy-

grywały mu i dzwoniły kędyś w oddali, w powietrzu, czy pod niebem, czy w gałęziach drzew, śród których słońce zaciągało złote struny. Wiedział już, że płakał z żądzy widzenia uśmiechów ludzkich, do niego zwróconych, i posiadania pięknych, błyszczących bucików i skosztowania wielkich czerwonych jabłek... Czerwone jabłka wywołały mu przed wyobraźnią, zasłyszane wczoraj, opowiadanie podróżnego o polach, oblanych falującemi zbożami, niby złotém morzem, i stojących pośród nich białych domach. Dokoła domów było wiele, wiele drzew rozłożystych, osypanych jabłkami, niby czerwoną rosą. „Kto tam mieszka, w tych domach, i te jabłka je?“— zapytał siebie Sylwek, a w odpowiedź niby zaszumiał mu w uchu szept Kępy: „pamiętaj, że to wina jednego z tych, którzy tam mieszkają.“ Znaczyło to, że, gdyby nie jeden... z tych, onby tam mieszkał i te jabłka jadł. Natychmiast, z jakiegoś kątka umysłu jego wybiegło pytanie: „A kto on taki:.. ten?...“ Po chwili, zaciskając pięści, dodał: „Ten... co skrzywdził...“

I na tym wyrazie urwał się wątek myśli, utknęła wyobraźnia Sylwka. Kwadranse upływały. Nad światem zapadała noc. Do izby, cichéj i ciemnéj jak grób, przez szybę zbielałą od mrozu, wdarł się wązki promień wschodzącego księżyca, zaigrał na przegniłych ramach okna i, spłynąwszy po glinianéj pobłodze aż w samą głąb' izby, bladém światłem swém oblał dziecię, u stóp wielkiego pieca na ziemi siedzące. Plecami przyparty do spleśniałéj ściany, nagiem, brunatném ciałem świecący z za podartéj odzieży, ze zjeżoną we wsze strony gęstwiną czarnych włosów, Sylwek nieruchomą źrenicą patrzał w ciemność, głową wstrząsał na podobieństwo starców, wyrzekających na świat i losy, i szeptem, pełnym głębokiego przeświadczenia, powtarzał: krzywda! krzywda! krzywda!

III.

Krzywda, na którą, przed ciemnością nocy i światłem księżyca, wyrzekał Sylwek, objawiła się mu niebawem w daleko wyraźniejszéj, plastyczniejszéj niejako postaci, niż ta, w jakiéj ukazał mu ją był Kępa.

Miał lat ośm niespełna, kiedy poraz pierwszy odważył się pójść do miasta. Oddawna już ciągnęła go tam ciekawość, powstrzymywały zaś: trwoga i wstyd. Wielka ta masa, w przeróżne kształty połamana, w oświetleniu słoneczném, oślepiająco błyszcząca, bielą murów i połyskliwością metalów, pokrywających dachy i wieże, w chmurne dnie sina i mgłami owiana, w zmroku czarna, i rojem złotych oczu mrugająca, a wiecznie, dniem i nocą, w pogody i słoty, szumiąca i hucząca, dla wyobraźni dziecka, wnętrza jéj nieznającego, była czemś żywém i ruchomém, ponętném i zarazem straszném. Był to olbrzym, na którego zdala, nie śmiąć przybliżyć się, ciekawie i lękliwie spoglądało dziecię. Przytém, ilekroć Sylwek pomyślał o przybliżeniu się ku olbrzymowi temu, ogarniał go zawsze nieprzezwyciężony wstyd. Spoglądał na bose stopy swe, na kolana, których nagość wyglądała z za dziur odzieży, na strzępy płótna, opadające mu dokoła ramion, i wstydził się swych łachmanów. Wstyd ten przychodził mu nie od nauk ludzkich, których mu nikt nie udzielał, nie od pośmiewiska ludzkiego, którego z téj strony nie doświadczył. Podnosił się on z własnego jego wnętrza, ze spoczywających, w głębi istoty jego, instynktów dumy i wytworności, — instynktów, które, niby spuścizną jakąś, we krwi i mózgu przyniósł z sobą na świat. Raz jednak spotkał go wypadek, niepospolity w ży-

ciu jego, a wielce radosny. Anastazya, ze staréj watowanéj spódnicy swéj, uszyła mu, tak zwaną przez nią, algierkę,—algierkę, która, o radości niewymówna! nie miała ani jednéj dziury, a miała długie rękawy, tak długie, że chowały się w nich bez śladu nietylko ramiona, ale i ręce dziecka. Strój ten, którego wierzch połyskiwał od starości. a dół strzępił się wydobywającą się zewsząd watą, Anastazya szyła bardzo długo, przykrajając, sztukując, łamiąc sobie głowę nad spajaniem, różnych części materyału, takiem, aby wszystkie, znajdujące się na nim, plamy i dziury pominiętemi zostać mogły. Uszyła nakoniec. Przywoławszy dziecko, ubrała je w nową tę odzież, a na domiar łaskawości, przepasała algierkę czerwoną taśmą. Była dnia tego w dobrym humorze, (od kilku tygodni nie słyszała nic o Jeżewiczu, ani o jego żonie); ustroiwszy więc chłopca, uśmiechnęła się i wielką swą dłonią poklepała go po głowie.

— No,—rzekła,—teraz już nie będziesz siniał od zimna! Jeszczebym spódnicę tę sama nosić mogła, ale niech już tam! noś zdrów algierkę i niech ci mróz gołego ciała nie kąsa!...

Rzeczywiście, w nowym stroju swym, Sylwek nie był już nagim, oprócz nóg, które, od stóp aż do kolan, posiadały tylko parę strzępków płótna. Jednak jemu się wydało, że był wcale ładnie ubranym i gdyby tylko miał jeszcze buciki, jakiekolwiek buciki, czułby się zupełnie, idealnie szczęśliwym. W zamian, czerwona taśma, opasująca go, była czemś przecie! Jedna z przyczyn, oddalająca go dotąd od miasta, zniknęła. Nie wstydził się już; pozostała wprawdzie trwoga, którą jednak przemogła ciekawość. Poszedł. Nikt nie myślał zapytywać go: gdzie i po co szedł; nikt nawet nie spostrzegł jego odejścia. Anastazya zajętą była, niezmiernie dla niéj uciążliwem, praniem bielizny; Łukasz,

leżąc na wznak na tapczanie, pogrążył się cały w półgłośném sylabizowaniu staréj bardzo, bo w szmaty rozpadającéj się i w tłuszczu skąpanéj, książczyny, którą mu dnia poprzedzającego przyniósł Ambroży.

Był to dzień zimowy, bardzo mroźny, lecz bardzo pogodny. Mury miejskie były olśniewająco białe; na metalowych dachach płonęły ogniska, tryskające snopami różnobarwnych promieni; po śniegu, zaścielającym ziemię zawrotnie, igrały iskry; drzewa, tu i owdzie stojące przy domach i dokoła domów, wyglądały tak, jakby je kto misternie wyrzeźbił z marmuru i osypał deszczem brylantów. Cała prawie ludność miejska wypłynęła na ulice; środkiem latały niemal i dzwoniły sanie, bokami, sunął i szelestem kroków a przyciszonemi rozmowami, szumiał tłum pieszych. Sylwek, dosięgłszy ulic głównych, prześlizgiwał się pod ścianami domów tak, aby jak najmniéj zawadzać przechodniom. Takim to więc był olbrzym ten, który, zdala widziany, napełniał go dotąd bojaźnią i czcią! Był on zdumiewająco pięknym i po brzegi napełnionym ludźmi. Tylko ludźmi. Piękność przedmiotów, rzucających się mu zewsząd w oczy, wprawiła Sylwka w zdumienie zrazu, które jednak ustąpiło wnet przed zachwyceniem i szczególném jakby rozmarzeniem, do którego skłonność była jedną z podstawowych cech jego natury. Trwoga zniknęła też szybko w obec wstępującéj weń śmiałości i zupełnéj pewności siebie. Dopóki wnętrze miasta wyobraźnią tylko mógł widzieć, dopóki marzył o niém tylko dziwne a dziwne rzeczy, dopóty lękał się; teraz, gdy oko w oko spotkał się z rzeczywistością, bojaźń zniknęła bez śladu. Widocznie, śmiałość i odwaga były też składowemi częściami natury jego; drżał zaś przed tworami własnéj, ognistéj swéj wyobraźni.

Szedł, patrzał, dziwił się i zachwycał; czuł się szczęśliwym. Nagle stanął, szerzéj jeszcze, niż dotąd, roztworzył oczy i wydał z piersi coś nakształt okrzyku, czy przeciągłego jęku. Wszedł na plac miejski, zasadzony drzewami i będący zwykłém miejscem przechadzek i gier dziecinnych. Dzieci! Po raz piérwszy w życiu swém Sylwek zobaczył tyle naraz dzieci i to takich, jak te, które, w swawolnych zabawach, z krzykiem i śmiechem migotały przed oczami jego, jak rój motyli, igrających nad śniegiem. Dziewczynki były całe błękitne albo różowe, skakały przez sznury i same rozwijały się w sznur, albo zbiegały w wielkie, ruchliwe koła. Chłopcy rzucali piłki, dosiadali drewnianych koni, ślizgali się po szklistéj powierzchni śniegu, a promienie słońca odbijały się w bucikach ich błyszczących i u góry oszytych puszystém futrem. Sylwek stanął na ulicy, ramieniem oparł się o drzewo i patrzał. Dopóki szedł, było mu ciepło. Gdy stanął, uczuł chłód przeszywający. Algierka, jakkolwiek nowa, starą była istotnie, a nogi i stopy mróz tęgi i śnieg zamarznięty kąsać mu mógł bez najmniéjszéj już przeszkody. Ukąszenia te Sylwek uczuwał dotkliwie w całém ciele, lecz w nogach szczególniéj. Przytulił się mocniéj do drzewa, oblepionego szronem; obie ręce, ukryte w długich rękawach algierki, przycisnął do brody i, drżąc od stóp do głowy, patrzał. Po chwili patrzeć zaczął na jeden tylko przedmiot, a raczéj na jedną kategoryę przedmiotów, mianowicie na obuwie bawiących się na placu dzieci. Zbladły od chłodu, z drżącemi wargami, ścigał wzrokiem, uwijający się przed nim, rój drobnych i ruchliwych stopek dziecinnych. Im dłużéj przypatrywał się im, tém posępniejszy ogień rozpalał mu głębią czarnych źrenic. Podnosił wciąż jedną nogę i usiłował chować ją pod algierką; po chwili

to samo czynił z drugą, tak, że ciągle prawie stał na jednéj tylko nodze. Ciągle też patrzał na zgrabnie i ciepło obute nogi rówieśników. Żeby ich wszystkich djabli wzięli! szepnął. W téjże saméj chwili, w stronę jego biegła malutka dziewczynka, cała, od stóp do głowy, błękitna, w błękitnych nawet bucikach, oszytych futrem. Złośliwy, jadowity uśmiech przesunął się po zsiniałych wargach Sylwka. Wysunął z pod algierki czerwono-siną nogę swą i, przestawszy chwilę w wyczekującéj postawie, przycisnął nią, z całéj siły, przebiegającą przed nim malutką, błękitną nóżkę. Właścicielka nóżki wrzasnęła boleśnie i przeraźliwie i twarzą na śnieg upadła. Sylwek schował się za drzewo i zaśmiał się krótkim, ale złym śmiechem. Masz! warknął, ty... co w takich pięknych bucikach chodzisz...

Wymawiając te wyrazy, roziskrzone spojrzenie rzucił w górę, ku wyższym piętrom kamienic, plac otaczających, ku wielkim oknom, za któremi malowniczo zwieszały się firanki i, pomimo zimy, zieleniały gęste liście roślin, ku rzeźbionym gzemsom, obiegającym dokoła, wysokie, w słońcu gorejące, dachy. Tak mu jednak zimno było, że odejść musiał. Odszedł—i wszedł na ludną ulicę, lecz nie patrzył już, jak wprzódy, ani na wystawy sklepów, ani na przebiegające środkiem konie w barwistych siatkach i dzwoniącéj uprzęży, tylko niespokojném, gorączką rozpaloném, okiem wynajdywał, pośród przechodniów, drobne dziecinne postacie i wnet na ich obuwie spoglądał. Jedna wyłączna myśl, jedno wyłączne uczucie zapanowały nad nim. Nie wiedział, że to, pracujące w nim, uczucie było zawiścią; nie mniej jednak uczuwał zawiść, która wiła się mu, płakała i krzyczała w piersi, a pomiędzy drobnemi i śnieżnie białemi zębami jego, które od czasu do czasu dzwoniły z zim-

na, ozywała się zgrzytem i głuchém, źwierzęcém warczeniem.

O zmroku oświetliły się w ozdobnych kamienicach rzędy wielkich okien; z za niektórych z nich wybiegały w ulicę przytłumione dźwięki muzyki. U stóp wysokich murów, w białém świetle gazowych lamp, które zapłonęły nad brzegiem chodników, przesuwała się jeszcze czas jakiś drobna i ciemna postać Sylwka. Jakkolwiek zziębłym był i głodnym, nie mógł oderwać się od widoków, w których znajdował sprawdzenie najpiękniejszych swych marzeń. Przystawał chwilami i, podnosząc wzrok ku oświetlonym oknom i wyżéj jeszcze ku niebu, wymawiał: aha!... Znaczyło to, iż zobaczył nakoniec domy te białe, prześliczne, których dachem było niebo, a oknami gwiazdy. Zarazem, dokładniéj niż dotąd, zrozumiał znaczenie słów Kępy, opowiadającego mu o tych, którzy mieszkają... tam... wysoko!

Nakoniec opuścił miasto. W pierwszéj wędrówce téj nie zabłądził i nie zgubił drogi swéj ani razu. Wśród labiryntu ulic i uliczek oryentował się z łatwością, zdradzającą bystry wzrok i wielką roztropność. Kiedy przebywał drogę, przerzynającą grunta, które rozdzielały miasto od cmentarza, wyglądał zdaleka jak czarny, samotny punkcik, przesuwający się powoli przez mroczną i pustą przestrzeń. W połowie drogi téj, cisza i samotność pól ustępowała przed gwarem głosów ludzkich, a szmery wiatrów zagłuszone były przez szum ognia i stukanie młotów. W otoczeniu kilku domków mizernéj powierzchowności, stała tam kuźnia, z któréj roztwartych drzwi buchały, na śniegiem okrytą ziemię, czerwone łuny i od czasu do czasu w mroczną przestrzeń strzelały iskry. W kuźni, gorliwie z pomocnikami swemi, pracował kowal; przed drzwiami jéj, śniegowemi gałkami

rzucając na siebie, bawiły się dzieci kowala. Dzieci te Sylwek widywał często i oddawna, gdy w zabawach swych i gonitwach dobiegały nieraz samych wrót cmentarza, albo gdy, od czasu do czasu, za ojcem lub matką wchodziły do domostwa cmentarnego stróża. Nie rozmawiał z niemi nigdy, lecz do rozmawiania tego uczuwał zawsze ochotę wielką. Najstarsza siostra ich, młodziutka dziewczyna z płowemi włosy i łagodném okiem, co wieczór śpiewała do snu małemu bratu srebrne i smętne piosenki, którym Sylwek przysłuchiwał się zdala najczęściéj, niekiedy jednak i zbliska, bo podpełzał pod same okno małego domku kowala i siadywał tam w zaczajonéj i nieruchoméj postawie. Teraz uczuł on ku bawiącym się przed kuźnią dzieciom kowala pociąg nieprzezwyciężony, o przezwyciężaniu zresztą którego ani pomyślał. Nie były to przecież owe panienki całe błękitne, ani panicze owi zgrabni i weseli, których widział na placu miejskim i którymby z najwyższą rozkoszą pogruchotał kamieniami pięknie i ciepło obute stopy. Były to dzieci podobne do niego: w krótkich, grubych siermiężkach i całych wprawdzie, lecz płóciennych szarawarach. Jedno z nich nawet było bose. Śmiechy i skoki dzieci zarażały go; stojąc na uboczu, uśmiechał się także. a ziębłe nogi drgały mu, rwąc się do biegu i skoków. Pochylił się nakoniec i, w mgnieniu oka ulepiwszy ze śniegu wielką gałkę, z głośnym śmiechem, który twarz całą rozjaśnił mu dziecięcą niewinnością i swawolą, rzucił ją w ruchliwą i krzykliwą gromadkę. Biała kula ugodziła w najstarszego chłopca, który schwycił się za głowę i przeraźliwie krzyknął:

— Kto tam taki? — a ujrzawszy, śmiejącego się wciąż i z wielkiego rozweselenia podskakującego, Sylwka, zawołał:

— Patrzcie! ten tutaj! a ty tu poco przyszedłeś do nas, przybłędo! podrzutku! żebraku jakiś!

Młodsze dzieci powtarzały słowa brata, krzyk powstał wielki. Przedchwilna wesołość Sylwka zgasła. jak płomyk nagle zdmuchnięty, zastąpiło ją osłupienie, które jednak trwało przez mgnienie oka zaledwie i przemieniło się we wściekłość. Krzyknął, pięści zacisnął, ramiona rozpostarł i rzucił się na najstarszego syna kowala. Walka i szamotanie się trwało krótką chwilę; gibkie i elastyczne ciało Sylwka, wężowym jakby skrętem, owinęło się około przysadzistego, tłustego chłopca; powalił przeciwnika na ziemię i, klęcząc na nim, zażarcie bił go obu pięściami.

— Co tam takiego? czego tak wrzeszczysz?—od strony małego domku kowala, ozwał się donośny i czysty głos dziewczęcy, ten sam. który, co wieczór, śpiewał srebrne piosenki nad stukającą w takt kołyską dziecinną. Na dźwięk głosu tego Sylwek przestał bić przeciwnika, powstał i z pochyloną głową strzepywać zaczął śnieg ze swéj algierki. Dzieci biegły ku starszéj siostrze zadyszane i krzyczące.

— Magdziu! Magdziu! Sylwek cmentarnik... przyszedł do nas... niewiedzieć zkąd się wziął... Franka wybił...

— Sylwek cmentarnik!—nad samą prawie głową Sylwka, zadzwonił głos dziewczyny, lecz jakże zmieniony! Był to teraz głos gniewny i wzgardliwy.

Sylwek, powoli i nieśmiało, podniósł oczy. Dziewczyna z płowemi włosy stała przed drzwiami kuźni, oblana jaskrawą łuną ogniska, rozgniewana i sroga.

— Sylwek cmentarnik!—powtórzyła, a podnosząc coraz głos, mówiła daléj:—A ty tu po co przyszedłeś! Kto cię zapraszał? Jeszcze mi będziesz Franka bił! patrzcie go! pod-

rzutek? żebrak bezdomy! łachmaniarz! Nasza familija zanadto porządną jest, chwała Bogu, ażebyśmy z takiemi, jak ty, wdawać się mieli!

Rzuciła ręką w przestrzeń i dodała:

— Precz!

Poczém pochwyciła w ramiona najmłodsze dziecko, a na inne wołając: chodźcie! chodźcie! pobiegła ku domowi. W miarę, jak się oddalała, głos jéj, szorstki i popędliwy, gdy przemawiała do Sylwka, nabierał znowu nut łagodnych i czystych, a u drzwi szarego domku wydawał się już srebrną piosenką, dzwoniącą ku gromadce dzieci powtarzaném wciąż: chodźcie! chodźcie!

Posłuszna rodzinnemu dzwonkowi temu gromadka, pobiegła i zniknęła we wnętrzu szarego domku, w którego dwu sporych oknach błyszczało ciepłe światło ogniska. Sylwek odszedł w inną stronę, w tę stronę, kędy, na tle szarym, drzewa cmentarne zlewały się w wielką massę czarną, tu i ówdzie majaczącą blademi i wysmukłemi cieniami grobowców.

Przez kilka dni następnych Sylwek był tak blady, że aż prawie żółty, a sine koła okrążały oczy jego zapadłe i tak świecące, że, jak się Anastazya wyrażała, zdawać się mogło, iż siedział w nich nieczysty, z żużlem w gębie. Uwagę Łukasza zwracało przedewszystkiém to, iż dziecko kosztowało zaledwie strawy i nic prawie nie jadło. Anastazya znowu dotknęła raz jego głowy i wykrzyknęła, że jest ona gorącą, jak rozpalona duszka. Łukasz objawił pewną niespokojność o Sylwka.

— Możeby go do doktora!—rzekł.

— Jeszczeby co?—zaprotestowała Anastazya,—ostatnią złotówkę na niego wydać! Ot! choruje, to i przechoruje!

Istotnie, po kilku dniach, Sylwek odzyskał dawną cerę swą; głowa mu ochłodła, a żarłoczność, właściwa często głodzonym dzieciom, wróciła. Przechorował. Lecz, nikt nie wiedział, ani dowiadywać się nie myślał, jakiéj natury była ta, z pozoru przebyta przezeń, choroba, ani jak głęboko i trwale wpiła się ona w jego istotę.

Zresztą, Sylwek nie zawsze bywał ponurym. W ciepłe, słoneczne dni szczególniéj, ogarniała go nieposkromiona wesołość. Wnętrze domostwa wydawało mu się więcéj, niż kiedy, ciasne, duszne, brzydkie; że zaś warzywny ogród, rozścielający się pod oknami, szczelnie przez Anastazyą zamykany bywał, Sylwek biegł na cmentarz, w miejsca, z których domu stróża wcale już widać nie było, a do których Łukasz, z ogrodniczemi narzędziami swemi, przychodził najrzadziéj. Wtedy, w najodleglejszéj i najdzikszéj części cmentarza, widzieć można było dziecię z rozwianemi włosy i rozpostartemi ramiony, hasające dokoła mogił w dzikich poskokach i z hałaśliwemi krzykami. Gonił motyle, które, w ucieczce przed nim, chroniły się za żelazne ogrodzenia i obsiadały groby; usiłował pochwytywać w dłonie, migocące w zieleni, blaski słoneczne; ze zręcznością kocią wdzierał się po nie na drzewa i, rozsiadłszy się pośród gałęzi, zjadał złotawe dzikie jabłuszka lub garściami wsypywał do ust czerwone jagody jarzębin. Niekiedy, w swawolnym rozpędzie, owijał się dokoła wysokiego krzyża, wężowemi zakręty dopełzał aż ku szczytowi jego, kędy, zwieszony na jedném z jego ramion, dwoma rzędami białych zębów śmiał się do nieba, ziemi i powietrza. Ku wieczorowi, zmęczony, z rozognioną twarzą i dyszącą piersią, padał na ulubioną swą płytę ze śnieżnego marmuru, rozciągał się na niéj w całéj długości i, z twarzą zwróconą ku niebu, ścigać po-

czynał wzrokiem podniebne gry obłoków. Czasem usta jego poruszały się długim, a tak cichym, że niedosłyszalnym, szeptem. Mówił i opowiadał o czemś owadom, brzęczącym mu dokoła głowy, ptakom, świegocącym w gałęziach płaczącéj brzozy, powiewom wiatru, które w przelocie muskały mu twarz i pierś obnażoną. Czasem téż, na głos świstu i turkotu, który rozlegał się kędyś w dole, zrywał się szybko i siadał w postawie wyprężonéj, ze wzrokiem, utkwionym w widzialny ztamtąd, lekko na rzekę zarzucony, most. Po chwili, z głębokiego rozkopu wybiegał, i ze swistem, z turkotem, z długim warkoczem białego dymu, wpadał na most czarny, długi szereg parowych wozów. Sylwek wiedział, że pełne są ludzi, którzy jadą w dalekie światy, het gdzieś, aż za skłon nieba, aż na koniec ziemi... Tam to pewnie, tam, gdzie oni jadą, kędyś, za skłonem nieba i u końca ziemi, stoi ten biały, prześliczny dom, w którym on mieszkać powinien, w którymby mieszkał, żeby nie... krzywda! Do wytworu cywilizacyi ludzkiéj, lecącego w odległe światy, dzikie dziecko, na grobowéj płycie siedzące, wyciągało ramiona z namiętną ciekawością i tęsknotą...

W jesieni najrozkoszniéjszemi dla niego chwilami były te, w których do Anastazyi przychodziły na pogadankę znajome jéj i rówieśnice, stare kobiéty, z głowami owiniętemi w bezbarwne szmaty, ze stroskanemi i zoranemi twarzami, a gadatliwemi usty. Były pomiędzy niemi takie, które umiały i lubiły opowiadać długie, dziwne, straszne historye o umarłych i upiorach, o rozbójnikach i różnych okropnych wydarzeniach wszelkiego rodzaju. Kiedy kobiéty, siedzące na zydlach, gwarzyły i opowiadały, Anastazya, w milczeniu, pełném skupienia i uwagi, warzyła strawę wieczorną lub usiłowała obracać wrzeciono ręką, która od niemocy trzęsła

się coraz bardziéj, kiedy Łukasz drzemał, lub mowy kobiece przerywał, pełnemi powagi, przemówieniami, Sylwek, ukryty w najciemniejszym kącie izby, chciwém uchem pochwytywał każde wymawiane słowo i z każdego uczył się poznawać i odgadywać świat i ludzi. W wieczory te dowiadywał się on o tém, że są na świecie góry wysokie, morza szerokie, drzewa śpiewające, mówiące ptaki, zdroje wód. leczące wszystkie ludzkie bóle i smutki; że, kędyś daleko, istnieją puszcze ciemne i niezmierzone, w gęstwinach których czają się i na podróżnych wyczekują ludzie jacyś ogromni, nadzwyczaj silni, bogactw i rozkoszy żądni; że, pośród dróg, puszcze owe przerzynających, toczą się walki krwawe i śmiertelne, ludzie ludzi za gardła chwytają, na ziemię obalają, odzierają z sakiew i odzieży. I rzecz dziwna! w opowiadaniach owych, z których Sylwek uczył się poznawać świat i ludzi, rozbójnicy owi, czyhający w głębiach puszcz na klejnoty i sakwy podróżnych, bywali zawsze ludźmi pięknymi, o wyniosłéj postawie i silnych ramionach, niekiedy zaś nawet wspaniałomyślnymi wielce, o czułych i litościwych sercach; bywali to ludzie, którzy, jak niegdyś Aniołowie pyszni przeciw Bogu, zbuntowali się przeciw... czemu? o tém nie wiedziały nic wcale opowiadające kobiéty i wiedzieć nie były ciekawe, lecz dziecko, błyskające z ciemnego kąta ognistą źrenicą, odpowiadało sobie w myśli: przeciw... krzywdzie! Mniejsze już bez porównania wrażenie wywierały nań opowiadania o umarłych. którzy, dla różnych przyczyn i w różnych postaciach, wracali na świat. Ze śmiercią i wszelkiemi zjawiskami, przez nią sprowadzanemi, oswojonym był najzupełniéj. Spowszedniały mu one i utraciły dlań wszelką grozę i powagę. Skakał i tańczył po mogiłach, noce przesypiał często w głębi

grobowych kapliczek lub na dnie jam, świeżo wykopanych, a w które nazajutrz, przed oczami jego, z głuchym stukiem opuszczały się trumny; nieraz nawet przypatrzył się dokładnie, wydobytym z łona ziemi i z ciała ogołoconym, kościom ludzkim. Bywało to wtedy, gdy, podrósłszy już nieco, pomagał Łukaszowi w oczyszczaniu mogił, w zmiataniu suchych liści ze ścieżek cmentarnych, a Łukasz, kopiąc zamówione doły, natrafiał łopatą na twarde jakieś przedmioty, schylał się, wydobywał je z piasku i ze zwykłym sobie, wpółszyderskim, wpółchytrym, uśmiechem, ze wszystkich stron oglądał i dziecku pokazywał. Gdy nie miał słuchaczów innych, lubił gawędzić chociażby z dzieckiem.

— Widzisz?—mówił,—ha! co to?

— Co to?—powtarzał Sylwek, szeroko oczy otwierając.

— A cóż? głowa ludzka! Cha, cha, cha! Oto szczerzy zęby, jak dziewka do kawalerów! Słuchaj no! a na czyim to karku siedziałaś za życia? he? nie odpowiadasz! widzisz ją! No, mniéjsza o to! a tu znów kosteczka! to już pewnie rączka jest, która może kiedyś w glansowanych rękawiczkach chodziła... Patrzaj ją... jaka cienka, delikatna, panieńska może, albo i od starości tak wyschła... A światłość wiekuista niech im świeci i niech odpoczywają w pokoju na wieki wieków, Amen.

Długie potém prawił uwagi nad krótkością życia ludzkiego i równością, w obec śmierci, ludzi wszystkich, przerywając sobie naprzemian chichotem i pacierzem, poczém z pobożnem uszanowaniem zakopywał na nowo znalezione resztki ludzkie, mrucząc półgłosem:

— Człowiecze, z matki śmiertelnéj zrodzony, nie wiesz dnia, ani godziny swojéj... w zimną ziemię cię włożą, piaskiem oczy zasypią, i czego nie widziałeś, to już nie zo-

baczysz, a czego nie zjadłeś, to już i nie zjesz, a czego nie uradowałeś się, to już i nie uradujesz się. Nędznym jest żywot człowieka, na ziemi zrodzonego... Anioł pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła...

Prostował się i, patrząc na Sylwka, wołał:

— Czemu nie klękasz? czy nie słyszysz, że za duszyczki te, których kosteczki ot tu świecą jeszcze w piasku, Anioł Pański odmawiam...

Sylwek kląkł i bezmyślnie powtarzał słowa, których oddawna już wyuczono go na pamięć, lecz których znaczenie było dlań i obojętne i niezrozumiałe. Zajmującą za to i zrozumiałą zupełnie była dla niego gra fizyognomii Łukasza, ilekroć spotykał on, we wrotach cmentarza, tych, którzy przybywali tu w odwiedziny do umarłych, a z powierzchowności wyglądali na zamożnych lub bogatych mieszkańców miasta. Spotykając ludzi takich, Łukasz miał zawsze wyraz twarzy skurczony i smutny. Z odkrytą głową prowadził on przybyłą osobę ku mogile, do któréj dążyła ona, pochylał się nad murawą, troskliwie zdejmował z niéj, opadłe z drzew. liście i zeschłe badyle, z gorliwości wielkiéj dmuchał nawet niekiedy, jakby dla spędzenia najdrobniéjszych pyłków z drogiego mu miejsca, potém stawał za klęczącą, a niekiedy i płaczącą, osobą i głośno, ciężko, przeciągle wzdychał. Kiedy przybyli, odchodząc, przebywali ścieżki cmentarne, szedł za nimi, z czapką w ręku, i przyciszonym, smętnym głosem wychwalał piękność wystawionego na mogile grobowca; uskarżał się, że kwiaty, tak starannie przezeń pielęgnowane, nie rosną jakoś jak należy; proponował zmiany i upiększenia w ogrodzeniu, sposobie zasadzenia krzewów i t. d. U wrót zatrzymywał się i, wzrokiem ścigając odchodzącego, stał u brzegu ścieżki w po-

kornéj i zasmuconéj postawie. Sylwek jednak, który spoglądał nań wtedy zawsze z za drzewa lub grobowca jakiegoś, spostrzegał wybornie, że szare oczy jego błyskały niespokojnie, a kąty warg drgały od chytrego uśmiechu. Jeżeli osoba przybyła, odwróciwszy się, dawała mu pieniądz, kłaniał się jéj z milczącą i pełną godności podzięką, a gdy się oddaliła, otrzymany dar w dwóch palcach wysoko podnosił i pod oknami mieszkania swego, nogą o nogę, w hołupcu niby, uderzając, wołał:

— Bodajbyś na tym świecie długie lata w szczęściu i radości przeżyła, a do królestwa mojego na tryumfalnym wozie jak najpóźniéj wjechała!

A wchodząc do izby, nucił:

Przez Boga nam dana,
Śmierci ty kochana...

Zdarzało się jednak, że nie dostawał nic. Wtedy ponuro patrzał w przestrzeń i, z za zaciśniętych zębów, mruczał:

— Żeby tobie całe życie takie wesołe było, jak mnie moje... żeby cię po śmierci twojéj szatan tak gryzł, jak mnie Nastasia zgryzie za tego rubla, com go wczoraj w mieście zostawił!

Niekiedy, przybywające na cmentarz osoby, w żalu i roztargnieniu, pozostawiały za sobą zgubione lub zapomniane przedmioty: białe i od łez mokre chustki, błyszczące krzyżyki i szpilki, drobne monetki, wypadłe z pugilaresów lub woreczków, otwieranych w celu obdarzenia czemś cmentarnego stróża. Na przedmioty te padało natychmiast skośne spojrzenie Łukasza, który jednak nie podnosił ich nigdy z ziemi dopóty, dopóki osoba, która je za sobą pozostawiła,

nie przybyła całej niemal drogi, dzielącej cmentarz z miastem. Wtedy dopiero wracał spiesznie od wrót cmentarza, pochylał się i przedmiot zgubiony znikał w jego dłoni. Nie niósł go przecież do domu tak tryumfalnie i wesoło, jak to czynił z otrzymywanemi darami. Owszem, zamyślał się w dniach owych często, a pod wieczór, o zmroku, posępniał nawet, żółte brwi ściągał, a garstka rudawych włosów jeżyła się mu nad wpółnagą czaszką. Wtedy Anastazya spoglądała na niego z niepokojem widocznym.

— Łukasz,—mówiła,—co tobie?

— Albo co?—zapytywał mrukliwie.

— A no, siedzisz jak struty?

Przybliżała się i w zmroku widać było, jak wielka ręka jej z macierzyńską pieszczotą przesuwała się po zjeżonych włosach jego i zmarszczonem czole.

— Chory ty, czy co?—zapytywała.

Po chwili milczenia, Łukasz, najcieńszym głosem swoim, przemawiał:

— Kiedy Chrystus Pan ukaże się na obłokach i ludzi podzieli na kozły i barany... gdzie my pójdziem, Nastasiu. gdzie my pójdziem? pomiędzy kozły, czy pomiędzy barany?

Wzdychał ciężko i pacierzowym szeptem dodawał:

— Od mąk czyścowych i długiego w nich przebywania racz nas zbawić Panie, Amen.

— No, no!—perswadowała Anastazya,—już cię znowu trwogi twoje i medytacye napadły! Co mamy iść pomiędzy kozły? albośmy to nieuczciwość jaką popełnili? Pracujem, chorujem, cierpim, znosim, a ludzkiej krzywdy na sumieniu nie mamy. Nie złodzieje my przecie, ani zbójcy, ani cudzołożniki! miłosierdzie boskie!... pomiędzy kozły nie pójdziemy!...

Łukasz wzdychał i sępił się, a jeżył jeszcze czas jakiś; potém brał czapkę, szedł do miasta i wracał z piwem. mięsiwem i przyjaciołmi.

Sylwka przedmioty, gubione na cmentarzu i przez Łukasza znajdowane, zajmowały zawsze i, z upływem czasu, coraz żywiéj zajmować zaczęły. Gibkie i zwinne jego członki wślizgiwały się wszędzie, a bystre, ciekawe oczy widziały wszystko.

— Bierze on, wezmę kiedy i ja!—mówił sobie.

Na co przydać mu się mogły gubione owe monety lub błyszczące przedmioty, o tém wiedział wybornie. Posiadał pożądanie swe i plany. Nie łatwą jednak było rzeczą uprzedzić oko i rękę Łukasza. Sylwkowi udało się to raz tylko; ecz, o radość! przedmiotem, który, po odejściu kobiéty jakiéjś, bladéj, smutnéj i bogato ubranéj, pozostał w trawie, a którego nie dostrzegł Łukasz, był pierścień, złoty, z błyszczącém zielonem okiem. Sylwek wiedział dokładnie, że Łukasz znajdowane przedmioty sprzedaje w mieście. Miarkował nawet nieraz i, po wydatkach domowych, domyślał się, ile za nie otrzymuje pieniędzy. Na wartości zaś drobnych banknotów i monet znał się już nieco, gdyż wszystko, co się dokonywało w domostwie stróża, chłonął w siebie pojętnym a chciwym wiedzy wzrokiem i słuchem. Gdy tylko więc spełnił około gospodarstwa zwykłe swe pomocnicze czynności, a obejrzawszy się, spostrzegł, że nikt nań uwagi nie zwraca, pobiegł ku miastu. Miał już wtedy lat jedenaście i znał miasto wybornie. Przebiegając około domostwa kowala, zatrzymał się chwilę i zdala popatrzył na, bawiącą się w pobliżu kuźni, gromadkę dzieci. Patrzał na tę gromadkę rozpromienionym wzrokiem i z dumnym, wzgardliwym nawet, uśmiechem. O, ileż, w téj chwili, bogatszym

był od tych rówieśników swoich, którzy kiedyś, z powodu nędzy i łachmanów jego, tak srodze odepchnęli go od siebie! Łachmany! Po raz ostatni miał on już je na sobie. Jak zaś wyglądać on będzie, wracając za godzinę, za dwie godziny z miasta, zobaczą one... te kowalczuki jakieś... zobaczą!

Dosięgłszy jednéj z wązkich i pustych uliczek miasta, stanął, przyparł się ramieniem do rogu staréj jakiéjś, chropawéj ściany, wyjął z kieszeni skarb swój i, troskliwie trzymając go w dwóch palcach, jął się mu na nowo przyglądać. Nagle, za plecami jego, nad samém jego uchem, rozległ się wykrzyk:

— Oho! jaki śliczny pierścionek!

Sylwek, nie zlękniony wcale, obejrzał się i zobaczył stojącego za sobą chłopca, który, o lat dwa lub trzy, mógł być starszym od niego, miał na sobie obcisły surducik z błyszczącemi guzikami, a na głowie zgrabną czapeczkę, srebrnym galonikiem oszytą. Twarz chłopca tego cerę miała delikatną i czerwonawą, z pod czapeczki wyglądały mu włosy kędzierzawe i bujne, ale brzydkiego, żółtawego koloru; blado-błękitne zaś i nieco zezowate oczy jego z chciwą ciekawością wpijały się w trzymany przez Sylwka przedmiot.

— Śliczny pierścionek? — powtórzył głosem, w którym zachwyt mięszał się z szyderstwem.

— Aba! pewnie, że śliczny...—tryumfująco odrzekł Sylwek, i z ciekawością przypatrywał się ubraniu i twarzy nieznajomego.

— Ciekawym,—zaczął nieznajomy chłopak,—ciekawym bardzo: zkąd taki obdartus, jak ty, może mieć taki pierścionek... Ukradłeś, czy co?

— Ej nie! — obojętnie odparło dziecko, — nie ukradłem wcale, tylko znalazłem...

— Oho! powiedzże i mnie, gdzie to takie rzeczy sieją... zbierać pójdę! gdzieżeś to znalazł?

— A gdzieby? *na mogiłkach*... Pani jakaś zgubiła...

— Pani jakaś zgubiła! no patrzcie... żeby ją! dla czego ona koło mnie nie szła, kiedy ten pierścionek gubiła...

— A na co tobie znajdować takie pierścionki,—zapytał Sylwek. Nieznajomy chłopak wyprostował się.

— Naprzód, mój kochany, powinieneś wiedzieć, że takiemu obdartusowi, jak ty. nie wolno tak poufale do mnie mówić... Tyś obdartus i żebrak jakiś, czy co? albo może żebracze dziecko, a ja... jestem panicz... Mama moja jest wdową po urzędniku i cioteczną siostrą pana Tytusa Tarżyca, bardzo bogatego pana, którego kosztem ja do szkół... niech ich djabli wezmą... chodzę... i który mamie 50 rubli miesięcznie na utrzymanie daje... Ot, kto ja taki. widzisz! nie śmiéj ty mię tykać, bo ja ci dam w papę odlewanego, to pierścionek swój tak upuścisz, że wskróś ziemi pójdziesz...

Sylwek przemowy téj słuchał bez zdziwienia i bez gniewu, owszem—z przebiegłym uśmiechem na ustach, a gdy nieznajomy mówić przestał, naśladując cienki i chrypliwy nieco głos Łukasza. zaczął:

— Wszyscyśmy równi w obec Ojca naszego Wszechmogącego... któremu niech będzie cześć i chwała na wieki wieków, Amen.

Nieznajomy parsknął śmiechem; Sylwek zaśmiał się także.

— Pocieszny z ciebie bęben! — zawołał nieznajomy,—ale dla czegoś mnie pytał: na co mnie takie drogie rzeczy?

— Panicz ładnie ubrany i tak cudnie od panicza pachnie—odparł Sylwek.

W istocie, studenckie ubranie chłopca zdawało się przepojonem wonią perfumy.

— A pachnie,—odrzekł,—mama lubi perfumy i ja lubię... panie i panowie perfumują się zawsze... ale gdzie ty widzisz te moje ładne ubranie, to już ja nie wiem. Mundur i koniec! Zegarka nawet nie mam. Ot u wujaszka Tarżyca, to zegarek! Jak był w Genewie... ale, co ja gadam... alboż ty durniu wiesz, co to Genewa? ciemny pewnie jesteś, jak w rogu, i do szkół nie chodzisz... za co zresztą dziękuj Panu Bogu przez całe życie, rano i wieczór... No, a na co tobie ten pierścionek? co ty z niego zrobisz?

— Sprzedam—odparł Sylwek.

— Sdrzedam! sprzedam! wiem przecież, że go nie zjesz... ale co z pieniędzmi zrobisz?

— Kupię sobie buty i surdut.

— Phi, phi!—gwizdnął nieznajomy,—jaki mi drogi! Za jeden pierścionek dwa buty i trzeci surdut. I gdzież to sprzedawać będziesz? komu?

Troska przyćmiła wesołą dotąd twarz Sylwka. Pochwycił w dłoń garstkę swych kruczych, kędzierzawych włosów i, wahającym się głosem, wymówił:

— Nie... wiem.

Istotnie nie pomyślał dotąd o tem, komu sprzeda pierścionek. Myślał, że sprzeda go w mieście i koniec.

Chłopak w mundurku zamyślił się na chwilę.

— Wiesz co?—rzekł,—niech cię już tam... świśnie! Dam dwa buty i surdut... o! taki sam surdut ze srebrnemi guzikami... dawaj pierścionek!

Sylwkowi oczy zamigotały i radością i trwogą.

— A gdzież...—zaczął.

— Gdzie? gdzie?—wydrzeźniał go chłopak,—jużci pod pachą, ani w kieszeni, garderoby mojéj nie noszę... buty i surduf w domu; jak mi dasz pierścionek, to zaraz zbiegam i przyniosę... w mig będę nazad, zobaczysz!

— A gdzież ty mieszkasz?—zapytał, wahający się jeszcze, Sylwek.

Rzucił ręką w przestrzeń.

— Het tam! za tą ulicą na prawo, potem w zaułek i z zaułka na plac, z placu na lewo, a potém znów na prawo, w trzeci dziedziniec dziesiątéj kamienicy, z bramy, po wschodach, jedenaste drzwi!

Sylwek słuchał z razu uważnie, potém ręką machnął.

— Pójdę z tobą—rzekł.

— Jeszczeby co!—pogardliwie wykrzyknął nieznajomy,— z obieżyświatem i łachmaniarzem takim po mieście mam chodzić! Nie doczekasz się ty honoru takiego i, zresztą, wujaszek Tarżyc, który dziś do nas na obiad przyjdzie, gdyby cię zobaczył, psamiby cię z dziedzińca wyszczuć kazał... On wielki pan, czy ty rozumiesz, co to jest mieć wuja wielkiego pana, ty bezdomny? No, dajesz czy nie pierścionek? bo jak nie dasz, to ci finfę w nos puszczę i tyle mię będziesz widział! Sprzedawaj sobie komu innemu; a ja ci tylko to powiem, że nie każdy taki dobry, jak ja, żeby zaraz uwierzyć, żeś ty znalazł... Powiedzą, żeś ukradł i do ciupy zasadzą. Ot tak, ani butów. ani surduta, ani świata bożego widzieć nie będziesz.

Sylwek oddał pierścionek.

— Ja tu poczekam—rzekł, z niepokojem pewnym w twarz nieznajomego patrząc.

— Czekaj! czekaj! w mig powrócę!...

Wyjął z kieszeni wytworny, z kości słoniowéj, rzeźbiony pugilaresik, schował weń starannie pierścionek i odszedł. Zrazu szedł zwolna, potem coraz prędzéj, aż zniknął w zakręcie uliczki.

Sylwek usiadł pod ścianą i godzinę całą przesiedział spokojnie, przypatrując się oknom przeciwległych kamienic i z rzadka przesuwającym się przechodniom. Potém uczuwać zaczął niepokój, który wkrótce przemienił się w trwogę. Wstawał, szedł na róg uliczki, spoglądał w głębie rozchodzących się tam zaułków, wracał znowu, pięści ściskał, za włosy się chwytał. Po kilku godzinach ogarnęła go rozpacz. Poszedł szukać nieznajomego i długo włóczył się po różnych ulicach, placach, zaułkach, do bram domów zaglądał, w dziedzińce wsuwał się i pożądliwe spojrzenie ku szczytom wschodów rzucał. Kilka razy stróże kamieniczni, spostrzegłszy go, krzyknęli, aby się coprędzéj precz wybierał, jeden z niech nawet, widząc go zaglądającego do obszernych i wytwornych sieni, z tyłu go za podarty spencerek pochwycil i, łając, za bramę wyrzucił. Łzy perliste, gęste, strumieniem lały się z oczów dziecka. Wrócił na umówione miejsce, usiadł za jakimś załomem muru, tak przecież, aby całą długość uliczki mógł widzieć i, rozogniony policzek wspierając na dłoni, przesiedział tam do późnego wieczora. I wtedy dopiéro, gdy w oknach kamienic wszystkie już prawie światła pogasły, gdy wązką uliczkę zaległa cisza, śród któréj głucho huczały turkoty, napełniające śródkową część miasta, i od czasu do czasu sucho klekotały grzechotki stróżów nocnych, Sylwek wysunął się ze swéj kryjówki, niepostrzeżenie, nakształt drobnego a szybko przesuwającego się cieniu, przebył miasto i wrócił do domu.

Pojął, że był oszukanym i, pomimo gniewu i żalu, uczuł podziw, coś nakształt uwielbienia, które w myśli jego wyraziło się dwoma wyrazami: „Oho! jaki...“ To „jaki" znaczyło: mądry.

Wieczoru tego jednak Sylwek nie miał czasu zastanawiać się długo nad wypadkami, które go spotkały. Zbliżając się do cmentarza, usłyszał w domostwie stróża głośny krzyk Anastazyi, pomięszany z zachodzącym się spazmatycznym jéj płaczem i rozhoworem kilku głosów męzkich i kobiécych. Nigdy, w najweselsze nawet wieczory, w domostwie Łukasza o tak spóźnionéj porze, hałasów żadnyh nie bywało. Zaciekawiony tém, co słyszał, Sylwek pospiesznie zbliżył się do domostwa i, jak kot, zwinnie rękami i nogami przyczepiony do ściany, zaglądał w okno. Sposobem tym zbadać on chciał pozycyą, dowiedzieć się, czy mógł z bezpieczeństwem wszelkiem wejść w téj chwili do wnętrza domu, lub też może, czy nie rozsądniéj byłoby przenocować na cmentarzu. Niewiedział, ani domyślał się, że krzyki te i lamenty i gwary były piérwszym odgłosem przybywającéj doń nowéj fazy życia.

W czasie, gdy Sylwek nosił po mieście znaleziony klejnot, a potém oczekiwał na przyrzeczoną zapłatę, w domostwie cmentarnego stróża odegrywały się sceny, mające stanowić o przyszłych losach jego mieszkańców.

Od paru tygodni do uszu Anastazyi przychodziły wieści, że Jeżewicz, oddawna już pożądliwém okiem spoglądający na posadę, przez Łukasza zajmowaną, rozpoczął znowu przeciw współzawodnikowi swemu różne knowania i intrygi. Przycichł już był przez czas jakiś, teraz znowu... posłał żonkę tam, gdzie należało, z językiem, aby naopowiadała

prawdę i nieprawdę, byle tylko zgubić i do torby żebraczéj przyprowadzić przeciwnika. Przytém, kilka tygodni temu zmieniły się w mieście władze kościelne i we wszelkich podległych im czynnościach zaprowadzać zaczęły porządki i reguły, nierównie od poprzedzających surowsze. Anastazya chodziła, jak struta. Ponura była, milcząca, a zła!... Ze stukiem ciskała sprzęty i naczynia o stół, ziemię; tym, którzy przemawiali do niéj, nieodpowiadała całkiem, albo odpowiadała krzykiem i łajaniem; raz Łukasza, który żądał od niéj kosztowniejszego jakiegoś jadła, z całéj siły uderzyła pięścią w plecy, lecz w parę godzin potém, zdala stojąc, zaczęła przypatrywać się mu w sposób szczególny, bo powieki jéj mrugały, a oczy zachodziły łzami. Przez łzy jeszcze patrzała na męża długo, aż nakoniec, odwracając się od ognia, rękaw koszuli przesunęła po oczach i z głębi piersi westchnęła: Boże Wszechmogący! Ojcze najmiłosierniejszy! zmiłuj się nad nim!...

Cóż dziwnego, że, w usposobieniu takiém będąc, Anastazya, na widok śmiertelnéj nieprzyjaciółki swéj, zmierzającéj ku cmentarzowi, wypadła z domostwa z pędem takim, jak gdyby ją kto wyganiał zeń mieczem ognistym, a zabiegając drogę szczupłéj i żółtéj kobiecinie, zaczęła od tego, iż trzęsącą się ręką, pstrą chustkę, którą okryta ona była, z głowy jéj zerwała i na ziemię cisnęła. Szczupła i żółta kobiecina ruchem jaszczurki rzuciła się ku piersiom napastniczki. Pochwyciły się za odzież, potém za włosy. Krzyczały obie, jedna basowym i zdyszanym, druga piskliwym i przeszywającym głosem. Odskakiwały od siebie i zdala, ciała podając naprzód, a pięściami wygrażając, osypywały się gradem obelżywych wyrazów; nagle znowu rzucały się ku sobie, rozczochrane, zajadłe, z odzieżą w nieładzie, z pie-

niącemi się usty. Łukasz wypadł z domostwa i trwożliwie, strzegąc głowę przed wymachującemi w strony wszelkie czterema kobiecemi ramionami, pociągał za odzież, to jedną kobietę, to drugą, z rozpaczą ręce załamywał i, najcieńszym swym głosem, coraz płaczliwiej o upamiętanie wołał. Zwabiony wrzawą, którą zdaleka słychać było, kowal, w skórzanym fartuchu i z młotem w ręku, na ratunek przybiegł; Anastazyą pięścią aż pod próg domu odepchnął, a małą i chudą Jeżewiczową, która w szerokich susach posuwała się jeszcze za nieprzyjaciółką, w ramiona porwał i daleko odniósł. Z piskliwym przeszywającym krzykiem, Jeżewiczowa pędem strzały puściła się ku miastu; Anastazya zaś padła na ławę, płacząc, krzycząc, siwe włosy z głowy sobie wyrywając, a z bólu, uczuwanego w piersi, strasznie dyszącéj i chrypiącéj, przeciągle jęcząc. Dnia tego Łukasz sam obiad gotował; szło mu to jednak niesporo jakoś, bo wciąż spoglądał ku żonie, ramionami wzruszał i, spluwając, mówił:

— Pfu! zamrze mi jeszcze! ot bieda!...

Po obiedzie wpadł do domostwa chłopak wyrostek i wezwał Łukasza do ks. dziekana.

— Ot i skończenie świata!—szepnęła Anastazya.

Łukasz wdział na siebie najlepsze swe odzienie i poszedł. Niebawem wrócił. Dobry humor i gadatliwość opuściły go zupełnie. Brwi miał chmurnie zsunięte i rudawe włosy na wpół łysej czaszce zjeżone.

Kobieta, leżąca na ławie z głową owiniętą w mokrą szmatę, utkwiła w twarz wchodzącego długie, przygasłe, pytające spojrzenie.

— Dziej się wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi,—mruknął Łukasz i wnet dodał: wypędzili! żeby ich tak

Archanioł Michał mieczem ognistym z królestwa boskiego wypędził!

Kobieta zerwała się, chustkę z głowy zdarła, o ziemię ją cisnęła i znowu w płacz i krzyk uderzyła. Poprzychodzili wkrótce znajomi, przywlekły się kumoszki i przez wieczór cały, do późnej nocy, przy świetle łojówki, oprawionej w brukiew, przed czarnym otworem pieca, w którym nikt ognia nie rozniecił, wrzało i gotowało się jak w garnku.

Nazajutrz Anastazya z łóżka nie wstała. Podnosiła się razy kilka na posłaniu i znowu na nie opadała. Oddech jej był tak chrapliwy, że w izbie sąsiedniej sprawiał wrażenie przesuwania piły po drzewie. Widać było, że dusiła się niemal i cierpiała bardzo, jednak, nie skarżyła się na to wcale. Fizyczne cierpienia pogrążyły się całkiem w przejmującej nawskróś trwodze i żałości. Mówiła z trudnością wielką, lecz nieustannie poruszała ustami, to szepcząc, to chrapliwy głos wydobywając z gwałtownie falującej piersi. Do kumoszek, otaczających pościel jej z lekami, pocieszeniami i ubolewaniem, zwracała oczy, które zdawały się wołać o ratunek.

— Kopał dołki,—szeptała,—kopał... aż wykopał!

Chwilami, wielkie zorane czoło jej i obwisłe policzki, okrywały się wyrazem przerażenia.

— Pod Farę...—jęczała i chrypiała,—pod Farę, prościuteńko! Na wschodach tylko siąść i rękę wyciągać! O, Boże mój najmiłosierniejszy! szlachecką córką urodziłam się... ojciec własnej ziemi kawał parą wolików orał, matka krówki własne doiła i lenek własny przędła... czemum ja w ojcowskiej ziemi dzieckiem małem nie legła! czemu mi z matczynego lenku śmiertelnej koszulki nie zrobili!...

Tak skarżyła się i wyrzekała przez dzień cały.

Łukasz nie wychodził z domostwa, ani na krok, i choréj żony doglądał z troskliwością wielką. Co chwilę podnosił i przekładał jéj poduszki, przynosił wodę i zwilżone chusty, na żar, przy łóżku jéj postawiony, rzucał święcone zioła, przez co izba napełniła się kłębami duszącego dymu. Po południu wyjął z szafki bochen czarnego chleba, ukroił zeń ogromny kawał i z pełnemi ustami nachylał się nad żoną, zniżonym i pełnym ubolewania głosem pytając:

— Cóż, Nastasiu, cóż? jakże ci? nie lepiéj?

Na Sylwka nikt dnia tego uwagi żadnéj nie zwracał. To téż, jedyném przez dzień cały pożywieniem jego był kawał twardego, jak kamień, séra, wyszperał go gdzieś na pułce, pośród garnków, i nie prędko zgryzł pod piecem.

Ku wieczorowi Anastazya przycichła nieco i wzrokiem, który szczególnego nabierał wyrazu, ścigać poczęła krzątającego się po izbie męża. Kiedy nachylił się ku niéj, pytając znowu: cóż, Nastasiu, cóż? rzuciła ręką w stronę kilku kobiét, które u okna, zbite w gromadkę, szeptały pomiędzy sobą, naradzały się i głowami z ubolewaniem wstrząsały.

— Niech idą!—wymówiła,—niech sobie idą!—i z dziwną u niéj łagodnością dodała: — z Panem Bogiem! z Panem Bogiem!

Po chwili, kobiét radzących i ubolewających w domostwie już nie było. Łukasz, z grzecznością wyszukaną i z długą przemową, poprosił je, aby poszły sobie, a nazajutrz wróciły.

— Już ja żonkę sam dojrzę,—zakończył,—przecież... przysiągłem jéj przed ołtarzem miłość i wierność aż do grobu; tak mi Panie Boże, w Trójcy Ś-téj Jedyny, dopomóż, Amen.

Przy wyrazie *Amen* otarł rękawem wilgotne od łez oczy. Kiedy w domostwie zrobiło się cicho i pusto. Łukasz przybliżył się do łóżka żony, przysiadł u jéj głowy i, po długiem, milczącem na nią patrzaniu, odezwał się:

— Ty, Nastasiu. chyba zamrzesz teraz, ha?

Anastazya, po chwili milczenia. odpowiedziała:

— *Musić* zamrę.

A potém głosem, przekonania pełnym. powtórzyła:

— *Taki* zamrę.

— Ot,—dodała,—jakby przeczucie jakieś przeszłéj niedzieli do spowiedzi św. mię powiodło. Z Bogiem się pojednała, a com od niedzieli zgrzeszyła, to już Ojciec najmiłosierniéjszy... Nie dokończyła, nie dla tego, aby mówić nie mogła, owszem—oddychała teraz znacznie ciszéj i powolniéj, ale że ogarniać ją zaczęła głęboka zaduma. W zmroku widać było. że oczy jéj, srebrnie połyskujące, nieruchomo tkwiły w twarzy męża. Po chwili. z pod sukiennych i płóciennych szmat. któremi była okrytą, wysunęła się wielka, żółta jak wosk, ręka i drżąc spoczęła na ramieniu kościstego człowieka. siedzącego przy tapczanie w skurczonéj i zbiedzonéj postawie.

— Biedny ty! — szepnęła, — co ty poczniesz teraz bez miejsca i bez żonki! chaty nie będzie i gospodyni nie będzie! biedny ty!

— A no, — pocieszającym tonem zaczął Łukasz, — nie turbuj się ty o mnie w ostatniéj jeszcze godzinie swojéj. Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzy. Ptaki niebieskie nie sieją i nie orzą. jednakowoż żyją... i lilie polne.

Tu, niewiadomo dla czego, umilkł. Nie dla tego pewnie. aby nie znał końca przypowieści o liliach polnych i Salo-

monowéj wspaniałości ich stroju, ale że w piersi jego było coś, co mu głos dławiło.

Po dość długiéj chwili milczenia, Anastazya znowu szeptać zaczęła:

— Nie turbuj się! łatwo to gadać tobie... tyś się nigdy nie turbował o nic... ale ja się turbowałam... Bóg mi niech będzie świadkiem, że turbowałam się zawsze o twoję główkę więcéj, niż o swoję... albom ja nie żona twoja? albom ja ci w dobrém i złém towarzyszką nie była, przez tyle lat... oj Boże mój! tyle lat! ze czterdzieści już chyba... czy co?... kijem mię do ślubu z tobą nie pędzili, owszem—perswadowali i łajali... poszłam jednak... no, i nigdy się na to nie skarżyłam i... nie skarżę... Różnie bywało... alem zawsze *taki* dozgonnego towarzysza miała nie pijaka i nie złodzieja... a człeka z głową i gębą nie dla proporcyi...

Tu Łukasz westchnął i stęknął głośno i przeciągle.

— Nastasiu! — zaczął jękliwym głosem, — oj Nastasiu! Kiedy przed sądem Pana naszego Wszechmogącego staniesz, wstaw się tam za mną, aby mi grzechy moje ciężkie odpuszczone były!

Anastazya nie odpowiedziała. Wzrok jéj stawał się coraz sztywniejszym. a ręka, spoczywająca na ramieniu Łukasza, coraz cięższą. Patrzała teraz nie na męża już, ale na lampkę, płonącą przed świętym obrazem.

Po długiéj chwili milczenia, szeptać znowu zaczęła:

— Kiedy hultaić chciał, łajałam i biłam i do pracy pędzałam... a jednakowoż... żałowałam... Kiedy marnował i trwonił krwawicę swoję i moję... gryzłam i łajałam... a jednakowoż żałowałam...

Umilkła znowu i długo leżała w nieruchomości zupełnéj. Łukasz, siedząc wciąż na ziemi u tapczana, wydawał

z piersi swéj. przez czas jakiś, westchnienie po westchnieniu, aż, głową oparty o brzeg tapczana, zadrzemał. Około północy obudził go szept ciężki, dyszący i po wiele razy, ze szczególnym jakby pośpiechem, powtarzający jego imię.

— A co? Nastasiu,—zapytał. budząc się.—co? jakże tobie? lepiéj może, co?

Nie odpowiedziała bezpośrednio na pytanie to, tylko szepnęła:

— Łukasz! nachyl się tu do mnie... tu, do mnie... ot tak! daj ucho!...

A kiedy, uklęknąwszy, ucho swe do samych prawie ust jéj przyłożył, szepnęła:

— Daj mnie obietnicę jedną... w téj ostatniéj godzinie mojéj... daj mi obietnicę, że... kraść nie będziesz nigdy... słyszysz? nigdy!... krzywda ludzka i wieczne duszy zgubienie... a wódki też nie pij... nie rozpij się mi, broń cię Boże... Uczciwym człekiem byłeś... i porządnym... żebrakiem będziesz! co robić? wola boska!... uczciwym umrzyj... słyszysz?

— Słyszę, Nastasiu, słyszę!—wyjęczał Łukasz...—i przykazania twego nie zapomnę... żeby tak Pan Bóg w ostatniéj godzinie mojéj o mnie nie zapomniał...

Anastazya lżéj i głębiéj odetchnęła, tak jakby ciężar jakiś spadł z jéj piersi. Po długiéj chwili ozwała się raz jeszcze, ale bardzo, bardzo już cicho:

— Na ojcowskiéj łące... na zielonéj łące piérwszy raz oczy cię moje zobaczyły... w gaju brzozowym... w gaju zielonym, kukułka kukała, kiedym ci piérwszy raz powiedziała, że twoją będę... Słoneczko świeciło, organy grały... kiedy nam ksiądz stułą ręce wiązał...

Westchnęła głęboko i dokończyła:

— Ot, może na tamtym świecie Pan Bóg najmiłosierniejszy połączyć się nam znowu pozwoli...

I nie mówiła już nic więcej, ani razu już nie poruszyła sztywniejącemi wciąż wargami. Leżała nieruchomo, a coraz przygasający wzrok jéj niewzruszenie tkwił w palącéj się przed obrazem lampce. Zawieszona w mrocznéj przestrzeni, w mętném szkle zamknięta i napełniona cuchnącą oliwą, lampka ta posiadała przecież we wnętrzu swém światełko, płonące jak srebrna łza lub iskra, i stanowiące drobną cząstkę wiekuistego ogniska, które jest duszą świata...

Łukasz usnął znowu i obudził się wtedy dopiéro, gdy świszczące wiatry spędzać zaczęły z nad szerokich pól dżdżyste mgły jesiennéj nocy; drzewa cmentarne, jak rozpowijające się z całunów skielety, wydobywały z ciemności suche swe ramiona i mokre grobowce zabielały na szarem tle, niby spłakane widma. Rozedniało. Pod przezroczystym, sinym płaszczem świtu Anastazya leżała nieruchoma, sztywna i wcale niepodobna do téj, jaką była wczoraj. Uspokoiła się. *Nieczysty*, który, jak mawiała, wstąpił w nią wraz z biédą, wraz z końcem biédy wszelkiéj zniknął. Na wielkie czoło jéj opadły pasma siwych włosów i przykryły gęste bolesne jego zmarszczki, wieczna cisza zamknęła wargi jéj pieczęcią uśmiechu, w źrenicach szklistych legła zaduma bez trwogi i burz. Teraz można było dopatrzyć w niéj podobieństwa do owéj hożéj wiejskiéj dziewczyny, która, niegdyś, niegdyś, na ojcowskiéj łące, zielonéj łące, słuchała kukułki, kukającéj w gaju brzozowym, zielonym...

W kilka dni po śmierci Anastazyi, Łukasz, z obrzękłemi jeszcze od płaczu oczami, siedząc na ławie, odezwał się do Sylwka, który siedział na ziemi pod piecem:

— Ja tobie mały cościć powiem. Otwórz tylko szeroko uszy i słuchaj, uważnie słuchaj, bo idzie tu o los, słyszysz? o los i twój i mój. Los, widzisz, jest jak wiatr. Goń go, człecze śmiertelny, od urodzenia aż do grobowéj deski! Złapiesz—dobrze! Nie złapiesz—cierp! Ale zawsze taki łapać trzeba. My bo z nieboszczką moją Nastasią, świeć Panie duszy jéj. przez czterdzieści lat po wiatr ten garście wyciągali; uciekał... zmarło to biedactwo w biedzie i desperacyi. A wiesz ty: czego to ona tak desperowała? Tego niby, że, po jéj śmierci, ja z torbą pójdę. Otóż nie pójdę. Znałać mię ona przez 40-ci lat z górą, a ot nie wiedziała jeszcze, jaki ja rozum mam. Poszedłem ja sobie tedy do głowy po rozum i wymyśliłem taką rzecz, że i na dziady nie pójdę i może jeszcze los złapię... tylko ty, Sylwek, łapać go będziesz ze mną... A no, tak i po sprawiedliwości być powinno. Przeciem ja cię wyhodował i krwawicą swoją wykarmił... Ręka rękę myje, noga nogę wspiera. Tak sam Bóg Wszechmogący przeznaczył, ażeby było...

— Gadajcież, dziadźku, prędzéj, coście tam wymyślili?— z ciekawością zapytał Sylwek.

— Ot, com wymyślił,—odparł Łukasz. Jutro nam trzeba iść ztąd. Jeżewicz tu siądzie. Żeby on w piekle gorącém siadł na wieki wieków, Amen. Jutro w piecu tym, w którym nieboszczka moja, świeć Panie duszy jéj, strawę warzyła, Jeżewiczowa smażyć i prażyć będzie... żeby ją szatani w smole roztopionéj smażyli i prażyli po wieki wiekuiste, Amen. Co nam robić? Torby uszyć i, na plecy je wziąwszy, w świat iść: ja w jedną stronę, ty w drugą? Paskudnie to jakoś i nie chce się. Ja nie taki, jak drugi. Głowę na karku mam. Graty i szmaty wszystkie, co domostwo to napełniają, wczoraj sprzedałem. Przez lat 40-ci

uzbierało się ubóstwa tego odrobinę niejaką. Nieboszczka szanowała wspólne dobro nasze, o! szanowała i za łachman albo czerep wszelaki gotową była, jak tygrysica, oczy wydrzeć. Za godzinę może albo dwie przyjdą po to wszystko żydy i baby rozmaite i groszy trochę dadzą... Niewiele ich będzie, oj! niewiele, aleć zawsze wystarczy, aby od Kacpra tego, wiesz, garbatego nieco i na jedne oko ślepego, katarynkę odkupić.

— Katarynkę!—przeciągle powtórzył Sylwek i oczy zaśmiały się mu radością.

— Katarynkę, — tryumfującym głosem powtórzył Łukasz. — Starzyzna zaniemogła i po ulicach włóczyć się już nie może. Wzięła go do siebie córka, ta... co za Ambrożym, stróżem nocnym... a Ambroży mówi do mnie: instrument ten choćby sprzedać komu... zawsze to kilkanaście rubli weszłoby do chaty; wejść to one wejdą, ale zaraz i wyjdą, bo Ambrożysko natury mojéj... grosza przy duszy nie utrzyma... ale co mi tam! rzekłem mu, że Kacprową katarynkę kupuję i basta!...

Sylwek podskoczył i klasnął w ręce:

— Oto będziem grać! — zawołał,—aj! będziem grać! aj! muzyka! muzyka! muzyka!

— Milcz, durniu, i końca mowy starszego czekaj!—z powagą upominał go Łukasz. Będziem grać! będziem grać! czy nie ty będziesz grać i na swoich małych plecach pudło takie nosić! Ja będę nosił katarynkę i korbą obracał... rozumiesz... a ty koło mnie i koło katarynki będziesz tańczył...

Sylwek nie zdziwił się wcale. Nieraz już na ulicach miasta widział dzieci tańczące i śpiewające przed tłumem zgromadzonéj gawiedzi. Odezwał się więc tylko:

— Kiedyż nie umiem!

— Nie umiesz! wielka sztuka! czy to na pańskie salony pójdziesz... kontredansa albo polkę tramblant z królewnami tańczyć? Po ulicach chodzić będziem, po dziedzińcach... a tam sztuka niewielka... skakać i dość! ot tak samo, jak po mogiłkach bywało skaczesz, niby koza... Czy to ja nie widział tych swawoli twoich, któreś około święconych prochów ludzkich wyprawiał? Widziałem ja, widziałem wszystko dobrze. tylkom przez palce patrzył, a nieboszce nie gadał, bo by gryzła siebie i ciebie i mnie... Nogi masz tęgie, nie bój się! gdyby sznurki elastyczne, a jak się rozweselisz bardzo, to na łokieć od ziemi skaczesz i po drzewach łazisz, jak wiewiórka. Oho! znam ja cię dobrze! Sprawię ci czerwoną bluzkę, zielony pas, czapeczkę z czerwonym kutasem i trzewiki... butów nie sprawię, bo drogie i ciężkie... w trzewikach lżéj skakać będziesz... tasiemki do nich aż do kolan sobie zawiążesz... jak Tyrolczyk... ludzie pomyślą, żeś Tyrolczyk... może ci nawet, zamiast czapki z kutasem, Tyrolski kapelusz sprawię, taki, w kształcie górala... Ot i będzie! każdy popatrzy sobie, posłucha i groszyk jaki da... Ja stary, ty mały... nad starymi i małymi ludzie litość mają... Ale ja i litości ludzkiéj nie pragnę... Będą przecież z nas mieli i muzykę i spektakl. Ot co! groszyków posypie się moc wielka, los złapiem i wesoło sobie żyć będziem... cóż, dobrze?

— A czemu nie? — odparł Sylwek; — kiedy skakać, to skakać... ale pozwolicie mi, dziadźku, wieczorami samemu na katarynce grać?...

— A no czemuż? Ja dobry człowiek! serce mam gdyby wosk! jak będziesz z ochotą i ładnie tańczył, to cię sam nauczę korbą kręcić...

— Aj, aj!—odrzekł Sylwek,—nibyto ja nie umiem. Żeby mnie tyle dni szczęśliwych, ile ja godzin przesiedział i przestał tam w mieście, katarynek słuchając... tom i napatrzył się, jak to się robi...

Na parę godzin przed wieczorem, w dwóch izbach, składających wnętrze starego cmentarnego domostwa, pusto było zupełnie. Żydzi i kobiéty różne, po długich targach, sprzeczkach i gwarach, rozebrali pomiędzy siebie i roznieśli cały owoc czterdziestoletnich trudów i zgryzot Anastazyi. Stoły i stołki, zydle, garnki, misy, gospodarskie i ogrodnicze narzędzia, skrzynie, pełne łachmanów przerozmaitych, święte obrazki nawet, których długi szereg ścianę sypialni przyozdabiał, zniknęły. Łukasz, wziąwszy od nabywców kilka zżółkłych, podartych asygnat i parę garści miedzianych monet, poszedł do miasta; Sylwek, powrotu jego oczekując, zebrał z ogrodu i cmentarza, dużą więź zeschłych gałęzi i trzeszczący ogień w piecu rozniecił. Siedział potém przed ogniem tym na ziemi, wygrzewał sobie ręce i uśmiechał się do skaczących i szumiących płomyków. Łukasz wrócił niebawem; pudło ciężkie, które przyniósł z sobą, z pleców na ziemię spuścił, czapkę mokrą od deszczu strzepnął i obejrzał się dokoła. Izby, stojące pustkami, i cztery nagie ściany, pełne sinych i zielonawych plam wilgoci i pleśni, wywarły na nim przykre wrażenie.

— Uf!—stęknął,—smutno tu, gdyby w mogile... Za nieboszczki weseléj było, oj! weseléj... wieczne odpocznienie racz jéj dać Panie, a światłość wiekuista...

Usiadł na jedynym zydlu, jaki pozostał w izbie, a szepcąc pacierz za umarłą i wzrokiem tocząc dokoła, jakby jéj lub śladów jakichś po niéj szukał, płakać zaczął. Płakał tak, żę aż chlipał. Chciał rękawem łzy z twarzy otrzeć, ale

rękaw zatrzymał się mu jakoś na oczach, ustał chlipać, znieruchomiał, zamyślił się długo i ponuro. Sylwek tymczasem zbliżył się do pudła, zsunął zeń okrywającą ją cératę i dotknął drewnianéj korby pozytywka. Ręka mu drżała, usta otwierały się uśmiechem, pełnym pożądliwości i zachwycenia. We wnętrzu skrzyni téj zamkniętym był rój tonów, rój tych napowietrznych tonów lekkich, śpiewnych, przeciągłych, wzdychających, które tyle razy, tyle już razy zdawały się mu śpiewać i płakać i tańczyć w piersi, gdy, na odgłos katarynki, wpadając z ulicy w ciasne podwórko jakieś, zaczajał się w kącie jego najustronniéjszym i słuchał, słuchał całą istotą swoją, aż do zapomnienia o głodzie, chłodzie i łachmanach, zawstydzających go zawsze, aż do serdecznego śmiechu niekiedy, pośród którego sam nieczuł, jak mu z oczu, na policzki rozognione, płynęły łzy. Teraz miał tuż przed sobą to czarodziejskie pudło, w którem mieścił się jego raj. Dotknął korby zlekka zrazu, lękliwie, potém ujął ją silnie dłonią i kilka razy obrócił dokoła. Po pustéj nagiéj izbie, w powietrzu przejętém wilgocią i resztkami smrodów, zostawionych tu przez tłum kupujących, popłynęła pieśń żałosna, drżąca płaczliwemi trelami, a zakończona przeraźliwym zgrzytem, wywołanym przez niezręczność małéj ręki, poruszającéj korbą. Łukasz zerwał się z zydla.

— Aha!—zawołał,—grasz już, grasz sobie, nicponiu jakiś! jeszcze mi instrument zepsujesz! Poczekaj! nie tak będzie!... ja zagram, a ty tańcz! No tańczże! Nastawiłem na walca! Trala la! trala la! trala la!

Teraz, w pustéj izbie i cuchnącem powietrzu, miłośnie śmiały się i skakały tony walca.

— Tańczże! — krzyczał Łukasz. — czemuż nie tańczysz? smarkaczu?

Sylwek stał jak wryty.

— Kiedy nie mogę.—wyszeptał.

Nie mógł istotnie. Nogi mu zesztywniały; ręce mimowoli, w trosce jakby wielkiej, utonęły w gęstwinie włosów.

— Jesteś krnąbrne i nieposłuszne dziecko,—przestając grać, wymówił Łukasz,—kiedy każę ci tańczyć, czemuż nie tańczysz? Czcij ojca twego i matkę twoję, powiedział Pan Bóg Mojżeszowi na górze Synai... A ja tobie przecież jak ojciec... Zresztą, może i nie wiesz, jak zacząć... pewnie nie wiesz. No, cóż robić! trzeba stare nogi pofatygować i lekcyą ci dać! Patrz no, jak panicz jakiś, lekcye tańców brać będziesz! Stańże tu i kręć, a ja potańczę... zobaczysz jak...

Stanął na środku izby i wziął się w boki.

— Ho, ho!—krzyknął,—po wielkich domach sługiwałem za młodu... tańce widywałem i jakie!... *solone*... różne... Wytrzeszczże oczy, korbą kręć dobrze i patrzaj...

W izbie panowało szarawe, mętne światło, bo deszcz oblał i zmącił i bez tego już niezbyt przezroczyste szyby okien. W świetle têm, przed ogniem, który kilku żółtemi językami kołysał się jeszcze w czarnéj głębi pieca, mały, kościsty człowiek, z czerwonemi od płaczu oczami, z garstką włosów rudawych, zjeżonych nad nizkiem, wyżółkłêm czołem, puścił się w szczególny, solowy taniec, będący obertasem niby, niby kozakiem, najbardziéj zaś improwizowanêm szaleństwem. Dłonie wspierał na kłębach, stopami, okrytemi podartêm obuwiem, wybijał hołupce i zakreślał po chropawéj podłodze różne koła i zygzaki. Głowę spuszczał nizko na piersi i nogom swoim się przypatrywał, albo też podnosił ją wysoko z fantazyą i butą. Rozhulał się. Blade źrenice jego błysnęły i rozogniły się, od czasu do czasu pokrzykiwał: hu, ha!

W kącie zaś izby, dziecko, łachmanami nawpół tylko okryte, zawzięcie i z sił całych kręciło korbą pozytywka, trzęsąc się przytém od stóp do głowy ze śmiechu, którego srebrne gamy wplatały się w miłosne tony walca i w przeciągłe zgrzyty i skrzypienia, które od czasu do czasu ręka słaba i niewprawna wywoływała z wnętrza instrumentu.

Na dworze potoki deszczu spływały po grobowcach, a wiatr świszczał i miotał się w nagich gałęziach drzew.

Od dnia następnego, mieszkańcy miasta spotykać na ulicach, i przez okna domów widywać zaczęli, nieznanego im przedtém, katarynkarza. Mały, blady, rudawy człowieczek, zgarbiony pod ciężarem, który na plecach nosił, wchodził we wszystkie bramy i podwórza, zatrzymywał się przed wszystkiemi balkonami i okazalszemi oknami i, z pochyloną twarzą, zawzięcie kręcił korbą instrumentu, wywołując zeń z kolei takty, najpowszechniéj w obiegu będących, pieśni i tańców. Były tam żałosne i rozdzierające śpiewy z Trubadura, Łucyi i Violetty, skoczne polki, rzewne walce i jeden długi, o pięciu różnych zmianach, kontredans. Nie katarynkarz ten przecież, ani granie jego, stawały się najczęściej przedmiotem najwyższéj ciekawości ulicznéj gawiedzi i długich spojrzeń, spływających z balkonów i okien. Przedmiotem tym był, towarzyszący staremu katarynkarzowi, jedenastoletni, potem już dwunasto i trzynastoletni, chłopak, w dziwaczném ubraniu, które niepospolitą powierzchowność jego czyniło bardziéj jeszcze uderzającą. Miewał on na sobie bluzy kolorowe, czerwone albo jaskrawo zielone, brudne najczęściéj i dziurami na łokciach świecące, niemniéj jednak żywemi barwy swemi uwydatniające, kru-

czą czarność jego włosów i ognistą cerę twarzy. pod któréj śniadą skórą zdawały się płynąć płomienie. Opasany kolorową taśmą lub szmatą, w trzewikach, przez dziury których wyglądały bose stopy, a od których taśmy połatane sznurami oplatały mu nogi aż do kolan, w góralskim kapeluszu, rzucającym mu na górną część twarzy cień posępny, chłopak ten nie wyglądał przecież na ulicznego skoczka lub pajaca. Widok jego przywodził raczéj na pamięć fantastyczne historye o dzieciach, które, ze złoconych kolebek porwane, hodowały się po obozach cygańskich. Wysokim był nad wiek, wysmukłym, a członki jego posiadały gibkość i delikatność, nigdy prawie nie spotykaną u ludzi z niższych warstw społeczeństwa. Kiedy, śród rozległych i ozdobnych dziedzińców, najczęściéj jednak w głębi błotnistych i ciasnych podwórek, tańczył w takt katarynki, wygrywającéj polki swe, walce i kontredanse. nikt, z licznych najczęściéj widzów, nie czuł ochoty do śmiechu. Tańce jego nie miały w sobie istotnie nic śmiesznego. Była w nich owszém niezrozumiana przez nikogo, lecz mimowiednie odczuwana; tragiczność, tkwiąca w sprzeczności, zachodzącéj pomiędzy losem dziecka tego, a wyrazem twarzy jego i całéj postaci. Bywały dnie, w których chłopak tańczył niechętnie, z musu tylko widocznie, i wtedy jednak powolne. leniwe jego ruchy miały w sobie doskonałą harmonią, jakąś melancholijność półsennych marzeń. Wtedy i oczy jego były półsenne, przygasłe a głębokie, jak czarne otchłanie. Lecz zdarzało się często, że, pod wpływem, bądź nastroju własnego. bądź ilości zwróconych nań oczu. bądź jeszcze widoku jakiegoś, który mu rozbudził uczucie lub wyobraźnią, chłopak ożywiał się i roznamiętniał. Podówczas taniec jego miewał w sobie coś szalonego i zapamiętałego. Gwał-

townym ruchem zrzucał z kruczych włosów zmięty swój kapelusz, podnosił nad głowę długie swe, wązkie, delikatne ręce, i rzucał się naprzód, niby w gonitwie jakiejś rytmicznéj, lecz bezpamiętnéj, i wirował w zawrotne koła, a dyszącemi usty, które zachodziły barwą szkarłatu, wołał na starego katarynkarza: prędzéj! prędzéj!

Stary kręcił korbą, jak mógł, najprędzéj. Czarne oczy dziecka gorzały, a na czole jego, w zarysie ust i w gestach ramion, malowały się duma i nienawiść, pożądanie i groźby.

Z czasem chłopak wymyślać zaczął, dla tych publicznych popisów swych, dodatki różne i przyozdobienia. Dnia pewnego, rozpoczynając taniec, podniósł nad głowę kawał okrągło wykrojonéj blachy i metalowym drążkiem uderzać weń zaczął. Brzęk i drżące huczenie metalu łączyły się z płaczliwemi tonami katarynki i zdawały się ekscytować go do coraz nowych a szaleńszych poruszeń i zwrotów.

Potém, przy wtórze zaimprowizowanego instrumentu swego, zaczął śpiewać. Na dany przezeń znak, katarynka milkła, a z głębi mrocznych, w wysokich murach pogrążonych, dziedzińców, przez bramy sklepione, wylatywał na ulice głos nawpół dziecięcy, a nawpół już młodzieńczy, donośny, czysty jak kryształ, rzucający ku kawałkowi nieba, oprawionemu w czworokątne dachy, przeciągłe wykrzyki i żałosne trele. Były to najczęściej pieśni bez słów; echa tych, które ucho dziecka podchwytywało z okien domów, lub rozwartych drzwi kościołów; były to powtórzenia aryj fortepianowych i śpiewów kościelnych, wiernie zapamiętywane, lecz powtarzane z dodatkami przeróżnemi, będącemi improwizacyą ulicznego śpiewaka. Snać jednak, uczono go do pieśni tych i słów różnych, bo od czasu do czasu dosłyszéć

można było, że śpiewał o słońcu wysokiem i niebie dalekiem, o rajskich ogrodach i mękach piekielnych. o śmierci, kochaniu i zbawieniu wiecznêm. Kto uczył go słów tych, bezsensowych na pozór. lecz które w gruncie posiadały zawsze myśl jakąś gorzką i smutną, albo iskrę mętnéj, pierwotnéj poezyi? Któż wie? Stary katarynkarz może, albo mieszkańcy téj gromady lepianek i chatek, stojących na kurzych nóżkach, która szarzała nad samym brzegiem rzeki, daleko za miastem, het. aż za cmentarzem, a pośród któréj znikali oni obaj co wieczór.

Z téj to zapewne szaréj gromady lepianek wyniósł on cyniczną piosnkę, którą dnia pewnego, z werwą niezmierną a dosadną mimiką i gestykulacyą, przed garstką zgromadzonéj gawiedzi, zaśpiewał:

— Szła dziewczyna przez rzeczkę, przez rzeczkę. Zakasała spódniczkę. spódniczkę...—śpiewał i oczami figlarnie mrugał, a cienkie, czerwone wargi drgały mu uśmiechami, których wyraz przykro odbijał od dziecinnéj jego twarzy. Wtedy to poraz pierwszy widzowie i słuchacze śmiać się z niego zaczęli, a gdy skończył już piosnkę, wyśpiewywaną zwykle po szynkach przez pjane, ochrypłe głosy, starsi, z pomiędzy otaczającego tłumu, kręcąc głową, mówili:

— Patrzcie go! Taki mały, a taki już mądry!

Nie był już bardzo małym, owszém nazwać go można było wyrostkiem, gdy, w pewien pogodny dzień wiosenny, wszedł, wraz ze starym katarynkarzem, na czysty i widny, choć nie okazały, dziedziniec, dokoła którego stały domki drewniane, pobielane, niebogato, lecz téż i niezbyt ubogo wyglądające. Skierowali się ku jednemu z domków tych.

— My tu, dziadziu, nigdy jeszcze nie byli,—ozwał się chłopak. Dla czego my tu nie byli?

— Albo ja wiem. Mijali jakoś... nie dojrzeli.

Przed gankiem, o dwóch słupach, katarynkarz grać zaczął i grał dość długo, nie wywołując z wnętrza domu żadnego znaku życia.

— No dość już, dość! przestańcie!—szepnął doń chłopak;— będziecie do dnia sądnego grali, a nikt nie posłyszy i nie spójrzy...

Katarynkarz przestał kręcić korbą. Widać było, że nie on dziecku, ale dziecko rozkazywało jemu. Chłopak uderzył w blachę metalowym drążkiem i z ramionami, wyciągniętemi nad głowę, puścił się w pląsy. Brzękom metalu wtórował, od czasu do czasu, donośnem przyśpiewywaniem, a wszystko to trwało minut parę zaledwie, gdy w oknach domku, za zielonemi roślinami, zamigotały twarze ludzkie, poczém zniknęły, a w zamian na małym ganku ukazały się trzy osoby. Jedną z osób tych była niemłoda kobiéta w czarném skromném ubraniu i białym czepeczku na siwiejących włosach; drugą, wysoki, okazały, bardzo piękny mężczyzna, z ciemném, ściągłém okiem i ciemnemi téż włosy, siwiejącemi zlekka nad wyniosłem, pogodném czołem; trzecią, chłopak, piętnastoletni może, w studenckim, mocno wyszarzanym, mundurku, z czerwonawą cerą twarzy, rudawo-złotemi włosy i błademi, nieco zyzowatemi, oczami. Kobiéta wyglądała na niezamożną, spokojną i troskami zbiedzoną mieszczankę; mężczyzna miał powierzchowność, ubiór i postawę wielkiego pana; wyrostek w mundurku uderzał rozlanym na twarzy jego wyrazem leniwego rozpieszczenia i przebiegłej złośliwości.

Kiedy wyszli na ganek, katarynkarz zdjął szybko z głowy czapkę i, zgarbiony pod swym ciężarem, przybrał jeszcze pokorniejszą postawę. Chłopak w czerwonej bluzie, opasa-

nėj sznurem, i w podartych trzewikach, przymocowanych do nóg wyszarzanemi taśmami, tańczyć, śpiewać i uderzać w blachę nie przestawał.

— Piękne dziecko,—przypatrując się mu, wyrzekła kobiéta.

— Szczególne dziecko,—uśmiechnął się okazały mężczyzna,—czy uważasz kuzynko, z jakim zapałem tańczy i z jaką gracyą.

— Ale wiesz co?—dodał, wsłuchując się,—głos prześliczny... tenor najczystszéj wody... coś o wysokiém słońcu śpiewa... słyszysz? Oho! coś bardzo poetycznego...

Zwrócił się do kataryukarza.

— Zawołaj no chłopca swego! chcę przypatrzéć się mu bliżéj.

— Sylwek!—z pośpiechem zaczął wołać kataryukarz,—Sylwek, Sylwek! Przestań no, przestań! Jaśnie Wielmożny Pan cię woła... Długo wołania te powtarzać musiał. zanim tańczący chłopak usłyszał go i usłuchał. Stanął i, niby ze snu ockniony, patrząc przed siebie zmąconym wzrokiem, z głową odkrytą i twarzą w ogniu, powoli, rytmicznym swym, pełnym wdzięku, krokiem zbliżył się ku gankowi.

Kobiéta w czarnéj sukni z litością nań spoglądała, ale piękny, wyniosły pan przypatrywał się mu z zajęciem wielkiem.

— Wiesz, kuzynko,—wymówił,—że chłopca tego za model do obrazu wziąść można. Szkoda, żem już malowania oddawna zaniechał... Byłby z niego wyborny wzór na Lazzarona albo na... dziecko, przez Cyganów skradzione... coś nakształt historyi Trubadura. Lecz nie, na Lazzarona jest on zbyt ognistym, zbyt żywym... Czy to twój syn, ojcze?

Ostatnie pytanie to zwrócił do katarynkarza. Brzmiało ono łagodnie i nawet dobrodusznie. Katarynkarz schylił się w ukłonie do saméj prawie ziemi.

— Nie, Jaśnie Wielmożny Panie, nie moje to dziecko, lecz sierota nieszczęsna, przez wszystkich opuszczona, którąm ja wyhodował, wypiastował, na ręku swojém nosił i krwawicą swoją wyżywił; ot tak przez miłość bliźniego i dla zasługi przed Bogiem, któremu niech będzie cześć i chwała na wieki wieków, Amen.

— Voilà,—szepnął piękny pan do towarzyszki swéj,— voilà, ou les bonnes oeuvres viennent se nicher.

Zwrócił się do chłopca i zapytał:

— Jakże się ty nazywasz, mały?

Dziecko nie odpowiadało. Oczy jego posiadały w chwili téj wyraz szczególny. Wpijały się one w twarz i postać całą pięknego pana z ponurą i namiętną ciekawością.

— Sylwek, no, Sylwek! czemuż nie odpowiadasz JWPanu!—upominał go katarynkarz.

— Nieśmiały!—szepnęła kobieta.

— Owszem,—rzekł mężczyzna,—ponury prędzéj. Ale, co za oczy, jakie oczy! Gdzie ja takie oczy widziałem. Kogoś mi one przypominają. No mały, mów, jak się nazywasz?

— Sylwek,—niechętnie szepnęło dziecko.

— To jest, imię twoje Sylwester zapewne. Ale jak się nazywasz?

Głośniéj już i z uśmiechem, który przewinął się mu po wargach, lecz nic w sobie wesołego nie miał, odpowiedział:

— Cmentarnik.

— Dziwne nazwisko! ależ to być musi przezwanie tylko jakieś. Dla czegóż, mój mały, tak cię smutnie przezwano?

Oczy dziecka, głębokie i ponure, podniosły się aż ku twarzy pytającego i śmiało, wyzywająco nawet, utonęły w łagodnych jego oczach.

— Dla tego,—odpowiedział,—że wyrosłem i wyhodowałem się na cmentarzu.

— Oho!—z odcieniem żalu w głosie wyrzekł pan; -prawdziwy też z cibie kwiat cmentarny, bujny a smutny...

Na włosach dziecka, kruczych i kędzierzawych, położył rękę wytworną, wązką a długą.

— Cóż, mały...—zaczął, ale urwał nagle, bo Sylwek, niechętnym ruchem, usunął głowę z pod dłoni, która pieścić go chciała i ze szczególnym uporem przesuwał wciąż wzrok zamyślony po twarzy jego, postawie i ubraniu.

— Dzikie chłopię, — półgłosem, do towarzyszki swéj, rzekł piękny mężczyzna i dodał, że też to pośród cywilizacyi naszéj wzrastają jeszcze i żyją takie pierwotne istoty ludzkie!

Jakby znudzony już nieco, wyjął z kieszeni wytwornego ubrania duży, ozdobny pugilares, a dając chłopcu kilkurublowy banknot, rzekł:

— Masz, daję ci to na nowe trzewiki... jesteś wpółbosy biedaku, a tańczysz po kamieniach...

Ale Sylwek tak zamyślony był i zapatrzony, że nie spostrzegł newet ofiarowywanego mu daru. Pochwycił go za to szybką dłonią stary katarynkarz i, zginając się aż ku ziemi, rozpłynął się cały w dziękczynnych i błogosławiących szeptach.

W téj chwili, z za pleców wysokiego mężczyzny, wysunął się wyrostek ów, w wyszarzanym szkolnym mundurku, i z nieśmiałością, którą przezwyciężała zazdrość, zawołał:

— Ależ, wujaszku, na co jemu tak wiele dawać! Taki ulicznik...

Teraz Sylwek spostrzegł go po raz pierwszy i drgnął cały. Aha!—zawoła mimowoli z akcentem zdziwienia i radości. Spojrzeli na siebie i poznali się wzajem. W mgnieniu oka chłopca, z czerwonawą cerą i zézowatemi nieco oczami, na ganku już nie było. Zmięszany, strwożony nawet, wśliznął się on szybko do wnętrza domu, a Sylwek wpatrywał się znowu w pięknego pana, który rozmawiał półgłosem z niemłodą kobiétą.

— Coraz bardziéj nie rad jestem z Morysia,—mówił,— nie tylko, że się źle uczy, ale nawet dobrego serca w nim nie spostrzegam...

Kobiéta błagalnie splotła blade i chude ręce.

— Mój Tytusie,—szepnęła,—nie sądź ty go tak surowo. Ja matka, ja wiem najlepiéj, że to jest złote serce, najpoczciwsze pod słońcem dziecko... Leniwy trochę, to prawda, ależ to jeszcze takie małe...

— Nie jest już wcale małym... rozpieściłaś go, Placydo, i po prawdzie dużo jest w tém wszystkiém winy twojéj... To ci tylko stanowczo powiedziéć muszę, że jeśli w tym roku jeszcze promocyi nie dostanie, do rzemiosła go oddam...

Kobiéta westchnęła i ze smutnie spuszczoną głową postąpiła ku drzwiom, do których téż zwrócił się towarzysz jéj, z grzecznością, pełną uszanowania, ustępując jéj pierwszego kroku.

Przez całą cichą i krótką rozmowę powyższą, Sylwek nie przestawał patrzéć na pięknego i wyniosłego pana. Nie podsłuchiwał wcale tego, co mówił on; zdawało się nawet, że zapomniał o tém spotkaniu z wyrostkiem w mundurku,

który go niegdyś znalezionego skarbu pozbawił.—cała dusza jego była w oczach. Patrzał na włosy mężczyzny, dumnie jakby odrzucone nad czołem gładkiem i białem, na cienkie czarne ubranie, na złoty łańcuch od zegarka i iskrzący się na palcu wielki brylant pierścionka, oczy jego były wciąż zadumane i ponure; a jakich doświadczał uczuć, jakie myśli i wspomnienia budziła w nim wytworna postać ta, któréj podobne bardzo zdaleka tylko dotąd widywał i któréj poraz pierwszy przypatrzył się zbliska, wyraził to po części, gdy, wraz ze starym katarynkarzem, znalazł się za bramą dziedzińca.

— Dziadźku!—rzekł—pamiętacie wy tego pana, co to u nas był kiedyś... tam... tak dużo gadał i tak pięknie grał?

Łukasz po długim namyśle odpowiedział:

— Ot i niepamiętam... cościś jakby przez sen... ale taki niepamiętam.

— A ja pamiętam!—tryumfującym głosem wykrzyknął Sylwek.

— To i cóż—zapytał katarynkarz.

Chłopak wzniósł kędyś w górę ogniste swe źrenice. Białe zęby jego błysnęły tak, jakby niémi coś lub kogoś ukąsić zapragnął.

— A nic,—odpowiedział,—tak sobie... przypomniał mi się, kiedym patrzał na tego, co mieszka... tam wysoko!...

Część druga.

I.

Było to okno małe, brudne, w dzień zapłakane mętną a nigdy nie wysychającą wilgocią, w nocy świecące mdłem światełkiem lampki, któréj długi okopcony komin widać było z za rzędów butelek, ustawionych za szybami, na drewnianych pułkach. W ciemne noce, jesienne i zimowe, okno to było jedyném światłem, migocącém pośród długiego zaułka, którego szlak, czarny i wązki, gubił się kędyś daleko, w opuszczonych ruinach wspaniałego niegdyś gmachu.

Z obu stron okna tego, tkwiącego w zczerniałéj i pochyłéj ścianie, panowały ciemności bez dna, zda się, ni końca; naprzeciw błędny promyk padał zeń na gnijący parkan, za którym czuć było szeroką pustkę; w dole światełko jego odbijało się i drgało w leniwie ciekących wodach rynsztoka.

Wieczór był jeszcze nie późny, lecz bardzo ciemny; na całéj długości zaułka panowała cisza prawie nieskazitelna, gdyż zrzadka tylko i słabo mącona, dochodzącemi tu i wnet milknącemi, wybuchami oddalonego miejskiego gwaru. W tém tylko miejscu, kędy świeciło okno, z rzędami butelek i wy-

glądającym z pośród nich okopconym kominem lampki, w powietrzu, zgęszczonem od mgły deszczowéj i błotnistych wyziewów, ciężko i głucho toczył się szum przyciszony, z głębi jakby budynku, w którego ścianie tkwiło okno, wychodzący, ale z dalekiéj jego głębi, z za niejednych drzwi zamkniętych, z dziedzińca oparkanionego, z za szyb, okiennicami osłoniętych. Był to rozgwar jakiś nieokreślony, to przycichający, to wzdymający się chwilami, a w którym nic, żadnego głosu wyraźnego, żadnego brzmienia, z pochodzeniem zrozumiałém, wyróżnić było niepodobna.

W dole za to, tuż pod oknem, z pośród szmerów wiatru i plusków rynsztoka, wyróżnić się dawał wyraźnie oddech piersi ludzkiéj, chwilami zaledzie dosłyszalny, lecz chwilami sapiący i spieszny tak, jakby się tam komuś na płacz zbierało. Niekiedy odzywał się téż tam szept urywany, a coraz głośniéjszy i jakby niecierpliwszy, przyciszone niby i trwożliwe, a nadaremne przywoływanie kogoś. Potém, u dołu ściany, dał się słyszeć szelest poruszającego się jakiegoś ciała, pod dotknięciem jego plusnęła jakaś kałuża, i z grubéj ciemności, na mętne światło spływające z okna, wydobyło się coś małego, coś po mokrych kamieniach pełznącego, a mającego pozór czworonożnego zwierzątka. U samego brzegu rynsztoka, to małe, a w ciemności nieokreślone, stworzenie znieruchomiało i wydało z siebie głos. Był to głos dziecinny, srebrny, wpółsmutny a wpółrozkapryszony, z niecierpliwością połączoną, z utęsknieniem wołający ku mętnym szybom i ustawionym za niemi butelkom.

— Papciu! papciu! papciu!

Zarazem, światło, pochodzące od lampki z długim okopconym kominem, oświeciło drobną postać tę, która, rękami przytrzymując się pochyłości, rozdzielającéj ścianę z ryn-

sztokiem, podnosiła ku oknu okrągłą, bladą twarz dziecinną, wydobywającą się z grubych zwojów mokréj chusty, a opłyniętą, niby strugami złota, długiemi kędziorami złocistopłowych włosów. Włosy te i rysy małéj twarzy domyśleć się pozwalały, że była to dziewczynka.

Po kilka razy jeszcze powtarzała wołanie swoje, aż umilkła znowu, i na mokrych kamieniach w skurczonéj postawie siedząc, a w okno, zapełnione butelkami, wlepiając źrenice, jak turkusy błękitne, szeptać zaczęła:

— Siedzi i siedzi! znów upije się i na drabinę polezie! Jeszcze kiedy spadnie, zabije się i umrze! Tak jak Tadzio!... Zmarł i—nie ma!

I z całéj siły drobnéj piersi swéj, drgającéj płaczem, wołać zaczęła znowu:

— Papciu! papciu! papciu!

Całą odpowiedzią, na rozpaczliwe to dziecinne wołanie, był, wciąż toczący się kędyś, we wnętrzu domostwa, głuchy szum i rozgwar...

Dziecko szepnęło:

— Ot pójdę... za rękę wezmę i do domu zaprowadzę... Co ma tam całą noc siedzieć, jak ostatni pjanica jakiś!...

Zrobiła poruszenie takie, jakby posunąć się chciała ku, znajdującym się obok okna, wązkim i szczelnie zamkniętym drzwiczkom, lecz wzrok jéj upadł na najwyższe szyby okna i znieruchomiała znowu.

— Aha!—zawołała z nagłym, promiennym uśmiechem.— Ptaś! ptaś! śpiewuś! maleńki... mój!...

Przedmiotem, w którym tkwiły rozpromienione oczy dziecka, była klatka, wisząca nad rzędami butelek, za najwyższemi szybami okna. W klatce, na drewnianym pręciku, ze zjeżonemi żółtemi pióry, siedział kanarek. Żółta nić pło-

mienia, wijąca się w okopconym kominie lampki, świeciła mu prosto w oczy. Ptak usnąć nie mógł, a małe, czarne źrenice jego rozwarte były, nieruchome i smutne. Dziecko, siedzące nad brzegiem rynsztoka, składając drobne wargi w zarys pieszczotliwy, wlepiało wzrok w ptaka, bezsennie dumającego za oknem szynkowni.

W téj chwili, zdaleka, z ulicy, do któréj przytykał odległy koniec zaułka, dała się słyszeć muzyka kataryłki. Arya uwięzionego w wieży Trubadura, która, po niezliczone tysiące razy wydobywając się z piersi genialnych artystów, napełniała sobą rzęsiście oświetlone sale teatrów, i wstrząsała sercami wytwornych słuchaczy, tym razem drżące trele swe lała na błoto i rynsztoki, pogrążone w grubych ciemnościach. Zbliżywszy się przecież ku zaułkowi, katarynka umilkła; natomiast rozległy się po kamieniach równe, silne, męzkie stąpania, aż nakoniec, tuż przy oknie szynku, ale w cieniu jeszcze, ozwał się dźwięczny, młody głos męzki:

— A ty Klarka znowu tutaj! w błocie siedzisz, jak żaba, i na papkę swego czekasz! Ha! Klarka! czy to ty, czy psiątko jakie?

— Ja!—odpowiedziała dziewczynka i pytającym tonem dodała:

— Sylwek! czy co?

— Czy co? czy co?—przedrzeźnił ją głos męzki,—cygan może, wilk, niedźwiedź! Hu nu! Hu nu!

Wraz z tém naśladowaniem niedźwiedziego ryku, czy wilczego wycia, ciężki przedmiot jakiś, na ziemi stawiony, stuknął o kamienie, a dwoje ramion, gibkich i silnych, opasało dziecko i podniosło je z nad ziemi. Wtedy, w mętném oświetleniu, spływającém z okna szynku, inny znowu ukazał

się obraz. Składał go młody urodziwy chłopak, w bluzie, przepasanej rzemiennym pasem, w ramionach trzymający pięcioletnią dziewczynę, z której zsunęła się mokra chusta, a którą w zamian nawpół okryły długie, złociste włosy. Czoło i oczy jego ocienione były szerokiemi brzegami grzybowatego kapelusza, a usta, cienkie i pąsowe, z uśmiechem pochylały się ku czołu dziecka.

— Zanieść cię do domu, co? Kocię ty małe! a to tak, jak wtedy, w rynsztok wpadniesz i skąpiesz się w błocie... No pójdziem! zaniosę cię do mamy!

Dziecko gniewnie rzuciło się w jego objęciu.

— Ja chcę papki... — wołać zaczęła; — papko tam! tak już dawno! papko biédny! papkę skrzywdzili! Ja chcę papki!

— Ale! — przeciągle zaśmiał się chłopak w bluzie, — papkę skrzywdzili! papko biedny! jak szpaczek powtarzasz, co papko gada, jak upije się. No nic mu się nie stanie. Przyjdzie do chaty pijany, wyśpi się i jutro upije się znowu. A ty, jak będziesz tak nocami walać się w błocie, zachorujesz jeszcze i zamrzesz... tak jak Tadzio!

Dziewczynka, ramieniem otaczając szyję jego, przybrała postawę, pełną zaniedbania i ufności. Drobny palec trzymała przy bledziutkich wargach, i zamyślonym wzrokiem na kanarka znowu patrzała.

— Sylwek! — zaszczebiotała, — o! widzisz! ptaś! biedny ptaś... śpiewuś milutki mój!

Wyrazy te wymawiając, znikała stopniowo z mętnie oświetlonego tła i wraz z młodym mężczyzną, który ją unosił, wsuwała się w cień. Drobne ramię z palcem, wyciągniętym ku kanarkowi, znikło ostatnie, a w ciemności dał się słyszeć głos młodego mężczyzny:

— Aha! pięknie tam bawi się ptaś twój! Wczoraj Wincek mularczyk oczy mu chciał wyłupić, a potem upoił bułką, moczoną w wódce. Papko ptasia twego w zastaw za kruczek wódki oddał, wykupić go ani myśli... już chyba ja ci go kiedy wykupię, jak mi z okien dużo srebrnych groszy narzucają...

Tu ze stukiem zardzewiałych zawias i klekotaniem złamanéj klamki otworzyła się i wnet zamknęła furtka, umieszczona w pochyłym parkanie. Sylwek, niosąc wciąż Klarkę w objęciu, wszedł na dziedziniec długi i wązki, kształtem swym do jakiejś przepaścistéj szyi podobny, którego stronę jedną zajmowało długie nizkie domostwo, drugą otaczały rozwalone płoty i budynki, a daleka głębia, w ciemności nawet, czerniała jakąś wysoką i u szczytu w różne kształty połamaną budową. Długie, nizkie domostwo było tém samem, którego front, ku zaułkowi zwrócony, posiadał jedno tylko okno i jedne wązkie drzwiczki. Od strony zaułka miało ono pozór malutkiego domku; w istocie zaś było obszerną, próchniejącą ruderą, która jednym szeregiem okien zwracała się ku dziedzińcowi, drugim—ku wązkiemu i błotnistemu pasowi ziemi, wiecznie pustéj, a otoczonéj parkanem z desek tak wysokim, że zarówno światłu dziennemu, jak spojrzeniom ludzkim przystęp do okien tamującym. Okna rudery osłonięte były okiennicami, których szczeliny przepuszczały gdzie-niegdzie wązkie strugi światła. Pomimo okiennic jednak, szum ów nieokreślony, dający się słyszeć już w zaułku, stawał się ze strony dziedzińca głośniéjszym i wyraźniéjszym.

Młody wysmukły chłopak, niosący w ramionach malutką dziewczynkę, minął okna długiéj rudery i zmierzał ku wysokiéj i połamanéj masie owéj, w głębi dziedzińca czernie-

jącéj. Jakkolwiek ruchy jego silne były i zgrabne, jakkolwiek miéjscowość tę znać musiał wybornie, potknął się jednak parę razy o sterczące jakieś kupy kamieni, czy śmiecia, a stopy jego co chwilę pluskały w kałużach, stojących we wklęskłościach zepsutego bruku. Dosięgłszy nakoniec czarnéj wysokiéj budowy, wszedł do ciemnych sieni, których drzwi, kołysząc się na jednéj tylko zawiasie, od chwili do chwili, przeciągle jęczały. Omackiem dosięgnął innych drzwi, które też stały otworem, przez chwilę szedł wązkim korytarzem, śród zupełnéj pustki którego kroki jego rozlegały się monotonnie i donośnie, a który posiadał dwa otwory okienne, szyb pozbawione, aż nakoniec, wspiąwszy się po kilku wschodach, przeciągał ręką po chropawéj ścianie dopóty, aż znalazł znowu drzwi, które, tak jak wszystkie poprzedzające, zamkniętemi nie były.

— Ależ u was dom, na wszystkie cztery wiatry otwarty!— mruknął i dodał:—no prawda! goły złodziejów nie boi się.

Zatrzymał się chwilę w owych drzwiach, nad kilku wschodami otwartych, i patrzał znowu w ciemność, z głębi któréj, z drugiego jakby pokoju, dochodził dźwięczny i przewlekły, pieszczony i zarazem cierpiący, głos niewieści:

— Cała to moja przyjemność, kochana pani, całe to moje szczęście i cała moja pociecha w tém smutném życiu mojém! Co jabym nieszczęsna poczęła, gdybym jeszcze tych moich kochanych książek nie miała, gdybym się niemi nie upijała, gdyby mię one w lepsze, promienniéjsze światy nie unosiły. Nieuwierzysz, jakiéj rozkoszy doznaję, gdy, imaginacyą przynajmniéj, unoszę się w krainy miłości i zachwytów, w świat elegancyi, salonów, rycerzy, hrabiów i książąt!... w świat mój rodzinny... Wszak wiesz dobrze, moja pani Lirska, że to jest świat mój rodzinny...

— Tak, tak,—ozwał się drugi głos kobiécy,—ja tylko zawsze sobie myślę, zkąd ty, Helenko, książki te dostajesz... to droga podobno rzecz...

— Zostało mi ich trochę, z dawnych, świetnych czasów moich! a przytém... przyznam ci się, moja pani Placydo, że czasem od ust sobie odejmuję, a wlokę się do miasta... tak wlokę się, bo ze zdrowiem mojém biegać nie podobna, a i chodzić nawet trudno... wlokę się więc i kupuję... nie zjem, nie ubiorę się, a kupuję...

— Ależ...—zaczął drugi głos niewieści,—ależ... dziatki twoje... dziatki!

W téj chwili, w drugim końcu ciemności, zabrzmiał głos męzki:

— Klarkę przyniosłem!

— Ach! ach!—rozległ się, pełen przestrachu, krzyk niewieści. Lecz głos męzki, na krzyk ten żadnéj nie zwracając uwagi, śmiało i szorstko nawet, mówił daléj:

— Niech pani świecę zapali i Klarkę weźmie. Tarza się to w błocie i pod rynami, zmokła jak szczenię!

— O, pani Lirska, moja pani Lirska! zapal świecę! zmiłuj się, zapal świecę! Ach! jakże się zlękłam! O, serce moje! serce! uderza jak młot!... Pani Placydo, świecę! prędzéj, świecę! bo jeszcze zemdleję!...

— Kiedyż niewiem, gdzie świeca i zapałki!—z odcieniem niecierpliwości odpowiedział drugi głos kobiécy.

— Tam... tam... na komodzie, pod ścianą... aj! nogi moje, jak z drewna... ruszyć się nie mogę!...

Po krótko trwającym szeleście, sprawianym przez ręce, szukające omackiem żądanych przedmiotów, błysnął płomyk zapałki, a kobiéta, w czarnéj sukni i białym czepku, z bladą łagodną twarzą i siwiejącemi włosami, zapaliła ogarek

stearynowéj świecy, tkwiący w lichtarzu, oblepionym grubą warstwą łoju i stearyny. Wtedy można już było rozejrzeć się nieco po tém szczególném mieszkaniu, którego wszystkie drzwi stały otworem, a w którém, pośród grubéj ciemności i mrożącego chłodu, wiejącego ze wschodów, korytarzy i sieni, pieszczony głos kobiécy mówił o elegancyi, salonach, rycerzach, hrabiach i książkach. Mieszkanie to składało się z dwóch pokojów wielkich i wysokich. Kiedyś były to zapewne salony ludzi możnych lub, prawopodobniéj jeszcze, sale fabryczne. Teraz ogromne, wysokie ściany, nagie zupełnie, brudne, z opadającym tu i owdzie tynkiem, wyglądały ponuro i nudnie. Ponuremi téż i dziwnie smutnemi były ogromne okna, zaopatrzone w ramy i szyby, które w różnych czasach i okolicznościach wstawiać w nie musiano, bo posiadały wielkość i kształt rozmaity. Pierwszy od wejścia pokój był pustym zupełnie; w jednym tylko z kątów jego stał sztywny piecyk żelazny, a w drugim leżało trochę połamanych gratów i parę posłań ze zmiętéj słomy, okrytéj zgrzebném płótnem. Drugi za to pokój posiadał znaczną ilość sprzętów; dwa łóżka z tak szczupłą, że niewidzialną prawie, pościelą, komodę, okrytą kilkunastu podartemi książkami, szafkę z trochą talerzy i garnków, kilka stołków, zgrabne i nowe jeszcze łóżeczko dziecinne, szezlong nakoniec, strasznie brudnym i podartym perkalem okryty, a na którym, w znękanéj i mdlejącéj postawie, wpółleżała kobiéta średniego wieku, wysoka i chuda. Była ona nawet bardzo chudą, oczy miała głęboko zapadłe i kości na twarzy i szyi wystające. Pomimo jednak oznak tych wyniszczenia, znać było, że kiedyś piękną być musiała, a i teraz jeszcze powierzchowność jéj posiadała wdzięk pewien delikatny i cierpiący. Włosy miała prześliczne, zło-

ciste i ogromne. Ubranie jéj składało się z ciemnéj sukni zniszczonéj, podartéj i różowego łachmanka, zalotnie zarzuconego na chude ramiona.

Kiedy niemłoda kobiéta, któréj powierzchowność posiadała skromny, lecz dostatni pozór, zapaliła świecę, Sylwek postawił Klarkę na ziemi i, trzymając ją za rękę, postąpił naprzód. Nie wszedł jednak do drugiego pokoju, tylko zatrzymał się przed progiem w cieniu. Kobiéta, na szezlągu leżąca, patrzała ku niemu przymrużonemi trochę oczami. Ochłonęła już z przestrachu, jakim nabawiło ją niespodziane odezwanie się przybyłego, i z dumném poruszeniem głowy wymówiła:

— Niepotrzebnie fatygowałeś się, mój kochany! Klarka wróciłaby sama do domu, a już ci wiele razy mówiłam, żebyś nie zbliżał się do dzieci moich... nie jesteś dla nich towarzystwem stosowném...

Za progiem przyległego ciemnego pokoju rozległ się głośny. szyderski śmiech.

— A — le! — zawołał Sylwek, — niemam zbliżać się do dzieci pani... zbliżają się one do gorszych jeszcze, jak ja... Misia widziałem dziś, jak z ulicznikami koziołki na kupach śmieci wywracał, a Damek podobno ukradł coś wczoraj u majstrowéj i bardzo zbliżył się do batoga majstra... Ot jak! A co się tyczy Klarki, to już pani na to nic nie poradzisz! my z sobą w przyjaźni od tego czasu, kiedym to ją z szynku pijaną wyniósł, do doktora poniósł, wyleczył i piernikami opchał, tak że się znowu rozchorowała...

Ostatnim wyrazom towarzyszył znowu śmiech wesoły, a Klarka, która na łóżeczku swém usiadła, patrząc na stojącego w cieniu przyjaciela swego i trzęsąc złotemi lokami, zanosiła się też od śmiechu.

— Jezus. Marya!—krzyknęła niemłoda kobiéta w czarnej sukni,—to maleństwo było już pijane!

— A tak pani, — odpowiedział z cienia głos męzki, — przyszła po ojca... do szynku, i spoili ją dla zabawy... ot, tak samo, jak wczoraj kanarka! Bądźcie zdrowi! Dobranoc Klarko.

Głośny całus, rzucony ręką w stronę dziecka, rozległ się w ciemnym pokoju, i drzwi od wschodów, po długiém pracowitém stukaniu i trzęsieniu niémi wychodzącego, zamknęły się o tyle, że wilgotne powietrze korytarza i sieni wiać z nich przestało.

— Któż to był taki, Helenko! — zapytała niemłoda kobiéta, na bladéj i łagodnéj twarzy któréj malował się głęboki niesmak.

Helena przymknęła powieki swe ciemne, zmęczone i znękanym głosem wymówiła:

— A! katarynkarz jakiś! Podobno skoczkiem ulicznym był, potém mularczykiem, a teraz z katarynką chodzi! Rozkochał się formalnie w Klarce i nieproszony, niedziękowany, wiecznie się nią opiekuje! Dziecko to ma dziwne szczęście do ludzi! nadzwyczaj do mnie podobna! Czy uważasz, Placydo, że Klarka zupełnie moje ma rysy, moje włosy i oczy. Ja także... kiedyś... miałam szczęście do ludzi... Pamiętam, kiedy z moją matką pierwszy raz byłam na balu u książąt...

— Moja Helenko, — łagodnie przerwała jéj towarzyszka,—co było, to nie jest. Ale teraz, kiedy jesteście już tak biedni, powinnabyś lepiéj naglądać na dzieci...

Helena chudemi i bardzo białemi dłońmi głowę sobie objęła.

— Ach! ach!—zawołała,—głowa moja! biedna moja głowa! Tak mię zawsze głowa boli, a nocami, moja pani Pla-

cydo, aż zanoszę się od kaszlu... W piersi jakbym szpilki miała, czy żmije.

Przycisnęła dłoń do wklęsłéj istotnie i pod barwistym łachmankiem ciężko oddychającéj piersi.

Placyda Lirska patrzała na nią ze współczuciem.

— Niezdrowe życie prowadzisz,—zaczęła,—nigdy prawie z tego wilgotnego i zimnego mieszkania nie wychodzisz, źle jadasz, a po całych nocach nie sypiasz i książki czytasz... Herkules by nie wytrzymał. Już wiele razy radziłam ci: zamiast z garkuchni brać obiady, zajmij się sama gospodarstwem, chodź do miasta, kupuj... gotuj... rozruszasz się... będziesz zdrowa...

Helena poruszyła ręką w sposób, oznaczający najwyższe zniechęcenie.

— Nie umiem,—szepnęła,—i... nie mogę! Nerwy moje takie wrażliwe... wzdrygam się na widok surowego mięsa... Zresztą, nic mię nie obchodzi... czekam tylko téj chwili, w któréj cicho się robi koło mnie, aby wziąść książkę i czytać... czytać... czytać, aż do zapomnienia o wszystkiem, aż do upicia się. Noce są dla mnie najszczęśliwsze, bo wtedy wszyscy śpią i nikt mi nie przeszkadza. Tylko, że nie zawsze mam świece... to téż oszczędzam je jak mogę... dla tego i panią dziś przyjmowałam w ciemności, bo ot, oprócz ogarka tego, jedną już tylko świecę mam w komodzie, a kupić ich więcéj niéma teraz za co...

— Otóż to! otóż to!—zaczęła Lirska,—żebyś ty od czytania romansów tych odzwyczaiła się trochę,.. żebyś się trochę pojednała z życiem... choć ciężkiem, ale...

Helena wyprostowała się. Rumieniec wytrysnął na chude jéj policzki, zapadłe oczy błysnęły.

— O!—zawołała. — dziwna rzecz! wszystkim wszystko wolno, tylko mnie nic! Ileż to kobiet, w położeniu mojém,

w moim wieku i z moją powierzchownością. poszłoby szukać dla siebie szczęścia... chociażby na drogach występku! Ja nie! ja zostałam wierną żoną... jakiego męża? Ja zagrzebałam się żywcem w nędzy i upokorzeniach! Ja umieram z tęsknoty i smutku, lecz z drogi cnoty nie zstępuję! A .jednak jest na świecie miłość i szczęście... są na świecie dostatki, zabawy i rozkosze... Jeżeli niemam ich nigdy posiadać w rzeczywistości, niechże je czasem mam choć w złudzeniu!...

Placyda nie odpowiedziała nic; po chwili dopiero zcicha i nieśmiało zapytała:

— Cóż Hilary? często się teraz upija?

Helena uśmiechnęła się z goryczą.

— Jak czasem,—odparła.— Miewa on dnie upamiętania, w których pracuje... przepisuje papiery dla adwokatów i wszystkie zarobione pieniądze mnie oddaje... Przyznam ci się, że dnie te są dla mnie najcięższe... ciągle mieć kogoś tuż obok siebie... ani chwili samotności... przytém dokucza mi wtedy o te czytanie moje... wymawia wciąż, że dziećmi się nie zajmuję, a taki ma niedelikatny sposób wyrażania się, że kiedy składa pióro i przestaje pisać, to mi nerwy aż drętwieją z trwogi, aby do mnie nie przemówił... To też najczęściej bierze Klarkę na kolana i pieści ją godzinami całemi. Rok przeszło temu, w takim przystępie trzeźwości, oddał Damka na naukę do ślusara... Prosiłam, błagałam, aby tego nie czynił. Powtarzałam sto razy, że przecież krewni moi odezwą się kiedyś, przypomną sobie o mnie, a wtedy dzieci nasze wysoko pójdą... Nie słuchał niczego, mnóstwo tylko grubijaństw mi nagadał i Damka do terminu oddał... Dziecko moje terminuje u ślusarza! O! ironio losu!

Lirska znowu wstrząsała głową.

— Już to, kochanko,—zaczęła,—takie znać teraz czasy... Mnie saméj było bardzo, bardzo przykro, kiedy kuzyn mój, Tytus Tarżyc, Morysia mego do garbarni na naukę oddawał... W rozum jego wierzę, za anielską jego dobroć, dla mnie i dla dziecka mego, wdzięczną mu jestem z całéj duszy. Jednakowoż przykro mi to jakoś było. Nieboszczyk, najdroższy mąż mój, ze szlacheckiéj familii pochodził i zawsze przecież urzędnikiem był... moja matka, Tarżycówna z domu... dziwném mi się więc wydawało, aby Moryś garbarzem został, choć Tytus nawet mówił i przyrzekał, że, jeśli z chłopca zadowolonym będzie, kiedyś mu kapitalik na założenie własnéj fabryki da... Nie sprzeciwiałam się zacnemu krewnemu, z łaski którego żyjemy, ale wolałabym, żeby Moryś szkoły był skończył i czém innem został. Dziecko słabowite było, nauki mu nie szły jakoś, promocyi nie dostawał... Potém i w garbarni nie długo był. Nie na jego to siły robota... delikatny taki i swobodę lubi, zwyczajnie młody. Tytus rozgniewał się, pensyą mi płaci jak płacił, ale dla Morysia obojętny, prawie niechętny. Dziecko desperuje nad tém i z desperacyi... trochę szaleje. Ot i teraz, przyznam się tobie, moja Helenko, że przyszłam tu... przyszłam tu...

Zawahała się. Spuściła oczy. Głos jéj stawał się smutnym i drżącym.

— Przyszłam tu naturalnie dla tego naprzód, aby ciebie odwiedzić, a potém... powiedziano mi, że Moryś bywa czasem... na waszym dziedzińcu... w tém samém miejscu... gdzie mąż twój bywa... Otóż, myślałam, że dowiem się, jakimkolwiek sposobem, czy to prawda, a nawet będę cię prosić, abyś mi w tém dopomogła...

— Jakże ja pani dopomódz mogę, moja pani Placydo?— zapytała Helena, któréj omdlałe oczy, co chwilę spoglądające ku leżącym na komodzie książkom, objawiały, że od chwili, w któréj o saméj sobie mówić przestała, nudzić się i odejścia gościa niecierpliwie oczekiwać zaczęła.

— Myślałam... że poślesz tam kogo, aby zobaczył...

— Kogóż ja mogę posłać? lokajów przecież niemam...

— Jaka szkoda! jaka szkoda!—mówiła do siebie kobiéta w białym czepku,—żem o to tego katarynkarza nie poprosiła... chociaż to wstyd... ale cóż robić? wiedziałabym przynajmniéj, co mam odpowiadać tym, którzy plotki takie o mojém dziecku po świecie roznoszą!... Moja Helenko! pomóż mi... poślij kogo... sąsiada może jakiego albo sąsiadkę...

— Ja z tutejszymi mieszkańcami żadnych stosunków niémam! — z coraz widoczniejszém znudzeniem odparła Helena,—żeby Damek albo Miś byli w domu, tobym ich posłała...

— Jakto! — wykrzyknęła Placyda,—synów swoich posłałabyś do... do...

Nie dokończyła. Nie mogła wymówić nazwy miejsca, do którego że syn jéj uczęszcza przypuszczała.

Helena wzruszyła ramionami.

— A cóż! oni do tego przywykli! Chodzą tam często do ojca i po ojca... Są to, moja pani Placydo, daleko mniéj dzieci moje, jak Hilarego... po Hilarym poszły wszystkie... nawet Klarka... która dla mnie obojętną jest zupełnie, a za ojcem przepada. Od czasu, kiedy mój najstarszy, mój śliczny Tadzio, umarł, ja... uważam się za bezdzietną... Dla mnie w niczém i nigdzie pociechy niéma... Mnie nikt nie kocha... Ja tylko złudzeniami żyć muszę... We mnie...

Rozgadała się znowu o sobie i ożywiła się. Tym razem jednak łagodna i współczująca towarzyszka jéj, zda-

wała się jéj nie słuchać. Zapadła ona w głęboką i smutną zadumę.

— O mój Boże!—rzekła po chwili zcicha i w zamyśleniu,—co téżby najdroższy mój Wincenty powiedział, gdyby wstał z grobu... Najlepszy przyjaciel jego, Hilary Szarski, taki porządny i rozsądny człowiek, w... szynku... rodzone jego dziecko, śliczne takie, dobre, rozumne dziecko, może... Co się to na świécie z ludźmi dzieje! Przyjaciółmi i kolegami w jednem biórze byli... traf! wypędzili obu! za co? Boże wielki, bądź Ty sędzią naszym. Wzięli sobie tak do serca krzywdę swoję i biédę, w którą popadli, że jeden gryzł się i zagryzł na śmierć, a drugi... do dziś dnia w wódce szuka pociechy!... O! Boże sprawiedliwy, bądź Ty mścicielem naszym!...

Z kieszeni czarnéj sukni wydobyła chustkę, otarła nią zwilżone łzami oczy. Helena tymczasem, z pod poduszki, wypchanéj sianem i oszytéj drylichem, która przyozdabiała i udogodniała brudny szezląg, wysunęła nieznacznie książkę i chudemi swemi białemi palcami podarte kartki jéj przewracać zaczęła.

W tém, z łoskotem, otworzyły się drzwi od wschodów i w pierwszym od wejścia ciemnym pokoju zatętniły dwie pary nóg, z których jedna obutą była, druga boso. W progu ukazało się dwóch chłopców. Starszy, obuty i w szaréj surducinie, wyglądał na lat trzynaście, młodszy, bosy i w ubraniu, które było spencerkiem niby, niby podartą bluzą, nie miał jeszcze dziesięciu. Stanęli w progu i zdyszanemi, od szybkiego biegu, głosami zawołali jednocześnie:

— Ojciec jest?

Klarka, która, w obłoconem ubraniu, spała już na swém małém, zgrabném łóżeczku, obudziła się, rozczochraną główkę ku braciom zwróciła i załośnym głosem zawołała:

— Niema papki! niema! papko w szynku! Upije się i znów na drabinę...

Nie dokończyła, bo głowa jéj opadła znowu na brudny wałek jakiś, za poduszkę służący, a powieki, z długiemi rzęsami, zakryły senne źrenice.

Helena przyciskała dłoń do czoła.

— Cicho! cicho! — jęczała, — nie krzyczcie tylko,—moi drodzy! Oj głowa moja... głowa! Takeście mię przelękli! Któż tak nagle i z hałasem wpada do domu! Czyż nigdy nie zdołam wyuczyć was przyzwoitszéj maniery!

Najlżejszéj uwagi nie zwracając, ani na jękliwą mowę matki, ani na obecność w mieszkaniu obcéj kobiéty, dwaj chłopcy, wprost z progu, popychając się i uderzając wzajem łokciami, rzucili się ku szafce, z za popękanych szybek któréj widać było kilka talerzy i garnków. Otworzyli szafkę i ze stukiem przesuwać zaczęli naczynia, szukając czegoś w głębi garnków, za talerzami, na wszystkich pułkach, wszędzie.

— Niéma nic!—zawołał starszy.

— Niéma nic!—z rozpaczliwym ruchem ramion powtórzył młodszy.

— Otóż to! — zaczął piérwszy, — tak zawsze! człowiek przychodzi od pracy i kruszynki chléba w domu nie znajduje! Ucz się ślusarki, ucz i chyba majstrowe żelazo z głodu gryź!

Młodszy chłopiec obie dłonie zatopił w rozczochranych, tak samo jasnych i złocistych, jak u Klarki, włosach.

— Tak zawsze!—płaczliwie skarżyć się zaczął,—kiedy ojca niema, to i jedzenia niéma! Mama wszystko sama zjé, zjé, albo książek sobie nakupuje, a dla nas figa! Tomaszek Ambrożowéj szczęśliwszy, bo mu matka codzień *taki*

kawałek chléba i kartofli da... i Antka szczęśliwsza, bo zawsze *taki* cokolwiek wyżebrze...

Z piersi Heleny wyrwało się głębokie westchnienie.

— O! jak mię te dzieci męczą! Zabijają mię! a jakie niesprawiedliwe! Cóż ja dziś jadłam? Obiadu z garkuchni sprowadzić nie było za co!... Hilary, co miał, to wziął z sobą... Bułkę jednę zjadłam i pół szklanki skwaśniałego mléka wypiłam... A one mi wymówki robią, że im wszystko zjadłam...

Kilka łez pociekło po cudnych policzkach jéj, blade wargi jéj drżały, a oczy, z za łez, z chciwą niecierpliwością zaglądały pomiędzy kartki trzymanéj w ręku książki. Placyda, z pełną smutku twarzą, skinęła na chłopców, aby przybliżyli się. Ani myśleli posłusznymi być jéj skinieniu; lecz, gdy tylko sięgnęła do kieszeni, wnet ku niéj obaj poskoczyli. Kiedy stanęli przy stole, na którym dopalał się ogarek świecy, można było rozpoznać, że mieli twarze roztropne i ładne. Źrenice starszego posiadały szczególną ruchliwość, biegały wciąż i błyskały jakby nieustannym niepokojem, czy ciekawością, czy jeszcze pożądliwością jakąś poruszane. W wyrazie twarzy młodszego panowało przeciwnie zadąsanie ponure. Ręce podnosił wciąż ku głowie i zatapiał w rozczochranych włosach, usta wydymał i w ziemię patrzał.

Placyda wyjęła z małéj portmonetki srebrny pieniążek i, podając go starszemu chłopcu, rzekła łagodnie:

— Idźcie do garkuchni i kupcie sobie za to wieczerzę!

Oczy obu chłopców błysnęły i ożywiły się. Po twarzy starszego przeleciał jakiś chytry, skośny uśmieszek. Uczynili obaj poruszenie, do ukłonu podobne, i już odbiedz mieli, gdy Lirska, wahającym się głosem, wymówiła:

— Zaczekajcie moje dzieci, zaczekajcie jeszcze trochę!

Stanęli, ale nogi drżały im od niecierpliwości.

— Moja Helenko! — zcicha zaczęła kobiéta, — ponieważ oni zwykle tam chodzą... to już może wszystko jedno... może poślesz Damcia, żeby zobaczył, że... że mego Morysia tam niéma...

Powolnym, pełnym znudzenia, ruchem Helena zwróciła głowę w stronę dzieci.

— Damek!—rzekła osłabionym głosem,—idź do handlu... poproś ojca, żeby wracał do domu i razém zobacz, czy tam jest p. Maurycy Lirski... znasz go przecież? syn pani...

— Czemu go znać niémam! — zaczął Damek, lecz Miś przerwał mu wykrzykiem:

— Jest, jest pewno! już ja go tam raz widział...

— Kłamiesz, moje dziecko, — drżącym głosem zaczęła niemłoda kobiéta, — bardzo to niepięknie kłamać... on tam nigdy do tego czasu nie był, ale dziś za interesem pójść miał, a ja chcę dowiedzieć się, czy jeszcze jest i czy mię do domu odprowadzi! Damciu! tyś starszy..., nie skłamiesz! idź, zobacz i wróć zaraz, żeby mi powiedzieć...

— Idę!—krzyknął Damek.

— I ja idę!—głośniéj jeszcze powtórzył Miś.

Wyrzucając nogami i chichocąc, wybiegli z pokoju.

— Powróć tylko zaraz i powiedz!—rzuciła za nimi Placyda.

— Przylecę, przylecę i oznajmię, — odrzucił jéj z za drzwi już Damek.

Kobiéty znowu zostały same. Helena milczała i patrzała w książkę. Placyda, z oczami wlepionemi w ziemię i rękami silnie przyciśniętemi do piersi, kołysała się zlekka w obie strony. Bledszą była, niż przed chwilą. Parę razy w zamyśleniu szepnęła:

— Ot do czego przyszło! do czego przyszło...

A potém:

— Pewno nie! pewno nie! plotki!

Po chwili rozwarły się drzwi od wschodów i w ciemności głos Damka rozbrzmiał tak donośnie, jak gdyby wołał do kogoś niezmiernie oddalonego:

— Jest, jest! w bilard gra i bardzo perfumami pachnie!

Drzwi zamknęły się ze stukiem, Placyda zerwała się z krzesła i obie dłonie do schylonéj głowy podniosła.

— Co mnie teraz robić? — szeptać zaczęła, — co robić? Czy iść tam i prosić go... błagać... aby wyszedł!... czy jutro dopiéro powiedzieć... czy udać, że nie wiem! Oj, dziecko moje, biedne dziecko! co Tytus powie, jeżeli mu kto doniesie! co mój najdroższy Wincenty czuje, jeśli z tamtego świata widzi...

Szepcąc tak, drżącemi dłońmi zbierała z kulawych stołków okrycie swe, kapturek, woalkę i inne części jesiennego ubrania.

Stanęła na środku pokoju; heroiczne jakieś postanowienie odmalowało się na wzburzonéj jéj twarzy.

— Pójdę,—rzekła,—pójdę i wyprowadzę go ztamtąd... to co że szynk?... O, Boże mój! jak żyję, nigdy noga moja... w takich miéjscach...

Zalała się łzami i postąpiła ku drzwiom. Stanęła jednak znowu.

— Rozgniewa się...—zaczęła,—powie, że szpieguję go, dręczę, życie mu zatruwam... Biedne dziecko! smutne życie ma! to prawda! lepiéj może jutro powiem... uklęknę przed nim... błagać będę... a teraz tylko przez okna zajrzę, choć przez szczeliny... może to jeszcze nieprawda!...

Wyszła, we wzburzeniu swém zapominając o pożegnaniu się z gospodynią domu. Lecz Helena bynajmniéj tego nie spostrzegła. Od chwili, w któréj, po odejściu dzieci, w pokoju zrobiła się cisza, a Placyda mówić do niéj przestała, całą duszą utonęła w czytaniu. Nie słyszała, ani wykrzyku Damka, oznajmującego o bytności w szynku Morysia Lirskiego, nie widziała rozpaczy, wahań się i odejścia towarzyszki. Oderwała oczy od kart wtedy tylko, gdy, dopalająca się już ze szczętem, świeca poczęła buchać z głębi załojonego lichtarza jaskrawym płomieniem, to znowu przygasać tak, że na karty książki spadała ciemność zupełna. Wtedy wstała z szezląga i poszła ku komodzie, stojącéj przy odległéj ścianie. Kibić jéj była wysmukła i zgrabna, ruchy nerwowe i nierówne. Odsunęła szufladę, wyjęła z niéj połowę stearynowéj świecy, którą, śpiesząc się wciąż bardzo. jako-tako wprawiła w lichtarz i postawiła na małym, brudnym i chwiejącym się stole. Potém ułożyła się wygodnie na szezlągu, głowę wspierając na poduszce, sianem wypchanéj, i znowu czytać zaczęła.

Teraz, w wielkich, wysokich, nagich pokojach zapanowała cisza grobowa. Od czasu do czasu tylko wiatr, lecący ze wschodów i korytarza, postukiwał zlekka źle zamykającemi się drzwiami, a pod sufitem monotonnie brzęczała mucha, w pajęczynie uwięziona. Leżąca na szezlągu kobiéta, drżącemi palcami przewracała kartki małéj książeczki, będącéj 12-tym tomem jakiegoś nieskończenie długiego romansu, w którym tłumem wielkim roili się książęta i złoczyńcy, wielkie panie i upadłe kobiéty, salony i otchłanie, bohaterstwa i zbrodnie, szały, rozkosze i męki miłosne. Czytała, pochłaniała to wszystko całą pełnią zapadłéj swéj piersi, całą siłą mózgu, zamkniętego w małéj, kształtnéj

głowie; czytała wciąż, a coraz prędzéj i łakomiéj. Zapadłe policzki jéj zarumieniły się, błękitne źrenice rozgorzały, bujne, jasne włosy rozsypały się po poduszce i szezlągu. Machinalnie, tak, jakby ją coś dławiło, zdarła z ramion swych różową chusteczkę i rozpięła u szyi kilka guzików stanika. Wtedy rozgorączkowana i bezładna powierzchowność czyniła ją podobną do kobiéty pijanéj lub nierządnicy, wyprawującéj orgie w krainach wyobraźni.

II.

Z katarynką swą na plecach, Sylwek zaledzie przecisnąć się zdołał przez wązkie drzwiczki, które znajdowały się od strony zaułka, obok okna, zastawionego z wewnątrz butelkami. Za drzwiczkami temi i za tem oknem był sklepik malutki, ściany którego znikały za rzędami ułożonych i ustawionych na pułkach cygar, papiérosów, pudełek różnego kształtu i różnéj wielkości, lecz które wszystkie posiadały pozór zwilgocony, stary i stęchły. W pobliżu jednéj ze ścian umieszczonym był stół, długością swą bufet naśladujący, a na nim, oprócz gromady różnokształtnych butelek, zieleniały w glinianych misach kwaszone ogórki, leżały na powyszczerbianych talerzach najpośledniéjszego gatunku śledzie, piętrzyły się bułki, obwarzanki, żółte pierniki i zczerniałe od pyłu i czerstwości séry. Za bufetem przechadzał się żyd, do którego brodatéj twarzy przyrosły jakby czujna ostrożność i udaną powagą maskowana trwoga, i stały lub siedziały dwie niedorosłe dziewczyny żydowskie, z rozczochranemi włosami i zaspanym, apatycznym wzrokiem.

Sylwek zdjął z pleców katarynkę, umieścił ją na stołku i, skinieniem głowy witając gospodarza miejsca tego, zapytał:

— Potrzebny wam będę dziś, czy nie?

— Albo ja wiem, — obojętnie odpowiedział szynkarz, — idźcie tam, to zobaczycie: czy ochotnicy będą albo nie będą! Gości dość chwała Bogu... może i muzyka przyda się...

Sylwek postąpił ku, znajdującym się w głębi sklepiku, drzwiczkom nizkim, węższym jeszcze od poprzedzających, a których górna połowa, z dwu szyb szklannych złożona, okryta była z przeciwnéj strony ciemną zasłoną.

Był tak wysoki, że schylić się musiał nieco, aby przejść przez drzwiczki te, w głąb domostwa prowadzące. Gdy tylko otworzył je, buchnęły przez nie do sklepiku fale gwaru i kłęby dymu. Dymu tego, pochodzącego od palonych najpośledniéjszych gatunków tytoniu, za drzwiczkami temi było tak wiele, że zrazu, znajdujące się pośród niego przedmioty i osoby, wydawać się mogły gromadą niewyraźnych widm. Po chwili jednak oko przyzwyczaiło się do gęstéj i cuchnącéj mgły téj i rozpoznać mogło izbę dość obszerną, z brudną podłogą i nizkim belkowanym sufitem, z okopconemi ścianami, u których świeciły dwa zapłakane kinkiety. Pośrodku izby stał bilard, którego sukno, od starości i plam, z zielonego stało się brunatnèm, a dokoła którego stało i chodziło kilku ludzi, najbardziéj do widm podobnych; bo mgła tytuniowa, coraz nowemi kłębami dymu wzmagana, w miejscu tém najgęstszą była, tak gęstą, że aż z szarości przechodziła w żółtość. Za bilardem można było rozpoznać drzwi na oścież otwarte, a za niemi jedną jeszcze izbę, niewielką, pustą zupełnie i oświetloną przez żółtą łojową świeczkę, palącą się w mosiężnym lichtarzy-

ku, na beczce, z któréj rozchodził się i z dymem tytuniu łączył zapach kwaszonéj kapusty. U ścian bilardowéj izby, pod zapłakaném światłem kinkietów, stało parę ławek i kilka stołków i stołów. Na jednéj z ławek tych, najbliżéj kinkietu, więc lepiéj od innych oświetlonéj, siedział człowiek średniego wzrostu, barczysty, choć chudy, z siwiejącemi, krótko przystrzyżonemi włosy, z twarzą dużą, bez zarostu, jednostajnie bladą, a w okolicach oczu i ust nabrzękłą. Siedział on w postawie wielce zaniedbanéj, bo górna część ociężałego ciała jego leżała prawie na stole, który pokryty był taką grubą warstwą rozlewanych nań wciąż i samoistnie wysychających płynów, że przedmiot każdy, położony na nim, przyklejał się do jego powierzchni. Ze wskazującym palcem, w górę wzniesionym, z ogłupiałym uśmiechem na obrzękłych wargach, człowiek ten, monotonnym i nakształt strumienia nieustannie ciekącym głosem, prawił:

— Mówię wam, że źle jest na świecie! Ludzie ludźmi, jak gałkami rzucają! Stanąłeś gdzieś, wrosłeś w ziemię, skopałeś ją własnemi rękami w pocie czoła, tak, tak, w pocie czoła, bo nie zawsze przecież człowiek hultajem był i pijakiem, ale kiedyś pracował porządnie i myślał sobie: tu stoję, tu żyję, tu pracuję, panie mój łaskawy, tu tedy i daléj żyć będę z familiją moją! Aż to nie! Idź precz! mówią! Za co precz? dla czego precz? po co precz? czy ja próżniak jestem? albo złodziéj? albo rozpustnik jaki? Broń Boże! Całe miasto świadkiem, jaki z Hilarego Szarskiego urzędnik był. Do bióra chodził punk...tu...al...nie, czynność swoję znał, panie mój łaskawy, jak swoje własne sumienie, nikomu nic złego nie robił, broń Boże! Idź precz! za cóż precz? dokąd precz? z familiją! na bruk! bez grosza!... ot, panie

mój łaskawy, i krzywda! i potoczyła się gałka po bruku... i zatoczyła się tu, ot, do Chaimka... Co robić! kwatery drogie... dzieciom jeść trzeba... i żonce... Chaimek pod bokiem, a w piersiach rana, jak zalejesz ją, to nie tak boli... Mówią: na wojnie strzelają i bagnetami kolą... straszno! ot nie tak straszno, jak krzywdę w piersiach mieć... pali, panie mój łaskawy, kole, boli... Co to krzywda! to zabójstwo, panie, to trucizna, od tego ręce człowiekowi opadają, a krew zamienia się w żółć... Patrzysz na siebie i nie wiesz: czy to ten sam człowiek, co był, czy nie ten sam? Naturalnie, że nie ten sam, bo to krzywda, na dwóch nogach chodząca i do Pana Boga o pomstę wołająca... Pan Bóg wysoko, ale dla tego można do Niego dojść, czemu nie? można... tylko trzeba się na siłach wzmódz... ot!

Drżącą, żółtą ręką ujął stojącą przed nim butelkę, napełnił wódką sporą cynową czarkę i wychylił ją do dna.

— Ot tak! — zawołało przy bilardzie głosów kilka, — Szarski już wzmógł się na siły, zaraz do Pana Boga po drabinie polezie!

Szarski pięścią w stół uderzył, szare źrenice jego zaiskrzały się z pod obrzękłych powiek.

— Polazę!—krzyknął,—jak Pana Boga kocham! jeszcze tylko troszeczkę na siłach wzmogę się i polazę... raz nie dojdę, drugi raz nie dojdę, a dziesiąty raz dojdę, do samego nieba dojdę. Przed Pana Boga apelacyą zaniosę i poproszę, żeby mnie jaką radę dali co do moich dzieci... Troje dzieci... Było czworo, teraz troje. Co ja im poradzę... czém ja je obdarzyć mogę... Serce chyba swoje wyjmę i powiem: jedźcie! Krew swoję wytoczę i powiem: pijcie!

Podniósł dłoń do oczu, wykrzywił usta i płakał.

— Aha! panie Szarski! prawdę mówisz! niema sprawiedliwości na świecie! Krzywda na prawo, krzywda na lewo! wszędzie krzywda!

Słowa te wymówił nad samą głową rozpłakanego pijaka głos młodzieńczy, w którym wesoła żartobliwość mięszała się z goryczą. Szarski odjął dłoń od oczu.

— Prawda, panie Sylwestrze! prawda! ot rozumnym człowiekiem jesteś... a za pozwoleniem, te durnie, śmieją się tylko ze mnie... Z czego tu śmiać się? Z biédy ludzkiéj? ze wstydu ludzkiego? z krzywdy ciężkiéj? Ale zwyczajnie...

Tu zniżył głos i z tajemniczą poufałością szeptać zaczął:

— Czego od nich wymagać? ludzie prości, nieokrzesani, ciemni... to motłoch... Ja to co innego i... ty co innego... my tu pomiędzy nimi... panowie... cywilizacya...

Sylwek uśmiechnął się.

— Pan to wypadkiem tutaj, — rzekł, — przez tę niby krzywdę... ale ja... czém ja inny? Ulica moja matka, a szynk moja szkoła... Czém ja inny?

Z sarkastycznego uśmiechu, który podniósł nieco zwierzchnią wargę jego, poznać można było, że, pomimo przeciwnego twierdzenia, czuł się istotnie czemś „innem,“ niż byli ludzie ci, po których przesuwały się błyszczące jego oczy. Na jednym z ludzi tylko zatrzymał nagle wzrok i przypatrywać się mu zaczął ze szczególną uwagą, która wkrótce zmieniła się w zdziwienie, a potém w radość.

Człowiekiem, któremu Sylwek przypatrywał się z tak różnemi uczuciami, był dwudziestoletni, wysmukły i zgrabny chłopak, powierzchowność którego wyróżniała się w sposób szczególny z pomiędzy otaczających go postaci. Cerę twarzy miał bardzo delikatną, choć czerwonawą, złotawo

rude, starannie utrefione, włosy i białe wypieszczone ręce. Ubiór jego był skromnym, takim jednak, jaki noszą zwykle ludzie, należący do wyższych sfer towarzyskich. Być może, iż, w zamiarze udania się do miéjsca tego, przywdział najmniéj wytworną i najmniéj nową swą odzież, a jednak, pośród wyszarzanych surdutów, poplamionych bluz i bezkształtnych spencerów, które go otaczały, wyglądał na wystrojonego panicza. Cała powierzchowność jego, nie będąc brzydką, miała w sobie coś lalkowatego i wymuskanego. Od czasu do czusu wydobywał z bocznéj kieszeni surduta cienką chusteczkę, od któréj rozchodził się tak silny zapach perfumy, że przez chwilę czuć go było nawet pośród zaduchy, złożonéj z tytuniowego dymu i, ziejącego z przyległéj izby, smrodu kapusty. Grał w bilard. Partenerem jego był młody wyrobnik mularski czy młynarski, w fartuchu, ubielonym mąką czy wapnem, trzeźwy zupełnie i wyglądający na pracowitego chłopca, szukającego tu tylko chwili rozrywki. Widzów zaś, spoglądających na zapasy graczy, było kilku; z gwarem, ze śmiechami, paląc fajki na krótkich cybuszkach, pijąc wódkę i zagryzając ją kwaszonemi ogórkami, czynili oni, nad grą i grającymi, grubiańskie niekiedy, niekiedy zaś złośliwe, uwagi. Złośliwość zwykłych gości miéjsca tego obudzaną była przez widok wymuskanego i perfumami pachnącego panicza. Był on tu widocznie intruzem, obudzającym podejrzliwą i złośliwą ciekawość. Jednak, badawcze i ciekawe spojrzenia, a także rubaszne i krzykliwe naigrawania się, których był celem, nie zdawały się go wcale obchodzić. Czuł się znać o tyle wyższym nad otaczający go gmin, że nic z tego, co odeń pochodziło, obrazić go nie mogło. Przyszedł tu, ażeby grać... Dla czego nie poszedł gdzieindziéj, w miejsce

odpowiedniéjsze przyzwyczajeniom i gustom swoim? była to jego tajemnica. Przyszedł tu, ażeby grać, być może dla tego także, aby porozumieć się z młodą dziewczyną, któréj ładna, choć znużona, twarz świeciła z kąta izby bezczelnemi oczami. Spoglądał na nią od czasu do czasu i przesyłał ku niéj tajemnicze znaki porozumienia; lecz, po krótkich roztargnieniach tych, oddawał się znowu grze bilardowéj z zaciętością i hazardownością, zdradzającą namiętnego gracza. Dwie partye wygrał; wyrobnik, w ubielonym fartuchu, położył na brzegu bilardu małą monetę srebrną, a gdy widzowie objawiali mu swe współczucie, z wesołą niedbałością zawołał:

— Co tam! jutro zarobię znowu!

— Nie, odergaj się!—zawołało głosów parę,—odergaj się Franek! Rewanż! Panicz przecież rewanż ci dać powinien! Alboż to ładnie paniczowi takiemu grosz biednego człowieka z szynku wynosić! Panicz tu wypadkiem! przegra ci jeszcze tyle, że garniec spirytusu nam postawisz...

— Rewanż!—zawołał młody człowiek, którego paniczem nazywano i niespokojnie oglądając się ku dziewczynie, którą obdartus jakiś, trzymający w ręku zatłuszczony banknot rublowy, do sklepiku prowadził, pochwycił znowu kij bilardowy. W tém, ciemna i zgrubiała, lecz uderzająco kształtna, ręka silnie uderzyła go po ramieniu.

— Przecież choć raz cię złapałem, bratku! — zawołał tuż za plecami jego Sylwek. Młody człowiek drgnął i odwrócił się.

Przez chwilę obaj patrzyli sobie w twarze.

— Pamiętasz?—wymówił Sylwek,—a wargi mu drżały i śmiechem i zarazem gniewem. Widać było, że pusta wesołość walczyła w nim z głuchą złością. Złość przemogła.

— Dawno już mam ja cię na oku, wiem nawet, gdzie ze swoją mamunią mieszkasz i jak się nazywasz... tylko, że nigdy jakoś pod rękę mi nie wpadłeś! Pamiętasz pierścionek mój ze szmaragdem... teraz już wiem, jak się ten kamień nazywał i ile był wart! Tęgo okpiłeś mię wtedy... mądry z ciebie ptaszek!... ale teraz zapłać! Tu, w tym momencie, zapłać coś winien! oddaj coś skradł!

Obiema już teraz dłońmi trzymał Maurycego Lirskiego za ramiona i trząsł nim, jak słabą i cienką płonką. Maurycy bladł i czerwieniał naprzemian. Trwoga i gniew wstrząsały twarzą jego.

— Czego chcesz odemnie... puść... to nie ja... kto inny... ja nigdy cię nie widziałem...—wyjąkał.

— Ale! — krzyknął Sylwek, — czy i wtedy także mnie nie widziałeś, kiedyś wujaszkowi swemu mówił, że mi za dużo pieniędzy daje! Kpię ja sobie z wujaszka twego, wielkiego pana, i jego pieniędzy, ale ty... płać coś winien! To moja własność była! jabym sobie za to los może zrobił! Do szkoły bym się wkupił, i lepiéj z niéj skorzystał, jak ty, którego wujaszek edukował, edukował i wyedukował na to, abyś, tak jak i ja, po szynkach chodził!...

Z wyjątkiem Szarskiego, który, na nic nie zważając i nic nie słysząc, monotonnym i coraz tylko bełkotliwszym głosem prawił wciąż swoje, wszyscy goście szynkowi skupili się dokoła dwóch młodych ludzi. Zanosiło się na burdę, może nawet na coś więcéj. Ciekawość i tajemne zadowolenie malowały się na wszystkich prawie twarzach; wszelki bowiem spór, wszelka wrzawa, były w miéjscu tém żywiołami rozrywki, podniety i zajęcia, tak jak dla miéjsc i ludzi innych, są niemi teatralne przedstawienia, przemówienia publiczne lub wielkie zbiorowe sceny, w któ-

rych rozgrywają się dramaty namiętności interesów ludzkich. Gradem ze wszech stron posypały się pytania, wykrzyki i śmiechy.

— Trzymajcie go, żeby nie uciekł! opowiem wszystko!— zawołał Sylwek.

Ujęto Lirskiego za ramiona i łokcie, tak, że się poruszyć nie mógł i tylko od chwili do chwili syczał z bólu i strachu; Sylwek zaś odskoczył w tył kroków kilka i opowiadać zaczął przygodę swą, która od lat dziecinnych ciernie tkwiła mu w sercu. Po chwili, opowiadanie to przybrało istotnie pozór teatralnego przedstawienia; opowiadający bowiem posiadał żywość i wrażliwość człowieka dzikiego, który nietylko wzruszeń swych i sposobów ich wyrażania opanowywać nie umie, ale nawet o jakiemkolwiek panowaniu nad sobą nie wie i nie pomyślał nigdy. Śniade policzki jego rozgorzały, czarne oczy zapaliły się ponuro i groźnie, dwa rzędy białych zębów błyskały co chwilę z pod czarnego puchu, tylko co rodzącego się wąsa, rzucając mu na twarz całą wyraz dzikiéj żądzy łupu czy zemsty. Odzież jego, złożona z bluzy, któréj materyał naśladował aksamit, z rzemiennego pasa, grubych butów, sięgających do kolan, i jaskrawo czerwonéj chustki, około szyi okręconéj, uwydatniała wybornie gibkość jego ciała i ciemny a ognisty koloryt twarzy. Mówił prędko; mowę swą popierając mimiką i gestykulacyą, które, pomimo żywości, a nawet gwałtowności swéj, posiadały artystyczną plastykę i zgodę.

Audytoryum nie dosłuchało końca opowiadania, lecz, zrozumiawszy zaledwie o co rzecz szła, zawrzało krzykiem, śmiechami, groźbami. Lirskiego ściskano coraz więcéj, wołano, że słusznem jest, aby panicz taki biednemu czło-

wiekowi zwrócił to, co mu ukradł; że jeśli niema przy sobie pieniędzy, oddać powinien zegarek, surdut, paltot i nawet tę chusteczkę. co tak ślicznie pachnie. Lirski drżał już teraz od stóp do głowy, zęby dzwoniły mu z przestrachu; lecz. pomimo najwyższéj trwogi, w oczach, wpatrzonych w Sylwka, wrzała nienawiść. Nakoniec, uczuwszy rękę jakąś, która do piersi po zegarek mu sięgała, krzyknął:

— Ratujcie!

Na krzyk ten ze drzwi sklepiku wypadł z impetem wielkim gospodarz miejsca tego i z krzykiem, z załamywaniem rąk, błagać zaczął gości swych o upamiętanie i uciszenie się.

— Kryminał! — wołał, — kryminał będzie! mnie najgorsza bieda! Zakład mój zamkną! kryminał!

Na dźwięk wyrazu: kryminał, kilku się opamiętało. Wyrobnik mularski, który przed chwilą grał w bilard z Lirskim, wcisnął na głowę ubieloną czapkę i wybiegł przez sklepik, w zaułek; brodaty, siwiejący mężczyzna, w dorożkarskiém ubraniu, cofnął się ku ścianie i, uśmiechając się już tylko, cmokać zaczął znowu krótką fajeczkę; dwaj robotnicy fabryczni, w sinych bluzach, odstąpili od gromady i wahali się pomiędzy obawą, która ich ku odejściu popychała, a odpychającą ich od drzwi ciekawością. Cała gromada jednak, z mężczyzn wpółpijanych i rozszalałych, z rozchichotanych kobiét złożona, pchała się ku pustéj izbie ostatniéj, instynktowo jakby oddalając się od ulicy, a sunąc w głąb przepaścisto-szyjowatego dziedzińca. W głębi, bałwaniącéj się téj kupy pleców i głów ludzkich, Lirski zniknął, a z za niéj widać było skaczącą i śpiczastą brodę i rozpacznie gestykulujące suche ramiona gospodarza;

zewnątrz niéj nakoniec Sylwek stał, plecami do ściany przyparty, w akcyi udziału nie biorąc, lecz rozpaloném okiém ścigając ją ciekawie.

Wszyscy, oprócz tego. który zajścia piérwszym był powodem, lecz, ze skaczącym wciąż i gestykulującym gospodarzem włącznie, wepchnęli się do pustéj izby, gdzie przez chwilę jeszcze kłębiły się i huczały tupania kilkunastu par nóg, grube śmiechy, piskliwe chichotania, zawzięte, urywane krzyki, aż nakoniec z trzaskiem otworzyły się drzwi od dziedzińca, słychać było upadanie na bruk jakiegoś wypychanego przez nie ciała i gromada cała, rozsypana już na kilkanaście jednostek, do izby bilardowéj wróciła. Obdartus ów, który przed półgodziną częstował w sklepiku ładną dziewczynę, niósł na ramieniu surdut, w rękach dziewczyny zaś połyskiwał srebrny zégarek ze złotym czy może pozłacanym łańcuszkiem, ktoś inny wywijał nad głową parą eleganckich, błyszczących bucików, a stara kobiéta, najdokładniéj powierzchownością swą przypominająca legendowe czarownice, do rozbrzękłego i szkarłatnego nosa przyciskała cienką, pachnącą chusteczkę.

— A grosze? grosze? czy groszy nie było?—zabrzmiało chóralne pytanie.

Nikt nie widział, że wytworny, mały pugilaresik pochwyconym był przez jakąś grubą szczerniałą rękę i do kieszeni płóciennych spodni wsuniętym. Wartość jego była bardzo niewielką, lecz pozór błyszczący. Zczerniała ręka, która go pochwyciła, z błyskawiczną szybkością obejrzała jego wnętrze ubogie, bo kilkanaście zaledwie drobnych monet srebrnych zawierające.

— Groszy niema, ale czy biédy nam tu wszystkim nie będzie?—zapytał ktoś z tłumu. Skarżyć się może pójdzie! policyą sprowadzi!

W odpowiedzi rozległy się śmiechy.

— Ho! ho! albo to on przyzna się, że tu był! A wstyd i hańba! Nikomu nie powie, dopóki żywy! Pewno!

Rzeczy, zdobyte na Maurycym Lirskim, bezładnie rzucone, leżały na bilardzie. Zwrócono się do Sylwka.

— Hej Cmentarnik! — rozległo się wołanie,—bierz co twoje, a nam zostaw co łaska albo, za fatygę naszą, garniec spirytusu nam postaw. Odebraliśmy, co do ciebie należało, bez procesu i sądu... co robić! Dla kompanii dał się cygan powiesić! Ręka rękę myje! Bierzże za swój pierścionek, nas utraktuj! słyszysz!

Sylwek postąpił ku bilardowi i wyciągnął rękę po zégarek ze złotym łańcuszkiem, lecz nagle cofnął ją. Na twarz jego wytrysnął wyraz obrzydzenia, błyskawica dumy czy urągowiska strzeliła mu z oczu. Było to wewnętrzne drgnienie instynktu jakiegoś, wręcz przeciwnego ogólnemu usposobieniu jego i otoczeniu, śród którego się znajdował. Podniósł głowę, ręce założył za plecy i z niedbałą wzgardliwością wymówił:

— Nie warto w tem nawet palców umoczyć. To mi bogactwo wielkie! Żeby człowiek mógł sobie przez to los zrobić, to jeszcze! ale... łachmany jakieś, zdarte z czyichś pleców... obrzydliwość!

Wyszedł do przyległéj pustéj izby, siadł na nizkim pieńku, stojącym pod ścianą, a do rąbania mięsa przeznaczonym, i z łokciami, na kolanach opartemi, nadąsaną twarz odwrócił od szumiącéj wciąż dokoła bilardu gromady.

W gromadzie, po złośliwych śmiechach i uwagach, które wywołała duma, przez Cmentarnika okazana, nastąpiło dzielenie się łupami; nie jedna pięść opuściła się ciężko na niejedne plecy, niejednokrotnie, nakształt kipiątku, wytryskującego z

garnka, buchała z gardeł ludzkich wrzawa przekleństw i łajań kobiéty usiłowały godzić zwaśnionych mężczyzn, stojąc pomiędzy nimi z rozkrzyżowanemi ramiony i przeraźliwiéj jeszcze od nich krzycząc; stara kobiéta, do pijanéj wiedźmy podobna, w celu zapewne uczynienia stanowczéj dywersyi, ochrypłym głosem zawiodła hulacką piosenkę, nad chwiejącą się głową swą w takt powiewając, cienką wyperfumowaną, chustką Lirskiego. I znowu, śród całego zamętu tego i całéj téj wrzawy, jeden tylko Szarski obcym był najzupełniéj wszystkiemu, co się dokoła niego działo i stawało. Rozparty na lipkim stole, po którym ciekł strumyk rozlanego przed chwilą trunku, wpółsenne oczy swe wlepiał on w tkwiący, u przeciwległéj ściany, zapłakany kinkiet, i od chwili do chwili, wyciągając ku niemu wskazujący palec, czynił mu monotonne, wiekuistym zda się, a leniwym potokiem ciekące, zwierzenia.

— Kobiéta,—prawił,—to, panie mój łaskawy, bardzo ważna rzecz! Wóz albo przewóz! Anioł albo szatan! Gospodynię w domu człowiekowi trzeba mieć, matkę dzieciom i przyjaciółkę dośmiertną. Otworzysz przed nią serce, pożalisz się... lżéj! Dobrze to dobrze, źle to źle, a my sobie zawsze przyjaciele i pomocnicy. Ale, kiedy żonka kiepska, to już, biedny człecze, zgiń i przepadaj! Nieszczęście spadło, skrzywdzili człowieka, zmarnowali, a ona jeszcze gryzie! ja do tego stworzona, a do tego nie stworzona! ja tak i tak urodziłam się! ja z takich a takich rodziców! ja młoda! ja piękna! ja chorowita! ja delikatna! ja i ja! a wszystko do tego: jak ja urodziłam się i kim ja byłam! Ot, kim byłam! majątek taki był, panie mój łaskawy, że jak pies położył się, to mu ogon na cudzéj ziemi leżał! A teraz wszystko wyrosło! Het! pałace... karety... ksią-

żęta... wielkości! Nie widziałem! nie widziałem! żebym widział, tobym nie wziął! Kamień do szyi, panie mój łaskawy, kamień do szyi i powiesić się! Klarki szkoda! ostatni mój moment szczęśliwy... Do Pana Boga na skargę... apelacyą podam przeciw krzywdzie... apelacyą do... najwyższéj... ins...tan...cyi...

Obrzękłe powieki opadały mu na senne źrenice; wysilał się, by je roztwierać i wpółżałośne, wpółmiodowe spojrzenia rzucał wciąż na kinkiet, który, z za opony brudnego dymu. mrugał ku niemu płomykiem, dogorywającym w załzawionem szkle. W téj saméj chwili, pod światło to mrugające i łzawe, z łona gromady ludzkiéj. dokoła bilardu hałasującéj, wysunęli się dwaj mali chłopcy, z których jeden, w podartem obuwiu. ogryzał aż do kości śledzia, ociekającego gęstym płynem; drugi, bosy, pełną garścią zajadał czarny i lipki przysmak, z miodu i maku złożony. Zajadali i przyglądali się wrzącemu w izbie tłumowi, to z powagą i ciekawością wielką, to z głośnemi wybuchami śmiechu. W powierzchowności ich było kilka cech uderzających. Starszy, w czapce, nasuniętéj aż prawie na oczy, miał wzrok dziwnie a przykro ruchliwy i uszy czerwone, a tak długie. jak gdyby ktoś umyślnie a bardzo często zajmował się wyciąganiem ich i wydłużaniem. Młodszy, z jasnemi, bujnemi włosy, opadającemi dokoła okrągłéj twarzy, wyglądał na wygłodzonego i zadąsanego cherubina.

Kiedy dzieci te zjawiły się pośród szczupłego pola widzenia, ogarnianego przez usypiający wzrok Szarskiego. stało się z nim tak, jak gdyby mu nagle wiadro zimnéj wody na pijaną głowę wylano. Roztworzył szeroko oczy, dźwignął się z nad stołu, obrzękła twarz jego oprzytomniała i tylko wielkie żółte ręce silnie drżeć zaczęły.

— A!—krzyknął,—znów tutaj! znów... Obu rękami trzymając się za stół, podniósł się z ławy, lecz zachwiał się i opadł na ławę znowu. Wyciągnął ramiona w stronę kinkietu i pod światłem jego stojących dzieci i, przeraźliwym, z głębi piersi dobywającym się, głosem krzyknął:

— Weźcie... wypędźcie... wyrzućcie... ratujcie!

Wraz z ostatnim wyrazem zsunął się z ławy na ziemię i zniknął za stołem. Krzyku jego nikt nie usłyszał lub nie zrozumiał; nie słyszeli go też dwaj chłopcy, których uwagę całą pochłonęły kule, zaczynające znowu toczyć się i stukać po brunatnem, od plam i starości, suknie bilardu.

Sylwek tymczasem siedział wciąż na pieńku, w pustéj izbie, samotny. Izba ta, oprócz pieńka tego i beczki z kapustą, na której paliła się łojówka, posiadała jeszcze piec z ogromnym czarnym otworem, w którego głębi rozlegało się głośne mruczenie śpiącego kota i dwoje drzwi, z których jedne otwierały się wprost na dziedziniec. Za drugiemi drzwiami, wązkiemi i zamkniętemi, słychać było, przez czas jakiś, płacz dziecka i usiłujący utulić go szwargot niewieści. Potem płacz ustał i szwargot umilkł, a natomiast ozwały się miarowe uderzania o podłogę biegunów kołyski, i powlekł się przyciszony i leniwy, uderzeniom biegunów towarzyszący, śpiew. Żona szynkarza, kołysaniem i śpiewem, usypiała płaczące przed chwilą dziecko.

Sylwek, profilem ku drzwiom zamkniętym zwrócony, siedział z głową pochyloną i brodą, na dłoni opartą. Być może, iż matczyny śpiew ten, lejący się zwolna w pjany hałas tłuszczy, że perła ta, smętnie w téj otchłani dzwoniąca, przywiodły mu na pamięć srebrny głos złotowłoséj córki kowala, która niegdyś, za lat jego dziecinnych, śpiewała zawsze do snu najmłodszemu bratu.

Być może, iż odgłosy te, opowiadające o czyichś ścianach rodzinnych, o jakichś dobrych dziecięcych dolach, prześladowały go nieustannie, spotykały go wszędzie, dla tego właśnie, że słuchać ich pragnął, że było w nim coś, co ucho jego ku nim zwracało. Co pewna, to, że zasłuchał się w leniwéj i przyciszonéj pieśni matki żydówki i we wtórujących jéj uderzeniach kołyski, tak bardzo, iż twarz jego, kipiąca przed chwilą życiem i ogniem, znieruchomiała tak, jak gdyby była z bronzu wykuta. Przygasłe oczy jego tkwiły w ziemi, a na ciemném czole legły dwie groźne, ponure zmarszczki. Nie słyszał, jak zcicha i zwolna otworzyły się drzwi od dziedzińca, i nie widział, że wszedł przez nie człowiek niewielki i szczupły, w sukiennéj siermiędze luźnéj i długiéj, w czapce, z pod któréj widać było czerwonawą chustkę, obwiązującą głowę jego w ten sposób, iż zakrywała mu całkiem uszy i dwoma ostremi końcami stérczała pod brodą. Wszedł i stanął w kącie izby, przy beczce, na któréj paliła się żółta świeczka. Wydobył z pod siermięgi skrzypce, oparł je na ramieniu i pociągnął smyczkiem po strunach. Wtedy dopiéro Sylwek podniósł głowę i, spojrzawszy na przybyłego, z groźnie zawsze zmarszczoném czołem, zawołał:

— Hej! a ty kto taki, że tu z muzyką przychodzisz! Myślisz może zarobek mnie odbierać! Ja tu gram zawsze, a kto mi w drogę wlezie, tego przez okno wyrzucę! Czy słyszysz?

Izba była tak słabo oświetloną, iż, siedzącego u ściany Sylwka, stojący u drzwi człowiek dostrzegać mógł zaledwie, niby nieokreślony, na ścianie rysujący się, cień. Podniósł rękę ze smyczkiem i odezwał się:

— Niewiem, kim jesteś, ty, co mię tak niegościnnie w miéjscu tém witasz, ale głos twój wydaje mi się znajomym... tak, jakbym go kiedyś słyszał.

Sylwek powstał.

— Niech mię djabli wezmą,—zawołał,—jeżeli ja także głosu tego gdzieś nie słyszałem. Któż ty taki?

Postąpił ku drzwiom, pochwycił z beczki świecę i przysunął ją pod samą twarz przybyłego. Była to biédna, wybladła, pomarszczona twarz, z zaczerwienionemi oczami i ledwie widzialnemi usty. W oprawie czerwonawéj chustki i zmokłych lniano płowych włosów wyglądała, jak mizerny owoc, ze zżółkłą i pogarbioną skórą.

— Nie znam i niewiem, — rzekł Sylwek, — stawiając lichtarz ze świecą na beczce, — i to tylko powiem, żebyś wynosił się tam, zkąd przyszedłeś, bo w tym *handlu* ja jestem muzykantem i chleba sobie odbierać nie dam! Świat szeroki! ruszaj, dopókim dobry; bo jak rozgniewam się, to i skrzypce twoje i ciebie samego na miazgę stłukę. Ot! czemuż nie wynosisz się jeszcze! guza szukasz?

Przybyły nie czynił najlżéjszego poruszenia; tylko oczami, które mętnie błękitniały z za czerwonych powiek, w mówiącego wpatrywał się, jak w tęczę. Policzki jego kilka razy drgnęły nerwowo.

— Stój!—zawołał i, pospiesznie złożywszy skrzypce na beczce, obie ręce obronnym gestem wyciągnął ku, groźnie podnoszącym się nań, ramionom Sylwka.—Zaczekaj! pohamuj się! Nie krzywdź mnie, nie wiedząc, kim jesteś! Nie zawiniłem ci niczem! Byłem tu zeszłéj niedzieli, grałem, zarobiłem kilka groszy, a ciebie nie widziałem wcale i nikt mi za to nic nie powiedział. Teraz, kiedy spotkałem opór, odejdę, pójdę gdzieindziéj, ale wprzódy muszę koniecznie

dowiedzieć się, czy mię pamięć moja nie myli... czy nie jesteś synem Rozalii Klinównej, Sylwkiem, hodowanym przez cmentarnego stróża? Podobieństwo wielkie, niezmierne... oczy matki... głos ojca...

Sylwek złagodniał i, z pewnem już tylko zdziwieniem, patrzał na przybyłego.

— A no tak,—rzekł,—Sylwek jestem, na *mogiłkach* wyhodowany, i w metryce mojéj stoi podobno napisana jakaś Rozalia Klinówna... To i cóż? A tyś kto taki?

Przybyły smutnym głosem odpowiedział:

— Alboż ty mnie pamiętać możesz? byłeś taki mały, kiedyś mię widział! Nazywam się Szymon Kępa...

Sylwek, ze zwykłą sobie żywością, dokonał wesołego, iście akrobatycznego skoku.

— Kępa!—zawołał,—pan Kępa!—poprawił się,—a jaż pana tak często wspominał sobie i wypatrywał po ulicach i dziwił się, że pan tak już zupełnie zniknął z miasta! No, no! Co ja mam panu do powiedzenia! a o co ja pana będę pytać się! a o co prosić! strach!

Biedną twarz Kępy oblał uśmiech niewypowiedzianéj radości.

— Przecież! — wyszeptał, — jest na świecie choć jedna dusza ludzka, która mię wita przyjaźnie. I to jéj... jéj syn.

Z żywością, któréj zaledwieby się można było spodziewać po zbiedzonéj jego postaci, rzucił się ku Sylwkowi, porwał go za ręce, potém za ramiona, głowę jego ku sobie przychylił i całował mu czoło, włosy i oczy. Rozpłakał się tak, że załkał. Sylwka jednak pieszczoty te i ta okazana mu tkliwość więcéj rozśmieszyły i zdziwiły, niż rozczuliły.

— Co mię pan tak całujesz! e! dość już tego! albo to my pijane baby, ażeby cmokać się z sobą, ni z tego, ni

z owego! Ot gadaj mi pan lepiej, gdzie bywałeś, co porabiałeś i widziałeś na szerokim świecie, bom ja strasznie wszystkiego ciekawy, a o panu myślałem zawsze, żeś bardzo mądry i wszystkiego nauczyć możesz! Ależ zestarzałeś się pan! no! pamiętam, jakeś był u nas, tak jakby wczoraj. Zdaje się, żeś sobie był jeszcze nie stary. A teraz! gdzie! Dziady kościelne lepiej wyglądają!

— Koleje życia, dziecko moje!—trzęsąc głową odpowiedział Kępa,—ciężkie koleje życia!

I z oddźwiękiem patetyczności w głosie, dodał:

— Tak zawsze bywa z tymi, którzy poświęcają się dla ludzkości!

— I bogatym także chyba pan nie jesteś...—rozpatrując się wciąż w postaci przybyłego, ciągnął Sylwek. — Czy to pan niemasz innego odzienia, żeby tak w siermiędze po mieście chodzić!

— Niemam, niemam! zkądżebym miał! ale mieć będę! oho! zobaczysz, moje dziecko! Będą mię jeszcze kiedyś ludzie karetami wozić i wawrzynowe wieńce na głowę mi kłaść. Niech tylko dokończę wielkiego dzieła mego!...

Sylwek zaśmiał się na całe gardło.

— Oho! do karet panu bardzo jakoś daleko! Ale karetą, czy wozem, zkąd pan tu teraz przyjechałeś? z daleka?

Twarz Kępy znowu zadrgała nerwowo. Uśmiechnął się gorzko i dumnie jakoś zarazem.

— Zkąd przybyłem? — zaczął, — któżby mógł zgadnąć? Przyszłe wieki słuchać będą o rzeczach podobnych, jak o strasznym śnie ludzkości... tymczasem jednak dumny jestem, że dzielę losy Sokratesów, Dżiordanów, Galileuszów i wszystkich innych mężów wielkich... Sokratesowi otruć się

kazano. Dżiordana spalono, Galileusza więziono... ja, dziecię moje, przybywam tu z turmy!...

Sylwek obu rękami schwycił się za głowę.

— Aj!—zawołał,—to kiepsko!

Ale wnet dodał wesoło:

— No, no! nic to wielkiego! do turmy dostać się łatwo, za byle co... znałem bardzo dobrych chłopców, którzy tam siedzieli i siedzą... a dawnoż pana wypuścili?

— Pół roku temu; przyszedłem tu piechotą... dobrych mil 40-ci, po drodze grywałem w karczmach ludkowi do tańca... a ludek nasz zacny, dobry... choć i drapieżnym bywa on czasem, jak ci o tém później opowiem, wynagradzał mię za to chlebem i groszem. Od trzech miesięcy jestem już tutaj, dostałem trochę roboty... stare obuwie naprawiam, ale że chciałbym sobie jaką taką surducinę sprawić, żeby mieć w czém za interesami swemi chodzić, postanowiłem jeszcze i smyczkiem coś zarabiać... Przeszłéj niedzieli grałem tu, a ciebie nie było.

— Przeszłéj niedzieli siedziałem u Łukasza, w jego norze, bo mię chandra była napadła; a jak mię ona napadnie, to już mi wtedy wszelka ludzka twarz nieznośna. Ot, chodź pan! pójdziem do mojéj nory, to jest: do mojéj i do Łukasza, bo ja z Łukaszem mieszkam. Stary ucieszy się, jak pana zobaczy...

— Nie,—odpowiedział Kępa,—z Łukaszem zobaczę się jutro albo kiedykolwiek... Chodź ty teraz do mego mieszkania... musimy bliżéj poznać się... a dla tego, żebyś mię poznał, powinieneś dowiedzieć się o całem życiu mojem, kim byłem, kim jestem i kim będę jeszcze kiedyś! Chodźmy!

— Dobrze! niech i tak będzie! Chodźmy! A gdzież pan mieszkasz?

— Niedaleko ztąd! w starych tych murach, co tam u końca zaułka... wiesz?

— Żebym nie wiedział! Chciałbym mieć tyle dni szczęśliwych, ile zimnych nocy tam przespałem... Chodźmy! Tamtędy! bo tam w sklepie katarynkę moją zostawiłem!

W bilardowéj izbie znacznie już ciszéj było i mniéj ludnie, jak przed godziną. Niektórzy, z bawiącéj się i hałasującéj tam gromady, opuścili ją całkiem, inni głęboko usypiali na ławach lub w pijaném rozmarzeniu bełkotali półgłosem i niewyraźnie. Bilard był opuszczonym; w zamian, przy świetle jedynego kinkietu, który palił się jeszcze, trzéj czy czteréj ludzie, dokoła stołu siedząc, zatłuszczonemi kartami grali w *kiksa* czy w *pałki*. W sklepiku nie było już brodatego właściciela handlu. Jedna tylko rozczochrana dziewczyna siedziała na wysokim stołku pod ścianą i, wschodniemi wielkiemi oczami, apatycznie wpatrywała się w lampkę z okopconym kominem, która, paląc się jeszcze na bufecie, świeciła w bezsenne, wciąż zadumane, oczy kanarka.

III.

Szymon Kępa miał lat przeszło czterdzieści. Sporo więc już czasu upłynęło od pory owéj, w któréj mieszkańcy miasta widywali blade, mizerne, jasnowłose dziecko, przesuwające się szybko chodnikami ze starém a świeżo wyrestaurowaném obuwiem w ręku, albo dźwigające ciężkie kosze z pieczywem lub jarzynami i uginające się pod ich brzemieniem. Kiedy roznosił obuwie, śpieszył się zwykle bardzo, bo przez małe okno szarego domku, do którego

powracał. widać było twarz wąsatą, surową i silne żylaste ramię, które, w szydło i dratew uzbrojone, podnosiło się i opadało, czasem leniwie i z niechęcią, najczęściej z popędliwą niecierpliwością. Człowiek, do którego twarz ta i ramię to należały, nie musiał być łagodnym, ani wyrozumiałym, to też wracające z próżnemi już rękami dziecię, przed wejściem do domu, rzucało zwykle na okno lękliwe wejrzenia. W ogóle, głównemi cechami, odźwierciedlającemi się w powierzchowności dziecka tego, były: lękliwość i czułość. Nieraz, na widok konia, męczonego przez nielitościwych woziwodów lub kamieniarzy, siadał na chodniku ulicy, drobnemi rękami chwytał się za głowę, jęczał i lamentował głośno. Starą żebraczkę, która z pokaleczonemi nogami siadywała pod kościołem, lubił bardzo; siadywał przy niéj często na ziemi, prowadził z nią ciche rozmowy, śród których naśladował westchnienia jéj i boleściwe wstrząsania głową; niekiedy zaś przynosił dla niéj, w kieszonce ubogiéj surduciny, kawałek chleba, séra lub parę pieczonych kartofli. Wszystkie psy, znajdujące się na kilku sąsiednich ulicach, znały go i na widok jego radośnie skomliły. Pochylał się nad niemi, zbierał ich dokoła siebie jaknajwięcéj, tulił głowy ich do swéj piersi, wypowiadał nad niemi całą litanią nazw pieszczotliwych. Czasem téż, przed tymi ulubieńcami i towarzyszami swymi, popisywał się z czemś i chlubił, stając pośród gromady ich w bohaterskich postawach.

Kosze owe z pieczywem i jarzynami nosił on każdego ranka, przez całe prawie miasto, za kobietą, któréj plecy, okryte spłowiałą chustą, uginały się téż pod ciężarami różnych przedmiotów, a która, na jednym z rynków miasta, rozstawiała, przynoszony z sobą, składany stragan. Kobie-

ta była gruba, krzykliwa, wyraz oczu jéj i dźwięk głosu posiadały twardość i ostrość ludzi, zniecierpliwionych ciężką pracą i dolą; niemniéj przecież, od czasu do czasu, całowała ona blade policzki dziecka, które dopomagało jéj w pracy i dawała mu ze stragana bułkę lub owoc; innym znowu razem grubą pięścią uderzała je w plecy i głowę. Pocałunki, dary i razy zależały od okoliczności, całkiem od dziecka niezależnych, od pomyślnych lub nieszczęśliwych kolei handlu, od scen i zajść domowych, które wyjście na miasto przekupki poprzedzały.

Potém dziecko owe, noszące po mieście obuwie i kosze z pieczywem, godziny całe spędzające na rozmowach z kalekimi, żebrakami lub na pieszczeniu psów i odgrywaniu przed nimi jakichś wymarzonych dramatów, dziecko owe, z marzącem, łagodnem spojrzeniem, zniknęło. Przekształciło się ono raczéj w szczupłego wyrostka, który, w szkolnym mundurku, z książkami pod ramieniem, przebiegał codziennie przestrzeń, dzielącą mieszkanie naprawiacza starych obuwi i żony jego straganiarki z gmachem, mieszczącym w sobie miéjscowe szkoły.

Uczęszczanie to do szkół małego Szymona było dziełem matki Kępowéj, któréj najwyższa ambicya spoczęła w tém, aby jedynak jéj zostać mógł z czasem urzędnikiem. noszącym na czapce błyszczącą gwiazdkę i prawidłowo otrzymującym kilkadziesiąt rubli miesięcznie. Przyszłość taka wydawała się jéj czemś królewskiem; dla zdobycia jéj na rzecz syna, a po części i swoje, wyrzekła się ona niejednokrotnie wielu korzyści i uciech teraźniéjszości. Chłopiec jednak nie był zupełnie podobnym do większości rówieśników swych i towarzyszy szkolnych. Gorliwy zrazu w pracy, pełen zapału do książek i nauki, stygł powoli, zanie-

dbywał się. leniwiał. W rzeczy saméj nie było to lenistwo, lecz ogarniały go często zamyślenia głębokie, wśród których zdawał się coś rozważać, czegoś dociekać, nad czemś słowem łamać sobie małą głowę mozolnie a bezskutecznie. Niekiedy też dokonywał dziwnych postępków, nad któremi Kępowa wylewała łzy gorzkie, a które mu też bieg nauk zwalniać musiały. Raz naprzykład, spotkawszy na ulicy, równego mu wiekiem, chłopca, który płaczliwie skarzył się na to, że mu bose nogi zziębły i poraniły się od szronu, bruk okrywającego, 15-letni już wtedy Szymon usiadł na chodniku, zdjął z nóg swych obuwie i oddał je płaczącemu rówieśnikowi. Tygodnie ubiegły, zanim Kępowa zdobyć się mogła na nową parę butów dla syna; tymczasem zaś chodzenie do szkoły stało się niepodobném; chłopak całemi dniami przesiadywał w domu, męcząc się, zżymając, płacząc z żalu i z gniewu, a wciąż myśląc o tém: dla czego był tak ubogim, że wnet innego obuwia mieć nie mógł? dla czego zwierzchność szkolna była tak wybredną, że bosym chłopcom nie pozwalała wstępować do przybytku nauki? dla czego matka jego była tak prostą i grubą kobietą i takie dotkliwe, upokarzające czyniła mu wyrzuty? Upokorzenie wszelkie było mu szczególniéj nieznośném. W tajniach myśli swéj uznawał się za zdolniéjszego, mędrszego i lepszego od wszystkich swych towarzyszy, a któż odgadnie, jak bardzo i ilokrotnie, pośród swawolnéj a często złośliwéj gromadki szkolnéj, wrodzona ta pycha syna przekupki ranioną i wzmaganą być musiała! Dosięgłszy lat 17-tu i skończywszy pięć klas gimnazyalnych, całkiem prawie uczyć się przestał, nie żeby zleniwiał, lecz że zniechęcił się do nauki. „Na nic się to nie zda,“ mawiał przed tymi, którym zwykł był myśli swe powierzać.

„Z nauką. czy bez nauki, ludzie zawsze cierpieć będą!“ Czegoż potrzeba było, aby ludzie przestali cierpieć? Nie mógł długo dojść do żadnego, we względzie tym. stanowczego przeświadczenia. Nie sypiał nocami, nie jadał prawie po dni kilka, odbywał za miastem długie samotne wycieczki. Stał się naprzód religijnym i pobożnym, aż do fanatyzmu; długie godziny przepędzał w kościołach, klęcząc przed ołtarzami i topiąc się cały w głuchéj i ślepéj ekstazie; niekiedy zalewał się łzami albo głośno i z emfazą przemawiał do Boga. Zaczęto go mieć za obłąkanego nieco. Lecz wkrótce pogłoska ta o nim, pomiędzy ludźmi krążąca, umilkła, bo porzucił on ołtarze i konfesyonały, a zatonął cały w zachwytach i ekstazach, sprawianych przez sztukę. Objawiły się w nim podówczas i szybko rozwijać zaczęły wielkie muzykalne zdolności. W porze téj opuścił zupełnie szkołę: nie mógł przéjść do klasy ostatniéj, bo dwa razy nie zdał egzaminu, wykreślono go ze spisu uczniów. Kępowa, po długich krzykach i płaczach, rozchorowała się ze zgryzoty; Szymon nie martwił się wcale losem, który go spotkał. Wyniósł się z domu matki, która była już wtedy wdową; ażeby zaś módz utrzymać się i za lekcye muzyki płacić, dawał na mieście kilka godzin lekcyj dziennie. Zarobkowa praca ta nużyła go, niecierpliwiła i upokorzała. Uważał ją za nieużyteczną dla ogółu i zbyt dla siebie poziomą. Jak wprzód w modłach i religijnych ekstazach, utonął teraz cały w muzyce. Miał do niéj talent istotny i wielki; wkrótce jednak utraciła dlań ona wiele z uroku swego, a stało się to w skutek następującego, drobnego wypadku. Pod otwarte okno, wielce skromnego mieszkania Kępy, przyszedł raz nędzarz w łachmanach, pokornym głosem o jałmużnę proszący, a uko-

śne, złośliwe spojrzenia rzucający w głąb pokoju, w którym Kępa pogrążał się w czytaniu. nowéj dla siebie i nowe myśli budzącéj w nim, książki. Usłyszawszy żałośliwy głos żebraka, zerwał się z siedzenia, chcąc pospieszyć z udzieleniem mu pomocy. Z rozpaczą jednak przypomniał sobie, że w chwili téj nie posiadał, ani grosza. Nie mógł nawet proszącego obdarzyć kęsem chleba, bo sam co drugi dzień tylko jadał obiad w garkuchni, w dniach bezobiadowych zadawalniając się bułką, którą mu matka ze straganu swego dawała. Niedostatek ten jego pochodził w części z tego, że usiłował jaknajmniéj obarczać się bezcelową, w pojęciu jego, i niegodną go pracą korepetytorską; w części zaś z tego, że cokolwiek miał rozdawał, a z zasady, dla przyjęcia udziału w cierpieniach ludzkich, sprawiał sobie przeróżne umartwienia i wiódł iście ascetyczne życie. Nie mając tedy, czém obdarzyć żebraka, który coraz płaczliwiéj skarzył się i błagał o wsparcie za otwartém oknem, pochwycił skrzypce i grać zaczął. Grał istotnie tak, że grą swoją przynieśćby mógł zadowolenie pewne towarzystwu dość wybrednych choćby melomanów. Stojący przecież za oknem żebrak melomanem nie był. Ukośne wejrzenia jego stawały się coraz bardziéj rozjątrzonémi. Stał jednak, cierpliwie czekając chwili, w któréj człowiek, z którego twarzy wyczytał, że wesprzeć go pragnie, ciągania smyczkiem po strunach zaprzestanie. Długo chwili téj doczekać się nie mógł. Kępa wpadł w zapał. Smyczkiem po strunach ciągał nie on, lecz czyniła to w postaci jego filantropija. Nakoniec grać przestał, a za oknem ozwały się znowu żałośliwe jęki i prośby żebraka. Kępa przybliżył się do okna.

— Dałem ci, co mogłem, bracie mój,—rzekł,—więcéj nic dać nie mogę, bo sam niemam!...

— A to niechże pana wszyscy djabli porwą! — grubym i rozwścieczonym głosem krzyknął żebrak:—pocóżeś mię pan bałamucił tu tak długo, jeśli nic dać nie miałeś! Ja drugi dzień już niemam, co w gębę włożyć, a on tu zemnie żarty jakieś stroi! Nielitościwe serce! psia twoja natura! Żeby z ciebie Pan Bóg najwyższy i wszyscy święci Aniołowie tak zażartowali, jak ze skrzypcami swemi razem do otchłani piekielnych spadać będziesz!...

Ze słowami temi powlekł się żebrak dalej w ulicę, lecz Kępa długo jeszcze stał przy otwartém oknie, ze smyczkiem swym w ręku i otwartemi usty. Jakby weń grom był uderzył! Osłupiał i osowiał. Potém, przez czas jakiś, przy lekcyach z małymi uczniami swymi, bredził od rzeczy, a takie okazywał roztargnienie i niedbalstwo, że mu połowy lekcyj odmówiono i znowu zaczął pomiędzy ludźmi uchodzić za człowieka, niespełna na umyśle przytomnego. W głębi ducha powtarzał on sobie ciągle: pocóż muzyka i jéj rozkosze, skoro cierpieniom ludzkim zaradzić przez nie niepodobna? Zniechęcił się do muzyki, wpadł w smutek ponury i coraz jaśniéj a uparciéj myśleć zaczął o jakiémś uniwersalném i radykalném, na wszelkie cierpienia ludzkie, lekarstwie. W porze téj saméj zaświtała mu w głowie myśl nowa, a szersza daleko i ponętniéjsza od poprzedzających, myśl, nie już o pocieszających i udoskonalających wpływach, które na jednostki ludzkie wywierać mogły religija n. p. lub sztuka, lecz o radykalném i gruntu wszechrzeczy sięgającém zreformowaniu ludzkości. Dotąd miał na oku przeważnie ludzkie jednostki tylko, teraz jedném spojrzeniem ogarnął zbiorowego człowieka, zwanego ludzkością. Dotąd pragnieniem jego i ambicyą było przynosić pomoc i pociechę tu i ówdzie, temu i owemu; teraz pomyślał, że

może zostać reformatorem i zbawcą ludzkości całéj. Jakim sposobem przyszedł do myśli tych? Co mu je natchnęło? Były to zapewne wyniki wypadków życiowych bardzo prostych: przeczytania kilku książek jakichś, stoczonéj jakiéjś rozmowy, wypadkowo spotkanego towarzystwa. Były to także wyniki psychicznych procesów i przypadłości, powstających wielce logicznie z ogólnego usposobienia jego: dalszy ciąg marzeń, egzercytujących mózg jego do czynności, w jeden wyłączny kierunek zwróconych, wytężenie nerwów aż do chorobliwości wrażliwych, rozognienie wyobraźni, podniecanéj przez muzykę i samotne wycieczki, sen jakiś może lub halucynacya, przez nawpół głodny zawsze żołądek i chroniczną gorączkę mózgu sprowadzone, a poczytane za wizyą, rozkaz, natchnienie. Jakkolwiekbądź, Kępa rzucił się wtedy duszą całą w tę kategoryą literatury, która opiewała o przekształceniach społecznych rodzaju wszelkiego i wszelkiéj natury, a dostępną mu była, dzięki zabranym w szkołach i zawodzie nauczycielskim stosunkom i znajomościom. O pożyczenie mu książek prosił i błagał każdego, o kim tylko wiedział lub przypuszczał, że posiadać je może, a przyniósłszy je raz do swéj ciasnéj, brudnéj, ciemnéj izdebki, pogrążał się w nich na całe dnie i noce. Był już teraz w nędzy ostatecznéj, bo nauczycielstwo porzucił zupełnie i żył z tego tylko, co mu dawała matka, starzejąca się coraz i ubożejąca, albo co zarobił u najbliższych znajomych, którym, od czasu do czasu, poojcowskiemi narzędziami posługując się, parę starego obuwia wyrestaurował. Myśląc przecież o restaurowaniu ludzkości, stare obuwie restaurował nieszczególnie; dawano mu więc je niechętnie i tylko z litości. Wychudł, wybladł, chronicznie kaszlać zaczął. Gdy wychodził na ulicę, ludzie pa-

trzali nań znowu jak na półwaryata, bo wzrok miał osłupiały, usta otwarte, a szerokie dziury świeciły w wytartéj odzieży jego u łokci i kolan. Trwało tak przez rok lub więcéj; nagle Kępa czytać przestał, książki wszystkie właścicielom ich zwrócił, a gdy go ktokolwiek o treść ich zapytywał, pogardliwym gestem zupełne swe względem nich zniechęcenie objawiał. Doszedł był do przekonania tego, że żadne z ulepszeń lub przekształceń, o których książki te mówiły, ani dość gruntownem, ani dość pociągającem nie było, i że do najwyższego szczęścia ludzkość dojść może tylko przez najwyższą miłość, taką miłość, którąby skłoniła możnych i szczęśliwych, aby bogactwem swém i szczęściem podzielili się z tymi, którzy ich nie posiadają, a cierpiących i maluczkich uczyniła tak cnotliwymi, iżby doskonałością swą miłość możnych i szczęśliwych dla siebie zjednali. Był to dotychczas plan całkiem pokojowy, zasadzający się na zgodzie i miłości powszechnéj. „Błogosławieni pokój czyniący! i błogosławieni cisi!“ powtarzał sobie Kępa. Ale, jakim sposobem zrządzić, ażeby ci, co dotąd samolubnie tylko dóbr ziemskich używali, stali się czyniącymi pokój i szczęście, a ci, których toczyły złości i grzechy rodzaju wszelkiego, stanęli przed obliczem świata, jako uosobienie cnoty, skłaniające do wymiaru nagrody i sprawiedliwości? Czyliżby natura ludzka była przyczyną tego, że dotąd nigdy nic podobnego na kuli ziemskiéj się nie stało? Tak najpewniéj; winną tu była natura ludzka, z jednéj strony pełna egoizmu i pychy, z drugiéj leniwa w doskonaleniu się, a pochopna do czerpania pociech ze źródeł nieczystych. Lecz, cóż ztąd? Taką była natura ludzka, nie pierwiastkowo zapewne i nie od początków istnienia swego; owszem, u początku dziejów ludzkich, istniał

zapewne wiek złoty, wiek idylli, snutéj przez wszystkich, przy wspólnéj wszystkim biesiadzie życia. Jeżeliby przecież, i u początków swoich nawet, natura ludzka taką samą była, jak obecnie, to znowu: cóż ztąd? Alboż przerobić i przekształcić jéj nie można? Przerobić naturę ludzką? Bagatela! Wszak nie trzeba na to niczego więcéj, jak tylko otworzyć ludziom oczy na prawdę i serca ich przysposobić do miłości. Gdy tylko wszyscy zobaczą prawdę i zdolni się staną do miłości wzajemnéj a nieograniczonéj, natura ludzka zmienioną zostanie, zmienią się stosunki, wyobrażenia, obyczaje, wszyscy staną się równymi sobie, w obec praw do wszystkiego, i ziemia zmieni się w raj. Pokojowy plan ten urzeczywistnionym być miał niemniéj pokojowemi środkami. W pojęciu Kępy dość było garstki ludzi, którzyby, z zapałem i poświęceniem, prowadzić chcieli odpowiednią propagandę, aby natura ludzka zmienioną, a stosunki społeczne przekształconemi rdzennie zostały. W potęgę słowa, w roztrzygający wszystko wpływ na ciała zbiorowe, natchnionych jednostek wierzył on z naiwnością zapaleńca i nieuka. Z pyszną téż zarozumiałością człowieka, który, w przekonaniu swém, stał się odkrywcą klucza, mającego przed ludzkością otworzyć zaczarowane zamczysko szczęścia i doskonałości, uczuł się on przeznaczonym do pełnienia w świecie rzeczy wielkich, zapalał żądzą rozpoczęcia co prędzéj przetwarzającéj czy twórczéj roboty. W rodzinném mieście swém przecież uczynić tego nie mógł. Czuł i domyślał się, że słowo jego nie miałoby tam żadnéj powagi, a pocieszał się i skrzepiał myślą, iż nikt prorokiem nie jest w kraju swoim, i że w mury Jerychonu tego wróci on wtedy, gdy sława jego rozbrzmi już po szerokim świecie, i pośmiewisko, którego tu był przedmiotem, zmieni w uwiel-

bienie. Zanimby jednak można było wrócić w mury Jerychonu, należało koniecznie wprzódy z nich wyjść. Nie było to łatwem. Kępa wyciągał ramiona ku szerokim światom, nie posiadając pary obuwia dość mocnego, aby w niém ujść było można mały choćby kawał drogi. Wtedy to, ktoś litościwy, pragnąc nastręczyć mu sposobność zarobienia na kawałek chleba, uwiadomił go, że młody pewien i możny człowiek, pragnąc dopełnić obywatelskiego i ludzkiego obowiązku, założył w obszernych dobrach swych kilka elementarnych szkółek wiejskich i poszukuje ludzi, którzyby w nich zajęcia nauczycielskie spełniać chcieli i mogli. Dowiedziawszy się o tém Kępa, wpadł w paroksyzm radości i entuzyazmu. Matka Kępowa, po tylu zawodach doświadczonych, dumna i uszczęśliwiona tém, że syn jéj *profesorem* zostanie i nakoniec *leguralne* życie prowadzić zacznie, odłużyła mały, szary domek, który odziedziczyła była po ojcu cieśli, i sprawiła Szymonowi staranną wyprawę. Kiedy na wozie chłopskim, w dzień targowy na rynku najętym, Kępa wyprawił się do owego możnego protektora ludowéj oświaty, posiadał, dzięki odzieży, przez matkę mu sprawionéj, powierzchowność wcale przyzwoitego młodzieńca; że zaś życzliwość i pamięć, okazywana przez przyszłego chlebodawcę jego „maluczkim i cierpiącym,“ budziła w nim uwielbienie gorące i rozczulała go niepomiernie, skromniéjsza, niż zwykle, postawa jego i łagodny wyraz oczu sprawiać mogły korzystne dlań wrażenia. Przytém radość i uszczęśliwienie biły z kobiéco białéj, mizernéj jego twarzy. Istotnie, nigdy apostolska misya żadna rozpoczynać się nie mogła w warunkach pomyślniéjszych. Z jednéj strony „maluczcy i cierpiący,“ których pocieszać miał i udoskonalać, z drugiéj „wielki tego świata,“ któremu prawdy nowe w serce i umysł

wszczepiać będzie, było to wszystko, o czem tylko Kępa, dla otworzenia sobie drogi działalności, mógł kiedykolwiek zamarzyć. Pojechał, otrzymał, tak gorąco pożądaną, posadę i pozostał na niéj przez lat trzy.

Epizod to był życia jego najważniejszy może i najbardziéj dla całéj przyszłości jego stanowczy. Kępa jednak, chętnie opowiadający każdemu, kto tylko chciał go słuchać, o pracach swych, pomysłach, cierpieniach i zawodach, o epizodzie owym mówić nie lubił. Mówić on o nim nie lubił dla tego może, iż praca, któréj się podówczas oddawał, była zapewne najrealniejszą, więc, wedle niego, najwięcéj poziomą i mało ważną, a cierpienia, których doświadczył, były najrzeczywistszemi i najgłębszemi; największą więc, przy wspomnieniu o nich każdem, sprawiającemi mu boleść. Wszystko, co, z krótkich i urywanych wzmianek jego o téj epoce jego przeszłości, wnieść było można, nasuwało domysł, iż wtedy to, poraz pierwszy i jedyny w życiu, pokochał on kobiétę jakąś; że około połączenia się z tą kobiétą osnuł cały jakiś plan życiowy, i całą jakąś przeróżową sielankę, że mu kobiétę tę odebrano; że tym, który mu ją odebrał, był jakiś „wielki tego świata;“ że zatém, od pory owéj, kiełkować poczęła w sercu jego, obok miłości, nienawiść, obok bezwzględnéj wiary w możność zreformowania natury ludzkiéj i ludzkości w ogóle, zwątpienie o tém: czy zreformowanie to samemi tylko pokojowemi środkami uskutecznić można. Z nienawiścią tą, powstałą z osobistego doświadczenia, z krzywdy czy obrazy, którą ktoś jemu samemu wyrządził, Kępa walczył długo, walczyło z nią serce jego do rzewności raczéj, niż do gwałtów, skłonne. Rana przecież, którą mu zadano, musiała być głęboką i bolesną. Co tam było silniejszem:

miłość dla kobiety. czy miłość własna, żal nad utratą ukochanej istoty, czy gniew za rozwianie usnutéj sielanki, lub ułożonego planu działania? trudnoby stanowczo określić. Jakkolwiekbądź, Kępa, od pory owéj, począł uważać się, nietylko za apostoła, lecz i za męczennika; w rojenia swe i zamiary zaczął wlewać żywioł, nietylko miłości, lecz nienawiści, nietylko poprawiania, lecz tępienia. Niekiedy litował się sam nad tymi, których w myśli swéj wskazywał na zagładę, lub, co najmniéj, na pokutę i zadośćuczynienie; litował się nad nimi, aż do łez, aż do biadania nad przeznaczeniem swojém, które czyniło go narzędziem strasznéj téj sprawiedliwości i kapłanem „krwawéj ofiary.“ Zeznawał jednak, że przyszły raj ziemski wymagał dopełnienia téj sprawiedliwości i téj ofiary i poświęcał się. Czém wyrażało się to poświęcenie jego? Wieczną po świecie tułaczką, ubóstwem, wynędznieniem, najrozmaitszemi umartwieniami, któremi się dręczył, pisaniem nakoniec dzieła olbrzymiego, które więcéj ważyło, niż cała jego majętność, z odzieży i nieodstępnych skrzypiec złożona. Posady wiejskiego nauczyciela otrzymywał i tracił z kolei; bo, zamiast uczyć dzieci chłopskie czytania i pisania, prawił im długie przemowy o równości ludzkiéj, o dostojeństwie człowieczém, o cnocie, sprawiedliwości, krzywdach, poświęceniu i t. p., a zwierzchności szkolne, rządowe, gminne lub prywatne, oddalały co prędzéj niezdarnego i przez uczniów swych wyśmianego mędrca. Ze wsi udając się do miast, próbował zarabiać na życie, a przedewszystkiém działać na drodze prywatnego po domach nauczycielstwa. Tu jednak nadzór był bliższym, a zrozumienie sposobów i celów nauczania lepszemi. Odmawiano mu zajęcia, odmowy motywując tém, że umysły dziecinne napełniał wiadomościami i poglądami, wcale

wiekowi dziecinnemu nie właściwemi. Z miast wracał więc znowu do wsi; zamiast w szkółkach, zamieszkiwał w karczmach, gdzie grywał do tańca dla zarobienia na kawałek chleba, a z każdéj sposobności korzystał, aby prawić ludziom o szczęśliwéj przyszłości rodu ludzkiego, i o sposobach osiągnięcia jéj opowiadać. Całą działalność tę, wciąż rwącą się i z miejsca na miejsce przeskakującą, a w nędzy pogrążoną i urągowiskiem ludzkiem oblaną, nazywał on gotowaniem dróg dla przyszłości. Wyjście w świat dzieła jego miało już przyszłość tę uczynić rzeczywistością. Raz przecież, owe gotowanie dróg, doświadczyło ważnéj przeszkody i znakomitéj uległo przerwie. W zimowy wieczór pewien przygrywał długo do tańca w karczmie zgromadzonéj wiejskiéj ludności, a gdy tańczyć przestano, zawiązał, jak zwykle, długą rozmowę z, siedzącymi dokoła stołu, wieśniakami,—rozmowę, która wkrótce zmieniła się w ognisty monolog. Zapał ogarnął go taki, że wskoczył na ławę i z wysokości téj przemawiać zaczął. Dopóki mówił o cudownych maszynach, o przyszłym raju ziemskim, o równości wszystkich ludzi pomiędzy sobą, o potrzebie wzajemnego kochania się i t. p., dopóty ludzie słuchali go z różnemi nastrojami ducha, z niedowierzającemi uśmiechami i rozrzewnionemi, jak w czasie kazań kościelnych, westchnieniami, lecz cierpliwie i nawet ciekawie. Lecz, gdy, przechodząc do drugiéj części tezy swéj, wołać on począł o równy pomiędzy ludźmi wszystkimi podział dóbr ziemskich. usposobienie słuchaczy ulegać poczęło znacznéj zmianie. Dostatni gospodarze, którzy posiadali spore kawały gruntu, a w spichrzach i oborach znaczną ilość zbożowych zapasów i inwentarza zwierzęcego, z niepokojem oglądać się poczęli na parobków swych i najmitów, któ-

rzy, ani na grunta, ani na zapasy i inwentarze rodzaju wszelkiego, jeszcze się nie zdobyli. Parobcy zaś i najmici, odziani w dostatnie kożuchy, podejrzliwie spoglądali na samego mówcę, którego wytarta i podarta odzież, wcale do pory roku zastosowaną nie była. Gospodarze myśleli, że cale niegodną byłoby rzeczą, jeżeliby parobkom i najmitom przyszło do głowy przystąpić do równego z nimi podziału gruntów i zapasów; ci ostatni zaś szyderczo ku mówcy wykrzykiwali: mądryś! chciałbyś pewnie, abyśmy ci połowę kożuchów naszych oddali! Lecz, gdy monolog Kępy dosięgnął kulminacyjnego punktu swego, gdy zaczął on proponować środki, za pomocą których, plan równego podziału dóbr, urzeczywistnionym być może i z twarzą w ogniu zawołał, iż niechętni, samolubi i opierający się dziełu zbawienia ludzkości przeznaczonymi zostaną, jak suche drzewa, na spalenie i zagładę, w karczemnéj izbie powstał krzyk i tumult wielki, gniew i śmiech, wydrwiwanie i pogróżki. W czasie pokojowym zupełnie i pośród ludności wiejskiéj sytéj, dobrze odzianéj, a wódką i tańcem rozweselonéj, nikt, w najmniejszym stopniu, usposobionym nie był do rabunków, a każdy miał przyczyny lękania się ich dla samego siebie. Koniec końców ściągnięto mówcę z ławy, związano mu ręce postronkami i oddano go w ręce władz miejscowych, które, po zarządzonem dochodzeniu śledczém i wytoczonéj sprawie kryminalnéj, skazały Kępę, za usiłowanie burzenia porządku publicznego, na trzy lata zamknięcia w więzieniu. Wyrok ten łagodniejszym był od tych, które zazwyczaj, w wypadkach podobnych, zapadają, dla tego, że winowajca silnie podejrzywanym był przez sędziego, a potém przez nadzór więzienny i lekarzy ekspertów, o częściowe pomięszanie zmysłów. Istotnie,

postępek, którego dopuścili się względem niego „maluczcy i cierpiący,“ uderzył weń jak grom, i na czas pewien przytępił, chaotyczne zwykle, władze jego umysłu. Wpadł on był w rodzaj ponurego osłupienia, a znieruchomiałe, głęboko zdumione, jego oczy i gorzki uśmiech do uparcie milczących warg przyrosły, nadawały mu pozór waryata. W nowéj téj a tak bolesnéj perypetyi życia swego pocieszał się on tylko jedną myślą, mianowicie: że ukochane skrzypce jego i olbrzymi rękopis uratowanemi zostały. Przed uwięzieniem swém bowiem miał on jeszcze dość czasu i przytomnéj myśli, aby powierzyć je pieczy i straży pewnego dziaka cerkiewnego, który, wypijając codziennie po półgarnca wódki, pragnął gorąco, a nie mógł w żaden sposób dostarczać jéj sobie po całym garncu i dla tego podzielał w zupełności pojęcia i dążenia Kępy, daleko jeszcze bezwzględniéj od niego „wielkich tego świata“ nienawidząc.

Trzy lata—nie wiek. Czém one jednak były dla człowieka, który w mury więzienne wszedł z uczuciem strasznego upokorzenia i zawodu? Któż zgadnie? Były one dlań zapewne jednym ciągiem męki fizycznéj i moralnéj, lecz téż zarazem i długim momentem samotnych medytacyj, śród których mózg jego pracował nieustannie, a przyrodzona gorączka fantazyi wzmagać się musiała. Wyszedł z więzienia zestarzały, zwiędły, podobny do mizernego, robactwem stoczonego, owocu, we wnętrzu swém przecież nie zmieniony bynajmniéj. Nic w świecie nie było zdolném wytrącić mu z głowy roju nagromadzonych tam marzeń, ani zachwiać w nim wiary w dostojeństwo i posłannictwo własne. Pod tym ostatnim względem był niezłomnym. Jeżeli dotąd działalność jego nie została uwień-

czoną należytemi następstwami, był to wynik samolubstwa, złości i zaślepienia ludzkiego. Natura ludzka, po dokonanych nad nią próbach, okazała się tak zepsutą. że przerobienie jéj wymagało dłuższego czasu, niż mniemał o tém wprzódy. Że jednak można było ją przerobić, nie zwątpił o tém, ani na chwilę. Dzieło jego, owoc ten rozmyślań i dochodzeń całego jego życia, w całości przechowało się na dnie skrzyni cerkiewnego dziaka, który, zarówno jak Kępa, przez trzy ubiegłe lata przekonań swoich nie zmienił; jakkolwiek bowiem, otrzymawszy po jakimś zmarłym krewnym sukcesyą, był już teraz w możności kupowania sobie codziennie po garncu wódki, lecz „wielki tego świata,“ czyli proboszcz, będący jego zwierzchnikiem, pić mu ją w tak zwiększonéj dozie wzbraniał, usunięciem ze służby i poddaniem kościelnéj pokucie grożąc; a wzbronienie to i ta groźba w dziaku cerkiewnym utrwaliły przeświadczenie, że „wielcy tego świata“ są, dla szczęścia ludzkiego, jedynym na ziemi kamieniem obrazy. Zabrawszy więc od dziaka, którego uczniem swym i prozelitą mianował, rękopis swój i skrzypce, Kępa udał się do rodzinnego miasta swego. W głowie powstał mu pomysł nowy,—pomysł, którego uskutecznienie wydawało mu się i bolesném i upokarzającém. Postanowił udać się do „możnych i szczęśliwych“ z propozycyą, aby dopomogli mu oni w wydaniu na świat, mającego się już ku końcowi, dzieła jego. Inaczéj, pozbawiony wszelkich pieniężnych środków, nie dokona tego nigdy, a jednak w tém to dziele przeważnie złożył on wszystkie nadzieje uratowania ludzkości i tryumfu własnego. Myśl o przestąpieniu progów, za któremi mieszkały: zbytek, pycha i samolubstwo, trzy, wedle niego, śmiertelne grzechy „możnych i szczęśliwych,“ przejmowała

go zgrozą i wstrętem. Jednak postanowił, jak zwykle, poświęcić się. Szło już teraz o to tylko, aby módz posiąść porządny surdut, bez którego, jak o tém wiedział dobrze, w progi „wielkich tego świata“ wpuszczonym zostać niepodobna.

Opowiadanie téj historyi swojéj Kępa przeplatał zrywaniem się ze stołka i stawaniem w teatralnych postawach, ciężkiém wzdychaniem, groźnem podnoszeniem w górę ściśniętéj pięści, przeciąganiem dłoni po zwilżonych łzami oczach. W głosie jego drgały niekiedy nuty szczere i rzewne, często jednak brzmiał on przesadzoną patetycznością, tak. jak gdyby sztuczne wydymanie myśli i słów stało się przyzwyczajeniem i drugą naturą mówcy. Gdy nakoniec doszedł on już, w opowiadaniu swém, do swéj kapitalnéj kwestyi porządnego surduta, bez którego niepodobna mu było czynić starań o wyjście w świat wielkiego jego dzieła, Sylwek zawołał:

— Poczekaj, dziadźku *), poczekaj tylko troszkę! jak my się z Łukaszem dobrze postaramy, to wam w mig surdut kupim! ma się rozumieć, że na żydach, ale to wszystko jedno... byle czysto i cało wyglądał. Już kiedy my na całą maskaradę uzbierali, to i na jeden surdut uzbieramy... nie dziś, to jutro!

Kępa jakby się z głębokiego snu obudził.

— Na jaką maskaradę?—zapytał.

— A zobaczycie! co mam o tém bzdurstwie teraz gadać, kiedyście mi głowę takiemi rzeczami napełnili, że... pali mi się, jak w ogniu! Oj! żebyście wy mogli, żebyście

*) W ten sposób młodzi ludzie z gminu, na Litwie i Rusi, nazywają starszych, względem których uszanowanie uczuwają.

wy mogli zrobić ten świat innym, ludzi biednych z nędzy i napróżnych żądań ich wyratować, jabym sam taką wielką gromadę wyratowanych znalazł, żeby was na rękach swoich, aż pod same niebo wysokie, podniosła!

Mała, skurczona twarz Kępy rozpromieniła się.

— Nadejdzie dzień — szepnął, — nadejdzie wielki dzień tryumfu i szczęścia...

A patrząc na siedzącego na ziemi Sylwka, dodał:

— Oto gromadzą się już wkoło mnie uczniowie i prozelici... rozpala się już blask świętego dnia sprawiedliwości...

Tymczasem gromadę uczniów i prozelitów przedstawiał u boku Kępy jeden tylko Sylwek; jedynym zaś blaskiem, oświetlającym radość jego, była cienka, żółta łojówka, osadzona w napełnionym piaskiem czerepie stłuczonego garnka, a umieszczona na wielkiej starej skrzyni, przez której boczne części, desek pozbawione, widać było, czarne jak otchłań, a przeróżnem śmieciem napełnione, wnętrze, dawne i obszerne mieszkanie, łopocących w niem, od czasu do czasu, szczurów. Żółty płomyk łojówki oświetlał izdebkę, znajdującą się w suterenach opuszczonego gmachu, posiadającą kształt sklepu i wybijającą się nad ziemię jednem małem. w odwieczną, zardzewiałą kratą zaopatrzonem, oknem. Opuszczony i rozwalający się gmach musiał być niegdyś własnością ludzi możnych, którzy najpośledniejsze nawet części mieszkania swego na sposób różny przyozdabiać lubili. Sklepione i wilgocią ociekające, ściany podziemnej izdebki okryte były odwiecznemi malowaniami, śród których wyraźnie jeszcze rozpoznać można było ciemne, szerokolistne drzewa, idące od dołu i zginające się wraz z zasklepiającym się sufitem, pośrodku którego bajeczny gryf rozwijał potworne

skrzydła swe i pazury. Od starych malowań tych, ciemnych i ponurych, rażąco odskakiwał piecyk, z żółtéj gliny naprędce znać sklecony. Przy nim leżało, na zgniłych deskach podłogi, trochę szeweckich narzędzi; przed skrzynią, zarzuconą zapisanemi papierami, stał nizki pieniek drewniany, jedyny w miejscu tém sprzęt, do siedzenia służyć mogący; trochę kartofli leżało w kącie; na dwu pułkach, wbitych w ścianę, nie było nic, prócz okruch czarnego chleba i szczypty soli, zawiniętéj w szmatce papieru. Na pierwszy rzut oka było to już wszystko, co znajdowało się w mieszkaniu Kępy; jednak, po baczném rozéjrzeniu się w mroku, zaledwie przez płomyk łojówki rozświetlonym, a przez malowane ściany zwiększonym, można było dojrzeć, w najdalszéj głębi izdebki téj, czy tego sklepu, przedmiot jakiś, na ziemi rozciągnięty, a którego poruszania się i głośniejszy, od czasu do czasu, oddech zdradzały śpiącą istotę ludzką.

W otoczeniu tém, twarz Sylwka, siedzącego na ziemi, pod światłem łojówki, jaśniała ciekawością i zachwyceniem bez granic. Opierając brodę na dłoni, a rozżarzone oczy wlepiając w twarz Kępy, która, w oprawie brudno czerwonéj chusty, promieniała też uśmiechem i czułością, mówić on zaczął:

— Niedaremniem ja pana tak dobrze zapamiętał, niedaremniem wypatrywał pana wszędzie tak, jakbyś ot, ot, zaraz, z za jakiego domu lub z jakiéj bramy, wyjść musiał. Otworzyłeś mi pan oczy na świat!... teraz już wiem dokładnie i na pewno, że stary Łukasz ma racyą, kiedy mówi, że wszyscy ludzie są równymi sobie; tylko że pan tak pięknie tłómaczysz: dla czego taka nierówna jest dola ludzka na świecie...

— Gdzież jest.—przerwał Kępa,—co porabia zacny ten człowiek, który niegdyś tak gościnnie, przy stole swym, mię przyjmował, a z biednem, porzuconem dzieckiem dzielił się chlebem i sercem?

— A gdzie ma być? — odparł Sylwek, — na dziady poszedł i od tego czasu nieźle mu się dzieje. Kiedy go z chaty cmentarnej wyprawiono, kupił sobie katarynkę, ot tę samę, z którą ja teraz po mieście chodzę. On grał, ja tańczył; czasem zarabialiśmy kilka groszy, a czasem głodem przymierali... różnie bywało. Potem stary zmęczył się i już mu katarynkę na plecach dźwigać ciężko było. Mówi tedy do mnie: ja pójdę na dziady, ale z ciebie człowieka robić muszę, bo sierotami opiekować się przykazał Pan Bóg nasz najwyższy, któremu niech będzie cześć i chwała na wieki wieków, Amen.

Ostatnie słowa Sylwek wypowiedział, naśladując cienki głos Łukasza, i parsknął śmiechem.

— Zacne, szlachetne, wspaniałomyślne serce! — szepnął Kępa.

— Ciekaw byłem bardzo, jakim to sposobem wykieruje on mnie na człowieka. Aż tu ot co! miał dawnego znajomego mularza i poprosił go, żeby mię na naukę do siebie wziął. Nie byłem od tego. Co to szkodzi spróbować. Tak czy siak—bieda. Ani katarynkarzem, ani mularzem będąc, nie mogę ja mieć tego, czego żądam... Powiedziałem tedy: dobrze! i dwa lata mularczykiem byłem, po rusztowaniach łaziłem, ściany wapnem oblepiałem, potem rzuciłem i, od Łukasza katarynkę wziąwszy, marsz po świecie, pod okna pańskie, wysokie, na które kiedy patrzę, zdaje się mnie, że gdzieś tam za niemi jest dom mój własny, z którego mię, jak szczenię, wyrzucili, ale do którego kiedykolwiek,

jakimkolwiek sposobem, nie wiem jakim... powrócić muszę... bo te błoto i te szynki i te obdartusy, co w nich wiecznie piją i biją się... to nie ostatnia chyba dola moja, nie mój koniec ostateczny... to tylko wieczna męka moja, z któréj, jeżeli nie wydobędę się, to ot tak kiedykolwiek pójdę pod jakie okno wielkie, błyszczące, pomyślę o tych pięknościach, które za niemi są, posłucham téj muzyki, która za niemi gra, i łeb sobie o ścianę roztrzaskam!

— Jaki zapał! co za siła!—bacznie wpatrując się w Sylwka, szepnął Kępa.

Sylwek istotnie wyglądał w téj chwili, jak uosobienie siły, ale dzikiéj, rozjątrzonéj i hamulca nie znającéj. Śniada twarz jego gorzała w ciemnym rumieńcu, pięści zaciskał, a czoło marszczył ponuro i groźnie.

— Co ja winien,—mówił daléj,—żem nie taki, jak inni... Kiedy mularstwa uczyłem się, czeladnicy nazywali mię paniczem... albo ja wiem dla czego? mówili, że wyglądam na panicza, któryby się za mularza przebrał. Nie wiem ja tam nic o wyglądaniu swojém, ale to wiém dobrze, żem nie tak pracował, jak oni, i o czém inném myślał i czego innego żądał. Bywało, jak napadnie mię ochota do pracowania, to przez pół dnia zrobię więcéj, jak oni przez dni dwa... Pracuję tak, że aż się potem cały obleję i świat zniknie mi z oczów. Raptem odpada ochota i ani weź! Już się nie przymuszę za nic! Nie przywykłem, tak jak oni, od dziecka do rygoru i przymuszania się... Mogiłki rodzicami mnie były... głuche i nieme... com chciał, tom robił... spałem i hasałem... wiatrów bożych śpiewanie rozumieć uczyłem się i na igranie chmur pod niebem patrzyłem. To i umiém i lubię robić... Wlazę bywało na rusztowanie i tak z wysokości na śliczny świat boży się zapatrzę, a w wiatrach,

świszczących po dachach, tak się zasłucham, że mi kielnia z ręki wypada, a głosu majstra ani słyszę... Dał mi raz pięścią w plecy, ja go nazad z całéj siły... innych bił... i oni nic za to... ja nie mogłem... gniewem zapaliłem się, jakby wemnie kto wrzątku nalał... Wynikła z tego sprawa kiepska. Majster przepraszać siebie kazał. Ja, za nic! Co? miałem przed tym opojem i grubianinem kark zginać! Nie wiadomo jeszcze, kto z nas lepszy! Wypędził z domu i mularka skończyła się.

Kępa, coraz ciekawiéj i baczniéj, przyglądał się mówiącemu.

— Głos krwi, — wymówił zcicha, — głos krwi, w pracy niewytrwałéj, dumnéj a wartkiéj...

Sylwek mówić znowu zaczął:

— Alem nie żałował wcale przebrzydłéj mularki téj... wszystko jedno... z głodu nie zdechnę, dopóki mię co nie spotka... wóz albo przewóz... szczęście albo mogiła... a żądań moich mularka nie spełni! gdzie jéj do żądań moich! Nikt nie wiedział i nie wié, czego ja żądam. Żebym im wszystkim gadał i nadgadał, nie zrozumieliby nawet! Gdzie im do żądań moich i do myśli moich i do tych dziwnych pieśni, co mi w głowie śpiewają wiecznie... które wygraćbym chciał, a nie umiem... opowiedzieć przynajmniéj komu, a nie wiem jak... Czasem jeszcze nic... ale czasem, jak zacznie coś we mnie grać i wzdychać i żalić się, to tak, jakbym ja sam skrzypcami był i jakby kto po piersiach moich smyczkiem wodził. Słyszę, jak struny we mnie grają i, siadłszy sobie gdzie na kamieniu, granie ich powtarzając, śpiewam... Wtedy zdaje się mnie, że jestem sobie wielkim panem, mam dom z oknami takiemi jak gwiazdy i z dachem takim jak niebo... że naokoło mnie stają prześliczne kamien-

ne figury i śmieją się do mnie, niby żywe, a takie białe, jak śnieg kobiéty... a wszędzie pięknie, widno, obszernie... kiedy przestaję śpiewać, zdaje mi się zawsze, żem się ze snu obudził... żem z nieba na ziemię spadł i nie mogę wytrzymać... uciekam od oczu ludzkich, zaszyję się w jaką norę i płaczę...

Płakał i teraz. Kilka wielkich łez toczyło się z czarnych, jak otchłań, oczu jego na rozognione policzki.

— Głos natury! — powtórzył do siebie Kępa,—głos natury artystycznéj, rozmiłowanéj w sztuce, pożądającéj blasku i zbytku...

Po chwili rzekł głośno:

— Dorosłym już jesteś, na glebie nieuprawnéj rośliny dojrzewają wcześnie. Czyś nigdy dotąd nie pokochał kobiéty żadnéj? Czyś nie doświadczył uczucia tego, które w mojém życiu zapisało się ognistém i nigdy niestartém wspomnieniem?

Sylwek wstrząsnął się i splunął.

— Aha!—zawołał,—ciekawym bardzo, w kimbym ja się u licha mógł zakochać! Czy nie w któréj z tych dziewczyn rozczochranych, gorzałkę łykających, a łających się jak sołdaty, co tam w *handlu* bywają! W kark im dać mam nieraz ochotę, kiedy hałasują, tak, że aż grania mego nie słychać, ale żeby mi przyszło którą z nich pocałować, tobym już wolał napić się wody z rynsztoka... Niech je wszyscy djabli porwą te... razem z ich wyszczerzonemi wiecznie mordami!

Zadąsał się i umilkł.

Kępa znowu rzekł zcicha:

— Głos natury... wybrednéj, wrażliwéj, zarówno na szpetność, jak na piękno!... Dziedzictwo, otrzymane w peł-

ni... Krew pańska w żyłach ulicznika... dusza artysty w ciele szynkowego grajka! Ale to dobrze! dobrze! dobrze! z takich tylko natur gwałconych, z takich dusz zbuntowanych, powstać mogą szeregi uczniów moich i prozelitów, przekształcicieli świata... Dobrze! to dobrze! o! to dobrze!

Cieszył się tak, że aż zacierał długie blade swe ręce, że aż od uśmiechu, wstrząsającego twarz jego, trzęsły się śpiczaste końce, związanéj pod brodą, czerwonawéj chustki.

— Co tam, dziadźku, mruczycie sobie pod nosem!—zawołał Sylwek,—czyście pacierze raptem odmawiać zaczęli, czy co? Oto lepiéj gadajcie mi, kiedyście już raz gadać zaczęli: dla czego na świecie tak jest, a nieinaczéj? dla czego ludziom, tak jak mnie naprzykład, przychodzą takie myśli i żądania, które męczą jak głód, jak choroba, jak żałość ciężka, a niczém ich nie zajesz i niczém nie wyleczysz i niczém pocieszenia im nie dasz? Dla czego tak jest, a nieinaczéj?

Kępa wyprostował się, urósł jakby, a spoważniał, tak, jak gdyby kapłanem był, na stopnie ołtarza wstępującym.

— Dla tego tak jest, dziecko moje,—powoli mówić zaczął,—że dobra ziemskie nie są rozdzielonemi pomiędzy ludzi, wedle potrzeb i żądań człowieka każdego... Każdy z ludzi czego innego pożąda i potrzebuje, każdy téż powinien zaopatrzonym zostać we wszystkie środki zadowolenia potrzeb swych i żądań. Ja naprzykład, pod względem fizycznym, żadnych prawie nie mam pragnień, ni wymagań. Obojętném mi jest zupełnie, co jem, gdzie mieszkam, jaki łachman przykrywa ciało moje. W zamian pragnienia i wymagania moralne mam ogromne. Pragnę posiąść miłość i wdzięczność ludzką, a przedewszystkiém widzieć szczęście wszechludzkie, oparte na podstawach wszechludzkiéj równości i sprawiedliwości. Gdyby sprawiedliwość ta panowała

już na świecie, posiadałbym inne wcale. niż teraz, środki przemawiania do ludzi i zdobywania tego, czego pragnę. Wszystkie drzwi stanęłyby przedemuą otworem, ludności wsi i miast zbiegałyby się, aby mię słuchać, wydałbym nakoniec wielkie dzieło moje, a wydałbym je na kartach złoconych, słyszysz? na kartach złoconych, w oprawie ze złota i dyamentów, jak przystoi, aby w świat wyszła księga, mająca bieg wieków i los milionów przełamać na dwie, całkiem a całkiem różne z sobą, połowy. Oto, czego mi potrzeba. Oto, czego mógłbym użyć i dokonać, gdyby na świecie panował już dzień sprawiedliwości. Ty znowu, moje dziecko, urodziłeś się z naturą inną, z naturą, wziętą wraz ze krwią człowieka. który ci dał życie. Posiadasz wyobraźnią i wrażliwość artysty. dumę szlachcica, wybredność smaku i żądzę zbytku... stosownie więc do potrzeb i pragnień, które stanowią istotę twoję, powinieneś zamieszkiwać świat piękna i sztuki, blasku i wytworności.—świat, w którymbyś pędził życie promieniste a lekkie, jak srebrna ryba, pływająca w błękitnych kryształach wód.

Słów tych Sylwek słuchał z szeroko otwartemi oczami, z powstrzymanym w piersi oddechem. Znaczenie wielu z nich było dlań niezrozumiałém, główny jednak sens ich pojął wybornie, a sam dźwięk, wydętych nieco. lecz okrągłych i dźwięcznych, okresów Kępy pieścił wrażliwy słuch jego, a wyobraźni dawał silny przedsmak nieznanych jakichś, a pożądanych światów. Nieruchomy, rozmarzony, pobladły, zwolna, półsennym głosem zapytał:

— To i czegóż, czegóż... czegóż potrzeba, żeby było tak, jak mówicie?

Bez najlżéjszego wahania się, Kępa odpowiedział:

— Bogactwa.

A potém dodał:

— Mnie i tobie, dziecko moje, i wszystkim ludziom na świecie, dla urzeczywistnienia potrzeb ich i pragnień, trzeba bogactwa!

Sylwek uderzył się w czoło.

— Ot, — zawołał, — mądry ja, choć nieuczony! Przecież zawsze to samo myślałem i dla tego, ażeby bogactwo znaleźć, poszedłbym wszędzie i zrobiłbym wszystko... choćbym miał w lesie zaczaić się, jak dawniéj zbójcy robili, i jaką karetę na drodze rozbić... co tam! byle bogatym być... jużbym potém dał sobie rady i wszystko potrafił. No, dziadźku, powiedźcież mi, boście bardzo mądry i wszystko wiecie, dla czegóż każdy człowiek bogactwa nie ma?

Tym razem Kępa zbliżył się ku niemu i, pochylając się nad jego głową, a wskazujący palec w górę podnosząc, pełnym tajemniczości głosem wyszeptał:

— Nie wiesz dla czego? dziecko, w niewiedzy i dzikości zhodowane! dla tego, że mała cząstka ludzi, ziemię zamieszkujących, przywłaszczyła sobie wszystkie skarby jéj i zasoby... a wydziedziczyła z nich większość... nas wszystkich, rozumiesz? nas wszystkich, maluczkich i cierpiących!...

Sylwek zaśmiał się i począł potwierdzająco wstrząsać głową.

— Ho ho! — rzekł, — nie taki ja widać głupi, jak sobie czasem myślałem. Sam zgadłem. To, to. Zabrali sobie wszystko, a nam nic nie zostawili... ja często tak myślałem...

— Dziadźku,—zapytał nagle i ciszéj,—czy to dla tego mówiliście mi, wtedy jeszcze, kiedym był mały, że ja... skrzywdzony... że mnie... stała się wielka krzywda przez jednego z tych... którzy mieszkają... tam... wysoko!

Z gorączkową ciekawością wpatrywał się w twarz Kępy, który, tém pytaniem jego, znagła jakby zaskoczony, zawahał się z odpowiedzią. Wahał się długą nawat chwilę i widać było, że toczył z sobą wewnętrzną jakąś rozmowę. Potém, niepewnym jeszcze głosem, rzekł:

— Dla tego, pewno dla tego mówiłem ci, żeś skrzywdzony... może jeszcze i dla czego innego...

— Aha!—zawołał Sylwek i, porwawszy się z ziemi, pochwycił ramię Kępy,—dla czego innego... otóż to! Wy wiecie, kto ja, zkąd ja i czyje ja dziecko? Rozalii Klinówny, powiecie! Wiem, wiem. Oczy moje nigdy jéj nie widziały. Porzuciła, poszła i zginęła. Mniéjsza o to. Niech taką matkę wszyscy djabli biorą! Ale kto... ten? drugi? wy wiecie o tém... ja pamiętam, jak przez sen pamiętam, żeście coś o nim wtedy mówili? Ja taki ciekawy... czekałem was jak zbawienia... powiedźcież!

Postanowienie Kępy było już powziętém. Z surową twarzą i stanowczym głosem mówić zaczął:

— Wiedziałem może... może zapomniałem... nie wiem teraz. I co ci z wiadomości téj przyjdzie? Gdybyś wiedział, poszedłbyś tam... i niktby ci nie uwierzył... a gdyby ci uwierzono, to i cóż? otrzymałbyś okruchę jakąś drobną, nic nie znaczącą, a zginąćbyś mógł dla mnie, dla idei, dla wszechludzkiéj sprawy, któréj pracownikiem być możesz. Słuchaj! ja cię przyjmuję za ucznia swego, poświęcam cię na apostoła i robotnika prawdy... Co było—zapomniałem i ty zapomnij; myślmy i pamiętajmy o tém, co będzie, co stanie się... przez nas!

Sylwek, z wyrazem zniechęcenia i zawodu, opuścił się znowu na ziemię.

— Szkoda! — rzekł, — myślałem, że dowiem się. Ale prawdę mówicie! na co mi to? ciekawość napoić chyba i tylko! Alboby mię poznali? alboby mi uwierzyli? alboby mię uszczęśliwić chcieli? Pewno, że nie. Co im tam! Nie wiedzą może nawet, że szczenię jakieś urodziło się i że je pod płotem cmentarnym zostawiono, mogiłkom na hodowanie, złości i wzgardzie ludzkiéj na igraszkę! Co mi tam! Obejdę się. Z głodu nie zdechnę. Przyjdzie szczęśliwa godzina, to dobrze, nie przyjdzie, to wtedy może dopytam się, gdzie on... i o ścianę jego domu łeb sobie roztrzaskam. Niech trupa mego grzebie! Żebrać do niego nie pójdę... Niech żyje zdrów i weseli się... tam, wysoko... dopóki...

Oczy błysnęły mu namiętnie, dziko; podniósł je na twarz Kępy...

— Dopóki my z tobą, dziadźku, roboty naszéj nie zrobim? ha? prawda?

Zaśmiał się.

— Tylko, że ja nie wiem jeszcze, jaka to będzie robota i do czego wy mię użyjecie? Mówcież! uczcież! ja słuchać was gotów, jak małe dziecko; wyście pierwszy człowiek, mądry i uczony, który ze mną, charłakiem, bękartem, ulicznikiem, gadać chce; i wyście dobrzy bardzo... zlitowaliście się nad małymi i cierpiącymi, i za to, życie całe, nędzę i różne męki cierpicie... Mówcie! uczcie! dawajcie mi rozkazy! ja młody, silny. zdrów i wielkie jakieś płomię pali się we mnie... zrobię, co rozkażecie!

Kępa promieniał od radości.

— O! — zawołał, — błogosławionym niech będzie dzień, w którym występek ludzi dał idei i sprawie mojéj pracownika takiego!

Wskazał na stosy papierów, okrywające skrzynię.

— Czy umiesz czytać, moje dziecko?—zapytał.

— Pisanego nic a nic,—odpowiedział Sylwek,—z drukowanego odrobinę umiałem, bo Anastazya uczyła mię czasem na swéj nabożnéj książce... alem chyba ze szczętém zapomniał, bo od jéj śmierci jużem na żadną literę, ani spojrzał... A chciałem!... Paliło się coś we mnie, jakiem na tych smyków, w szkolnych mundurach, patrzał... Ale gdzie mi tam było do szkoły... ani jak, ani z czém... ani w czém...

— Nic to, nic to nie szkodzi! — pocieszającym głosem mówił Kępa;—owszém, nie umiejąc czytać, nie mogłeś napełnić sobie głowy, pisanemi dotąd przez ludzi, fałszami i całkiem niepotrzebnemi rzeczami. Pierwszym wytworem myśli ludzkiéj, z jakim zapoznam cię, będzie dzieło moje... tém łatwiéj trafi ono do przekonania twego i tém bujniéjszy plon wyda na dziewiczym gruncie twego umysłu... Słuchaj tylko w skupieniu ducha! Dopóki sen nie ocięży cielesnych powiek twoich, czytać ci będę pierwszy rozdział dzieła, które piszę od lat 18-tu i które zdaje się już kresu swego dobiegać.

Drżącą od wzruszenia ręką przerzucać zaczął papiéry, na skrzyni leżące, i zebrawszy kilka arkuszy, zakreślonych pismem nieréwném, poplamionem, poznaczoném mnóstwem przekreśleń, odnośników i różnych zagadkowych, a jemu tylko samemu zrozumiałych, znaków, usiadł na drewnianym pieńku i, w obu rękach trzymany, rękopis wyciągnął przed siebie, tak, jak to zwykli czynić ludzie z mocno podupadłym wzrokiem.

— Niedowidzę!—rzekł zcicha,—niedowidzę! Najszlachetniéjszy z organów ciała mego złożyłem, jak wszystko inne, w ofierze idei mojéj!

Świeczka, tkwiąca w piasku, napełniającym czerep stłuczonego garnka, parę już minut zaledwie żyć była w stanie. Ani Kępa jednak, ani chciwie wpatrzony w niego Sylwek, nie zwrócili na to uwagi. Po chwili, w sklepionéj izdebce, z malowanemi ścianami, rozbrzmiał głos, z zaziębionéj i zesłabłéj piersi wypływający, pełen jednak powagi i namaszczenia.

— *Tytuł dzieła mego*: O wybawieniu ludzkości od wszystkich, udręczających ją, grzechów i cierpień, czyli o przemienieniu kuli ziemskiéj w wiecznotrwały raj cnoty i rozkoszy. *Część 1-sza.* Wielkie dzieło reformy, powierzone rękom maluczkich. *Rozdział 1-szy.* Jakim sposobem szybko i rdzennie zmienić można i należy naturę ludzką.

Tu donośny i namaszczony głos czytającego umilkł nagle, bo w najciemniéjszym kącie, w którym szarzało, niewyraźnie rozciągnięte na ziemi, ciało ludzkie i odzywało się, od czasu do czasu, senne oddychanie ludzkiéj piersi. stało się coś nadzwyczajnego. Zaszeleściała tam, gwałtownie poruszona, słoma barłogu, zatętniały, o ścianę uderzające, pięści jakieś i rozległ się krzyk ochrypły, rozzłoszczony, z bardzo staréj a kobiecéj piersi wychodzący.

— Ludzkość! — bijąc pięściami w ścianę, krzyczał ktoś w ciemnym kącie, — znowu ludzkość! w nocy nawet spać mi nie daje z tą ludzkością! niech ją wszyscy djabli porwą! Żeby ona oblicza boskiego tak nie oglądała, jak ja przez nią w starości odpoczynku i dla starych kości wygody nie oglądam! Oj ludzkość! Żebym ja cię więcéj rózgą biła, jakeś był mały, toby ci może ludzkość z głowy wyleciała! Oj, dolaż moja z tą ludzkością... żebym była suką urodziła się, toby szczenięta moje większą mi pociechę dały, jak ten... ze swoją ludzkością!...

Umilkła nakoniec, bo głos jéj skonał w przystępie silnego kaszlu. i tylko. gdy świeczka rozbłysła ostatnim paroksyzmem gasnącego płomienia. w kącie, nad barłogiem, ukazało się, wyciągnięte w górę, nagie, suchą skurą okryte, ramię i ręka czarna, wyschła, wygrażająca malowanemu na suficie gryffowi, jakby przedstawiał on sobą tę. tak srogiemi złorzeczeniami okrywaną, ludzkość.

— Kto to? kto tam taki?—ze zdziwieniem zapytał Sylwek. Kępa milczał chwilę, potém z goryczą w głosie odpowiedział:

— To moja matka! Oprócz wszystkich innych nędz i zapoznań, dźwigać mi trzeba i tę jeszcze niedolę i to zapoznanie!

Gdy wymawiał ostatni wyraz, świeczka zgasła. W czarnych ciemnościach Kępa odezwał się:

— Dziwna rzecz! nie widziałem, że się dopalała! O nędzny ustroju człowieczy! wraz ze stratą lichego światła tego, tracisz największą z potęg swoich! Myślę jednak, że gdy przemieni się do gruntu moralna natura ludzkiego rodu i fizyczny ustrój człowieka ważnym zmianom ulegnie. Przyjdzie czas, w którym ludzie nie będą potrzebowali lichemi tłuszczami przyświecać pracom swym i uciechom. Wzrok ich ducha spotęguje się do tego stopnia, że światłość w ciemnościach nawet świecić im będzie, a ciemności jéj nie ogarną...

— Możeby drugą świecę zapalić, dziadźku, — ozwał się Sylwek, — spać mi się nie chce, ani odrobinę, a takim ciekaw...

— Nie mam świecy drugiéj, dziecko moje, — odpowiedział Kępa; — czekajmy cierpliwie czasu, w którym, na rozkaz nasz, zapłoną we wspaniałych salach sturamienne świeczniki, a pod światłem ich, zgromadzone tysiące, ocze-

kiwać będą otworzenia się ust naszych, głoszących zbawienie świata...

— Ach, ach, ach!—rozległo się przeciągłe westchnienie w kącie, z którego, przed chwilą, czarna, wyschła ręka wygrażała ludzkości.

— Biedna kobiéta *music* stara, że tak stęka,—zauważył Sylwek.

Kępa, po chwili milczenia, odpowiedział:

— Przyjdzie czas, że opiekę nad starcami i niedołężnymi przyjmie na siebie społeczeństwo, ciało zbiorowe. Zbudują dla nich obszerne domy, zasadzą cieniste, rozległe ogrody, pośród których starość taka lubi spoczywać i ostatkiem zmysłów swoich rozkoszować się pięknościami świata; dla przedłużenia dni ich zastawiać przed niemi będą stoły, obfitujące w jadło i skrzepiające napoje... podówczas starość i niedołężność wolnemi będą od wszelkich niedostatków i udręczeń, a brzemię strzeżenia ich i utrzymywania zdjętém zostanie z bark tych, którzy dźwigają wielkie prace, sprawy i losy powszechne. Tak będzie kiedyś...

W kącie izby zaszeleściła znowu słoma barłogu, a wśród przystępu gwałtownego kaszlu, skarżący się, stary bardzo głos zajęczał:

— Oj, kosteczki moje, kosteczki! oj *wątroba* moja, *wątroba!* Jezu najmiłosierniéjszy! zlituj się nademną, biedną sierotą!...

IV.

Placyda Lirska, w skromnem, lecz czystem mieszkaniu swojem, siedziała przy stole, okrytym siatkową serwetą i umieszczonym przed niewykwintną, lecz wygodną i porządną, kanapką. W białych delikatnych rękach trzymała ona szydełkową robotę jakąś, lecz, wciąż od niej wzrok odrywając, troskliwe i nieśmiałe spojrzenia zwracała ku przeciwległej ścianie, pod którą stało ładnie rzeźbione, wygodnie bardzo i nawet wykwitnie zasłane, łóżko. Na łóżku, pod kołdrą spłowiałą nieco, lecz jedwabną i haftem przyozdobioną, na poduszkach, powleczonych cienkiem i pachnącem płótnem, leżał Maurycy Lirski, bledszy nieco, niż bywał zwykle, z dwoma, gojącemi się już, lecz jeszcze sinoczerwonawemi, bliznami na twarzy. Z saloniku tego, który był zarazem sypialnią młodego Lirskiego, widać było, przez drzwi otwarte, malutki pokoik, całkiem prawie ciemny i szarzejące w nim łóżko wązkie, z prostych desek zbite, a usłane tak skromnie, że prawie ubogo. Z drugiej strony dochodziły, z za drzwi zamkniętych, kuchenne odgłosy i zapachy.

Maurycy niecierpliwie rzucił się na swem miękkiem i jedwabiami szeleszczącem posłaniu.

— Moja mamo!—zawołał,—zdaje się, że możnaby pofatygować się, wstać i powiedzieć Marysi, żeby takich smrodów w kuchni nie robiła. Ja tu, nim wyzdrowieję, zadusić się mogę... Niech mi mama flakonik ten z toalety poda..

Nic dorównać nie może szybkości, z jaką Lirska zerwała się z krzesła i do wskazywanej przez syna toalety podbiegła. Była to mała i zgrabna gotowalnia kobieca,

w wyprawie zapewne od bogatych krewnych przez Lirską otrzymana, lęcz teraz okryta przedmiotami, do mężkiego stroju należącemi; pośród których znajdowały się jednak pudełka z ryżowym pudrem i flakony z perfumami.

— Nie ten, nie ten, mamo,—dziecinnym niemal głosem jęczał Maurycy, — tamten, z fijołkową etykietką... przecież!...

Przecież znalazła i podała synowi przedmiot żądany.

— A teraz niech mama idzie do kuchni i Marysię wygderze za to, że taki swąd zrobiła... Ja tego znieść nie mogę... Nie dosyć, że jestem zgryziony, chory i znudzony, tém leżeniem sam na sam z mamą, jeszcze mam różne niewygody cierpieć...

Poszła do kuchni i wkrótce wróciła.

— Mój Morysiu, — rzekła łagodnie i nawet nieśmiało,—Marysia nic nie winna... Maszynę mamy nieosobliwą, i jak tylko smaży się beefsztyk...

— A kiedyż już nakoniec będzie ten beefsztyk?—zapytał Moryś, z głodu mrę... czy mama po stare wino posłała...

Lirska spuściła oczy na robotę, którą znowu do rąk wzięła i zawahała się z odpowiedzią.

— Moje dziecko!—rzekła,—przykro mi to niezmiernie, ale dziś będziesz musiał obejść się bez starego wina. Nie miałam za co kupić go, polędwicę nawet na twój obiad wzięłam na kredyt...

Maurycy usiadł na łóżku i, szeroko otwartemi oczami, wpatrzył się w matkę.

— A więc cóż będzie?—zawołał,—z głodu poumieramy? czy co? tego tylko jeszcze niestawało, żeby kochany wujaszek głodem nas zamorzył... sam nurzając się w zbytkach wszelkich...

— Morysiu! Morysiu! — z pewnym odcieniem energii w głosie przerwała Lirska, — nie wyrzekaj ty na wuja. Gdyby nie on... nie mam nawet pojęcia, coby się z nami stało... Tytus pisał do mnie, że w tych dniach przyjedzie z rodziną swoją do miasta na całą zimę i że dla tego nie przysyła mi pensyi naszéj, ale sam ją, zaraz po przyjeździe, przyniesie...

— Przyjeżdża... na całą zimę... — mruknął Maurycy, — dla czegoż mi mama o tém nie powiedziała?

— Byłeś taki słaby i rozdrażniony, że trudno było z tobą mówić o czémkolwiek,—szepnęła matka.

Maurycy zamyślił się.

— Pocóż to oni przyjeżdżają do miasta na tak długo?— zapytał po chwili.

— Nie wiem, moje dziecko, ale myślę, że chcą Aurelkę w świat wprowadzić... ośmnaście lat już skończyła, a podobno téj zimy wielki tu będzie zjazd obywatelstwa. Zabawy będą... Młodą pannę trzeba przecież ludziom pokazać i pozwolić, żeby zabawiła się trochę, nim ją z domu rodzicielskiego porwą.

— A czemuż nie mają porywać! — sarknął Maurycy;— ładna, edukowana i jedynaczka! Wszak tam pewno około miliona złotych posagu będzie... prawda?

— Pewno! pewno!—przytwierdziła Lirska,—Tytus rządził się zawsze dobrze, a choć kosztowne miał gusta... bo obrazy, posągi i książki wiele kosztują... fortuny przecież nie marnował. Majątek śliczny... ziemia pszenna, łąki, lasy... rezydencya, jak cacko. Jedynaczka wszystko to kiedyś, po najdłuższém ich życiu, odziedziczy, a tymczasem pewnie jéj sumę posagową matki oddadzą.. dwieście ty-

sięcy złotych... Tytus ubóstwia córkę, niczego jéj żałować nie będzie...

Maurycy westchnął przeciągle i głęboko.

— Aha,—rzekł,—tak to na świecie! Jednym wszystko, drugim nic... Coby to wujaszkowi szkodziło, żeby mi jednę folwarczynę jaką oddał... Jabym się na tém dorobił czego, karyerębym sobie otworzył... ale, czy to on wejdzie kiedy w położenie moje... czy poda rękę...

— Przecież on to cię swoim kosztem wychował,—bardzo nieśmiało zarzuciła Lirska.

Maurycy rzucił się na łóżku.

— Wstydziłaby się mama pleść takie głupstwa! — zawołał;—piękne wychowanie! cztery klasy, a potém garbarnia! Niech jego djabli wezmą z takiém wychowaniem razem! Garbarzem mię chciał zrobić, a jak mu coś o folwarku... o dzierżawie niby napomknąłem, to śmiał się i zaczął o pieczonych gołąbkach gadać... Nie zdatnyś do niczego, powiedział, a chcesz do gospodarstwa brać się... Ot, niechby wydał za mnie Aurelkę, toby przekonał się, czym na męża jéj zdatny. Uf! zjadłbym dziewczynę tę... taka śliczna! i gdybym tam pod bokiem w folwarku mieszkał, kto wié...

Blade, łagodne usta Lirskiéj zadrżały od wzruszenia.

— Mój Morysiu!—rzekła,—żeby cię szczęście takie spotkać mogło, chętniebym siebie z duszą i ciałem na dziękczynną ofiarę Panu Bogu złożyła... I mnie myśl ta przychodziła czasem do głowy... Niebogaty jesteś, to prawda, ale Tytus, ani żona jego, interesownymi nie są, a przytém tak kochają córkę... Aurelka, jak była dzieckiem, bardzo lubiła bawić się z tobą i przez żarty nazywała cię nawet swoim mężem... Gdybyś był skończył szkoły i uniwersytet, kto wié...

Maurycy wybuchnął głośnym, grubym śmiechem.

— Ciekawym, coby jéj przyszło z moich szkół i z mego uniwersytetu. Mama poszła za mąż, nie młodą już będąc, za niemłodego człowieka i dla tego nie wié, że można być dobrym mężem, żadnego uniwersytetu na oczy nie widząc. Już ja mamie ręczę, że Aurelka byłaby zemną szczęśliwą... Jak ją widzę, to aż mi się głowa zawraca... Kochałbym ją za trzech!

Blady rumieniec wybił się na zwiędłą twarz Lirskiéj.

— Mój Morysiu! — szepnęła, — nie mów ty tak nigdy przedemną... a szczególniéj o Aurelce... mnie to bardzo przykro...

— Mało co, że mamie przykro!—sarknął syn,—mama nie może zapomnieć, że starą panną była, za każdą rzeczą spuszcza oczy i wstydzi się... Ja jestem mężczyzna i kiedy nie mogę w rzeczywistości użycz tego, czego pragnę, niech mi będzie wolno choć pomarzyć...

Wyciągnął się, ramiona szczupłe i kobiéco białe nad głowę zarzucił i przeciągle westchnął:

— Oj biéda! biéda! biéda!

Westchnieniu temu zawtórowało ciche, lecz głębokie westchnienie Lirskiéj. Zwilżoném okiem patrzała na syna i widać było, z wyrazu jéj twarzy, iż, na równi z nim samym, uważała go za nieszczęśliwego i przez los pokrzywdzonego srodze a niesłusznie.

— Pani! pani! Beefsztyk gotowy!—ozwał się, z za drzwi niedomkniętych, głos służącéj.

Lirska poskoczyła, w mgnieniu oka przystawiła do łóżka syna mały stolik, nakryła go śnieżnie białą serwetą i z zimnych sionek przyniosła butelkę, na dnie któréj znajdowało się jeszcze trochę starego francuzkiego wina. Bu-

telkę tę niosła z tryumfem i szerokim uśmiechem zadowolnienia.

— Jest jeszcze trochę winka dla ciebie... myślałam, że już nic nie ma, aż tu, dzięki Bogu, z kieliszek jeszcze będzie albo z półtora... To cię tak wzmacnia... Zaraz przyniosę i beefszteczek...

Zwijała się żwawo a lekko, jak młoda dziewczyna. Usługiwać synowi, dogadzać każdemu z życzeń jego, było snać najwyższém dla niej szczęściem. Postawiła przed nim na stoliku talerz ze sporym, wybornie usmażonym, kawałem polędwicy, drugi z jarzynką jakąś, trzeci z komputem; a gdy Moryś, pochwyciwszy nóż i widelec, z apetytem smakosza zajadać począł, usiadła na krześle obok łóżka i, ze złożonemi na kolanach rękami, jak w tęczę, w niego patrzała.

— A mama?—napełnionemi jedzeniem usty, wybełkotał Maurycy...

— Ja, moje dziecko, późniéj, późniéj zjem sobie obiad. Dla mnie to jeszcze zawcześnie... Marysia gotuje tam dla siebie i razem dla mnie krupniczek ze słoninką i z kartoflami. Ale dla czego nie jesz komputu? przyrządziłam go własnemi rękami, bo już takich delikatniejszych rzeczy na Marysię nie zdaję... sprobój... dobry być powinien?

— Ale. jakżeż mogę jeść kompüt i beefsztek razem? czy mama zwaryowała?—zabełkotał znowu Moryś,—żeby to była zwierzyna, to co innego, możnaby ją jeść z komputem... ale, czy to mama postara się kiedy dla mnie o jaką kuropatwę, albo jarząbka!

— Starałam się,—mój Morysiu;—byłam wczoraj sama na rynku, od woza do woza i od człowieka do człowieka chodziłam... nie było. Cóż miałam zrobić... kiedy nie było.

— Na rynku!—szydersko uśmiechnął się Moryś;—przecież są w mieście sklepy ze zwierzyną...

— Tam bardzo drogo,—nieśmiało szepnęła Lirska.

— Dla takich nędzarzy, jak my, wszystko drogo!—mruknął syn i zabrał się do komputu z owoców, konfiturami ugarnirowanego. Przysmak, urządzony delikatnemi dłońmi matki, poprawił mu humor.

— Czemu mama nie je?—zapytał.

— Dziękuję ci, nie chcę jakoś... komputu jest tyle tylko, ile na jednę osobę...

— Proszę choć kosztować... dobry!

Uśmiechając się łaskawie, przybliżył do samych ust jéj łyżeczkę z przysmakiem. Lirska zaśmiała się błogo i radośnie.

— Oj ty dzieciaku! dzieciaku!

I posłuszna wzięła do ust zawartość łyżeczki.

— Dobry!—rzekła smakując;—już to ja wszystkie rzeczy takie nauczyłam się urządzać od saméj nieboszczki Tarżycowéj, matki Tytusa, a mojéj ciotki... Staroświecka to była jeszcze kobiéta, gospodyni zawzięta, wszystkiego u niéj powinno było być w bród...

— Tęgo sobie żyli pewnie i mama za młodu opływałaś tam, jak pączek w maśle...—zauważył Maurycy.

— To téż im za tę opiekę i łaskę, którą otoczyły mię, gdym sierotą była, wdzięczną jestem i do grobu będę. Żyli po pańsku, bo téż i panami byli i są, a ja z nim wszystkie dostatki i przyjemności dzieliłam... Potém, trudno było trochę odwykać; tylko, że Wincentego mego bardzo kochałam, a potém i ty przyszedłeś na świat, to i pogodziłam się chętnie z innem życiem... Ale, że inne, to inne, co za porównanie! Z naszém ciasném, miejskiém życiem, na każdy grosz oglądającém się, ich życie, to raj!

Maurycy, wychyliwszy spory kielich wina, wyciągnął się na piernacie, a białe, delikatne ręce leniwie na jedwabną kołdrę opuścił.

— Aha! — westchnął, — i ja trochę życie to poznałem, kiedyśmy tam z mamą jeździli, to na tydzień, to na miesiąc, i kiedyś mi mama opowiadała zawsze, jak tam było i co tam było. Szalona to rzecz: być ubogim, a mieć bogatych krewnych. Człowiek tylko patrzy, załakamia się, zazdrości i tyle! Czy wié mama, że mnie ci Tarżycowie zawsze do wszystkiego ochotę odbierali, i do nauki i do rzemiosła, bo ile razy mama opowiadała mi o ich bogactwie i ich sposobie życia, albo sam na nie spojrzałem, zawsze mię wszyscy djabli brali ze złości, a chęć do wszystkiego odpadała. Nauka mi w głowie być miała, albo jeszcze i rzemiosło, kiedy mi się tylko śniły i marzyły salony wujaszka, powozy i stroje wujenki i wszystkie te rozkosze, w które kuzyneczka moja, ta prześliczna Aurelka, opływała! No i co by to im szkodziło, gdyby, nie mając syna, mnie byli sobie za dziecko swoje przybrali, z Aurelką razem hodowali i majątek swój pomiędzy nas dwoje podzielili! Coby to im szkodziło? Byłoby dość i dla mnie i dla niéj. Ale, czy to im kiedy co szlachetnego do głowy przyjdzie! Krezusy te! samoluby!... objadacze świata!

— Morysiu! Morysiu! — z niezwykłą sobie energiją zawołała Lirska, — bój się Boga! Łajać tak ludzi, z których łaski, od śmierci ojca twego, oboje żyjemy!

Ale on nie zdawał się słyszéć jéj wyrzutów. Nowa jakaś myśl błysnęła mu w głowie. Zaśmiał się półgłosem i, wyciągając się wygodniéj jeszcze, a oczy ku sufitowi wznosząc, zawołał:

— Wie mama, co mi na myśl przyszło! Przypomniałem sobie te bajki, które mi mama często opowiadała, kiedym był małym, o tém, jak to kiedyś byli sobie królowie i książęta, którzy piękne córki mieli i jak na tych królów i książąt różni rozbójnicy i złoczyńcy czyhali, i jak ubodzy rycerze ratowali ich od śmierci, i jak oni tym ubogim rycerzom córki swoje i połowy swych królestw, czy tam księztw udzielnych, przez wdzięczność oddawali...

Śmiał się wciąż, mówiąc to, i Lirska śmiać się także zaczęła.

— Oj ty! ty!—mówiła z ukontentowaniem niewysłowioném;—jaką ty pamięć masz... ot pamięć nadzwyczajna!... kiedy to ja te bajki opowiadałam, już i sama teraz nie pamiętam... a ty, dzieciaku, pamiętasz! Ale, zkądże ci one teraz na myśl przyszły?

Zpoważniał i silnie świecącemi oczami patrzał w twarz matki.

— Przyszło mi na myśl,—zaczął powoli i jakby w rozmarzeniu,—żeby tak wujaszkowi zagroziło kiedy niebezpieczeństwo jakie, ale niebezpieczeństwo wielkie, śmiertelne...

— Jezus Marya!—krzyknęła Lirska,—a niechże jego Pan Bóg i Aniołowie Stróżowie bronią!...

— Otóż to!—ciągnął daléj, z zupełną powagą, Maurycy,—Aniołowie daleko, gdzieś tam w niebie... ale, żebym to właśnie ja dowiedział się o tém, wypadł, obronił, wyratował! Co mama myśli? Aurelka tak kocha ojca... Wujaszek byłby też wdzięczny.

— Co ty wygadujesz, moje dziecko!—zdejmując ze stołu talerze, zaszemrała Lirska,—aż lękam się, czy ci znowu gorączka nie wróciła!

— Gorączka!—szydersko uśmiechnął się syn;—ja zawsze jestem w gorączce... a wié mama dla czego?

Usiadł na łóżku i, wlepiając w matkę błyszczące spójrzenie, z tragicznym gestem zawołał:

— Ja, moja mamo, jak szaleniec kocham się w Aurelce... Niech mię djabli wezmą, jeżeli nieprawdę mówię! kocham się... przepadam za nią i wściekłość mię porywa, kiedy sobie pomyślę, że jaki tam świszczypała z siąsiedztwa, Krezus jaki, na stu włókach ziemi siedzący, lada chwila porwie mi ją z pod nosa!... Ja tego nie przeżyję! nie wytrzymam! umrę!

Rzucił się w puchach, jak ryba w wodzie, i twarz zatopił w haftowanych poduszkach. Lirska oczy już miała łez pełne. Talerze zadzwoniły w jéj rękach. Postawiła je szybko na stole i rzuciła się ku synowi. Objęła go drżącemi ramiony i chciała głowę jego do piersi swéj przycisnąć.

— Biedne, biedne dziecko! — szeptała; — tego jeszcze tylko do nieszczęścia naszego brakowało, żeby nieszczęśliwie zakochał się! O mój Boże! a ona tu na tak długo przyjedzie! co to będzie?

Wyrwał się z jéj objęcia i, z policzkami mokremi od łez. usiadł na łóżku.

— Niech mama mi da odzienie moje!—zawołał,—wstanę i pójdę do miasta!

Dla Lirskiéj, po strapieniu i rozżaleniu, nastąpiła chwila trwogi.

— Wstaniesz już? jak to? Aleś jeszcze tak słaby! Po takim okropnym wypadku i całotygodniowéj chorobie, od razu wstawać z łóżka i wychodzić na wilgotne powietrze! Mój Morysiu! poleż jeszcze trochę, albo przynajmniéj w domu posiedź!

— Niech mi mama nie dokucza i tylko prędzéj odzienie mi daje! Co mam tu gnić, w téj ciupie zamknięty, jak więzień jaki! potrzebuję iść, ruszać się, żyć! Aż we mnie cóś zakipiało, kiedym się o tych Krezusach i Aurelce rozgadał! Pójdę, rozerwę się trochę.

Usłyszawszy ostatnie wyrazy, Lirska, niosąca już w obu ramionach różne składowe części stroju syna, pośrodku pokoju słupem stanęła.

— Rozerwać się!—szepnęła,—mój Morysiu! byle nie tam znowu, byle nie tam!

Złożyła dłonie tak modlitewnie, że aż glansowane buciki syna z rąk jéj na ziemię upadły.

— Co tam? gdzie tam? co mama plecie? czy mama jeszcze nie wierzy, że mię złoczyńcy na skręcie ulicy napadli i obdarli...

Z wyrazu twarzy jéj znać było, że nie wierzyła.

— Mój Morysiu!—szepnęła,—kiedy Damek Szarski mówił mi, żeś ty tam...

— No to i cóż? Żeby nawet i tak było? czyja wina? moja może? Gdzież ja mam rozrywki i odrobiny przyjemności jakiéj szukać? U Szarla pokazać się nie mogę, bom mu się po uszy zadłużył... Do Springla, do którego cała dystyngowana młodzież chodzi.. wstyd mi iść, bo tam takie stawki, o jakich mnie ani zamarzyć i o takich rzeczach i osobach rozmowy, że, jak dureń z rozdziawioną gębą, słuchać tylko mogę i milczéć... Mógłbym do Karoliny... ale i tam cóś już winienem... U Berkla znowu siedzi wiecznie facet jakiś, który wyśmiewa się ze mnie i morały mi prawi... trąciłem go raz, umyślnie, ze złości, a wszyscy ujęli się za niego i zrobił się taki skandal, że już tam nigdy noga moja nie postanie... Gdzież tedy mam iść, he?

Siedzieć tu może z mamą od rana do nocy i od nocy do rana, ludzi nie widzieć i nie zabawić się nigdy! Mnie samemu wstręt i wstyd pomiędzy obdartusów i włóczęgów różnych wchodzić. ale... w bilard pograć lubię z kimkolwiek... i jest tam przytém jedna, djable ładna...

— Morysiu!—jęknęła Lirska.

Parsknął śmiechem.

— Oto skromnisia z mamy!—zawołał.

— Morysiu!—szeptać zaczęła matka;—ja tak lękam się, żeby cię znowu co złego nie spotkało... wróć przymnajmniéj przed wieczorem... zmiłuj się, nie chodź do tych jaskiń... wszak to nawet i niestosowne dla ciebie, poniżające...

Schwyciła go za ręce. tak jakby całować je chciała, ale wyrwał się z jéj objęcia.

— Niech mama mię nie nudzi i z cierpliwości nie wyprowadza, bo mogę jeszcze co przykrego powiedzieć...—zawołał.

Umilkła i drżącą ręką czyścić poczęła miotełką surdut syna. On niecierpliwie oczekiwał końca tych przygotowań, wzdychał, poziewał, w okno spoglądał... w kwadrans potém był już na ulicy. W zgrabnym, ciepłym paltocie, w cylindrze, który głęboko nasunął na czoło, w celu zakrycia, przerzynającéj je jeszcze, sinej blizny, szedł ulicą. nie wiedząc sam, dokąd iść ma, bez żadnego określonego zamiaru. ni celu. Nieliczni znajomi matki jego nie wabili go ku sobie bynajmniéj; byli to bowiem ludzie niezamożni, skromnie i cicho, w ciasnych mieszkańkach swych, żyjący. Do cukierni i głównych handlów miejskich udać się nie mógł, dla przyczyn, które, przed kwadransem, w przystępie gniewu i żalu, opowiedział był matce. W chmurny, choć suchy dzień jesienny, przechadzka po ulicach nie sprawiała też najlżéj-

széj przyjemności; w pogodę bowiem taką, piękne i strojne panie, których twarzom i ubiorom Maurycy przypatrywać się lubił, rzadko wychodzą na miasto, a nawet wystawy bogatych sklepów, przed któremi spędzał często próżniacze godziny, wyglądały mniéj strojnie i bogato, niż w jasne pogodne dni. Człowiek ten, którego sama już natura skąpo obdarzyła w piękne swe dary, a nieograniczone pieszczoty matki zhodowały w puchach i perfumach; człowiek ten, któremu w dziecinnych jeszcze latach bogactwo krewnych uderzyło do głowy, jak musujący i upajający napój, a w wieku młodzieńczym podniosły się w piersi fale żądz najniższych i niepodobnych do osiągnięcia marzeń; człowiek ten, nie posiadający zawodu, ni zajęcia żadnego, szedł przed siebie, nie wiedząc dokąd idzie, smutny, gniewny, — wykolejony. Po katastrofie, która spotkała go w handlu Chaima, przeleżał w łóżku tydzień cały i czuł się jeszcze trochę słabym. W domu przecież siedzieć dłużéj — nie mógł. Pożerała go tam nuda śmiertelna. Lecz spostrzegł, że i na ulicach miéjskich na nudę tę lekarstwa nie było. Co tu z sobą uczynić? dokąd pójść? gdzie wynaleźć, najwęższy choćby i najmętniéjszy, strumyk przyjemności. Pomyślał, że może u Berkla... zapomniano już o skandalu, zaszłym przed dwoma miesiącami, w skutek niegrzeczności, wyrządzonéj przezeń poważnemu gościowi zakładu... a był to jedyny tego rodzaju zakład, w którym nikt dopomnieć się u niego nie mógł o należność... Ależ, znowu, przykro to bardzo wracać pomiędzy ludzi, którzy kazali ci wyjść za drzwi, mnóstwo niegrzeczności wygadując, i nawet, coś tak, jakby w dotykalny sposób, niezadowolenie swe objawiając... Przytém wuj przyjechać miał dziś, jutro, a u Berkla bywają znajomi jego... I tak już niełaskaw bardzo, a cóż gdyby dowiedział się!

gotówby jeszcze całą zimę nie przyjmować u siebie biednego krewnego, który szuka odrobiny przyjemności, gdzie może... Nie; do Berkla niepodobna, ani do Szarla, ani do Springla, ani do Karoliny... *Tam* może znowu?... straszno! Nuż zjawi się drab ten z czarnemi oczami... i w ogóle, zresztą, wstrętna kompania i niebezpieczna! Kędyż więc udać się? Co z sobą robić? Do wieczora parę godzin jeszcze zostaje, a wieczór jesienny taki długi... długi... długi...

W tém, pośród szerokiej ulicy, zadzwoniło, zaśpiewało, zatentniało mnóstwem biegnących stóp, zawrzało krzykami i chichotem mnóstwa piersi. Naprzeciw, idącego chodnikiem, Lirskiego sunęła czarna masa ludzi, kobiét i mężczyzn, dorosłych i dzieci, biednie i dostatnio wyglądających. Wszystko to popychało się, otwierało sobie, jak mogło, drogi i przejścia, a ciekawie lub chciwie spoglądało ku środkowi tłumu, w którym rozlegały się, małe snać, lecz liczne dzwoneczki, śpiewy cieniutkich i piskliwych głosów, przytupywania nóg, poruszających się w takt dzwonków, bębenków i metalowych jakichś narzędzi. Lirski przycisnął się do muru i z łatwą do pojęcia ciekawością, zwyczajną u ludzi, którzy większą część życia swego na ulicach miejskich spędzają, przyglądać się zaczął, sunącemu przed nim, hałaśliwemu orszakowi. Zrazu pstra fala ludu zasłaniała przed nim ów punkt środkowy, ku któremu zwracały się spojrzenia i gesta wszystkich oczu i rąk; lecz, po chwili, roztrącona jednem z tych wewnętrznych poruszeń, które, jak prądy o nieznanych źródłach, przebiegają wszelkie tłumy, fala ta rozstąpiła się w miejscu jedném, a skupiła w innem tak, że Lirski rozejrzeć się mógł wybornie w przyczynie ulicznego tego zbiegowiska i hałasu.

Przyczyną tą była gromadka istot, o których domyśléć się można było, że do rodzaju ludzkiego należały, a na ktorą gawiedź, palcami ukazując, wołała: komedyanci! komedyanci! sztuki pokazują! Że były to ludzkie istoty, najwyraźniéj świadczył o tém, postępujący środkiem gromady, chłopak młodziutki, lecz już dorosły, wysmukły, zgrabny, z cygańską cerą twarzy, w fantastycznem ubraniu ulicznego pajaca. Miał on na głowie potwornie wysoki kapelusz, kształt głowy cukru posiadający, błyszczącym papierem oklejony i zaopatrzony w mnóstwo malutkich dzwoneczków, które, za poruszeniem każdém, chóralnie brzęczały. W spencerze i spodniach, uszytych z różnobarwnych, w trójkąty rzniętych materyj, a świecącemi blaszkami, tu i owdzie migocących, w kolorowych trzewikach, których taśmy krzyżowały się mu aż do kolan, trzymał on w ręku błyszczącą pałeczkę, którą wywoływał, z metalowego krążka, szalone, zawrotne, ogłuszające dźwięki. Dokoła człowieka tego zwijała się, skakała i śpiewała gromadka małych istot, o których, po przyjrzeniu się, można było powiedzieć, że były dziećmi. Chłopak jeden, ze wzrostu wyglądający na lat 12, ubrany w barani kożuch, włożony na odwrót, z pod którego wyglądały nogi w ogromnych, wykrzywionych i podartych butach, głowę miał całkiem ukrytą w rogatéj, baraniéj masce. Drugi, znacznie mniéjszy, z twarzą uczernioną i językiem, z czerwonego sukna, od ust aż do piersi spadającym, przebrany był za djabełka. Trzeci, w przebraniu naśladującém niedźwiedzia, miał na szyi gruby powróz, którego koniec trzymała dziewczyna 13-letnia może, z długiemi nagiemi nogami, orzucona płachtą, naśladować mającą strój cygański. Przodem nakoniec, przed pajacem i gromadką całą, biegła malutka dziewczynka, pięć lat najwyżéj

mieć mogąca, w ubraniu, złożoném ze spódniczki i spencerka, krzyczącéj czerwonéj barwy, a takiego zupełnie kroju, jak te, w które zazwyczaj strojone bywają małpeczki, na ulicach pokazywane. Miała ona téż na głowie czerwoną czapeczkę z błyszczącym galonikiem, z pod któréj złociste włosy, jak promienie słoneczne. lały się na jéj małpi spencerek. dokoła prześlicznéj twarzy dziecinnéj, okrągłéj, niewinnéj, różowéj od skoków oblanéj śmiechem.

Była to maskarada owa, o któréj Sylwek Cmentarnik. przed tygodniem, mówił Kępie, wymyślona i urządzona przez niego, częścią dla zarobku, więcéj jeszcze dla zabawy.

Bawił się téż wybornie. Brzękanie dzwonków, uderzających o potworny kapelusz, dźwięki metalowego instrumentu. którym posługiwał się w dziecinnych jeszcze latach, wrzaski, śmiechy i oklaski otaczającego tłumu, upajały go i wprawiały w szaloną wesołość. Baran, biegnący obok niego, przeraźliwie beczał; djabełek wyprawiał coraz nieprawdopodobniéjsze skoki; niedźwiedź upierał się na łańcuchu, a raczej powrozie swym, wydając ogłuszające ryczenia; cyganka zawodziła pieśń piskliwą i przerywaną krzykami, któremi gromiła opornego niedźwiedzia; małpeczka nakoniec biegła, przodem skacząc, w mały bębenek uderzając i trzęsąc strugą złocistych włosów. Pośród ciemnéj twarzy pajaca żarzyły się i śmiały, czarne jak otchłań, oczy, białe zęby błyskały; pochylił się, we wszystkie dzwoneczki swe uderzył, krzyknął, a małpeczka, rozkazowi posłuszna, kilku skokami wdrapała się mu na plecy i usiadła na jego ramieniu, ręką malutką, czémś kosmatém okrytą, trzymając się za kapelusz jego, a zanosząc się od głośnego, srebrnego śmiechu.

W téj chwili właśnie zaszedł na ulicy wypadek pospolity wielce, lecz zawsze dość kłopotliwy. Tłum, zbity do-

koła gromadki, „sztuki pokazującéj.“ spotkał się z dwoma, najeżdżającemi ze strony przeciwnéj, powozami. Jednym z powozów tych była sześciokonna kareta, po podróżnemu opakowana, drugim mały odkryty koczyk, czterema końmi w lejc zaprzężony. Przez szkła karety dojrzeć można było, siedzącą w głębi jéj, w futro otuloną, kobiétę; w odkrytym koczu siedziało dwoje ludzi: siwiejący już, bardzo pięknéj postawy i śmiałéj twarzy, mężczyzna i panna, jak wiosna młoda i świeża. Stangreci powstrzymywali z całéj siły konie rosłe, żartkie i daleką snać podróżą wcale niezmęczone, krzyczeli o drogę i rozpaczliwie wymachiwali długiemi batami. Lud rozstępował się, tłocząc się na chodniki i brzegi ulicy. Pośród dwu ścian tłumu pstrych, ruchliwych, setkami oczu migocących, kareta przejechała zwolna i ostrożnie; koczyk zaś, prędzéj już nieco tocząc się, skrzyżował się z pajacem i jego gromadką, którzy, nie zatrzymując się, zwolna postępowali brzegiem ulicy, pod ścianą tłumu, na chodniku stojącą. Możnaby powiedzieć, że spotykały się tam ze sobą dwa odrębne i różnowiekowe stany ludzkości: cywilizacya i dzikość, wykwint pierwszéj i pierwotność drugiéj.

— Ojcze! ojcze! co za prześliczna dziewczynka. — przechylając się w powozie, zawołała młoda panna, piękne swe ciemne oczy, z wyrazem najwyższego zajęcia, wlepiając w małpeczkę, na ramieniu pajaca siedzącą.

— Wolniéj! — zawołał na stangreta niemłody pan, któremu każde zachcenie młodéj dziewczyny rozkazem być musiało.

Stangret powstrzymał konie, pajac z gromadką swoją stanął. Cywilizacya i dzikość, przez chwilę, patrzyły sobie w twarze. Potém, z ręki siedzącego w koczu pana,

upadło na kamienie bruku kilka srebrnych monet, a młoda i piękna panna, sięgnąwszy do jednéj z kieszeni powozu, sypnęła garść cukierków, w kierunku dziewczynki, za małpeczkę przebranéj, i siedzącéj na ramieniu pajaca. W téj saméj chwili, wzrok jéj wypadkiem pobiegł w tłum; z uprzéjmym uśmiechem skinęła głową, jakby odpowiadając na przywitanie czyjeś.

— Komu ukłoniłaś się, Aurelko?—zapytał niemłody pan, gdy koczyk, wydobywając się na swobodniéjszą przestrzeń, toczył się coraz prędzéj.

— Morysowi! — odpowiedziała, — stał biedak w tłumie i kłaniał się tak zapalczywie...

Zaśmiała się, ale Tytus Tarżyc nie śmiał się i nic nie odpowiedział.

— Dziwna rzecz! — rzekł po chwili w zamyśleniu;—ktoś mi ta twarz przypomniała, a nie mogę sobie przypomnieć kogo?

— Czyja twarz?—zapytała Aurelia.

— Pajaca tego; kiedym na niego spojrzał, doświadczyłem takiego wrażenia, jakbym zbliska znał kogoś, bardzo do niego podobnego...

— A ja go wcale nie widziałam, patrzałam tylko na to śliczne dziecko ze złotemi włosami...

W chwili, kiedy Tarżyc i jego córka rzucali pajacowi hojną jałmużnę, a Maurycy Lirski, nakształt kominkowéj figurki, niewidzialną maszyneryą w ciągły ruch wprawionéj, kłaniał się zawzięcie głową, ręką i kapeluszem, tuż za plecami jego zaszemrał głos, przytłumiony wewnętrznym, przykrym chichotem.

— Spotkali się! spotkali się! o! jakże spotkali się z sobą! cha, cha, cha, cha!

Lirski, zajęty cały usiłowaniem zwrócenia na siebie uwagi i wzroku wuja, a bardziej jeszcze pięknej kuzynki, nie słyszał tych, nad samem prawie uchem jego wyszemranych, a śmiechem zakończonych, wyrazów. Lecz, gdy tłum posunął w inną stronę, a powozy znikły na skręcie ulicy, uczuł, że ktoś zlekka dotknął rękawa jego paltota, bardzo uprzejmie i zcicha wymawiając:

— Za pozwoleniem szanownego pana!

Odwrócił się i zobaczył przed sobą szczupłego bardzo człowieczka, ubranego w długi surdut stary, ale porządnie jeszcze wyglądający, z twarzą, którą, niby rama, otaczała, związana pod brodą, czerwonawa chustka, twarzą żółtą, pokurczoną, lecz pośród której błękitne oczy, z za powiek zaczerwienionych, płonęły silnym blaskiem.

— Za pozwoleniem, — powtórzył człowiek ten, bardzo grzecznym i łagodnym głosem, — poważam się zapytać pana, czy pan kłaniałeś się tym państwu, którzy w tej chwili przejechali tędy powozem...

— A cóż panu do tego? — oburknął Moryś, orzucając wzrokiem niepozorne ubranie pytającego.

— Zapewne, zapewne! — pośpieszył przytwierdzić ten ostatni, — nie mam najmniejszego prawa zapytywać pana o to. Ośmieliłem się utrudzać pana dla tego tylko, że pragnąłem zasięgnąć wiadomości o panu Tytusie Tarżycu...

— Alboż pan znasz mego wuja? — zapytał Moryś, któremu łagodny, pokorny prawie, sposób mówienia niepozornego człowieka pochlebiać zaczynał. Przyjemnie mu zresztą było wyjawić przed kimkolwiek, że był blizkim krewnym bogatego pana tego, którego konie i powozy ściągały przed chwilą zachwycone spojrzenia motłochu.

— Czy znam pana Tarżyca? ze szczególnym. wykrzywionym uśmiechem powtórzył interlokutor Lirskiego;—znałem go kiedyś dobrze. zblisko... Wiele już lat upłynęło, odkąd go nie widziałem... ale zmienił się mało i poznałem go od razu... Wygląda zawsze, jak bożek dumy i wytworności... a ta piękna panna, to pewnie jego córka... Pani, która jechała karetą, jego żona... Zawsze piękny i szczęśliwy... Ojciec rodziny... wielki pan... Patrzcie, patrzcie!... co z nim? a co zemną?...

Umilkł. Szedł obok Lirskiego, który ciekawie przypatrywać się mu zaczął, ze spuszczoną głową i wzrokiem, wbitym w ziemię. Uśmiech, do wykrzywiania się bardziej, niż do uśmiechu, podobny, błądził mu po żółtych wargach.

— Jesteś pan oryginałem jakimś, skoro zaczepiać możesz na ulicy ludzi, którym nigdy prezentowanym nie byłeś,—zaczął Moryś;—w dobrem towarzystwie nie przemawia się nigdy do tych, którym się nie było prezentowanym; ale mniejsza o to, ciekawy jestem, kiedy i jakim sposobem znać pan mogłeś wuja mego i jakich mianowicie żądasz o nim wiadomości. Ja mogę panu wszystko o panu Tytusie Tarżycu opowiedzieć?... Matka moja jest cioteczno-rodzoną jego siostrą. a z Aurelką razem wyhodowałem się. Musiałeś pan zauważyć, jaka to śliczna panna!

Na ostatnie pytanie interlokutor nie zwrócił uwagi żadnéj; przyciszonym za to, lecz, pomimo przyciszenia, wydymającym się wciąż do patosu głosem, odpowiadać zaczął na poprzedzające.

— Ponieważ pan życzysz sobie, abym się mu przedstawił i owszem... nie mam potrzeby ukrywać nazwiska mego. Jestem Szymon Kępa. z professyi nauczyciel wiejski, ale zajmujący się i czémś więcéj jeszcze... Kiedy i ja-

kim sposobem znałem wuja pana, o tém panu opowiadać nic nie będę; powiem tylko, że był czas, w którym ubóstwiałem go... zasiadaliśmy często przy jednym stole, a nie jeden wieczór przepędziłem na słuchaniu cudownéj gry jego... Wuj pana byłby artystą, gdyby nie był bogatym panem... ja także kocham muzykę i uprawiałbym ją wyłącznie, gdyby mię nie pochłaniały rzeczy i sprawy, stokroć ważniéjsze... Teraz pragnę wiedzieć: czy panu Tarżycowi zawsze jest na tym świecie dobrze i rozkosznie? czy szczęśliwy w związkach rodzinnych? czy zawsze, jak dawniéj, kocha się w sztukach pięknych i zawsze posiada środki do zaspokojenia każdego żądania swego i każdéj zachcianki! O! bo dawniéj miewał on zachcianki gwałtowne i bezwzględne... gdy czego zapragnął, zdobywał to sobie... bądź co bądź... kosztem wszelkim...

Moryś nie miał tak bystrego ucha, aby go zjadliwa ironia, przebrzmiewająca w głosie Kępy, uderzyć mogła. Zaczynał dobrze bawić się. Nadzwyczaj mu było przyjemnie chlubić się, przed tym niepozornym człowiekiem, blizkiemi stosunkami swemi z Tytusem Tarżycem.

— O!—zaczął,—wuj mój jest niezmiernie szczęśliwym człowiekiem. W czépcu się chyba urodził. Wujenka moja, choć ma już około czterdziestki, jest jeszcze najpiękniéjszą kobietą ze wszystkich, jakie znam. Mogę powiedzieć, że jedna tylko Aurelka piękniéjszą jest od niéj. Kochają się téż bardzo i są z sobą zawsze w anielskiéj zgodzie. Córkę wuj mój ubóstwia, śliczna bo to dziewczyna, a do wszystkiego śpiewa jak anioł... Syna tylko nie mieli nigdy i z początku wuj się tém martwił, ale potém przybrał mnie za syna i od tego czasu nie marzy już o innym. Co się tyczy interesów majątkowych mego wu-

ja, są one nadzwyczaj świetne. Miliony zbiera, pomimo, że sobie niczego nie odmawia i że dom jego jest prawdziwym rajem wszelkich dostatków i piękności... Przyjechali teraz na całą zimę do miasta, ażeby Aurelkę w świat wprowadzić... Będą pewno wydawać obiady, bale... bo najęli dom o 12-tu pokojach i na wypadek, gdyby przez wiosnę zabawić tu mieli, z dużym ogrodem... Naturalnie, będę u nich przepędzał dnie i wieczory; wuj i Aurelka obejść się bezemnie nie mogą...

Przestał mówić dla tego tylko, że nie wiedział już, czémby więcéj pochlubić się przed towarzyszem przechadzki. Kępa, ze wzrokiem wbitym wciąż w ziemię, wymówił:

— Tak!

W jedném tém, przeciągle wymówionem, słówku brzmiało morze goryczy, smutku, bezdennej zadumy. Ale Moryś nie znał się wcale, ani na grach uczuć ludzkich, ani témbardziéj na zdradzających je odceniach ludzkiego głosu. Ukośném spojrzeniem mierzył towarzysza, tak jakby zapytywał siebie w myśli: jakie u djabła stosunki z wujaszkiem mógł mieć ten facet?

Ciekawość drobniutkich sprawek, stosunków i intryżek między-ludzkich rozwiniętą w nim była do stopnia wysokiego.

Kępa długo milczał; potém, budząc się z ciężkiéj zadumy swéj, podniósł głowę i rzekł do siebie:

— Nic to! przyjdzie kolej i na mnie! trzeba tylko działać, działać z energią!

A zwracając twarz ku Morysiowi, głośno rzekł:

— Mam do szanownego pana prośbę...

Moryś zląkł się widocznie.

— Jeżeli pan żądasz jałmużny,—zaczął,—to zmuszony jestem powiedzieć panu...

— Mylisz się pan, żebrakiem nie jestem,—bez cienia obrazy odpowiedział Kępa; — owszem, przeznaczeniem mojém jest: sprawić, aby żebractwo i wszelkiego rodzaju nędze i cierpienia znikły ze świata. Chcę prosić pana o pomoc moralną. Z powierzchowności, ubioru i stosunków, o których mi pan opowiedziałeś, wnoszę, że, urodzeniem swém i położeniem towarzyskiém, należysz pan do wielkich tego świata...

Moryś wyprostował się i obie ręce włożył w kieszenie paltota. Z powątpiewaniem niejakiém przecież zapytał:

— Co to takiego... Wielcy tego świata?

Kępa wytłómaczył:

— Wysoko urodzeni, bogaci, szczęśliwi...

— A jeżeli tak,—zaczął Moryś, wydymając usta,—jeżeli tak, nie omyliłeś się pan. Należę do... jak się pan wyrażasz, wielkich tego świata... urodziłem się, wzrosłem i żyję pośród nich, a chociaż... nie mogę nazwać się zupełnie szczęśliwym...

— Otóż to!... ja zaś przygotowuję się w porze obecnéj do jednego z najuroczystszych, a z pewnością najtrudniejszych aktów mego życia... Dopełnić mam najwyższego z poświęceń. Zamierzam odbyć wędrówkę do siedlisk pysznych zbytkowników i samolubów...

— Czy to będzie jaka kwesta?—zapytał Moryś.

— Będzie to ostatnia odezwa o win naprawienie, ostatni podany im środek odkupienia...

— Ciekawy dalibóg z pana człowiek! masz pan taki jakiś sposób mówienia, że, jak mówisz, to niby pacierz, niby bajka! Ale, czegoż ostatecznie chcesz pan od tych...

— Chcę szukać pomiędzy nimi takiego, któryby udzielił mi środków do wydania wielkiego, napisanego przezemnie, dzieła...

— Wujaszek! — wykrzyknął ze śmiechem Moryś,—jak Boga kocham, udaj się pan z tém do wujaszka! Przepada on za literaturą i wydrukuje z pewnością, kosztem swoim, pańskie dzieło...

— Nie,—stanowczo odparł Kępa,—do Tytusa Tarżyca nie udałbym się w żadnéj nawet ostateczności. Takiego już poświęcenia... ludzkość sama nie jest w prawie wymagać odemnie. Chciałem pana prosić, abyś był łaskaw wskazać mi imiona i adresa innych ludzi możnych...

— Dla czegóż? dla czegożby nie? i owszem!—z zadowoleniem widoczném i wielkiém mówił Moryś;—znam ich wszystkich i spiszę panu cały regestr nazwisk i adresów... Zgłoś się pan tylko do mnie za dni parę... bo przecież tak naprędce nie mogę... Ale proszę! pan więc piszesz książki... pierwszy raz w życiu mojem spotkałem człowieka, który książki pisze... Czy można zapytać, jakim jest tytył dzieła pańskiego?

— Tytuł, młodzieńcze, to rzecz najmniejsza... o treść pytaj, o treść...

— Jakaż więc jest treść dzieła pańskiego?—zapytał Moryś, którego Kępa coraz więcéj bawił i zaciekawiał. Facet ten, myślał, jest więc autorem... proszę! a tak jakoś wygląda! Musi być w tém wszystkiem ciekawa jakaś awanturka.

— Jaką jest treść dzieła mego!—przeciągle powtórzył Kępa i, przechyliwszy się tak, ażeby módz towarzyszowi swemu prosto w twarz spojrzeć, z rozbłysłém okiem i zniżonym głosem szepnął:

— Czy nie spostrzegłeś pan tego, że, na świecie i pomiędzy ludźmi, panuje niesprawiedliwość wielka... kolosalna... że jedni mają tu zbyt wiele, drudzy zbyt mało, jedni używają, drudzy cierpią... nie spotrzegłeś pan tego?

Moryś zarumienił się gwałtownie, tak jakby znagła i niespodziewanie najtajemniejsze myśli i najdrażliwsze struny istoty jego dotkniętemi zostały.

— Czy ja to spostrzegłem!—zawołał;—ależ djable spostrzegłem! sto tysięcy razy spostrzegłem! nic więcéj przez całe życie nie robię, tylko to spostrzegam!

Kępa promieniał.

— A czy nie pomyślałeś pan o tém kiedy, że inaczéj być powinno? że ci, którzy nie mają, mieć powinni!

— Oho! co dzień, od rana do wieczora, o tém tylko i myślę!

Kępa splecione ręce ekstatycznym ruchem podniósł ku niebu.

— O duchu, przenikający atmosferę wieku! jakże potężném jest już tchnienie twoje!—zawołał.

Zwracając się ku Lirskiemu, dodał:

— A czy nigdy nie zastanawiałeś się pan nad tém, jakiemi sposobami niesprawiedliwość, na świecie panującą, zwyciężyć i znieść można?

— O! co nad tém, to, przyznam się panu, nie łamałem sobie głowy, bo i w ogóle łamać sobie głowy nie lubię i na coby się to przydało? Tak już na świecie jest, że jedni mają wszystko, inni nic, że jedni nurzają w rozkoszach, a drudzy patrzéć tylko na to i ślinkę łykać muszą... Sposobów przeciwko temu nie ma...

— Mylisz się, młodzieńcze, mylisz się!—tryumfalnie wykrzyknął Kępa;—sposoby zaradzenia, wszystkim cierpieniom i niesprawiedliwościom świata tego, istnieją i ja to je w jeden wielki system ułożyłem i na tysiącu przeszło arkuszy spisałem. Ktokolwiek przeczyta dzieło moje, dzieło całego życia mego, ten się o tém przekona...

Moryś stanął, szeroko otwartemi oczami na Kępę popatrzał; potém, zdejmując kapelusz i wysoko nad głową go podnosząc, wyjąknął:

— Ależ pan jesteś wielkim człowiekiem... skoro sposoby takie wynalazłeś... Bardzom rad, że miałem przyjemność... honor zabrać z panem znajomość... Czy pan pozwoli, abym w tych dniach zostawił w przedpokoju jego moję kartę wizytową...

Zdawać się mogło, że Kępa urósł w téj chwili i odmłodniał, tak niewymowna radość i tak świeża, młodzieńcza energija rozlały się po całéj postaci i twarzy jego.

— O!—wymówił z błogim uśmiechem,—nie wiesz pan jeszcze, kim jestem i do jakiego stopnia poświęciłem się... Nie ma u mnie przedpokojów, nie pamiętam już prawie, jak wyglądają karty wizytowe... i co znaczy wyraz: wizyta. Żyję ubogo, można powiedziéć, że nawet nędznie, ale to tylko na pozór; w gruncie bowiem nie ma mocarza, któryby w większych, niż moje, opływał rozkoszach... Mieszkaniem mojém jest przyszły raj ziemski; żywnością, którą tuczy się duch mój: wiara, nadzieja i miłość; Heliogabalową pościelą, na któréj usypiam: radośne przeświadczenie, że dzielę wszystkie nędze i bóle maluczkich i cierpiących... Jeżeli chcesz nawiedzić mię, szlachetny i mądry młodzieńcze, który tak doskonale umiałeś się wyłamać z pod przesądów i grzechów kasty swojéj, pójdź zemną zaraz... W tymczasowém schronieniu mojém otworzę przed tobą myśli moje i, kto wié, czy nie zaliczę cię do grona robotników przyszłości.

Moryś był zdziwiony, zachwycony i zaciekawiony. Piérwszy raz w życiu jego (oprócz matki, która mówiła mu to zawsze), żywe usta ludzkie nazwały go szlachetnym i mą-

drym młodzieńczem. Człowiek, który go w ten sposób utytułował, zdawał się być wielce uczonym, wyrażał się tak górnie, wypowiadał tak wielkie prawdy, a przecież, jak powiadał, żył w ubóstwie i nawet przedpokoju nie miał. Nadewszystko jednak, te sposoby, za pomocą których on, Moryś Lirski, wszystkiemi fibrami, rozpieszczonego ciała swego, pożądający zbytku, rozkoszy, użycia, wszystko to, wraz z bogactwem, posiąść może,—sposoby, dzięki którym bogaci wujowie oddaćby musieli ubogim kuzynom połowę przynajmniéj majątków swych,—sposoby te, dzięki którym znikłyby ze świata gderania bogatych wujaszków, nieznośne długi, nieprzyjemne skandale, a „Krezusy,“ mogący lada chwilę porwać Aurelkę, ustąpiliby kroku nagle wzbogaconemu jéj kuzynowi, wzniecały w Morysiu ciekawość wulkaniczną i rozbudziły, senną z natury, jego wyobraźnią.

Odkrył znowu głowę i rzekł:

— Służę panu!

W czasie, gdy dwaj ci ludzie, rozmawiając w sposób powyższy, dążyli w kierunku zrujnowanego i opuszczonego gmachu, w suterenach którego znajdowało się mieszkanie Kępy, brzegiem ulicy innéj, małoludnéj i ostawionéj jednopiętrowemi domostwami, postępowało dość szybkim krokiem dwoje żebraków. Jakkolwiek byli to: mężczyzna i kobiéta, żebracze ubrania ich, złożone ze szmat płóciennych i sukiennych, z chust spłowiałych i połatanego, a powrozami przytrzymywanego na nogach, obuwia, wielce były do siebie zbliżone. W rękach mieli jednostajne sękate kije, a na plecach płócienne torby. W charakterystyce powierzchowności ich, pomimo podobieństwo owe, zachodziły przecież różnice znaczne. Żebrak wyglądał wielce szanownie. Szczupły był i niewielkiego wzrostu, lecz gęsta,

biała jak śnieg, broda, nizko na pierś mu opadająca, łysa czaszka, otoczona wieńcem srebrnych włosów, grube poprzeczne zmarszczki, które mu przerzynały czoło, i siwe krzaczyste brwi, zwisające nad zaledwie widzialnemi oczami, nadawały powierzchowności jego pełen powagi, uszanowanie budzący, pozór. Przytém krok jego był poważny, a wyraz twarzy pełen łagodnego spokoju i mądrości. Możnaby go było wziąć za model do obrazu, przedstawiać mającego patryarchę lub apostoła. Cale inaczéj wyglądała żebraczka. O szerokich przygarbionych ramionach, koścista, ze szczerniałą, zeschłą skórą na skurczonéj, bezzębnéj twarzy i skieletowych rękach, wyraz oczu miała ona niespokojny i rozjątrzony, ruchy gwałtowne, chód niepewny i utykający. Z pozoru sądząc, była to stara jędza czy wiedźma, towarzysząca, pełnemu powagi i spokoju, świątobliwemu mężowi.

Gadała téż idąc i krzyczała tak, że aż się głos jéj po całéj bezludnéj ulicy rozlegał. Nie wspierała się na swym sękatym kiju, lecz, pośpiesznie i nierówno drepcąc, a co chwilę utykając i stękając, wywijała nim przed sobą, niby orężem, którymby widmo jakieś, lub niewidzialnego jakiegoś wroga, odpędzić od siebie chciała.

— Ludzkość!—wpół ze złością, wpół z żałosnym lamentem krzyczała;—ludzkość i ludzkość, androny i bzdurstwa! Już mnie ta ludzkość uszy prześwidrowała! jużbym do grobu położyć się chciała, ażeby o téj ludzkości nie słyszéć! Dobrze, żem się z panem Łukaszem tu spotkała, wygadać się przynajmniéj mogę! choć ja i przed nim gęby nie żałuję i gadam, co tylko ślina na język przyniesie, ale darmo, groch o ścianę! Ja swoje, on swoje! Pfuj! Panie Boże! odpuść! Żebym ja była sobie lepiéj karku nadłamała w tym

dniu, kiedym po raz piérwszy o ludzkości posłyszéć miała...

— Nie przeklinajcie, pani Kępowo, nie przeklinajcie! przeklinać zabronił Pan Bóg nasz najwyższy, któremu niech będzie cześć i chwała na wieki...

— Przeklinałbyś i pan Łukasz dzień i godzinę urodzenia swego,—zakrzyczała baba,—gdybyś, tak jak ja, miał dziecko jedne na pociechę i podporę starości swojéj, a ono ci, zamiast pocieszenia i wspomożenia, wciąż tylko tłukło się po świecie samo, z głodu i chłodu zdychając, a nakoniec już, do matki powróciwszy, znów jéj ludzkością uszy objadał! Pfuj! zgiń maro, przepadnij! Proszę ja raz jego: pokaż ty mnie tę twoję ludzkość! niech ja ją na moje żywe oczy zobaczę. Co to takiego? jak to wygląda? gdzie to jest? Pokaż ty mnie tę twoję ludzkość jakąś, ażebym ją za gardło schwyciła i udusiła za to, że mnie jedyne dziecko moje z duszą i ciałem zabrała? Pokaż! pokaż! pokaż! A on mnie na to: matka nie rozumie; ludzkość — to wszystkie ludzie, co na całym świecie żyją. A ja jemu: aha! a matka to pies niby? Dla czegoż ty o wszystkich ludzi, co na całym świecie mieszkają, dbasz, a o rodzoną matkę nie dbasz i palcem nawet nie kiwniesz dla tego, żeby ona na starość w żebractwie i poniewierce nie marnowała się? Oj kosteczki, moje kosteczki! oj *wątroba*, moja *wątroba!* Jezu Chryste, dla miłości Matki swojéj przenajświętszéj, zlituj się nademną biedną sierotą!

Zachlipnęła się płaczem i przez chwilę stękała z bolu, który sprawiały jéj stare, a okrutnie 70-ciu latami życia zmordowane, *kosteczki*. Zaledwie jednak uspokoiła się nieco, znowu żale swe zawodzić zaczęła.

— Chryste Jezu! Od ludzkości to téj, od ludzkości rozbolała mi się wątroba. i tak ot wszystkie wnętrzności przewróciły się we mnie do góry nogami! Co to, powiadam ja jemu, czy to cię ludzkość w mękach wielkich na ten świat urodziła, a potém, kiedy ci się zęby wyrzynały, bez mała przez pół roku, żadnéj nocy jak należy nie spała, a kołysała cię i na rękach swych nosiła i do piersi tuliła, a trzęsła się od strachu, żeby ci się, broń Boże, co złego nie stało! czy to ludzkość, powiadam ja jemu, żywiła cię, odziewała i do szkół posyłała, krwawicę swą oddając i sama z głodu przymierając, byleś ty tylko był syt, odziany i edukowany? Ludzkość to niby, powiadam ja jemu, diminę swoję odłużyła, kiedyś to na profesora jechał, a potém, już długu tego oddać nie mogąc, ostatnie to dziedzictwo swoje i ostatni przytułek swój, przez ciebie utraciła! Nie ludzkość to wszystko robiła, a matka rodzona! A teraz matka, to nie człowiek, matka—to pies niby, matce nic nie trzeba... niech żyje o żebranym chlebie, a on dla ludzkości pracuje piórem, po papiérze skrobie, albo androny jakieś wyplata durniom różnym, co jego z rozdziawionemi gębami słuchają... Oj! kosteczki moje... oj! wnętrzności moje bolejące! Oj ta ludzkość! żeby ją wszyscy djabli porwali, tak jak ona mnie moje jedyne dziecko porwała...

— Cyt—syknął nagle żebrak i, ostrzegawczym gestem powstrzymując zapał towarzyszki swéj, stanął pod oknem jednopiętrowego domu, skromnie, lecz dostatnio wyglądającego. Stanął pod oknem tém i obie ręce. nabożnie na sękatym kiju splatając, cienkim, lecz donośnym głosem, na godzinkową nutę, zawiódł:

Perło droga, cna Panienko,
Rozlicznych kwiatów Równianko,
Tronie cnego Salomona,
Różczko kwitnąca Aarona, przez Ester figurowana...

– Mamo! mamo!—zabrzmiał, tuż za oknem, świeży młody głosik;—staruszek ten przyszedł, co zawsze pod oknem śpiewa i taki do Noego podobny!...

A po chwili otworzył się lufcik i biała ręka kobiéca rzuciła, na otwartą dłoń Łukasza, miedzianą dziesiątkę.

Łukasz przyciszonym tonem, lecz bardzo głośno, mówić zaczął:

— Boże! któryś Daniela we lwiéj jamie przez Habakuka, Opatrznością swoją od Anioła tam zaniesionego, nakarmił, wynagrodź, dopomóż, pobłogosław, niewinność Zuzanny odsłoń, Jonasza z wnętrzności wielorybiéj uratuj, Ananiasza, Azaryasza i Misaela, nienaruszonych pośród ognia, uchowaj...

— Obdarzcież i mnie, nieszczęśliwą kobietę, panienko droga! — zajęczała z kolei ex-straganiarka.

— Nie potrzeba! nie potrzeba! — ozwał się za oknem głos niezadowolony i napominający; — niedobra jesteś kobiéto, ludzi przeklinasz! sama słyszałam nieraz, jak przeklinasz! nie dostaniesz za to nic!

— Ja nie ludzi przeklinam, ale ludzkość...—zakrzyczała żebraczka.

— Nic nie dostaniesz!

— A no niedostanę, to nie dostanę! Żeby wam tak wnętrzności bolały, jak mnie bolą, tobyście pewnie tak samo grzesznemi ustami przekleństwa wyrzekali! Ale nie życzę, nie życzę! I odpuść nam nasze winy, jako i my...

Poszli daléj. Baba smutna była i milcząca, dziad zadowolony z otrzymanego daru i ukośném wejrzeniem badający okna domostw, pod któremi się przesuwali.

— Ot widno ze wszystkiego,—zaczął po chwili Łukasz,— że ja z mego nierodzonego chłopca więcéj pociechy mam,

jak pani Kępowa ze swego rodzonego... Dzieli się on zemną groszyną każdą, a i ja z nim dzielę się... i przytulny do mnie... Czasem powiada: nie mam ja na całym szerokim świecie nikogo, kromie was... wyście mnie, jak szczenię, z pod płota podjęli i wyhodowali. Tak on czasem powiada, a przecieć to serce dobre oznacza i wdzięczność... No, nie prawda może, co?

— A jużci — odparła żebraczka,—mój nigdy mi słowa dobrego nie da. Ledwie że spojrzy na matkę, a wszystko na swoję ludzkość patrzy. Ale teraz wasz chłopiec ciągle u mojego przesiaduje... po całych nocach bzdurzą...

— A no! miał zawsze do nauki ciekawość wielką... Pan Szymon uczony i gada... no! i ja już niby, jak ludzie powiadają, głowę nie dla proporcyi na karku miał, a zawsze, jak on zacznie gadać, to ot, jakby świat rozwidniał się przed oczami...

— Co z tego gadania i z tego rozwidniania, — zaczęła baba; ale Łukasz znowu, gestem i syknięciem, nakazał jéj milczenie. Stał znowu pod oknem i zawodził:

Zawitaj Panie mądry, Domie Bogu miły,
Który stół złoty i siedm kolumn ozdobiły;
Witaj zegarze, w którym nazad jest cofnione
Słońce dziesięcią linii...

Z otwartego lufcika spadła znowu miedziana moneta, i głos z wewnątrz zawołał:

— Módl się za nas, dobry staruszku, bo u nas biéda, choroba w domu...

— Zmiłuj się nademną Panie, bom ci chory i strwożone są kości moje!—donośnie zawołał Łukasz.

— Wy bo, panie Łukaszu, — zaczęła Kępowa, — macie szczęście do ludzi... Każdy wam coś da... nikt nie minie i

nie odpędzi. Ja nie... Mnie każdy fuka i jędzą przezywa, a tyle mego, co pod kościołem dadzą, a i tam jeszcze dziady pokrzywdzą zawsze... przez całe życie moje z zapracowanego grosza żyłam, *musić* dla tego żebrować nie umiem...

— Trzeba umieć,—z powagą wyrzekł Łukasz;—wszystko, co człowiek robi, powinien, moja pani Kępowo, umieć robić...

— Dokądże teraz pójdziecie,—zapytała Kepowa,—ciemnieje... czas kości stare choć na barłogu złożyć...

— A pójdę sobie do was,—odpowiedział Łukasz,—tam i chłopca mego pewno znajdę... Cały dzień z maskaradą po mieście chodził, coś tam uzbierał sobie... to ot, grosz mój i grosz jego złożym, i baliczek sobie jaki sprawim...

— Jaki tam baliczek? baliczki mu jeszcze w głowie?— zaszemrała zgryziona baba.

Skierowali się oboje ku zrujnowanemu gmachowi, w którym było mieszkanie Kępy. Do tegoż samego miéjsca, z innéj tylko strony, dążył pajac, który, przez dzień cały, bawił uliczną gawiedź miéjską, a brzękiem dzwonków swych przywoływał do okien dostatnich nawet mieszkańców ładnych domów i kamienic. Nie zmienił on ubrania swego i mrocznym zaułkiem, pod walącemi się płotami, przesuwał się, jak maskaradowe widmo, błądzące po krainie zmroku i nędzy. Gdy przechodził koło okna szynku, w którym palił się już słaby płomyk lampki, blaszki i galoniki, przyozdobiające ubiór jego, zamigotały rojem iskier; gdzieś daléj znowu, w grubym cieniu, rzucanym przez rozłożyste drzewo, rosnące za płotem, zabrzęczały krzykliwym chórem dzwonki, któremi osypany był jego kapelusz i głosik dziecinny, pieszczony zaszczebiotał.

— Wykupisz mi teraz mego kanarka? Sylwek! wykup mi mego ptasia! Mój drogi! za te zebrane groszyki, które

nam ten pan rzucił! Sylwek? a gdzie moje cukierki? dla czego ty nie jesz moich cukierków! schowałeś do kieszeni i nie jesz! Jedz! no jedz Sylwek i mnie daj!

— Zaczekaj, przyjdziem zaraz... tam... to dostaniesz swoje cukierki...

— Tam... tam... gdzie? Sylwek! gdzie? — zaszczebiotało dziecko.

— Gdzie! gdzie? nie wiesz głupia? paplasz jak szpaczek! Do dziadzi Szymona.

— Aha! Dziadzio dobry... tak ładnie gra...

Dziecko było wesołe i bardzo, ze swym dobrym przyjacielem Sylwkiem, poufałe; lecz w głosie pajaca czuć było przymus i zamyślenie. Odpowiadał takim tonem, jakim mówi człowiek senny lub w myślach pogrążony.

Omackiem prawie znalazł wązkie drzwiczki, w grubym murze zagłębione, zszedł po kilku schodkach, chwiejących się mu pod nogami, wziąwszy dziecko na ręce, przeszedł korytarz długi, ciemny zupełnie, a powietrzem podziemia napełniony, i nakoniec, po dość długiém szukaniu w ciemnościach, znalazł zardzewiałą klamkę drzwi, prowadzących do izdebki Kępy. We drzwiach tych schylić się musiał, bo były dłań za nizkie, i w schylonéj téj postawie stanął jak wryty. Mniemał zapewne, że, jak zwykle bywało, znajdzie Kępę zajętego pisaniem, albo piastującego w ramionach ukochane skrzypce, albo rozprawiającego z kilku znajomymi im wspólnie, a od czasu pewnego uczęszczającymi tu, ludźmi. Tymczasem obraz, który ujrzał, napełnił go zdziwieniem. Na wielkiéj staréj skrzyni, pośród stosu rozrzuconych papiérów, paliła się żółta świeczka, a Kępa, łokciem o skrzynię wsparty, w pochylonéj postawie, ze wskazującym palcem, dokonywającym w powietrzu zagad-

kowe jakięś ruchy, zniżonym głosem przemawiał do Lirskiego, który, siedząc na pieńku, z czołem w dłoniach i twarzą w ogniu, słuchać go się zdawał z ciekawością niezmierną. Patrzali sobie wprost w oczy, ruchami brwi i uśmiechem, objawiając sobie wzajem doznawane wzruszenia. Byli tak bardzo zajęci i w tajemniczéj rozmowie swéj pogrążeni, że nie słyszeli otworzenia się drzwiczek, które jednak przeraźliwie zardzewiałemi zawiasami zaskrzypiały. W tém, po sklepionéj izdebce rozległ się i perłową gamą popłynął głośny, serdeczny śmiech dziecięcy. Jak w gaju zielonym, pomiędzy ciemniéjszemi po ścianach widmami drzew malowanych, zakukała kukułka.

— Kuku, kuku, dziadziu Szymonie! a kuku!—wołało małe stworzenie w czerwonéj sukience i głowę, osypaną złotemi włosy, chowała za wielki, zlekka w cieniu podzwaniający, kapelusz pajaca. Dwaj, tajemniczo rozmawiający, ludzie drgnęli, jak ze snu zbudzeni, i spojrzeli ku drzwiom. Lirski rozeznał w mroku twarz Sylwka, pobladł śmiertelnie, zerwał się z siedzenia i, drżąc od stóp do głowy, do ściany plecami przyciskając się, wyszeptał:

— Broń mię pan, panie Kępa! brońmy się! po co on tu przyszedł? czego on tu chce?...

Kępa zaśmiał się.

— Mam bronić się od Sylwka! — zawołał, — od najukochańszego z uczniów moich! od syna mego ducha! Uspokój się pan! On tylko w tém przebraniu swojém tak ci się strasznym wydał... Powinniście się kochać, bo jedna idea zaświeciła przed wami, jak gwiazda przewodnia...

Sylwek odzyskał całkiem zimną krew i przytomność. Postawił Klarkę na ziemi, rzucił w kąt izdebki dzwoniący swój kapelusz i zbliżył się ku Lirskiemu. Możnaby rzec, że

ciemna twarz jego znieruchomiała pod spadłą na nią ciężką zadumą.

— Cicho, dziadźku, — ozwał się zniżonym, spokojnym głosem; — ten pan sprawiedliwie przeląkł się mnie... zrobiłem mu niedawno wielką nieprzyjemność, ale teraz żałuję tego... po co mi to było? po co mi wszystko? Nie lękaj się pan. Jeżelim chciał pomścić się za mój pierścionek, to już i pomściłem się, a żalu, ani gniewu nie mam. Co prawda, za co tu było gniewać się? Mędrszyś był pan odemnie, i po wszystkiém. Ot szaleństwo jakieś przystąpiło było do mnie... bardzo przepraszam! rozbójnikiem nie jestem i nic panu złego nie zrobię. Po co mi to! po co mi wszystko!

Odwrócił się, usiadł, a raczéj, ramię wspierając o katarynkę swą, położył się na ziemi, przyciągnął do siebie Klarkę, rzucił jéj garść karmelków i z oczami nieruchomo, lecz spokojnie utkwionemi w ścianę, zamilkł téż jak ściana. Po całodziennéj szalonéj wesołości, natura ta wrażliwa, ognista, prawdziwie i głęboko może artystyczna, podległa reakcyi, wręcz sprzecznemu z poprzednim stanowi zniechęcenia i bezwładnego smutku. Lirski uspokoił się nieco i z lekkim już tylko odcieniem trwogi przypatrywał się temu dawnemu znajomemu swemu, którego strój i powierzchowność bawić zaczęły próżniaczą i drobnych sprawek ludzkich wielce ciekawą jego wyobraźnią.

— Jak się nazywa... ten... ten... pan?—zapytał zcicha Kępy.

— Nazywają go ludzie: Sylwek Cmentarnik, — odparł Kępa, i ciszéj dodał:—jak się zaś istotnie nazywać on powinien, wié o tém jeden tylko człowiek na świecie...

Lirski wpatrywał się wciąż w Sylwka.

— Ależ podobny do kogoś mi znajomego, nadzwyczaj do kogoś podobny... szeptał... nie mogę tylko przypomnieć sobie...

— Powinniście się kochać ze sobą, jako ogrodnicy, do uprawiania jednego ogrodu wezwani, — ozwał się Kępa; — jakiekolwiek bowiem różnice zachodzą w urodzeniu i położeniu waszem, oba należycie do rzędu tych, którzy potrzebują i pragną zostać odnowicielami świata. Z jednéj strony opuszczone chłopię, wzrosłe w dzikości i przeróżnych męczarniach, a w żyłach swych mające krew wartką, dumną, o wysokie dopominającą się uciechy; z drugiéj strony dziecię, zhodowane przed obliczem zbytku, miękkie i delikatne jak kobiéta, a pozbawione środków do zadowolenia potrzeb swych i pożądań,—o! mogąż być na ziemi całéj istoty bardziéj skłonne i zdolne do zrozumienia i przyjęcia w siebie nauki mojéj! Mogęż nie radować się, widząc was obu obok siebie i nie ufać, że, przez was przyśpieszone, przybędą wkrótce na świat wielkie katastrofy te, które...

Prawiłby daleko dłużéj jeszcze, gdyby nie przerwał mu gwałtowny trzask roztwierających się drzwi i krzykliwy gwar kilkorga. wpadających do izdebki, dzieci. Byli to: Damek Szarski ze swemi długiemi sterczącemi uszami, a ustami zapchanemi bułką, któréj wielki kawał trzymał w ręku; dziewięcioletni Miś, nie zupełnie jeszcze obmyty z sadzy, któréj szerokie plastry oblepiały mu czoło i policzki, a z djablim czerwonym językiem, u piersi, do podartego spencera przypiętym; dwunastoletni Tomek, bosy, w płóciennych szarawarkach, z wpół idyotycznym wyrazem na wychudłéj twarzy; była tu, nakoniec, długonoga dziewczyna z rozplecionemi włosami, w spłowiałéj szmacie jakiéjś, po cygańsku przez ramię zarzuconéj, Antką zwana. Cała ta banda, która przez dzień cały, przebiegając miasto, zrywała na nogi i wiodła za sobą gawiedź miejską, wpadła teraz do sklepionéj izdebki i, napełniając ją krzy-

kami, które, przebiegając nizki sufit z malowanym gryfem, tysiące ech obudziły po rozległych salach, korytarzach i strychach opuszczonego gmachu. Szczury, gnieżdżące się w staréj skrzyni, przestrachem zdjęte, zaszamotały się gwałtownie, bijąc się o ściany siedliska swego. Było to tak, jakby na izdebkę tę, do grobu podobną, spadło stado, łopocącego skrzydłami, wrzaskliwego ptastwa.

Szło o pieniądze, które banda maskaradowa zebrała dnia tego na mieście. Dopominano się o nie u Sylwka, który, wyjąwszy z kieszeni małą sakwę płócienną, pełną monet miedzianych i srebrnych, obojętnym ruchem oddał ją dzieciom.

— Macie, coście zarobili!—rzekł,—przeliczcie i podzielcie się! Ja swoje już wziąłem...

Damek porwał pierwszy sakiewkę, ale odebrała mu ją Antka. Usiadła w kącie; na płachtę swą, ściągniętą z ramion, które przez to nawpół się obnażyły, wysypala pieniądze i z szybkością, objawiającą biegłość pewną, w tego rodzaju czynnościach nabytą, rachować je zaczęła. Damek siedział przy niéj i przyjaźnie szyję jéj ramieniem otaczając, na ręce jéj małe, ciemne a zwinne, chciwie spoglądał. Miś klęczał przed dziewczyną, osmoloną swą twarz nad jéj kolanami pochylał, a niezmierne zajęcie, z jakiem przypatrywał się liczeniu pieniędzy, spowodowało wysunięcie się z ust języka jego, który, czerwonością swą, odpowiadał wybornie, przyczepionemu do spencera, exdjablemu językowi; Tomek, nakoniec, bose nogi w całéj długości ich na glinianéj podłodze wyciągnął i, z palcem w ustach, idyotyczny wzrok wlepiał w rozrumienioną i włosami zarzuconą twarz Antki.

Kępa ku gromadce dzieci tych, wpół patetycznym, wpół błogosławiącym gestem, oba ramiona wyciągnął.

— Oto jest siejba przyszłości!—zawołał,—oto są wzrastający adepci nauki mojej, robotnicy nowego świata!

Tu znowu przerwało mu mowę otworzenie się drzwi i głos cienki, chrypliwy nieco, stary, na skoczną nutę krakowiaka wyśpiewujący:

Oj głębokaż to mogiła,
W której leży ludzi siła;
Gdy w nią legniesz, grzeszny człecze,
Strawa z misy ci uciecze...

— Otóż i zacny patryarcha nasz przybywa! — zawołał Kępa.

W półgodziny potém, gdyby ktokolwiek. stojący zewnątrz starego gmachu, pochylił się i spojrzał w okienko, dwoma zielonawemi szybami wydobywające się z pod ziemi, a z wewnątrz w zardzewiałą kratę żelazną zaopatrzone, ujrzałby widok dość niepospolity i malowniczy, a badaczowi spraw tego swiata wiele do myślenia dać mogący. Podziemna, sklepiona izdebka oświetloną była ogniem, który palił się w glinianym piecyku, a w migotliwych łunach którego, jak ciemne widma, ukazywały się, to znikały, malowane na ścianach i suficie drzewa i ptaki. Szczupłą przestrzeń, objętą przez dekoracyą tę, zdającą się być urągliwém lub trupiem naśladowaniem przyrody, napełniała gromada istot ludzkich. stłoczonych tam jak w garnku. Na wielkiéj skrzyni, plecami przysłaniając łojówkę, palącą się w czerepie garnka, z nogami wiszącemi w powietrzu, a dwoma końcami czerwonawéj chustki sterczącemi pod brodą, siedział Szymon Kępa. Żółta, skurczona twarz jego oblana była radością i ekstazą, ramiona roztwierały się i podnosiły przekonywającemi, groźnemi, to pełnemi obietnic, gestami. Za nim nieco, na pieńku sie-

dzący, Maurycy Lirski. górną połową ciała swego tak się ku mówcy pochylał i tak nieruchomo ku twarzy jego zgorączkowaną swą twarz podnosił, że znać było, iż, oprócz myśli tych, nadziei i obietnic, o których poraz pierwszy dnia tego usłyszał, nic i nikogo w téj chwili widzieć nie był w stanie, że, wywołane przez nie, ciekawości. marzenia i pożądania pochłonęły wszystkie inne uczucia, którychby w otoczeniu, śród jakiego znalazł się, w innéj chwili doświadczyć musiał. Naprzeciw Kępy, przed ogniem. płonącym w piecyku, siedział na ziemi siwobrody. łysy starzec, w żebraczém odzieniu, a naglądając gotującéj się i prażącéj w garnkach strawy, uśmiechał się chytrze pod bujnym siwym wąsem i. od czasu do czasu, mięszał się do rozmowy. Z drugiéj strony piecyka wysuwała się, pod światło ognia, włosami zarzucona twarz i nagie ramiona Antki. Tomek wyciągał bose swe nogi. Damek i Miś, pobrzękując miedziakami, ze stłumionym chichotem szczypali Antkę, targali bujne jéj włosy i szeptali jéj coś do ucha. U ściany zaś, przeciwległéj oknu, ramieniem wsparty o pozytywek ze sterczącą korbą, leżał pajac, na którego ubranie płomię wywoływało grę barw i blasków, a obok którego, z głową na pierś jego opuszczoną. mała dziewczynka, za małpeczkę przebrana. usypiała głęboko, z uśmiechem na ślicznych ustach i niedojedzonym karmelkiem w ręku. Pajac, zarówno jak siedzący na pieńku młodzieniec, z białą twarzą i w zgrabnym paltocie, wlepiał wzrok w przemawiającego ze skrzyni Kępę, tylko. że w oczach jego. czarnych jak otchłanie, pojętnych. zadumanych, niby zwiastuny bliskich pożarów, przelatywały błyskawice namiętne i groźne. Zresztą, w kątach, do których nie dochodziło światło ognia, spostrzegać się jeszcze dawały mętne zarysy kilku

innych istot ludzkich. Ktoś tam znać fajkę palił, bo grube nicie brudnego dymu zwolna wlekły się powietrzem ku otworowi piecyka. Jakaś twarz męzka, młoda, lecz blada, a na długiej, ciemnej szyi osadzona, od czasu do czasu wysuwała się z mroku, to znowu się w nim kryła. Jakieś zczerniałe skieletowe ręce wydobywały się na oświetloną przestrzeń, zdając się grozić czy upominać. Niekiedy słychać było jeden tylko głos, płynnie i łagodnie przemawiający, to znowu wydymający się do patetycznych i wzniosłych tonów; niekiedy zaś wybuchał chór zmięszanych głosów zapytań i opowiadań, lamentów i śmiechów. Wszystko to razem sprawiało wrażenie podziemnej ludzkości, całkiem różnej z tą, która żyła nad powierzchnią ziemi, lub obozowiska, w którym zgromadzili się współdzicy koczownicy, aby weselić się i żalić, uczyć się i naradzać, tak, jak to czynić umieli i mogli.

Była to szkoła Szymona Kępy.

V.

Dom, w którym mieszkali Szarscy, był budową drewnianą, dwupiętrową i w kilka facyatek u góry zaopatrzoną. Niegdyś mogły się tam znajdować wcale porządne nawet mieszkania; teraz jednak nietynkowane ściany spoglądały na świat pozbawionemi szyb otworami, a u szczytu, pośród zczerniałych i kruszących się kominów, stérczały tu i owdzie, ogołocone z dachówek, krokwie. Spiczaste daszki fa-

cyatek, kształtem swym przypominające domki z kart, przez dzieci budowane, a także wysokie rusztowanie ciesielskie, do ścian przystawione, nadawały domowi temu, o zmroku szczególniéj, pozór czegoś fantastycznie połamanego. Właściciel całéj téj posiadłości miejskiéj, przez niedbalstwo lub uboczne jakieś cele, część tę własności swéj w stanie rudery pozostawiający, zamierzał snać kiedyś odnawiać ją i do porządku przyprowadzać. Zamiar ów zaniechanym został, lecz rusztowanie pozostało i wraz z przystawioną doń wysoką, kominów aż sięgającą, drabiną gniło sobie zwolna na słotach i śniegach, na podobieństwo olbrzymiego szkieletu, stróżując nad dziedzińcem błotnistym, zaśmieconym, a pomiędzy budową, mieszczącą w sobie handel Chaima, i staremi budowlami, zaciskającym się w wązką, ku zaułkowi wyciągniętą, szyję.

Rusztowanie owo i owa drabina przedstawiały, od czasu do czasu, napowietrzną scenę, pośród któréj odegrywało się widowisko, dla mieszkańców zapadłego kąta tego, niezmiernie ucieszne. Hilary Szarski, z odkrytą głową i w luźnym, poplamionym paltocie, który, od lat już paru, stanowił jedyne jego ubranie, wypadał z bocznych, na dziedziniec otwierających się, drzwi szynku i, wymachując ramionami, zataczającym się, lecz o ile stan jego na to pozwalał, spiesznym krokiem, dążył ku rusztowaniu. Przez całą drogę, która, jakkolwiek krótką była, dość długo zazwyczaj trwała, nieustannie, ani na sekundę jednę nie milknąc, mówił, a raczéj bełkotał:

— Pójdę... pójdę.. ot już idę! Teraz już dojdę... żeby tam nie wiem co, dojdę i prożbę moję podam! Co to! Pana Boga w niebie nie ma, czy co, żeby takie krzywdy dziać się mogły na świecie. Apeluję do najwyższéj instancyi... Po-

czekajcie, będzie wam dobrze, jak Pan Bóg Wszechmocny sprawę pomiędzy nami roztrzygnie... Idę... idę...

Szedł, a dosięgłszy celu swéj wędrówki, rozpoczynał, niezmiernie mozolne, wdrapywanie się na drabinę. Wtedy, wszystko cokolwiek żyło lub przypadkowo znajdowało się w sąsiednich domostwach, wylegało na dziedziniec. Liczni zawsze goście Chaima, wysoka i blada praczka, w dużéj chustce na głowie, mąż jéj, stróż nocny, z wielką fajką przy ustach. zaułkowi przechodnie, którzy zasłyszeli na dziedzińcu niezwykły gwar i ruch, wszystko to skupiało się u stóp rusztowania, podnosiło głowy, wybuchało śmiechem, rzucało ku oszalałemu człowiekowi drażniące i egzasperujące go zaczepki i żarty. Jeżeli dzieci Szarskiego znajdowały się w domu, co jednak zdarzało się nieczęsto, wybiegały one także z przepaścistéj sieni domu, krzycząc, rzucały się ku drabinie i, ręce ku ojcu wyciągając, płaczliwie a wrzaskliwie prosiły go i zaklinały, ażeby wrócił na ziemię, szedł do domu, bo spadnie, stłucze się, albo nawet i zabije... Damek krzyczał najgłośniéj, a niekiedy łajał nawet ojca, nazywając go pijakiem i waryatem; Miś i Klarka zalewali się rzewnemi łzami. Oprócz tych wszystkich osób, na dole stojących, przedstawienie, odegrywające się pośród suchych ramion rusztowania. posiadało zazwyczaj dwie jeszcze spektatorki, które spoglądały nań z góry. W jednem z okien górnego piętra ukazywała się ładna jeszcze, choć zwiędła i blada, twarz Heleny Szarskiéj, która podnosiła do oczu chustkę, znikała, aby znowu ukazać się i, z krwawym rumieńcem na czole i policzkach, przerażone spojrzenie rzucić przez szyby; na spadzistym zaś, ukośnym dachu staréj drwalni siedziała trzynastoletnia Antka, w koszuli i krótkiéj spódnicy, z rozpuszczonemi włosami, a z wy-

sokości téj, na widowisko spoglądając, śmiała się tak zapalczywie, że aż długie nagie jéj nogi dziwne takty wybijały po zgniłych gontach dachu.

Ze szmatą papiéru, podjętą ze śmietnika, a z kieszeni paltota wystającą, obu rękami czepiając się drabiny, Szarski wdrapywał się ze szczebla na szczebel powoli i z niesłychanym mozołem. Chwiał się i drabina uginała się pod silnie zbudowaném a ociężałém jego ciałem. Mówić przecież, a raczéj bełkotać nie przestawał, ani na chwilę. Zatrzymywał się czasem na jednym ze szczebli i, z trudnością usiłując wznieść w górę rękę z wyjętą z kieszeni szmatą papiéru, wołać zaczynał:

— Królu całego świata... Sędzio sprawiedliwy... przychodzę ze skargą... pozywam o otrucie duszy mojéj... o niedolę moich dzieci... o wstyd, o hańbę, zgubienie... pozywam...

Nagle, ni ztąd, ni zowąd, uderzał się z całéj siły pięścią w piersi i, rzewnie płacząc, jęczał:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu...

I znowu wędrował w górę.

— Daleko,—mówił, kręcąc głową i głupowato uśmiechając się,—daleko!... wysoko!... ale to nic! nic! dojdę! ot, niedługo... jutro, pojutrze... pewnie dojdę...

Bójne krople potu występowały mu na żółte czoło, dyszéć zaczynał głośno i ciężko, od czasu do czasu boleśnie stękał, każdemu zaś stęknięciu, każdemu pijanemu wykrzykowi szaleńca tego, odpowiadał wielki chór żartów i śmiechów ludzi stojących na dole i najgłośniejszy ze wszystkich, przenikliwy, nieskończone chromatyczne gamy w powietrze rzucający, śmiech, siedzącéj na dachu, wpółnagiéj dziewczyny.

Niekiedy Szarski spadał z drabiny, tłukł się strasznie o bruk dziedzińca i długo potém chorował, najczęściéj jednak rozeznawał, w tłumie wrzeszczących dokoła głosów, głosy i płacze dzieci swoich, a wtedy zatrzymywał się w pochodzie swym i z idyotycznym uśmiechem zaczynał w dół spoglądać.

— Aha!—mówił,—wołacie mię... wróble wy małe... ojciec wam potrzebny? co? biedne wy sieroty bez ojca, ni matki... No, Miś, cicho już bądź! Klarka! przestać mi zaraz płakać, a ty Damek, jak będziesz tak wrzeszczał, to ot złazę zaraz i rózgą wyćwiczę...

Damek zaczynał wrzeszczéć głośniéj jeszcze.

— Niech już ojciec wyćwiczy mnie, ale niech zlezie na ziemię, bo mi wstyd ludziom w oczy patrzéć... I tak już chłopcy u ślusarza wypiekają mi oczy, żem syn pijaka...

Miś z piąstkami, przyciśniętemi do oczów, w niebogłosy lamentował.

— Za co my takie nieszczęśliwe... nie dość, że ojciec pijanica, jeszcze spadnie i zabije się, a my... już chyba z głodu poumieramy... czy co?

Klarka nie myślała o wstydzie, ani o głodzie, lecz załzawione swe turkusowe oczy wznosząc ku ojcu, chlipała od płaczu, drobne ręce w górę wyciągała, wołając:

— Papciu! papciu! papciu!

Potém ogarniała ją złość. Zaczynała tupać małemi nogami. wydymała usta i z cicha wyrzekała:

— To tak zawsze! upije się i potém gryzie mnie tylko! jak zabie się, to umrze... jak Tadzio...

I uczepiwszy się drabiny, właziła za ojcem na parę najniższych szczebli.

— Papciu!—wołała,—proszę mi rączkę podać... ja papciowi pomogę zleźć...

Wtedy Szarski zwolna zaczynał zstępować w dół. Znalazł się zawsze w tłumie ktoś litościwy, kto mu w téj powrotnéj, niebezpieczniéjszéj jeszcze, niż poprzedzająca, wędrówce dopomógł, a po chwili widziowie rozchodzili się, wiedząc, że nic już więcéj ciekawego nie zobaczą i ze świeżo odegrywanego widowiska czyniąc wniosek, że Szarski pewnie już przez tygodni kilka upijać się nie będzie.

Istotnie, sceny owe włażenia na drabinę w celu zaniesienia Bogu skargi na doznaną krzywdę, od lat już dziesięciu, bywały w życiu Szarskiego zakończeniem okresów pijaństwa, po których następowały dłuższe lub krótsze okresy trzeźwości. Tak jak pewne rodzaje umysłowego obłąkania, nałóg jego miał tę właściwość, że z kolei ogarniał go i odstępował. Był to szał raczéj, niż nałóg,—szał, który, niby palący huragan, przelatywał po tém steraném życiu, a potém milkł i ustępował miéjsca grobowéj ciszy. O ile, pijanym będąc, Szarski gadatliwym był, tak gadatliwym, że mowa jego wydawała się nieustannie a monotonnie ciekącym strumieniem, o tyle, gdy się wytrzeźwił, milczącym stawał się i zamkniętym w sobie. Na twarz jego zoraną i zżółkłą spadała wtedy nieruchomość kamienna, a spuszczone zwykle powieki podnosiły się z ciężkością i ukazywały się spojrzenia mętne, a nieprzezwyciężenie, chylące się ku ziemi. Przedstawiał on wtedy sobą obraz, milczącéj jak grób, rozpaczy i wstydu, który, żadném już udawaniem, godności człowieczéj osłaniać się nie chciał. Kiedy dawni przyjaciele i koledzy jego, wypadkiem napotkawszy go, przypominając mu dawne jego czasy, do upamiętania i poprawy zachęcać go usiłowali, słuchał

wszystkiego, co mówiono mu, cierpliwie, aż do końca, a potém, wzruszając ramionami, odpowiadał krótko i sucho:

— Cóż robić? stało się!

Uparte milczenie to i krótkie te odpowiedzi ludzie poczytywali za cynizm i czelność. W istocie była to tylko: beznadziejność. Nie przyrzekał nic i nie usprawiedliwiał się nigdy. Czasem tylko, gdy zapytaniami i napomnieniami przyciśnięto go do muru, w kształcie objaśnienia, mówił:

— Miałem zawsze słaby charakter... Lepiéj byłoby pewnie, żebym był innym, ale cóż robić? stało się!

O krzywdzie doznanéj, o stosunkach rodzinnych, na które, pijanym będąc, wciąż wyrzekał, nikt zeń, gdy był trzeźwym, słowa jednego wydobyć nie mógł. Nie chciał mówić nic i, zresztą, niewiele miał do mówienia czasu. Stawał się wtedy zaciekle pracowitym. Szedł do urzędników i adwokatów miejskich z prośbą o zajęcie; że zaś pisał poprawnie i prędko, a przytém wiele jeszcze zapamiętał z posiadanych dawniéj wiadomości,—dawano mu chętnie robotę, z tym przecież warunkiem, aby spełniał ją na miejscu, do domu nie zanosząc. Najmniéj nawet ważnego dokumentu, żadnéj godziny czasu dla spełnienia pracy potrzebnéj, nikt mu już powierzyć nie chciał; nikt bowiem, ani on sam, zapewne przewidzieć nie mógł: kiedy grobową ciszę jego, gorliwą, umiejętną pracowitość przerwie i pochłonie gadatliwy i nieprzytomny szał. Pracował więc za domem. Od rana do zmroku siadywał, w gabinetach urzędników i adwokatów, schylony nad robotą swą, kamiennie obojętny na wszystko, co było i działo się wkoło niego, pochłonięty całkiem jedyną żądzą zdobycia jaknajwiększego możliwie zarobku. Zdawać się mogło, że pragnął i usiłował zarobić tyle, ażeby wystarczyć to mogło nietylko na teraz,

ale i na dalszy. bezzarobkowy a przewidywany, czas. Wracał do domu w późne wieczory, obładowany sprawunkami przeróżnemi, zapasami żywności, opału lub odzieży. Bez względu na terminy, opłacał wtedy komorne, uiszczał się z długu ślusarzowi, u którego terminował Damek, nakoniec, przez ostróżność niby i niedowierzanie sobie, wszystkie pieniądze, jakie mu pozostawały jeszcze, oddawał żonie. To ostatnie czynił zawsze z widoczną niechęcią, z wahaniem się i tylko z ciężkiego musu. Gdy patrzał na żonę, gdy zmuszonym był przemówić do niéj, kamiennie nieruchoma w porach tych, twarz jego nerwowo drgać zaczynała, a grobowa cisza, zamykająca mu usta, ustępowała przed tłumionem, lecz wciąż wybuchającém, rozjątrzeniem. Na stolik, umieszczony przy brudnym jéj szezlągu, rzucając garść monety, lub parę asygnat, ustami wykrzywionemi, mówił:

— Zmiluj się, Heleno, nie zmarnuj tylko tego na fatałaszki i romansowe książki. Bądź, choć raz, dobrą matką i rozsądną kobiétą. Schowaj ten grosz na chléb i obuwie dla dzieci.... Teraz już wszystko im kupiłem, ale żeby późniéj było... Nie mogę trzymać przy sobie pieniędzy... kuszą. Muszę powierzać je tobie, choć.... Bogiem a prawdą.... wszystko to jedno!...

Czynił ręką gest najwyższego zniechęcenia i znowu zapadał w milczenie, którego żona nie przerywała mu nigdy. Oddawna już Helena nie przemawiała do męża, ani jednego słowa. Czasem zdawało się, że chciała się do tego przymusić; spoglądała na niego, otwiérała usta i odwracała się wnet z wyrazem nieprzezwyciężonego wstrętu na twarzy, z poruszeniem wzgardy niewysłowionéj. Wtedy on, patrząc na nią zdaleka, bez uniesienia. ale szydzącym i pogardliwym tonem mówił:

— Nie masz, czego odwracać się tak odemnie... ty, hrabianko na Wątorach, ani mi wzgrdliwe miny swe pokazywać... Niech ci się nie zdaje, żebyś była lepszą odmnie. Jam pijak i ty pijaczka.... tylko, że ja upijam się wódką, a ty drukowanemi romansami. Ja w wódce szukam zapomnienia, a ty w książkach... wyimaginowanéj rozpusty. Dobraliśmy się. Powinniśmy od rana do wieczora sobie buzi dawać. Dla czego zaś ty mnie znielubiła i ja cię nie cierpię... albo ja wiem? Może dla tego, że gdybyś ty była inną, jabym się był nie rozpił, a gdybym ja był inny... no, gdybym, naturalnie, eleganckim był i bogatym, tybyś kochała mnie, choćbym tysiąc razy był gorszy, niż jestem... Znam cię! Dla najgorszego złoczyńcy byłabyś dobrą, gdyby on tylko wyglądał jak romansowy bohater, a ciebie wielką panią zrobił.... I dzieci swoje kochałabyś także, gdyby to byli panicze i panienki... znam cię, ty, co myślisz, żeś z książęcego tronu zstąpiła, choć was pięcioro dzieci na kiepskiéj folwarczynie ojcowskiéj siedziało... ty, co myślisz, że uczciwą kobiétą jesteś, choć nic więcéj nie robisz, tylko romansujesz... przez imaginacyą... Znam cię!

Znał ją istotnie. Mogłaby była szaleć za najnikczemniejszym złoczyńcą, gdyby posiadał on wytworną powierzchowność i świetne położenie w świecie jednego z tych wicehrabiów lub margrabiów, o których czytywała w romansach i w których kochała się nieustannie, aż do śmiertelnéj tęsknoty i spazmatycznego płaczu. Mogłaby była nawet szaleć za zbójcą, któryby się pojawił przed nią w stroju malowniczym, z gorejącemi dziko oczami, a upadłszy przed nią na klęczki, opowiedział jéj szereg tragicznych, przebytych przez się, przygód. Kochałaby też niezawodnie dzieci swe, gdyby podobnemi one były do margra-

biąt i książątek. Nędzę nawet przeniosłaby odważnie i chętnie, gdyby przyczyną jéj była jakaś dziwna awantura, a okrasą jaskrawa poezya; gdyby posiadała ona w sobie coś, coby rozogniać mogło jéj wyobraźnią i zaspakajać zmysły.

Wyobraźnia i zmysły, chorobliwym rozrostem swym, zagłuszały w niéj wszystkie inne składowe części ludzkiéj jéj istoty. Stopniowo zapewne stawała się, lecz teraz już w zupełności była istotą, złożoną z rozdrażnionych nerwów i upojonego mózgu, wiecznie trawioną przez gorączkę nieprawdopodobnych rojeń i niespełnionych żądz, istotnie, szczerze i strasznie cierpiącą.

Od czasu do czasu i ona także miewała epoki wytrzeźwienia i gorączkowego zrywania się do praktycznych domowych czynności. Bywało to zwykle w porach, w których nie miała, za co nabyć lub wypożyczyć nowéj książki, a te, które posiadała, po wielokrotném ich przeczytaniu, przestały wywierać na nią upajające i roznamiętniające wrażenia. Wtedy zdawała się ona wracać do życia rzeczywistego i jasno spostrzegać to, co się wkoło niéj działo. Zaczynała téż pracować po swojemu. Po całych dniach, z zapalczywością niesłychaną, białemi rękami przezroczystemi misternie haftowała kołnierze dla synów swych, których surduciki i spencerki dziurami świeciły na łokciach i plecach; dla Klarki kupowała wytworne cienkie obuwie, które dziecko, wiecznie zbijające bruki dziedzińca i zaułka, niszczyło w dni parę; przy ogniu, dla rozpalenia którego wzywała praczkę, mieszkającą na dole, własnoręcznie gotowała czarną kawę, a pijąc ją sama z rozkoszą, pieszczotliwie do picia jéj namawiała dzieci, które się nią brzydziły, a praczkę Ambrożową błagała, aby poszła, lub Tomka posłała, do garkuch-

ni po obiad. Zdarzało się, że w epokach tych trzeźwości i działalności, Helena Szarska, wziąwszy na kolana swe Klarkę, a synów ku sobie przyciągnąwszy, całowała dzieci w czoła i policzki, uśmiechała sie do nich czule i smutnie, wyzywała ich do rozmów i opowiadań. Chłopcy jednak, zarówno jak dziewczynka, niechętnie, co najmniéj obojętnie, znajdowali się względem matki, a gdy się czasem rozgadali, używali nieprzystojnych wyrazów, grubych zaklęć i przekleństw. Dziwne w istocie wrażenie sprawiać musiało, gdy pięcioletnia dziewczynka, składając śliczne swe, drobne usta w nadąsaną minkę, mówiła: niech jego licho porwie, Tomka tego! Tak mi wczoraj w kark dał, że aż upadłam! Jak tylko zobaczę Sylwka, powiem mu, żeby go za to wyłupił...

Helena spuszczała z kolan najmłodsze swe dziecię, starsze ogarniała spojrzeniem powłóczystém, pełném melancholii, zmięszanéj z gniewem, i odchodziła ku szezlągowi swemu, na którym, ułożywszy się w pozie znękanéj, załamywała dłonie z rozpacznym szeptem:

— Nie; nigdzie i w niczém nie ma dla mnie pociechy!...

Damek zato, Miś i Klarka znajdowali, w niezbyt wesołéj doli swéj, liczne pociechy. Damek uważał się wprawdzie za najnieszczęśliwszego z pomiędzy wszystkich, sprzyjaźnionych z nim, rówieśników; dni powszednie bowiem zmuszonym był spędzać u ślusarza, w którego pracowni, napełnionéj zgrzytaniem żelaza i donośnym głosem majstra, nie musiało mu być jak w raju. Ile razy ktokolwiek, uderzony niezwykłą długością uszu jego, zapytywał go żartobliwie o jéj przyczynę, Damek, nie spuszczając oczu, owszem niespokojnym wzrokiem swym, czelnie w twarz pytającego patrząc, odpowiadał:

— Majster powyciągał!

— Jakto! majster ci w ten sposób uszy powyciągał? Dla czegoż jest on dla ciebie tak niedobrym?

— Dla tego, — z jednaką wciąż śmiałością odpowiadał chłopiec,—że ojciec nieregularnie mu za naukę moję płaci... Tych. co regularnie płacą, za uszy nie targa...

Potém, spuszczając oczy i ponuro w ziemię patrząc, dodawał:

— Dzieckiem pijaka wszyscy poniewierać mogą.... wiadomo!

Niezawsze jednak Damek bywał w tak złym humorze. W dniach świątecznych i wieczornych godzinach. które na wyłączną własność swą posiadał, jedną z największych uciech jego była przyjaźń z Antką, z ową trzynastoletnią. długo-nogą dziewczyną, która, ze szczytu spiczastego dachu drwalni, bywała zwykle rozweseloną, aż do spazmów, spektatorką widowiska, odgrywającego się, od czasu do czasu, pośród szkieletowych ramion rusztowania. Kim była Antka? kto byli jéj rodzice? gdzie urodziła się i przepędziła pierwsze lata swego dzieciństwa? Nikt ją o to nie zapytywał nigdy i ona sama, bynajmniéj, nie łamała sobie głowy nad zagadnieniami temi. Jak kropla deszczu z chmurnego nieba, lub odbryzg błota. wyskakujący z pod kół ulicą pędzących, spadła dnia pewnego na dziedziniec, na którym mieszkali Szarscy i tam już pozostała. Wydalała się z dziedzińca tego tylko dla wyżebrania na mieście kilku groszy. za które kupowała sobie w szynkach i sklepikach kęs chleba, bułkę, kawałek twardego séra, czasem okrawkę słoniny lub wędzonego mięsa. Ze zdobyczą tą, ukrytą za koszulą, zręczna jak małpka, czepiając się gałęzi drzewa, wystających belek ścian lub słupów ogrodzenia, wdrapywała się na

którykolwiek z otaczających dziedziniec dachów i tam, rozsiadłszy się pomiędzy dachówkami, wsparta niekiedy plecami o zczerniały komin. gryzła żywność swą z widocznem poczuciem bezpieczeństwa i zadowolenia zupełnego. Zwyczaj takiego jadania na dachach wyrobił się snać w niéj, przez liczne doświadczenia, śród których żywność, ciężko zdobywaną, wydzierać jéj musieli silniejsi od niéj towarzysze, kto wie? psy może? Stopniowo jednak nabyła ona w akrobatycznych ćwiczeniach tych niezmiernéj wprawy a wielkiego, w swych górnych siedliskach, zamiłowania. Większa część życia jéj upływała na dachach, możnaby nawet powiedzieć, że tam było jéj stałe mieszkanie. W bardzo tylko mroźne, dżdżyste lub śnieżne, dni i noce chowała się do otwartéj, zawsze do pustéj prawie, drwalni, śpiąc tam na pościelisku gnijących trzasek i wiórów. Jedyną na ziemi istotą ludzką, która, oprócz towarzyszy zabaw i swawoli, zdawała się zajmować Antkę i posiadać z nią dawne stosunki, była kobiéta, nie stara jeszcze, lecz z brzydkim trądem na twarzy, w bardzo ubogiém, nie żebraczem jednak. odzieniu. Od czasu do czasu przychodziła ona na dziedziniec, przez Antkę zamieszkiwany, przywoływała ją z dachu, lub wynajdywała w czarnych głębiach drwalni, dawała jéj starą odzież jaką, niekiedy kawał chléba, albo miedziany pieniądz i odchodziła, ani słowa najczęściéj nie przemówiwszy. Czasem wprawdzie mówiła ona coś do dziewczyny, ale było to ciche i monotonne mruczenie, którego nikt nie rozumiał, a co prawda, i nie podsłuchiwał, którego nie rozumiała może i nie słuchała sama Antka. Kim była kobiéta ta. przychodząca niekiedy w odwiedziny do dziecka, które nikogo więcéj na całym świecie nie zdawało się obchodzić? Jakim był stan jéj? Jakiéj natury stosunki wią-

zały ją z Antką? Nikt ani myślał dowiadywać się o tém. Z pozoru wyglądała ona na bardzo ubogą i stéraną służącą. Była może pijaczką, złodziejką, czy kobiétą zgubioną? nie wiadomo, Antka nie miała do niéj przywiązania najlżejszego. Jedynym przedmiotem jéj miłości zdawały się być koty, przemieszkujące na strychach i przechadzające się po dachach budynków. Nietylko przepadała sama za niemi, ale potrafiła ich oswoić z sobą i do siebie przyzwyczaić. Szczególny to był widok dziewczyny téj, gdy z długiemi nogami swemi, pozłoconemi przez zachodzące słońce, z ciemnemi bujnemi włosy, rozpuszczonemi do koła okrągłéj twarzy, siadywała ona u śpiczastego szczytu starej drwalni, plecami wsparta o komin i większą część przyniesionéj tu żywności rozdzielająca pomiędzy usta własne, a kilka, ocierających się o jéj ramiona i zcicha miauczących, pyszczków kocich. Dzieliła się z niémi obiadem swym, a ze skoków ich i pieszczot śmiała się na całe gardło. Miała wtedy pozór istoty doskonale szczęśliwéj. Jednego szczególnie żółtego kotka zabrała sobie na wyłączną własność. Gdy był małym, nosiła go przy piersi za koszulą, albo wpółukrytego włosami swemi na ramieniu; kiedy wyrósł, przyuczyła go chodzić za sobą wszędzie, kędy się tylko obróciła, a bądź na dachu, bądź w głębi drwalni na trzaskach, usypiała zawsze, trzymając go w objęciu, z ustami, sennym pocałunkiem przyklejonemi do żółtéj jego sierści. W ten sposób żyjąc, wyrosła na dziewczynę dużą a niekształtną, bo nogi jéj były zbyt długie w stosunku do tułowiu, a wydłużała je jeszcze krótkość odzieży. Włosy za to miała prześliczne do połowy ją okrywające, a często, przez wiatr lub gwałtowne jéj ruchy, tak na twarz opadłe, iż z za nich przeglądały tylko dwie ciemne źrenice, posiadające blask i wy-

raz oczu zmyślnego źwierzęcia. Dykcyonarz słów, któremi się posługiwała Antka, był niezmiernie szczupłym. Najprostszéj mowy dojrzałego choćby prostaka nie rozumiałaby pewnie; w zamian, wybornie i z wprawą wielką, umiała liczyć pieniądze, a miasto całe znała aż do najciaśniejszych jego zakątków, przejść i zakrętów. Umiała zjawiać się pośród ulic i placów głównych i znikać z nich tak szybko, w sposób tak nieledwie widmowy, że najdoświadczeńszy agent policyi długoby musiał łamać sobie głowę nad tém, zkąd wychodziła i gdzie przepadała.

W parę tygodni, po ulicznéj maskaradzie owéj, wspólnemi siłami małéj gromadki obmyślanéj, a pod wodzą Sylwka uskutecznionéj, o zapadającym zmroku, Damek, z szybkością huraganu, wpadł na dziedziniec i, krążąc dokoła drwalni, we wnętrze i na dach jéj zaglądając, przyciszonym głosem wołał:

— Antka! Antka! Antka!

— Ha? — ozwał się, z czarnéj głębi budowy, pytający zaspany głos.

— Chodźno! chodźno tu prędzéj!

Wysmukły cień zarysował się w drzwiach drwalni i wnet przybrał postawę siedzącą.

— Takem się dziś zlatała po mieście... że mało mi nogi nie poodpadają! — żałośliwie jęknęła Antka. Ziewnęła potém głośno, a odwracając się ku wnętrzu budowy, zawołała: kici! kici! kici!

— Nie bój się! nie poodpadają!—sarknął Damek;—kiedy zlatałaś się, to i jeszcze trochę polatać możesz... Mam ci coś powiedzieć! Nastaw ucho!

— Nie pójdę już nigdzie! nie chcę! idź precz!—zaczęła dziewczyna i nagle krzyknęła:—Aj. aj! co to?

Nad uchem jéj Damek przeraźliwie zadzwonił pękiem żelaztwa.

— Nie wiesz: co to? głupia... toż to my o tém tyle razy z sobą gadali! Dokuczałaś mi wciąż: dostań! dostań! weź u majstra! no i dostałem, wziąłem! zgubi głowę, szukając, a nie domyśli się, kto mu to zabrał... z pod nosa! jak Boga kocham, z pod nosa mu wziąłem. Siedział i baraniemi swemi oczami na mnie patrzał, a ja tymczasem myk! i wytrychy pod stołek... Wychodząc, nachyliłem się tylko, cichutko do czapki wrzuciłem i dobranoc, panie majstrze!

Antka aż zalegała się od śmiechu, skoro ta wesołość była u niéj rzeczą zwyczajną.

— No! — zawołała, zrywając się na nogi, — lećmy!

— Aha, widzisz! a mówiłaś, że już nigdzie nie pójdziesz! Jednakowoż poczekaj troszkę! Wcześnie jeszcze. Niech ludzie spać pokładną się. A gdzie polecim?

— Ehe! już ja wiem, nie bój się! Zaprowadzę! Tam na Mokréj ulicy... w jednym sklepie co jabłek! strach! i ptaki pozabijane i séry takie wielkie...

Damek językiem o podniebienie uderzył, jak smakosz, spostrzegający w oddali wyborne przysmaki.

— Wiesz Antka!—rzekł,—takaś mądra dziewczyna, że zjadłbym cię... ot oczyska! co wszystko na całym świecie widzą! Jak wyrosnę, to ożenię się z tobą... będzie z nas para...

Tymczasem uszczypnął ją w ramię tak, że aż krzyknęła i, w zamian, z całéj siły uderzyła go w plecy. Nie pogniewali się jednak z sobą. Były to owszem przyjemne igraszki i wymówne dowody przyjaźni. Przysunęli się bliżéj ku sobie i zaczęli rozmawiać bardzo cichym szeptem. Od czasu do czasu, słychać było tylko wyraz jakiś, głośniej wymawiany:

— Het! w dziedzińcu... daleko... za stajnią... — rzucając ręką w mroczną przestrzeń. mówiła Antka.

— Którędyż?

— Nie bój się! nie twoja głowa... już ja wiem...

— Nie udźwigniem...

— A nie udźwigniem...

— Tomka by wziąć i Misia... pomogą... — zamyślili się i milczeli. Potem Damek zaszeptał coś znowu do ucha dziewczynie.

— Wielka sztuka! — fuknęła Antka. — Na dach zaniosę i w gonty powpycham! Takie zgniłe, że palcem pchnąć, to i dziura zrobi się.

— Hi! głupia! narobisz to tyle dziur, wiele tam jabłek i serów! a jak deszcz spadnie...

— Aha! — tonem refleksyi wyrzekła Antka.

— No to i gdzież? gdzież? — z niecierpliwością dopominał się o odpowiedź Damek.

— Ot tam!

Rzuciła ręką we wnętrze drwalni, w progu którój siedzieli oboje.

— Jak raz! Ambrożowa przyjdzie po trzaski i znajdzie i jeszczeby tam koty twoje nam szkody narobiły!

— Niech robią! niech robią! — z wielkiego zapału aż krzyknęła Antka, — ja sama im dam...

I odwróciwszy się. zawołała:

— Kici! kici! kici!

Damek szturchnął ją pięścią w bok.

— Będziesz ty mnie tu teraz ze swemi kotami bawić się, kiedy na mojéj głowie interes taki... gadajże gdzie. słyszysz?

Dziewczyna ręką brodę podparła. Dumali oboje długo.

— Wiesz?—ozwał się Damek,—możeby...

Resztę dopowiedział szeptem.

Dziewczyna z radości zabębniła nogami o próg drwalni.

— Aha! aha! aha!—wołała.

Damek dłonią przycisnął jéj usta.

— Cicho bądź! jeszcze kto posłyszy!

Upadła na wznak i śmiała się jak waryatka.

— Jak wyśmiejesz się,—rzekł Damek,—to pójdziesz po Tomka, a ja Misia rozbudzę, bo smarkacz już tam gdzieś śpi, aż chrapie... Dobrze im! o niczem sobie nie myślą i gotowe im do rąk przyjdzie. Ja zaś wszystko obmyśleć i przygotować muszę...

— A ja, — upomniała się Antka... — żebym cię nie namawiała, tobyś sam nie domyślił się... ha?

— To prawda! mnie tylko dziw, zkąd ty taka mądra wzięła się...

— Ot! albo to człowiek i uszu nie ma...—odparła z powagą.

W parę godzin, po téj rozmowie, cztéry małe cienie, w znacznéj jeden od drugiego odległości, posuwały się szybko pod płotami i ścianami, wązkich bocznych, ulic miasta. Ten, który postępował przodem, znikał czasem tak nagle, jakby zapadał w ziemię, lecz za nim, w témże samém miéjscu, znikały i inne, aby po chwili wyłonić się znowu, niby z ziemi, na głębokiemi cieniami okrytą przestrzeń warzywnego ogrodu jakiegoś, z którego otwór w płocie, ledwie dostrzegalny, albo wąziuchne za budynkami przejście, wiodły ku innéj znowu ulicy, czasem w kącie podwórka, w którego nielicznych oknach żadne już nie paliło się światło, cienie te zbiegały się ku sobie na cichą i bardzo krótką naradę, czasem téż jeden z nich brzęknął w biegu pękiem

nieuważnie poruszonego żelaztwa, a wtedy wszystkie zatrzymywały się nagle, stały w nadsłuchujących postawach i, na najdalszy choćby odgłos kroków ludzkich, znikały kędyś jak widma, możnaby mniemać, że wsuwały się w ściany domostw lub szczeliny ogrodzeń. Małe były, ciche, lekkie, a zostające pod przywództwem tego z pomiędzy nich, który znał, policzył i wybornie pamiętał wszystkie bramy i podwórza, dziury i podłamy płotów, załomy murów, gzemsy nizko spuszczających się dachów, ławki, na których siadywali drzemiąc stróże domów, i niedostrzegalne prawie szczeliny, przez które, prześlizgując się lub pełznąc, okrążać je było można.

W godzinę potem drzwi izdebki Kępy otworzyły się nieco i wsunęła się przez nie głowa Damka, bez czapki, z rozczochranemi włosy i ogniście zarumienioną twarzą.

— Sylwek! Sylwek!—zawołał.

W izdebce, oprócz Kępy, Sylwka, Łukasza i staréj Kępowéj, która zdawała się już spać na swym barłogu, nikogo więcéj wieczora tego nie było.

Sylwek wstał z ziemi i wyszedł. Po chwili ukazał się znowu we drzwiach. Śmiał się.

— Dziadźku Łukaszu,—zawołał,—ani spodziewacie się, jaka was radość spotka... Chodźcie szczury! nie lękajcie się! nikt tu was za czupryny nie weźmie!

Wtedy stał się w izdebce ruch, zamęt i gwar taki, że zrazu trudno byłoby rozróżnić tam przedmioty i głosy. Antka upadła pośrodku izdebki jak długa i, na wznak leżąc, a nogami o podłogę bębniąc, zdawała się ze śmiechu dostawać spazmów. Damek, bosy, z dwóch butów, na plecach przyniesionych, sypnął po izdebce gradem ślicznych, rumianych jabłek; Tomek, idyotycznie śmiejąc się, rzucił Łuka-

szowi pod nogi ogromnego zabitego indora i kilka kółek wędzonych kiełbas; Miś przykucnął przy progu i z pośpiechem, świadczącym o apetycie, wyrosłym do stopnia głodu, zapuścił zęby w trzymany obu rękami wielki biały sér.

Od wieczora owego, a raczéj od nocy owéj, w podziemiu, z małem okratowanem okienkiem, dziać się poczęły rzeczy, dotąd tam niewidziane. W długie jesienne wieczory palił się w żółtym piecyku suty ogień, a siwobrody żebrak, z obliczem, któremu zorane czoło i łysa czaszka nadawały wyraz szczególnéj powagi i szanowności, nieustannie gotował tam coś, piekł lub smażył. Czynił on to wszystko z ruchami i mimiką kuchmistrza z profesyi i zamiłowania, a otaczali go mali, lecz gorliwi i weseli pomocnicy, z których jedni, z zajęciem i zadowoleniem niezmierném, pomogali mu w przyrządzaniu materyałów kuchennych, inni wymykali się niekiedy z izdebki i, po chwili wracając, przynosili coraz nowe zasoby. Kędyś, w obszernéj téj a opuszczonéj budowie, zwinne i skrętne szczury te posiadać musiały swoję śpiżarnię. Znajdowała się ona może nad samą izdebką Kępy, bo ilekroć którekolwiek z małych przyjaciół, z głuchą latarenką w ręku, opuszczało izdebkę, nad sklepionym sufitem jéj dawały się słyszeć stąpania i stuki poruszanych przedmiotów, wzmagane i powtarzane przez głuche, przeciągłe echa. Zresztą, chodząc, gospodarując, zwijając się, kosztując przyrządzanych jadeł, gryząc jabłka, séry lub bułki, szczury te bawiły się wybornie. Radość i rozweselenie tryskały z twarzy ich, objawiających téż niekiedy ten rodzaj skupionéj powagi, z którą małe dziewczynki ubiérają lub do snu kołyszą lalki, a mali chłopcy, udając dorosłych, dosiadają drewnianych koni. Możnaby mniemać, że wszystkie czynności swe, tak zadomowe, jak gospodarskie,

spełniały one nietyle jeszcze dla nasycenia głodu lub łakomstwa, jak dla rozrywki i zabawy. Z pomiędzy wszystkich, Antka była w porze owéj najszczęśliwszą. Przyprowadzała bowiem z sobą żółtego kota swego i opychała go żywnością, więcéj zajmując się karmieniem jego, niż siebie saméj; we dnie zaś, siedząc na dachu drwalni, wyprawiała całéj gromadzie ulubieńców swych istne uczty, rozdzielając pomiędzy nich przysmaki, za koszulą i w fartuchu przyniesione. Nigdy też koty nie objawiały względem niéj tak żywéj czułości i nigdy tak szalonych harców w koło niéj nie dokonywały; z czego była ona tak uszczęśliwioną, że, gdyby nie nadzwyczajna akrobatyczna zręczność, którą we wszystkich członkach swych posiadała, byłaby nieraz, w przystępach szalonego śmiechu, z dachu na bruk dziedzińca upadła.

Zkąd przecież wzięły się w podziemnéj izdebce, potrzebne dla sporządzania obfitéj żywności, naczynia i narzędzia? Zkąd wziął się tam niewielki samowarek, imbrykiem ukoronowany, a przed ogniem często kipiący i szumiący? Jakim sposobem dostarczano tam sobie dzbanów, napełnionych piwem, których, zwinne i wesołe szczury z nocnych wycieczek swych, nie przynosiły? Były to już owoce pracy i przemysłu siwobrodego żebraka, który, od czasu do czasu, śród najuboższych rynków miasta, albo w domach średniéj zamożności, gdzie oddawna znano go i lubiono, z pod sukiennego swego, połatanego płaszcza wydobywał różne przedmioty żywności, zabite indory lub zające, garnki masłem napełnione i t. d., żałośliwym głosem błagając, aby je za byle co, za groszynę jaką, kupiono. Kupowano też, najprzód dla tego, że sprzedawał za bezcen, następnie, aby uczynić przysługę biédakowi, którego obdarzył ktoś przed-

miotem, tak dla niego niestosownym i nieużytecznym. Naturalnie, były to wszystko dary, przez niezręcznych dobroczyńców jakichś ofiarowane starcowi, wyglądającemu tak szanownie, że powierzchownością swą przypominał on ludziom patryarchę Noego, a umiejącemu, za oddaną mu przysługę, dziękować tak żarliwemi modlitwy i wymownemi słowy.

— Abyś ich na prawicy swojéj, w towarzystwie wybranych Twoich, postanowić raczył, Ciebie prosimy...—cienkim swym, starym, chrypiącym głosem zawodził Łukasz, oddalając się zwolna do tych, którzy go ze srogiego wydźwignęli kłopotu,—a długa srebrna broda jego trzęsła się od wewnętrznego śmiechu.

Nie od razu jednak, ex-stróż cmentarny zgodził się na przyjmowanie udziału w ucztach, przez małe szczury, w podziemnéj izdebce, wyprawianych. Z razu doświadczał on pewnych skrupułów, wyrażanych pełném powątpiewania wstrząsaniem głowy i półgłosem wymawianemi słowami.

— Oj bieda! co ja tu pocznę! umierając mówiła do mnie: daj obietnicę!... biedna moja Nastaśka!... kobiecina moja, z którą żywot ten mój doczesny spędziłem... mówiła: daj obietnicę!... Dałem, jak nie dotrzymam, duszyczka jéj zmartwi się i nawiedzić mię jeszcze gotowa... Uf!

Wstrząsał się. Widać było, że *duszyczek*, nawiedzających ludzi żywych, bał się okrutnie i że wspomnienie o zmarłéj żonie roztkliwiało go i zasmucało. Wstrząsał się ze strachu i wzdychał z żałości, a oczy mu aż paliły się i ręce drżały do przedmiotów, które dzieci, ze śmiechem i swawolą, pchały mu w ręce, rzucały pod nogi i na kolana, wołając: macie! macie! jedzcie, zgotujcie! usmażcie!

A zajadały same, aż im szczęki latały i policzki wydymały się do potwornych rozmiarów. Łukasz. powtarzał półgłosem:

— W téj ostatniéj godzinie mojéj... powiedziała... daj mi obietnicę, że cudzego nie poruszysz... Rzekłem jéj: tak mi Panie Boże dopomóż, w ostatniéj godzinie mojéj...

Lękliwe spojrzenia rzucał dokoła i szeptał:

— Kiedy Chrystus Pan pokaże się na obłokach i podzieli ludzi na kozły i barany...

Siwe brwi jego zsuwały się i jeżyła się nad łysą czaszką szczypta białych włosów. Brał czoło w dłonie i lamentować zaczynał:

— Oj Nastasiu! Nastasiu! czemuś ty mię odumarła i biednego sierotę na świecie tym zostawiła... Ani mi teraz u kogo poradzić się, ani przy kim serca strwożonego uspokoić... Wieczne odpoczywanie racz jéj dać, Panie, a światłość wiekuista...

Pierwszy wieczór zszedł cały na wahaniach się tych, trwogach i lamentach. Wpływ Anastazyi, która, za życia, łajaniem i kułakami, może też wiernem przywiązaniem swém, utrzymywała męża w granicach trzeźwości i uczciwości, i teraz jeszcze w zupełności nie zniknął. Słabą jest przecież moc umarłych nad żywymi; słabą i łatwo poddającą się pokusom bywa natura ludzka.

— Do królestwa niebieskiego droga daleka i przez czyściec wiodąca!...—zawołał nazajutrz Łukasz i z rozpaczliwą decyzyą zabrał się do używania darów bożych, tak obficie dokoła niego zgromadzonych, że aż ręce mu się trzęsły, a wargi, w rozkosznym uśmiechu, otwarte drżały, gdy czynił pomiędzy niemi wybór i, ku wspólnemu z otaczającymi ich używaniu, przyrządzać je zaczynał.

— Sylwek! jedz!—wołały uprzejme, bo nad wyraz rozweselone, szczury do młodego chłopca, który, na katarynce swéj siedząc, skrzypce Kępy w ramionach trzymał i usiłował wybrząkać na nich piosnkę jakąś, którą niedawno gdzieś zasłyszał, a od dwóch dni nieustannie półgłosem nucił.

Nie wzdragał się bynajmniéj. Gdy był głodnym, gryzł białemi zębami bułki, séry i suche mięsiwa, a wciąż przygrywał na skrzypcach, lub, przerywając jedzenie, pamięci swéj dopomagał nuceniem. Nie wybredzał jednak i nie przebierał; chwytał pierwszą lepszą żywność, zjadał ją prędko i łakomie, czasem nawet wcale jeść nie chciał.

— Nie głodnym,—mówił;—na mieście podjadłem, a co mi z tego opychania się przybędzie?

— Sylwek! chodź ty jutro z nami... —wspinając się na palce, szeptał mu do ucha Damek;—tam... w jedném miéjscu, tak wiele, tak wiele wszystkiego... że nie udźwigniem... pomożesz!

I chichocąc zcicha, pokazywał mu, starannie za surdutem ukryty, pęk wytrychów. Sylwek obojętnie wzruszał ramionami.

— A mnie to po co?—odpowiadał.—Wam... co innego... byle nazreć się i przytém... swawola! Mnie rąk w tém maczać nie warto... ja nie tego żądam!

— Dziadźku Szymonie,—zwracał się ku gospodarzowi izdebki,—coście tak zmarkotnieli i siedzicie jak mruk, gęby nie otwierając... ja tylko uszy nastawiam i czekam, kiedy gadać zaczniecie!

Kępa zmarkotniał istotnie. Siadywał wieczorami na staréj skrzyni, tak zapalczywie łatając stare obuwie, które mu do odnawiania dawali różni uliczni i szynkowni przy-

jaciele jego, że możnaby myśleć, iż pragnął ślepym być i głuchym na wszystko, co go otaczało. Milczał też. Tak wymowne i gadatliwe zwykle usta jego zamykać zdawał się uśmiech przykry i krzywy, pełen smutku i niesmaku, podnosił czasem twarz, spoglądał przez chwilę na gromadkę, wirującą w ciasnej izdebce na kształt pszczół w ulu i, boleśnie wstrząsając głową, półgłosem mówił do siebie:

— Jakże silnem jest ciało człowieka, a duch jego słabym! O, zepsuta, aż do dna, naturo ludzka! jakże ci trudno przekroczyć stopnie nizkich pożądliwości cielesnych, a wznieść się ku szczytom, kędy panuje duch... miłość... idea!

Czasem, z przymusem widocznym i smutkiem głębokim, mówić zaczynał:

— Pełnem jest serce moje pobłażliwości dla maluczkich i cierpiących; nie mogę jednak zataić przed wami, drodzy moi, że to, co czynią biedne te ofiary niesprawiedliwości i samolubstwa ludzkiego, bynajmniej użytecznem nie jest dla dzieła, którego wszyscy tu robotnikami jesteśmy, albo być chcemy... Nie takiemi, nie takiemi drobnemi środkami walczyć nam trzeba. Nie tajemnych i drobnych zdobyczy potrzeba nam, bracia moi, lecz olbrzymich pomysłów, któreby, jak nowe słońca, zajaśniały nad ziemią, i wielkich katastrof, któreby aż do dna wstrząsnęły sumieniem ludzkości...

Do owych, jak się wyrażał, drobnych środków służenia idei jego, któremi posługiwały się małe szczury, oprócz uznania ich bezpożyteczności, uczuwał wsręt głęboki, choć milczącej pobłażliwości pełen. Nigdy też żadne prośby i namowy nie zdołały skłonić go do przyjęcia najlżejszego udziału w odbywających się dokoła niego ucztach. Nie-

kiedy widocznóm stawało się, że pożądliwości ciała odzéwały się i w nim także z mocą wielką. Mimowoli i nieprzezwyciężenie wzrok jego odrywał się od grubéj spełnianéj roboty, a ukośnemi spojrzeniami biegł ku smażącym się mięsiwom, lub rozsypanym na podłodze rumianym jabłkom, a z za sterczących końców czerwonawéj chustki widać było, jak kościste gardło jego pracowało w ciągłem przełykaniu śliny. Wyszukiwał wtedy pomiędzy papierami i szewckiemi narzędziami kawałek zeschłego czarnego chleba, który zanurzał w garnku z wodą i, jedząc zwolna, łagodził sobie tantalowe męczarnie spoglądania na żywność, któréj tknąć nie chciał.

— Czyniłem tak od najwcześniéjszéj młodości mojéj,— mówił, — odmawiałem sobie wszystkiego, umartwiałem się, zwyciężałem ciało moje... I dla tego to! wierzcie mi, duch mój wzrósł i spotężniał, dla tego stałem się takim... jakim jestem!

Podnosił głowę i długą swą bladą rękę przyciskał do piersi z takim na twarzy wyrazem, że widać było, iż radosne poczucie wielkości własnéj dopomagało mu niezmiernie do przenoszenia bólu, kurczących się z głodu, wnętrzności.

Nikt mu sprzeciwiać się, ani zaprzeczać, nie myślał; owszem, patrzące nań i słuchające go istoty ludzkie miały go też za wielkość niedościgłą i niezupełnie im zrozumiałą, wywierającą przecież na nie wpływ pociągu, potężny przez zaspakajanie tysiąca ich ciekawości, przez drażnienie tysiąca pragnień ich i żalów. W całem otoczeniu człowieka tego, zwiększającém się niekiedy ludźmi, którzy przybywali tu z ulicy, siadali w kątach izby, palili fajki, słuchali go i podziwiali; jedna tylko zgrzybiała żebraczka, ze zczer-

niałą skórą na twarzy i rękach, zdawała się przedstawiać duch sprzeciwieństwa i objawiać powagę względem tego, który dla wszystkich innych sam był uszanowanie budzącą powagą. Od pierwszego zaraz wieczora, w którym małe szczury ściągać zaczęły do izdebki obfite spiżarniane zapasy, stara Kępowa przestała gderać i wyrzekać i jednym tylko, ale często powtarzającym się, gestem rozmawiała z synem. Z rana, zbudziwszy się i usiadłszy na swym barłogu, patrzała na niego dopóty, dopóki nie zwrócił ku niéj spojrzenia. Wtedy, milcząc, podnosiła wyschły swój, czarny palec i trzęsła nim w powietrzu zawzięcie a długo. Z gestem tym wchodziła zawsze z ulicy do izdebki; wieczorami zaś, wychylając się z kąta swego, wlepiała w syna mgliste. spłowiałe źrenice swe i pochwytywała każdą sposobność, aby wznieść znowu palec i trząść nim dopóty, aż spuścił lub odwrócił oczy. W milczącym geście tym skieletowatéj jéj ręki i w uroczystym, wyrazie okrywającym wtedy skurczoną, bezzębną jéj twarz, wyczytać można było rozpaczliwe upominanie i ponurą groźbę.

Nie każdego jednak wieczora ucztowano i bawiono się w sklepionéj izdebce. Owszem, zdarzały się często i takie, w których dzieci przychodziły blade, zziębłe, z pustemi rękami. Wtedy Antka nawet nie śmiała się już i nie przyprowadzała z sobą swego kota. Smutne i znudzone, siadały najbliżéj pieca i w milczeniu zdawały się oczekiwać na coś, na sen może, który jednak nie chciał sklejać powiek cierpiących i zdenerwowanych tych istot. Dla Kępy przecież wieczory takie były istnemi festynami. Opuszczał on wtedy szewcką swą robotę, a swobodny od wstrętów i umartwień, uczuwanych w wesołéj dla innych porze uczt, przysuwał jedyny stołek swój do pieca, w którym żarzyły się

węgle i oddawał się cały rozkoszy karmienia głodnych i nauczania nieumiejętnych. Piekł kartofle i rozdawał je dzieciom, które skupiały się u kolan jego i tak łakomie wyciągały po nie ręce, że rzadko bardzo mógł donieść do ust własnych część skromnego pożywienia tego. Tym razem także doświadczał uczucia, które, tak jak w chwilach innych uznania wielkości własnéj, łagodziło mu głód i pozwalało przenosić go z łatwością. Było to uczucie nieskończonéj litości nad małemi istotami temi, a może też i ten rodzaj uszczęśliwienia, z jakiem aktorowie wyobrażają siebie samych w ulubionych pozach swych i rolach. Wygrzebując z popiołu kartofle, zamyślał się chwilami i, w jeden punkt wpatrzony, uśmiechał się błogo. W wyobraźni swéj widział wtedy siebie samego, karmiącego własnemi rękami gromadkę maluczkich i cierpiących, do kolan jego przytuloną i obraz ten znajdował czarująco pięknym i wzniosłym.

— O!—wołał w uniesieniu, — przyjdzie czas, w którym rozstąpią się i rozszerzą ściany wszystkich ciasnych i ubogich mieszkań, a napełnią je twarze wesołe, nasycone, pogodne jak dzień wiosenny i serca niewinne, kochające się, wolne od zgryzot, zawiści i smutków wszelakich.

— Za pozwoleniem,—przerwał gruby głos, wychodzący z ciemnego kąta tego, z którego też wysuwały się brudne kłęby dymu palonéj fajki;—za pozwoleniem, żeby wszystkie izby poprzemieniały się w pałace i nikt już żadnego smutku, ani żadnéj zgryzoty, nie miał, to trzeba chyba, żeby wszyscy ludzie na świecie zrobili się bogatymi...

— Naturalnie, — odparł Kępa; — wszyscy też opływać będą we wszystko. Kiedy nastąpi równy podział bogactw pomiędzy równymi sobie ludźmi, znikną zbytki, ale też znikną nędza i ubóstwa; nie będzie pokus, które psują jed-

nych, ani cierpień, które przegryzają wnętrzności innych... Duch człowieczy, uwolniony od trosk i więzów ziemskich, wzniesie się...

— Aha! — zawołał, w kącie innym, piskliwy głos niewieści, — gdyby to wszystkie dusze wznieść się chciały do Boga najwyższego i naśladować życie Pana naszego Jezusa Chrystusa i Matki Jego Maryi Panny. Ale, czy to grzech zniknie kiedy z tego świata! a z przeproszeniem pańskiem, dopóki będzie na świecie grzech, dopóty będzie i bieda... Ot na ten przykład: mój nie statkuje, łajdaczy... żeby tam jemu największe bogactwo dać, nie ustatkuje się... taka jest natura jego...

— Natura ludzka, dobra kobiéto, zmieni się,—zagrzmiał Kępa, — ja wam mówię, że zmieni się... Człowiek nie do grzechu stworzony, ale do cnoty, nie do nienawiści, ale do miłości. Wiem to z doświadczenia własnego. Miłości pełen byłem, a nienawiści nie było we mnie, ani kropli. Dziś nienawidzę ludzi niektórych... dla czego? Bo jad ten grzechami swemi w serce moje wleli. Gdyby nie zło, od nich doświadczone, czysty byłbym jak kryształ, a niewinny jak tylko co urodzone dziecię. Widzisz więc, dobra kobiéto, że złego nie ma na świecie. Zło jest wytworem ludzkim, a co ludzie zrobili, to i odrobić mogą. Wszak zegarmistrz, który do zrobionego przez się zegara wstawił sprężynę złą, może wyjąć ją i zastąpić dobrą? prawda? Tak samo i człowiek. Włożył on w siebie grzech, może go z siebie wyjąć... nic nawet łatwiéjszego, trzeba tylko, żeby go kto nauczył, jak ma to uczynić...

W cieniu zaszemrało parę głębokich westchnień.

— Otóż to, — z wahaniem w głosie wymówił człowiek jakiś, którego młoda, lecz wyniszczona i na chudéj długiéj

szyi osadzona. twarz wysuwała się z ciemności, pod światło łojówki. — Otóż to... niby to prawda, co pan mówi. A jakże! kto zrobił, odrobić może... ale jakim sposobem to zrobić... ot?

— Sposób na to jest tylko jeden i bardzo łatwy, bracie mój,—nauczał Kępa;—trzeba, żeby wszyscy ludzie byli zadowolonymi. zadowolonymi doskonale we wszystkich potrzebach swych, żądaniach, skłonnościach i namiętnościach... Żądania, skłonności i namiętności ludzkie nie są nigdy złemi, bo tworzy je doskonała i nieomylna natura. Stają się one złemi wtedy tylko, gdy zadowolenia nie znajdują, czyli: gdy podlegają uciskowi i niesprawiedliwości. W czasach przyszłych, w czasach, które przybliżyć przez całe życie me usiłuję, człowiek każdy mieć będzie wszystko, co lubi, co mu się podoba, czego natura jego potrzebuje, używać mu będzie wolno, wedle własnego wyboru, uciech ciała czy ducha, serca czy wyobraźni... Stoły, obficie zastawione pokarmami i napojami, oczekiwać będą tych, którzy, grubsze posiadając organizmy, oddawać się zechcą uciechom jedzenia i picia. Wzniośli i poetyczni zaspokoją pragnienia swe płynącemi wszędy potokami muzyki i poezyi; czułych i pożądajacych rozkoszy miłosnych otoczą roje dziewic i niewiast cudnych, a swobodnych też jak motyle i żadną niewolą nieskrępowanych. I tak dalej, i tak następnie, i tak bez końca. A gdy wszyscy w ten sposób zadowolonymi się uczują, gdy skłonnościom ich, pożądaniom i namiętnościom, sztuczne ustawy i obrzydłe niesprawiedliwości, przeszkody stawić przestaną, zkądże wtedy powstanie grzech? Powiedzcież mi, bracia moi, kędy będzie mogło ukrywać się wtedy źródło grzechu? jakim sposobem. zkąd. dla czego miałby istnieć wtedy grzech?

Roztworzył ręce, jak człowiek ze zdumieniem najwyższém o coś zapytujący, i toczył dokoła wzrokiem, pełnym doskonałej, dziecięcéj, cieniem wątpliwości niemąconéj, wiary.

— Tak to tak; ślicznie pan mówi i przepowiada;—ozwał się znowu głos, od czasu do czasu ssaniem fajki przerywany;—ale na ten przykład: kobiéta moja ot! piękna jak lanszaft i, nie ma co powiedzieć, gospodyni dobra... tylko że strasznie lubi szczerzyć zęby do kawalerów i śmieszki różne a szeptania z nimi prowadzić... Tłukę téż za to i ją i kawalerów, co się zmieści... Jeżeli i w tym tam czasie, o którym pan mówisz, tak samo postępować sobie będzie, jak Boga kocham, tłuc będę... i ot będzie zgryzota i grzech... choć może i nie grzech, bom przecie żonkę dla siebie, nie dla kogo, brał... ale zgryzota pewnie...

— Albo mój! albo mój!—zakrzyczał, w kącie innym, piskliwy głos niewieści; — im więcéj jeszcze wódki staw, tém więcéj będzie jéj żłopał... i kiedy te tam stoły z jedzeniem i napojami staną już na tym świecie, tak mi Panie Boże dopomóż, że ani na minutę trzeźwym nie będzie...

Kępa spochmurniał i po chwili przemówił:

— Nie zrozumieliście myśli mojéj, w całéj rozciągłości jéj i głębokości. Mówiłem przecież, że natura ludzka zmieni się do dna, stanie się z nią, jako z szatą, którąby ktoś nosił podszewką na wierzch... W godzinie odrodzenia ludzkość ujrzy, że podszewka ta brudna i poplamiona, odrzuci więc ją ze wstrętem, a przyodzieje się w purpurę i złotogłowie. Bo i któż, drodzy moi! mogąc nosić purpurę i złotogłowie, zechce przyodziewać się brudnym i poplamionym łachmanem? prawda? A gdy odmieni się na téj ziemi wszystko a wszystko, i człowiek téż odmienić się musi? prawda? W tém rzecz, ażeby się wszystko odmieniło... o

naturę ludzką bądźmy spokojni; zmieni się ona w oka mgnieniu i na całéj kuli ziemskiej nie pozostanie, ani jedna niewiasta, skłonna do niewierności, i ani jedno oko, któreby na nią spoglądało pożądliwie, wtedy, gdy przez innego ukochaną już ona została; nie pozostanie też ani jeden duch tak nizki, aby oddawał się pijaństwu i tym podobnym zwierzęcym uciechom, i ani jeden umysł tak słaby i ciasny, aby nie zrozumiał dobroczynności cnoty i nie poprzestał na tych rozkoszach, które tryskają z prawdy, dobra i piękna...

Tym razem słuchacze jednogłośnie prawie westchnęli. O, jakże różnym troskom ich i dolegliwościom schlebiała nadzieja, że wkrótce nie będzie już na ziemi, ani żon niewiernych, ni mężów pijaków, ani grzechu żadnego, który zawsze jednak niepokoi nieco człowieka, i na tym świecie do turmy, a na tamtym do piekła zawieść go może! Ktoś przecież przedstawił mistrzowi jednę jeszcze wątpliwość:

— A jak wszystko odmieni się i wszyscy zrobią się bogaci, kto wtedy będzie pracował? Bogaty nie pójdzie ziemi orać, ani drzewa rąbać, ani butów szyć... za nic nie pójdzie! pocóżby jemu?

Kępa odpowiedział:

— Praca rąk zniknie z tego świata, jak wszystko co ciężkie, przykre i bolesne... Spełniać ją będą maszyny... Człowiek pracować będzie tylko myślą i sercem!

— Oj, oj, oj!—zawołała z kąta kobiéta, mężem pijakiem stroskana;—już niech co chce będzie, *taki* my nieszczęśliwe kobiéty dzieci hodować i z niemi srogą pracę a utrapienia mieć będziem...

Tu Kępowa, z nad barłogu wychylając głowę i trzęsącym się palcem na syna wskazując, krzyknęła:

— I takich durniów, jak ty, w srogich boleściach rodzić będziem...

Kępa pochylił nizko głowę i zamyślonym głosem mówić zaczął:

— Niemowlęta, których pielęgnowanie oblewa potem czoła matek i z oczu ich łzy wyciska, przyjmie na potężne ramiona swe społeczeństwo; zgrzybiałych starców, którzy obciążają kroki i trują dni dojrzałych mężów, szerokiém swém skrzydłem, okryje społeczeństwo. Z ramion i nóg człowieka spadną wszystkie ciężary i wszystkie więzy; ojcem i matką, bratem i siostrą, dziecięciem i przyjacielem, będzie mu ludzkość.

W ten sposób, z kartoflem upieczonym w jednéj ręce, ze szczyptą soli w drugiéj, nauczał i z wiernymi swymi rozprawiał Kępa. Wychudłą dłonią swą gładził on przytém, od chwili do chwili, rozrumienioną, pod ciepłem żaru a pożądliwie na kartofel patrzącą, twarz Antki, albo wkładał pożywienie w nadąsane i po ptaszęcemu otwierające się usta Misia.

Jeden z uczniów jego nie bywał przecież obecnym wieczornym tym scenom.

Maurycy Lirski, nie mogąc pogodzić się z towarzystwem, które wieczorem znalazł był raz w sklepionéj izdebce, odwiedzał nowo poznanego mistrza w południowych godzinach. Rozmawiali z sobą codzień prawie i długo, ale sam na sam.

VI.

Spokojna i łagodna Placyda Lirska nie mogła dosyć oddziwić się nowemu całkiem usposobieniu, które, od czasu pewnego, w synie swym spostrzegła. Nigdy dotąd nie wpadał on w tak długie zamyślenia i zarazem nie miał tak ożywionego, często nawet wzruszonego, wyrazu twarzy. Prawda, że nigdy téż, tak jak teraz, nie poniewierał matką, lecz cóż znaczyć dla niéj mogły osobiste przykrości lub upokorzenia, w obec zadowolenia i dobréj zabawy syna! Że w czasie nieobecności swych w domu, trwających, codziennie prawie i w południowéj porze, dwie lub trzy godziny, bawił się on wybornie, świadczyły o tém niezwykłe rumieńce i blask oczów, z jakiemi do domu powracał. Okazywał się téż teraz bardziéj obojętnym, niż dawniéj, na drobne wygódki i przyjemnostki codziennego życia, a nawet w obojętności téj dosięgał takiego stopnia wspaniałomyślności, iż zaniedbywał czynić matce wyrzuty za niedostateczną ilość przypraw w potrawach, brak starego wina przy stole lub niedość wytworne wyprasowanie bielizny i krawatów.

— Mniéjsza o to, — mówił z gestem, pobłażliwości pełnym, gdy matka przepraszała go za niemożność dogodzenia zwykłym jego gustom i wymaganiom;—mniéjsza o to! cierpiał człowiek już tyle, pocierpi jeszcze trochę! wkrótce będzie z nami inaczéj, zobaczy mama. W kącie siedząc i całe życie tylko o gospodarstwie myśląc, mama ani wyobraża sobie, co to się na szerokim świecie robi; no, nie robi się jeszcze, ale przygotowuje... ho, ho! ucho nie słyszało, oko nie widziało, co się to na świecie wkrótce dziać zacznie.

Zmiany, zmiany ogromne, kapitalne, żaden kamień leżeć nie będzie, tak jak leży teraz, żaden człowiek żyć tak nie będzie, jak żyje teraz. Świat zrobi się jak huśtawka; ci co teraz na dole, fiut! pójdą na górę, a ci co na górze...

— Jezus Marya! Morysiu, co ty wygadujesz. Cóż to się stanie takiego? Czy, broń Boże, uczeni trzęsienie ziemi albo przejście komety zapowiadają?

— O, będzie trzęsienie, — z uroczystą miną odpowiadał Moryś,—będzie im trzęsienie... zatrzęsą się! Mówię mamie, że wielkie rzeczy przygotowują się na świecie. ale jakie? tego powiedzieć nie mogę, za nic nie mogę!

Z ciekawością i niepokojem Lirska prosiła syna, aby jéj przerażające przepowiednie swe wytłumaczył. Moryś wstawał z krzesła. wznosił wysoko, pełne dumy, czoło i, z tajemniczą uroczystością, odpowiadał:

— Jest to tajemnica. Przysiągłem, że ją nie zdradzę, a miałbym jeszcze przed kim mówić! Przed mamą! żebyś mama zaraz z językiem poleciała do wujowstwa.

— Mój Morysiu, zlituj się, alboż ja gdzie kiedy z językiem latam...

— Kiedy powiedziałem, że nie powiem, to nie powiem, i proszę mnie darmo nie nudzić! To tylko wolno mi jest przed mamą wyjawić, że...

Tu schylał się nad matką i z cichym śmiechem kończył:

— Że wujaszeczek kochany wkrótce cienko zaśpiewa... oj, cienko!

— Jezus Marya!—wołała Lirska,—za cóż ma on cienko śpiewać, dobroczyńca ten nasz i taki zacny człowiek!

— Aha! wszyscy ci zacni i wielcy Krezusy cienko zaraz zaśpiewają. Dosyć nażyli się i naużywali, pora teraz i nam do uczty życia zasiąść i potrzebom, które wlała

w nas nieomylna natura, zadość uczynić. Ludzie są równi sobie i tylko niesprawiedliwość wielka sprowadzić mogła na tę ziemię wszystkie złe i przykre rzeczy. Kiedy wszystko na świecie przewróci się do góry nogami, wtedy dopiéro zapanuje prawdziwy raj...

Używał teraz w mowie swéj wyrażeń, których dawniéj, przed spotkaniem z Kępą, nie zrozumiałby nawet. Widocznem było, że powtarzał to, co mu kędyś przez kogoś powiedzianem zostało. Był jednakże silnie i szczerze przejętym, świeżo zdobytemi wiadomościami, a pełnym istotnego zapału dla nadziei, które w nim obudzono, i pomysłów, które przed nim odkryto. Wzrok jego, zatrzymujący się dotąd na najbliżéj umieszczonych i najściśléj związanych z nim samym drobnych przedmiotach, olśnionym został perspektywą, która nagle i po raz piérwszy w życiu jego roztworzyła przed nim, pełne obietnic, swe głębie. Do pustéj głowy téj, wiedziona tam nicią osobistych żądz i zażaleń, po raz piérwszy zawitała idea i upoiła ją, jak narkotyk, sprowadzający rozkoszne sny. W najmniéjszym stopniu nie zostawał on w możności dokonania krytycznéj analizy nad ideą tą i wszelkiemi składowemi jéj częściami; widział tylko przed sobą świat jakiś inny, nowy, raj, w którym drzewa rodziły pasztety i befsztyki, fontanny tryskały najwytworniéjszemi winami, stawy i jeziora, zamiast lodem, napełnione były srebrzystem punch-glacé; raj, w którym mnóstwo dziewic, jak krople wody podobnych do kuzynki Aurelii, wyciągały ku niemu miłosne ramiona; w którym skromne nazwisko jego wymawianem było przez ludzi z taką samą, uszanowania pełną, intonacyą głosu, jak dziś wymawianemi były nazwiska wuja jego i równych mu „wielkich tego świata.“ W snach i na jawie, nerwami i wyobraźnią,

uczuwał on przedsmaki wszystkich tych niewysłowionych rozkoszy zmysłów i próżności; i błogosławił dzień, w którym spotkał się z Kępą, a wiernym uczniem i gorliwym pomocnikiem nieocenionego męża tego być święcie i szczerze sobie przyrzekał.

Piérwszą przysługą, którą miał oddać mistrzowi swemu, było dostarczenie mu wiadomości o miejscu zamieszkania i nazwiskach pewnéj, znacznéj liczby rodzin możnych, bądź stale zamieszkujących miasto, bądź doń na zimę przybyłych. Kępa powtarzał mu po wiele razy, że ogłoszenie drukiem wielkiego dzieła jego przyśpieszyć może znakomicie odrodzenie się świata.

— Tak czy inaczéj, z tém czy bez tego, świat odrodzić się musi, mawiał; lecz, gdy tylko myśli moje żywym potokiem rozleją się śród ludzkości, a każdy, kto tylko zapragnie, będzie mógł się zeń napić, wnet prawda, jak słońce, stanie się jasna każdemu i wszystkim... Wielcy, kto wié, dobrowolnie może zmaleją, a maluczcy podniosą głowy i wyrosną!

Morysiowi tego tylko było potrzeba, aby wielcy zmaleli, a maluczcy wyrośli; jakkolwiek bowiem nie poczytywał siebie bynajmniéj za maluczkiego, to jednak nie mógł nie zeznawać przed sobą, że za sprawą niepojętego, a jak dziś wiedział już dokładnie, obrzydle niesprawiedliwego trafu, był on znacznie mniejszym od wielu innych na świecie tym ludzi, a pewnie już i srodze nawet cierpiącym. Wierzył Kępie bezwarunkowo. Ze czcią, podobną zapewnie téj, z jaką ludy piérwotne spoglądają na cudotwórcze fetysze, spoglądał na, okrywające skrzynię, arkusze rękopisu. Z udzielaniem jednak żądanych wiadomości zwlekał nieco. Znał on trochę ludzi tych, do których Kępa udawać się za-

mierzał, spotykał ich, od czasu do czasu, u wuja i gdzieindziéj i coś mu szeptało, że... nie tacy to oni, żeby tak zaraz zrozumieć mogli sprawiedliwość i dobrowolnie zmaleć! Pewnego wieczora jednak dążył ku staremu gmachowi szybkim bardzo krokiem i z niezwykle rozognioną twarzą. W dniu tym doświadczył ciężkiéj obrazy i zgryzoty. Tytus Tarżyc dawał proszony obiad, jego zaś nie zaprosił. Nie zmartwiłoby go to i nie obraziło jeszcze tak srodze, gdyby nie wiadomość, którą, kędyś w garderobie czy kredensie wujowstwa, wyszperał, że na obiedzie tym ma być pewien młody i bardzo przystojny Krezus, w kuzynce Aurelii zakochany i zamierzający podobno oświadczyć się o jéj rękę. Dreszcz trwogi i płomienie gniewu ogarniały Morysia, gdy myślał, że wprzód, zanim świat się odrodzi, kuzynka Aurelia poślubić może Krezusa i w skutek sztucznych ustaw, przez zepsutą naturę ludzką wytworzonych, czyli w skutek więzów małżeńskich, połączonych z przesądami o wierności i czystości niewieściéj, zostanie dla niego na wieki straconą. Postanowił tedy iść do Kępy i przynaglić go do szybkiego działania.

— Niech sobie, — myślał, — poprobuje szczęścia u tych objadaczy świata... Jeżeli trwać będą w pysze i samolubstwie swém, człowiek z taką nauką i wymową wynajdzie inny jaki sposób prędkiego sprowadzenia na świat sprawiedliwości... O! wynajdzie najpewniéj! Głowę ma nie dla proporcyi przecież, kiedy tyle arkuszy zabazgrać potrafił! Phi! żeby mi kto kazał tak dużo pisać, dalibóg, wyrzekłbym się nawet... lepszéj przyszłości świata.

Jakkolwiek nigdy inaczéj nie odwiedzał Kępy, jak o białym dniu, w godzinach, w których był pewnym, że koledzy jego, do téjże, co i on, szkoły uczęszczający, bywają

tam nieobecnymi, tym razem przecież tak mu było pilno zaczerpnąć w pierś nieco pociechy i nadziei, a Kępę do działania przynaglić, że, ku zrujnowanemu gmachowi, dążył dość późnym nawet wieczorem. Gdy wszedł w zaułek i zbliżył się do *handlu* Chaima, ogarniać go począł niepokój pewien. Skrzepiał się jednak na duchu tém, że noc była księżycowa, widna a pośród warstwy śniegu, spadłéj dnia tego, każdy najdrobniéjszy przedmiot zdala już wybornie dojrzeć i rozpoznać było można. Odważnie téż i krokiem pewnym zstąpił z kilku wschodków, do podziemia wiodących, i wszedł na wązki, krótki korytarzyk, w którego głębi znajdowały się niziutkie drzwiczki, do izdebki Kępy wiodące. Nagle przystanął. O ucho jego obiły się szmery jakieś, które dla tego może zwróciły jego uwagę, iż we wnętrzu swém uczuwał wciąż lekkie, lecz ostrożność budzące, drżenie trwogi. Po chwili jednak uspokoił się zupełnie. Wyraźnie rozeznał, iż szmery zasłyszane były niczém inném, tylko sapaniem i chrapaniem dwóch, trzech a może i większéj ilości uśpionych osób. W mgnieniu oka niepokój jego zastąpionym został przez ciekawość.

— Jak Boga kocham! — szepnął do siebie! — gdzieś tu, w téj ruderze, jest jakiś sypialny pokój... ciekawym bardzo: czyj!...

W korytarzyku, wieczora tego, ciemno nie było. Rozwidniała go struga księżycowego światła, spływająca z góry, przez długą ukośną szczelinę, pośród któréj rozeznać można było osrebrzone wschodki, na górne piętro rudery wiodące. Cicho, ostróżnie, na palcach nóg, Moryś począł na wschodki te wstępować. Im daléj szedł, tém wyraźniéj senne oddechy ludzkie świadczyły mu, że kędyś, na górze, znajdowało się kilka osób, w głębokim śnie pogrążonych. U szczytu

wschodków stanął jak wryty i ze zdziwienia roztworzył usta. Przed nim. przed otworem. w którym stanął, a który niegdyś był drzwiami, rozkładała się obszerna przestrzeń, napełniona księżycowém światłem, obficie płynącém przez kilka ogromnych szyb pozbawionych okien. Była to wielka sala. niegdyś może do tańca i wielkich przyjęć służąca, dziś pusta zupełnie, tu i ówdzie przegrodzona belkami i deskami, opadłemi z sufitu i tkwiącemi w wyżłobionych przez się dziurach podłogi. Tu i ówdzie, na ścianach wysokich i pajęczynami jak festonami pookrywanych, pod światłem księżyca, połyskiwały niestarte jeszcze złocenia i farby; z dziurawego miejscami, a miejscami wydymającego się w dół sufitu, zlatywać zdawały się Amorki i spadać różowe wieńce. W obszernéj i pełnéj światła, mięszających się z cieniami, pustce téj, ciekawe i zarazem lękliwe nieco ,spojrzenie Morysia rozeznało naprzód, wychylającą się z pod szmat sukiennych, a na garści słomy wspartą, głęboko uśpioną, siwobrodą głowę starca. U stóp ściany, po któréj spłowiałem sinem tle migotały tu i ówdzie złocone gzygzaki, głowa ta spoczywała na nędznem swém posłaniu, w pełnym majestacie starości, połączonéj z niezmąconą pogodą ducha. Łysa czaszka starca połyskiwała pod zdającą się ją głaskać smugą księżyca, na zoraném czole osiadła dumą niby długiego a nieskazitelnego żywota, zwiędłe wargi otwiérały się pełnym łagodnéj dobroduszności uśmiechem. a wypływały z nich przeciągłe chromatyczne gamy chrapania. Oprócz głowy téj, widać było jeszcze pomarszczoną rękę, wyciągniętą na słomie i, pomimo uśpienia, silnie trzymającą łyżkę drewnianą. nie zupełnie jeszcze oschłą z tłustéj strawy. W pobliżu szanownéj głowy téj, w półcieniu, niewielka jakaś postać ludzka, o niewyraźnych

zarysach. wystawiała na księżyc bose tylko stopy; dalej zaś nieco spały jeszcze istoty: dziewięcioletni Miś, którego cherubinowa twarz, zadąsana w śnie nawet, gniewać się zdawała na księżyc, czy na spuszczającego się z sufitu Amorka; Damek z długiemi uszami, ramieniem obejmujący szyję Antki, i Antka, która, wyciągając na podłodze długie swe nogi, głowę opierała na ramieniu chłopca, a gęstemi włosy swemi okrywała mu piersi. Starca i dzieci sen zaskoczyć tu musiał pośród uczty obfitej, w dziwnej spiżarni tej odbywanej, bo nietylko starzec w ręku swem trzymał wilgotną jeszcze łyżkę, ale, obok bosych stóp ukrytego w cieniu Tomka, stał garnek, w połowie jeszcze napełniony wybornym, lipcowym miodem; pyzate policzki i aż zmarszczone czoło Misia uczernione były powidłami, a ramiona jego silnie przyciskały do piersi słoik; z trochą jeszcze przysmaku tego na dnie; dokoła zaś Damka i Antki leżało mnóstwo nadgryzionych i niedbale, w przesycie jakby, rzuconych jabłek, okruchów bułek i serów, kawałków wędzonego mięsiwa. Majestatyczna starość i niewinne dzieciństwo, ze spokojem niepokalanym, z zadowoleniem naiwnem a głębokiem, usypiały tu pomiędzy szczątkami zdobytych przez się i zużytkowanych łupów.

Moryś uśmiechał się.

— Aha!—szepnął,—maluczcy i cierpiący... tęgo sobie dziś balowali... ale, zkąd oni mogą dostawać sobie to wszystko?

Tu spostrzegł przedmiot, którego dotąd nie zauważył jeszcze. Obok Damka leżało na ziemi coś, silnie błyszczącego pod światłem księżyca, coś, jakby pęk kluczy lub innego jakiegoś żelaztwa. Pewny, że nie obudzi nikogo z tych, którzy tak głęboko i rozgłośnie usypiali, Moryś cicho bardzo postąpił kroków parę, pochylił się i patrzał.

Nagle wyprostował się i prawie głośno zawołał:

— Wytrychy!

— A! — wyrzekł do siebie, — więc tu takie rzeczy się dzieją...

Wzrok jego z wytrychów przesunął się na twarz Antki.

— Ładna z niéj będzie dziewczyna!—szepnął.

Istotnie, twarz Antki przybrała we śnie całkiem inny charakter, niż ten. który ją w czasie czuwania odznaczał. Nie było to już zmyślne i małpiozmienne źwierzątko, z łakomstwem w oczach, a dzikim śmiechem na rozwartych ustach; było to ładne dziecię, z delikatnym, znędzniałym nieco profilem i drobnemi usty, zamkniętemi pełnym ciszy i niewinności uśmiechem.

Z jednaką zawsze ostróżnością zstąpił ze wschodów, a w korytarzyku zatrzymał się znowu, z palcem, w głębokim namyśle, do ust przyłożonym.

— Więc tu takie rzeczy robią się i dzieją... — Powtórzył i dodał:—ciekawym—czy i *on* także do tego należy!... Och! gdybym mógł go złapać...

On znaczyło: Sylwek katarynkarz, który sprawił mu kiedyś wielką *nieprzyjemność*. Spotkał go on u Kępy, rozmawiał z nim nawet niekiedy, ale nie cierpiał go zawsze i coraz może więcéj. W ulicznym chłopcu tym było coś, co imponowało wypieszczonemu synowi Placydy Lirskiéj. Nie śmiał mówić mu *ty*, albo nie odkłonić się, gdy, przy spotkaniu na mieście, katarynkarz uchylał przed nim brzeg tyrolskiego kapelusza swego. Lękał się go trochę, a bardziéj i częściéj myślał, że gdyby miał takie oczy, jak ten przebrzydły cygan, możeby i bez odrodzenia się świata rozkochał w sobie Aurelkę tak, że... wujaszek musiałby wydać ją za niego!

— Och! gdybym mógł go złapać!

Z wewnętrznym tym namiętnym wykrzykiem otworzył drzwi izdebki Kępy. W oprawie nizkich a szerokich drzwiczek, na tle malowanych ścian i żółtego światła łojówki, ukazał się Kępa, siedzący przed skrzynią i ze zgarbionemi plecami, z profilem, skurczonym od wielkiego natężenia myśli, z okiem, pod czerwoną powieką rozgorzałem, piszący, piszący, piszący z zaciekłością gwałtownego i wahań się żadnych, ani namysłów nie znającego, natchnienia. Nazajutrz Kępa wychodził na miasto w długim swym i starym, lecz bardzo starannie oczyszczonym, surducie i z czerwonawą chustką w inny nieco niż dotąd sposób zawiązaną. Pozbyć się jéj całkiem nie mógł, gdyż w więzieniu przemroził sobie był uszy tak bardzo, że lękały się one strasznie każdego zetknięcia się z powietrzem, lecz zawiązał ją z większém uwzględnieniem estetyki, czyli, że końce jéj nie pod brodą, jak wprzódy, ale nad głową mu sterczały. Na głowie, zresztą, miał kapelusz stary bardzo i odmiennéj mody, ale formę cylindra posiadający, a na rękach czarne, ogromne, połową niezapełnionych palców zwisające, rękawiczki. Uczynił wszystko co mógł, aby powierzchownem wyglądaniem swém nie zrazić i nie zniechęcić ludzi, do których się udawał. Teraz już miał głębokie przeświadczenie, że ubiór jego był doskonale prawidłowym, blizkim nawet wykwintu, a zniżenie się to do wymagań światowych uważał sobie za ważne uczynione ustępstwa i ciężką ofiarę dla idei poniesioną.

Niezmiernie starą a papierami wypchaną tekę pod ramieniem niosąc, kroczył on ulicami miasta i wchodził w bramy pięknych domów i kamienic, z kapłańską powagą i uroczystym wyrazem twarzy. Pomimo powagi przecież i uro-

czystości, znać po nim było, że uczuwał niepokoj, dosięgający niekiedy stopnia trwogi. Cel, dla którego pielgrzymkę swą przedsięwziął, był mu nad wszelki wyraz drogim; jeżeli go nie dosięgnie, najpiękniéjsze nadzieje jego usuną się znowu w dal niedoścignioną, najważniéjsza część życiowéj pracy jego, przez czas nieokreślony jeszcze, na wieki może, a ku śmiertelnéj szkodzie ludzkości, pozostanie w ukryciu...

Od dnia owego, pośród wyższych warstw towarzyskich, znajdujących się w mieście, toczyć się zaczęły długie i wesołym śmiechem przeplatane rozmowy o zabawném indywiduum jakiémś, chodzącém od domu do domu i każdemu, ktokolwiek go do obecności swéj przypuścił, wpychającém w ręce szpargały jakieś i wypowiadającem, w długich tyradach, niesłychane niedorzeczności. Zgadzano się powszechnie, że był to waryat; zdania dzieliły się tylko co do niewinności lub szkodliwości jego szaleństwa. Ludzie dobrego humoru i skłonni do lekkiego sądzenia napotykanych zjawisk, utrzymywali, że był to człowiek niezmiernie śmieszny i, co najwyżéj, obudzać mogący litość taką, jaką obudzają zwykle ludzie, dotknięci najstraszniéjszém z kalectw. Inni jednak, którzy baczniéj wsłuchiwali się w jego mowę i uważne spojrzenie rzucali na parę kart rękopismu, który on, z natarczywością niesłychaną, z błagalnym lub na przemian groźnym wyrazem twarzy, przed nimi rozkładał, wyrażali mniemanie, iż waryaci podobni niebezpiecznymi być mogą dla publicznego spokoju i porządku. Najogólniéj jednak zapatrywano się nań pobłażliwie i wydawano rozkazy służbie, aby, gdy się ukaże, wprowadzała go do jadalni lub bocznych pokojów mieszkań. Litościwe panie domów, patrząc na twarz jego, zdrobniałą i skurczoną od nędzy i trudów,

uprzejmie prosiły, aby jak najczęściej przychodził do nich, dla zjedzenia obiadu lub wypicia herbaty, które w przedpokoju lub garderobie podanemi mu będą. Zdziwienie było wielkie i powszechne, gdy. na zaprosiny te, włóczęga ten, czy ten szaleniec, prostował się, dumnie podnosił głowę i odpowiadał:

— Nigdy nie byłem żądnym nasyceń i uciech cielesnych; nie zjadałem okruch, spadających z czyichkolwiek rąk lub stołów!

Panowie znowu, odsuwając od siebie rękopism, którego sama już olbrzymiość obudzała w nich powątpiewanie i przestrach, wydobywali z kieszeni portmonetki i probowali zakończyć sprawę ofiarowaniem szczególnemu gościowi swemu banknota, większéj lub mniéjszéj wartości. Gość przecież, ze stanowczością, oporu nie cierpiącą, odmawiał przyjmowania darów wszelkich.

— Żebrakiem nie jestem,—mawiał;—owszem, posiadam skarb, o jakim wy, wielcy i możni tego świata, wyobrażenia nie macie. Skarb ten potrzebuje tylko ręki, którąby go, za pośrednictwem nędznego kruszcu, z ukrycia wydobyła i pokazała światu. Marny grosz, który mi dajecie, na nic mi się nie przyda, nie opłaci mi życia całego, spędzonego w niesłychanych trudach i bólach, nie zastąpi rozkoszy, których używają wszyscy na świecie ludzie, a których ja dobrowolnie wyrzekłem się dla idei... zlitujcie się nie nademną, lecz raczéj nad ludzkością, którą zdrój myśli moich, w dziele têm zawartych, zbawić ma, odrodzić, oczyścić i uszczęśliwić... Lecz nie, zlitujcie się i nademną także! wszak tu zawarte są wszystkie ambicye i nadzieje moje, cała ogromna praca stéranego życia mego.

Gdy z głębokim smutkiem na znędzniałéj swéj twarzy, z dziecięcą szczerotą w łzami zaszłych oczach, głosem bła-

galnym i niemal pokornym przemawiał on w ten sposób, stawał się istotnie i dla najweselszego nawet wzroku wzruszającym. Zdarzało się też, że, dla przyniesienia mu ulgi przez chwilowe obudzenie nadziei i okazanie mu szacunku niejakiego, kryjąc uśmiech, proszono go o pozostawienie rękopismu na dni kilka, dla przeczytania... przejrzenia... Lecz Kępa, na rozstanie się ze skarbem swoim, za nic zgodzić się nie chciał.

— Któż mi zaręczy,—wołał,—że nie zdradzicie mię, że nie zniszczycie kart tych, krwią i łzami memi zapisanych, skoro przekonacie się, że nie zawierają one żadnych dla was pochlebstw i obietnic, lecz, przeciwnie, pełne są srogich nauk i gróźb...

Tu wybuchały już dokoła niego, niepodobne do powstrzymania, śmiechy; niektórzy, obraźliwsi lub ostrożniejsi, a coś niedobrego w wyrazie twarzy jego dostrzegający, rozkazywali mu bez ceremonii, aby szedł za drzwi. Kobiety jednak i dzieci stale i gorąco ujmowały się za nim. Te ostatnie przynosiły mu czasem cukierki, owoce lub inne przysmaki i, wdzięczne za zabawę, którą im sprawiał, pieszczotliwie dotykały rąk jego, odzieży i lnianych, miękkich, siwiejących włosów. Wtedy po twarzy Kępy rozlewała się nieopisana rzewność i czułość, przyjmował ofiarowywane mu dary, a małych ofiarodawców brał w objęcia, ze zmieszaniem tkliwości i namaszczenia całował białe ich czoła, mówiąc przytem:

— Biedne, biedne małe istoty! wyście niewinne jeszcze, nieskalane łzami i potem waszych bliźnich, wasze ofiary i pieszczoty przyjąć mi wolno... lecz, o! cóż się stanie z wami, gdy wybije godzina sprawiedliwości i wielkich katastrof... biedne ofiary losu, który rozkazał wam urodzić się na łonie zbytku, pychy i samolubstwa:

Ofiary nie zdawały się być wcale zasmuconemi, brzmiącą nad ich głowami, groźną przepowiednią; lecz, obecni scenom tym. starsi członkowie rodzin wszelkimi sposoby starali się skrócić szczególną wizytę i jak najmniéj zachęcić odwiedzającego do jéj powtórzenia.

Niezachęcany wracał przecież, błagał znowu, przedstawiał, groził, monologował o równości ludzkiéj, o maluczkich i cierpiących, o potrzebie sprawiedliwości, o przyszłym niezawodnym raju ziemskim, o konieczności rdzennego i jak najrychlejszego odmienienia natury ludzkiej i wszystkiego w ogóle, co ludzkiém dotąd było; monologował o tém wszystkiém tak długo, że jedni uczuwali się znudzonymi, inni na prawdę przelęknionymi, a wszyscy, z mniéjszą lub większą niecierpliwością, powtarzali mu stanowczo, że dzieła jego wydawać nie myślą i że jeżeli życzy sobie przychodzić do ich domów od czasu do czasu dla otrzymania pożywienia lub wsparcia, to dobrze, a jeśli nie, to każą lokajom drzwi przed nim zamykać, lub nawet w potrzebie ze wschodów go strącać. Gdy odszedł nakoniec, długo jeszcze domowi pomiędzy sobą i z gośćmi toczyli rozmowy, przeplatane śmiechem, których on był przedmiotem.

Nie wesoło jednak, nie wesoło i wcale nie śmiesznie wyglądał Kępa, gdy z wypraw tych, cieniem pomyślności nieuwieńczonych, wracał do swéj sklepionéj, z okratowaném okienkiem, izdebki. Niekiedy drżał cały jak w febrze, trzęsącemi się rękami zdejmował potwornie długie rękawiczki i odwieczny cylinder, drogocenny nawet rękopism swój bez najmniejszego uszanowania ciskał na skrzynię i, usiadłszy na pieńku lub ziemi, długie godziny przesiadywał nieruchomy, z twarzą w dłoniach, pogrążony w ponuréj i milczącéj jak grób zadumie. Z pod ściany, Sylwek, próż-

niaczo rozciągnięty na ziemi. rzucał mu czasem krótkie pytania:

— A co? będzie co z tego, czy nie?

Kępa odsłaniał twarz. i osłupiałym wzrokiem patrząc na towarzysza, odpowiadał:

— Nic nie będzie.

Czasem rozmowa dwóch tych ludzi ograniczała się na takich lakonicznych zapytaniach i odpowiedziach. Z natury przecież jeden z nich był gadatliwym i rozjątrzonym, drugi namiętnym i niepowściągliwym; wybuchali więc najczęściéj długiemi żalów swych i gniewów opowiadaniami. Kępa wyrzekał, jak zwykle, na nieugiętą pychę i niezłomne samolubstwo wielkich tego świata; lecz, co było w nim nowém zupełnie, to żal, budzący się za wszystkiemi straconemi dla idei uciechami i dogodnościami życia i głuche, przezwyciężane ze wszystkich sił, lecz coraz mocniéj ogarniające go, zwątpienie; ażali życie to daremnie zmarnowaném nie zostało. Było to może bardzo proste następstwo fizycznego wycieńczenia, połączonego ze straszną boleścią. jaką sprawiał mu widok szpargałów, rozrzuconych na skrzyni, a które chyba... pewnie nawet... w skutek ubóstwa jego a zatwardziałości możnych, dziennego światła ujrzeć nigdy nie miały. Jakkolwiek bądź, zwątpienie to, doświadczone po raz pierwszy w życiu, wprawiało Kępę w stan egzasperacyi, śród którego istotnie wyraz obłąkania zjawiał się mu na twarzy i w bardziej niż kiedy obrzękłych zaczerwienionych oczach.

— Zdaje mi się, — mówił do Sylwka głosem słabym i skarżącym się, — zdaje mi się, jakbym umiérał... jakoby dusza moja konała we mnie. Czyżbym miał omylić się, własne siły przecenić, marnie przepaść...

Niekiedy monotonnym, sennym głosem snuł żale swe i marzenia.

— Szczęśliwi ci, których wzrok nie ścigał nigdy słońc, zawieszonych wysoko, i których myśl nie kąpała się nigdy w płomieniach wielkich miłości! Szczęśliwi ci, którzy urzeczywistnić mogli sielankę młodych lat swoich, a o zachodzie życia, jako pogodne wieczory, znikają zwolna, przy blasku swoich gwiazd! Szczęśliwi ci, których myśli i żądze, drzémiącą strugą, po gładkich płyną równinach i którzy serc swych nie wydzierają z piersi, aby je rzucać w ofiarne płomię ołtarzy!... Szczęśliwi...

W sposób ten marzyłby i żalił się długo jeszcze, lecz przed nim podnosiła się wysmukła postać młodzieńcza, a rozognione czarne oczy, wpijając się w twarz jego, mowę mu tamowały. Sylwek podnosił się, prostował i może, przez senny głos ten, wypowiadający skargi swe i tęsknoty, natchniony, wołał:

— Nie, nie! nieprawdę mówicie! Ja nie tak myślę! ja nie tego żądam! powiem wam, kto szczęśliwy!...

I zarzucając na głowę oba swe gibkie ramiona, z drgającą twarzą, wzniesioną w górę, mówić zaczynał:

— Szczęśliwy byłby ten, ktoby miał takie szerokie i mocne skrzydła, ażeby na nich do wysokiego słońca zalecieć, w złotą twarz jego spojrzéć i napić się jego promieni! Szczęśliwy byłby ten, ktoby zamienił się w drzewo, na pustém polu stojące, i niczego nie chciał i żadnych żalów nie miał, a tylko słuchał, jak ptaki śpiewają w gałęziach, a wiatry niebieskie szumią i grają w powietrzu! Szczęśliwy byłby ten, ktoby zamienił się w śpiewanie, w muzykę i leciał nad światem, na wietrze, na chmurze, na szerokie pole, pieśni jak paciorki sypał, na wysokich wieżach sia-

dał i tak grał, ażeby ludzie, jak kiedy dzwony kościelne huczą, klękali i modlili się... do niego!... Szczęśliwy byłby ten, ktoby po ogromnem morzu płynął, we dnie patrzał w chmury, co na niebie stoją jak malowanie dziwne, a w ciemne noce, z samego dna wody, wołał do siebie te cudne dziewczyny, co tam, białe jak perły, z włosami jak księżyc, z morskiego ziela wianki sobie plotą i słuchają tylko, słuchają: czy ich kto do kochania nie woła!... Szczęśliwy byłby ten, ktoby kochankę sobie z dna morza wywołał i pogrążył się z nią w takiéj puszczy bezludnéj, ażeby nikt, nikt mu nie przeszkadzał kochać ją i całować i śpiewać jéj do snu wszystkie pieśni, które mu drzewa, na złotych strunach słonecznych, wygrają...

Mówił to wszystko coraz śpieszniéj, coraz ogniściéj, a głos jego nabierał coraz bardziéj śpiewanych, rytmicznie kołyszących się, tonów. Było to śpiewanie raczéj, niż mówienie; była to dzika improwizacya, lejąca się z ust jego lawą słów, a z oczu snopami błyskawic.

Milkł potém i, wspierając twarz na dłoni, a zwolna, rytmicznie kołysząc się w strony obie, zapytywał z cicha:

— Czyście słyszeli kiedy, jak kobiéty różne śpiewają do snu dzieciom?

Nie czekając odpowiedzi, mówił daléj:

— Kiedym był mały... tam, niedaleko cmentarza, mieszkała w chacie kowala dziewczyna, z oczami takiemi jak niebo. Lubiła ona bardzo swoich małych braci, a najmniéjszego kołysała każdego wieczora i tak śpiewała, jak dzwonek dzwoni... Tam... w szynku, słyszę zawsze, jak żydowica kołysze dzieciaka i do snu mu śpiewa, a mnie się zdaje, że to złota mucha w brudnéj pajęczynie brzęczy...

Dla czego nikt nie kołysał mię nigdy i nigdy mi do spania nie śpiewał?

Mówił teraz znacznie ciszéj jak wprzódy i z nawpół przymkniętą powieką. Pytanie. którém, niby powtarzającą się wciąż zwrotką, kończył każdy z wypowiadanych okresów. wymawiał tonem głębokiego zdziwienia.

Kiedym z Łukaszem po mieście chodził i około kataryki skakał a śpiewał. widziałem, jak chłopcy różne i dziewczynki biegły przez ulice do szkoły, w któréj uczyły się świat ten poznawać i po nim prosto, łatwo sobie chodzić... Dla czego nigdy nikt nie zadbał o to, abym ja świat ten znał i łatwo po nim chodził?

Milczał chwilę, potém znowu:

— Ten ma matkę. a ten ojca. ten ma siostrę, a ten kochankę... Przed tym ot leży rodzicielskie pole, przed tamtym drzwi własnego domu otwarte stoją, a tamten zdaleka choć widzi dorobki i pociechy różne... Dla czego u mnie niéma nikogo? Czemu przedemną niema nic?

Kępa śmiał się cichym, zdławionym chichotem i w rozmarzonego chłopca wlepiając przeszywający wzrok, zapytał:

— Nie wiesz: dla czego? Jeszcze nie wiesz: dla czego?

Sylwek zwracał ku niemu twarz i, ze snu jakby obudzony, odpowiadał:

— Wiem. Wyście mi to powiedzieli tam... kiedy jeszcze mały byłem. Zapamiętałem! o, zapamiętałem! Ale teraz wiem lepiéj jeszcze, bo codzień mowy waszéj słucham... pytam czasem, tak sobie, z żalu! ale... wiem!

Mimowoli jakby, pięści jego ściskały się.

— Słuchajcie, dziadźku,—wołał, — dopóki was tu nie było, smutek i złość zjadały mi często serce, ale... mogłem

żyć. Teraz, kiedyście mi oczy na wszystko otworzyli, kiedym zrobił się przy was uczeńszy i rozumniejszy... już nie mogę! Już mi ulica nie towarzyszka, już mi szynk nie wesołość, już mi katarynka moja nie muzyka! Błota mam po uszy, a wieprzem być nie mnie! Nie chcę jedzenia, nie chcę picia, nie chcę tych świń i wilczyc, co niby kobietami są! Chcę mieć takie buty, o jakich rozpowiada bajka, żeby w nich pół świata przeskoczyć od razu, chcę wykąpać się w takich wodach, co człowiekowi odbierają pamiętanie o wszystkiém, co było! Dajcie wy mi buty takie! Zaprowadźcie mię do takiéj wody!

Kępa wstrząsał głową.

— Uspokoj się,—mówił,—cierp, czekaj! Przyjdzie czas...

Sylwek przerywał mu przykrym, urągliwym śmiechem.

— Przyjdzie!—powtarzał;—a kiedyż on przyjdzie? czy wtedy, gdy tym, co cierpią, rosa oczy wyje? czy wtedy, kiedy kości moje spruchnieją w zimnéj mogile? Mówiliście, że czas ten przyjdzie, kiedy te wasze pisanie, możny pan jaki, przed światem ogłosi. Ot nikt nie ogłosi... Drwią sobie z was, te... pijawki, na obiady swoje was zapraszają, a upamiętać się i sprawiedliwość zrobić ani myślą... Kiedyż tedy ten wasz czas przyjdzie? czy to nie macie już żadnych sposobów innych? Kiedy tak, to puśćcie mię od siebie, pójdę w głębokie lasy i powieszę się na suchéj gałęzi, a wtedy to już pewnie kruki czarne i drzewa skrzypiące do snu mi zaśpiewają!

Niekiedy Kępa zbliżał się do towarzysza swego, siadał na ziemi, tu przy nim, i namiętne uniesienia jego uspokajał długiém, cichém szeptaniem. Od czasu do czasu Sylwek odpowiadał mu równie cicho i długo, a dwa te głosy, szemrzące w grubych ciemnościach, które, po zagaśnięciu

łojówki, napełniały izdebkę. wydawały się duetem dwu zbuntowanych i tajemniczo spiskujących duchów. Czasem jednak, znękany sam i z rozpaczą czujący, że, na niezłomnéj dotąd wierze swéj i nadziei, upadać zaczyna, Kępa chwytał skrzypce swe i grał. Wybornie i na oślep znał struny te, w które, przez życie całe, zaklinał wszystkie ognie swéj rozszalałéj fantazyi. W grubych ciemnościach wzdychał, śmiał się i szlochał na strunach i wszystkie zwątpienia swe i upokorzenia i resztę, pozostałych w nim jeszcze, nadziei i chwalby dźwiękami ich opowiadał. Kiedy przez okratowane, dwoma szybami z pod ziemi wydobywające się, okienko siny świt zaglądał do izdebki, muzyk leżał u stóp żółtego pieca z rozwartą u piersi odzieżą, z twarzą spłakaną i miotał się w śnie, a tuż przy boku jego, na brudnéj glinianéj podłodze, skrzypce zdawały się jeszcze drgać żółtemi strunami. W kącie zaś izby, pod ścianą szarzejącą trupiemi wizerunkami drzew, świeciły czarne bezsenne oczy, sinemu świtowi zdające się rzucać pytania czy prożby.

Po jednéj z burzliwych i w gorączce spędzanych nocy takich, Sylwek, o zapadającym zmroku, wchodził na obszerny i ozdobny dziedziniec, położony przy szerokiej, ale z rzadka zabudowanéj, wpółwiejskiéj ulicy. W głębi dziedzińca stał dom jednopiętrowy, lecz któremu wielkie zwierciadlane okna i balkon, na wdzięcznych kolumnach wsparty, nadawały pozór wytworności. Dom ten posiadał w dole sutereny, był jednak dość nizkim, aby przez okna jego, przy sztucznem szczególniéj oświetleniu, można było z zewnątrz dokładnie widzieć jego wnętrze. Sylwek zbliżył się do jednego z okien, na dużym kamieniu, w kształcie niziuchnéj ławki, wyrzeźbionym, postawił swoje katarynkę i

zwolna okręcać zaczął korbę. Okręcał korbę tak powoli, że z pozytywki wydobywały się często skrzypiące i zgrzytliwe tony, dla tego, że spojrzenie jego, ze skupioną i chciwą uwagą, zatapiało się w szybę okna i w przedstawiający się za nią obraz. Za oknem była piękna sala jadalna, pośrodku któréj stał okrągły stół, błyszczący od szkieł i srebra, a nad którym zwisała od sufitu na bronzowych łańcuchach wielka, rzęsiste światło rzucająca, lampa. Przy stole siedziało cztery osoby: wysoki, siwiejący mężczyzna, nie pierwszéj młodości, lecz piękna jeszcze, kóbiéta; młoda dziewczyna, świeża jak wiosna, i młody człowiek, w którym Sylwek, od pierwszego spojrzenia, poznał Morysia. W jadalni téj, któréj wysokie gzémsy obiegał szlak złoty, a któréj kąt okna przeciwległy błyszczał srebrném naczyniem, rozstawionem na kunsztownie rzeźbionym bufecie, odbywała się wielce prosta i spokojna scena rodzinnego życia. Siedzące przy stole osoby jadły obiad, lecz były tak ożywione i wesołe, że daleko więcéj mówiły i śmiały się, niż jadły. Niemłody mężczyzna szczególniéj uśmiechał się często do pięknéj dziewczyny, ojcowsko głaskał ją po płowych włosach i z uprzedzającym pośpiechem podawał jéj różne, znajdujące się na stole, przedmioty, pragnąc snać spełniać jéj wolę wprzód, nim słowami wyrazić ją mogła. Ona szczebiotała i śmiała się, coś wesołego widocznie opowiadając, a nieco zalotnie zwracając się ku Morysiowi, który wpatrywał się w nią z rozczuleniem, nadającém twarzy jego bardziéj komiczny, niż wzruszający, wyraz. Dokoła stołu czarno ubrani słudzy przesuwali się cicho jak cienie. Nic, żaden powiew mroźnego na dworze wiatru, żaden głos natrętny i obcy, żaden cień, któryby w rzęsistą światłość tę wmięszał się dalekiem choćby przypomnieniem smutku, czy

niepokoju, nie mąciły tu ciepła, ciszy i pogody, rozlanych pośród ścian tych i na tych twarzach.

Zmąciły je, rozlegające się tuż za oknem, przez katarynkę wygrywane, trele i zawodzenia uwięzionego trubadura. Obejrzała się na okna piękna panna, spojrzał też na nie pan domu i rzucił w stronę służby gest taki, jak gdyby odpędzić chciał od siebie i swoich natrętny owad. który nagle nad uchem jego zabrzęczał. Lecz, w téjże chwili, katarynka skrzypieć i zgrzytać przestała, korba jéj, poruszana z szalonym pośpiechem, rzuciła w okno rój zawrotnych, chaotycznych, rozpaczliwych tonów. Sylwek, szeroko rozwartemi oczami wpatrzony wciąż w okno, grał zapamiętale, szalenie, a dwie łzy ciężkie zwolna płynęły mu po ciemnych policzkach. W tém uczuł silne uderzenie w ramię. Przed nim stał człowiek, od stóp do głowy czarno ubrany, z długą brodą i białą serwetą w ręku, a nastrajając, pełną powagi, fizyonomiję swą do wyniosłości i gniewu, rozkazywał mu, aby szedł precz, bo państwo jedzą obiad i skrzypienie jego rozmawiać im przeszkadza. Z oczu katarynkarza posypały się zrazu iskry, a łzy jego oschły od płomienia, którém mu twarz zagorzała. Zdawało się, że chciał stawić opór, że na ustach drgała mu zuchwała odpowiedź, lecz po chwili, krótkiéj jak oka mgnienie, spuścił głowę, ochłódł i przez zaciśnięte zęby odpowiedział:

— Pójdę, pójdę.

Wspaniały sługa odszedł, ale on pozostał, tylko nie grał już, a spojrzenie przesuwał po twarzach osób, przy stole siedzących. po ścianach rzęsiście oświetlonych, po pięknych roślinach, u jednéj ze ścian w gęsty kłąb ustawionych. Najdłużéj jednak patrzał na wyniosłą, choć łagodną, twarz pana domu. Wziął nakoniec na plecy ciężar swój, z trudno-

ścią widoczną odwrócił się od obrazu, posiadającego znać dlań czar niewysłowiony.

Wieczoru tego, wszedłszy do izdebki Kępy, ze spuszczonemi oczami i stłumionym głosem, rzekł:

— Cicho, pięknie, jasno... jakby nie na tym świecie!

— Gdzie?—zapytał Kępa.

Sylwek rzucił ręką w stronę zaułka i, ze spuszczonym wciąż wzrokiem, monotonnie odpowiedział:

— Tam... za tym pustym ogrodem i tą gromadą drzew... na wiejskiéj ulicy, w białym domu...

— A któż tam mieszka?

— Ten... co mi kiedyś, gdym skoczkiem ulicznym był, pięć rubli dał... a kiedym z maskaradą po mieście chodził, powozem jechał i garść dziesiątek rzucił... dobrodziéj! żeby go ziemia pochłonęła!

— A! ten... — przeciągle wymówił Kępa i usta jego skrzywiły się tajemniczym uśmiechem.—Spotykacie się, jak widzę, często, w téj ziemskiéj wędrówce waszéj. Cóż? dał ci co dzisiaj?

— Wysłał lokaja, ażeby mię od okna odpędził.

— Dobrze! wybornie! bravissimo!—zawołał Kępa, i śmiać się zaczął, tak jak nie śmiał się nigdy, zanosił się i kurczył niemal cały ze śmiechu, przerywając go wciąż wykrzykami:

— Wybornie! nie może być lepiéj! Chciałbym, żeby świat na to patrzył, żeby się gwiazdy boże razem zemną śmiały!

Sylwek nie wiele zważał na szczególne miotanie się to i wykrzykiwanie Kępy. Zajęty był cały myślami własnemi. Gdy obaj do snu już się położyli, a Kępa, ustawicznie dręczony bezsennością, przewracał się i stękał na posłaniu swém, z garści słomy złożoném, Sylwek w grubych ciemnościach przemówił:

— A był tam także i ten wasz fircyk, co to go uczniem swoim nazywacie... Siedział przy stole i do pięknéj panny umizgał się...

— Córka jego... piękna?—zapytał w ciemności głos drugi.

— A śliczna... taka pewnie, jak te dziewczyny z morskiego dna! Niech ją... ognisty piorun pocałuje!

— Czy uważałeś... kocha on ją... bardzo?

— Głaszcze ją wciąż po włosach... takich jak księżyc...

— A żona jego? — zapytywał daléj, lecz coraz ciszéj, głos w ciemnościach.

— Gdyby królowa siedzi naprzeciw niego, a patrzy mu w twarz... gdyby w słońce!...

Po chwili milczenia Kępa zaszemrał:

— Szczęśliwi ci, którzy, jako wieczór pogodny, zachodzą zwolna przy blasku swoich gwiazd...

Upłynęła godzina. Nie spali znać obaj, bo Sylwek odezwał się znowu:

— Srebra tam tyle, że wystarczyłoby go na ogłoszenie przed światem dziesięciu pisań takich. jak wasze...

A po chwili znowu:

— Choć śnieg na dworze leży... w nich zielony gaj rośnie, a w gaju stoi kamienna kobiéta... cudna...

Kępa zaszemrał.

— Patrzcie! patrzcie! co z nim, a co... zemną!

Nazajutrz, o zwykłéj porze swéj, Moryś Lirski przyszedł do Kępy i znalazł go stojącego na środku izdebki, w długim, zapiętym po brodę, surducie, z osobliwym cylindrem na głowie i wypchaną teką pod ramieniem. Niezrażony spotykanemi niepowodzeniami, z uporem rozpaczy i pychą człowieka, który nad wszelkie upokorzenia wyższym się czuje i dla tego stawi im żelazne czoło, Kępa odbywał

wciąż wędrówki swe po zamożnych domach miasta, i teraz właśnie na jednę z nich się wybierał. Sylwek znajdował się téż w izdebce. Siedział na katarynce swéj i jadł chleb, którego czarne i twarde kęsy kroił sporym składanym nożem. Ujrzawszy go, Moryś nie doświadczył snać żadnéj trwogi, ni przykrości, bo powitał go uprzejmém i wesołém skinieniem głowy. Dzień był biały i, zresztą, rad był może zblizka i długo popatrzeć na młodego katarynkarza, bo od razu zatopił w nim ciekawe i badawcze spojrzenie. Szybko potém i chciwie niemal rozejrzał się dokoła, tak jakby czegoś, lub śladów czegoś po izdebce szukał. Pusto tu było przecież i nago. U stóp piecyka, gliniana podłoga zasłaną była łupinami od kartofli, pośród których stał garnek, z resztą zastygłéj, mętnéj jakiéjś strawy.

Kępa ujrzawszy wchodzącego, zdjął kapelusz, położył tekę na skrzyni i ze szczerą serdecznością wyciągnął ku gościowi obie ręce.

— Gdzie się to pan wybierałeś?—zaczął Moryś.—Przepraszam... nie przeszkadzam... wpadłem na chwilę tylko, ażeby panu dać dowód, jak bardzo pamiętam o panu i jak mi sprawa nasza na sercu leży... Wczoraj mówiłem o pańskiem dziele z wujaszkiem...

Kępa drgnął. Sylwek przestał jeść i rękę, trzymającą nóż, w powietrzu zawiesił.

— Mówiłem o panu i o dziele pańskiem z wujaszkiem. Powiedziałem mu, jak się pan nazywasz i żeście się kiedyś dobrze znali. Przypominał sobie długo, a potém przypomniał i powiedział: „Prawda! prawda! znałem kiedyś jakiegoś Kępę, i zdaje mi się, że był to jeden z tych głupców, którym się zdaje, że świat na to zrobionym został, aby go oni przerabiać mogli...“

Kępa roztworzył szeroko usta, Moryś mówił daléj:

— Chociaż mi bardzo idzie o to, aby wujaszek był łaskaw na mnie, nie mogłem jednak wytrzymać i zrobiłem uwagę, że jednakowoż... istotnie... na świecie jest wiele rzeczy nieprzyjemnych, któreby przerobić należało. Czy wiesz pan, co on mi na to odpowiedział? Odpowiedział mi, że przerabianie świata rozpocząć powinienem od siebie samego. Ale to nic. Nasłuchałem się ja od niego komplementów takich nie mało, to i ten także przełknąłem gdyby ostrygę, a postanowiwszy sobie pracować dla pana i... dla naszéj idei... zacząłem wujowi o dziele pańskiem opowiadać. „A! zawołał, to ty znasz tego waryata, który od miesięcy paru od domu do domu ze swojém dziełem chodzi! Słyszysz Aurelko! ciekawą byłaś zobaczyć to indywiduum! poproś Morysia: niech ci je zaprezentuje...“

Kępa zwarł już usta, lecz, jak ściana, był blady; za plecami zaś Morysia Sylwek machinalnie, lecz tak szybko spuszczać i podnosić zaczął nóż swój, że błyski żelaza rozpalały w powietrzu stalowe elipsy. Moryś nie widział tego, ani spostrzegał wzruszenia Kępy. Z gadatliwością sobie właściwą, a tym razem przez chęć chwalenia się podniecaną, prawił on daléj:

— Z tego wujaszka, to dziwny doprawdy człowiek. Niby rozumny, czyta ciągle i z przyjaciołmi swemi bardzo uczenie rozprawia, a tego, co się pod nosem jego dzieje, ani widzi... Z pana naprzykład wyśmiewa się, a nie wié, że pan téż na świecie coś znaczy i tęgiego figla jemu i jego przyjaciołom wyciąć może... dla tego choćby, że znajdują się na świecie tacy, co po stronie pana stoją i pomagać panu gotowi... Ja naprzykład...

Tu obejrzał się i gwałtownie zerwał się z pieńka, na którym siedział, jak na koniu.

— Co pan robisz?—krzyknął.

Zląkł się, migocących za plecami jego, stalowych błysków.

— Jak można tak nieostrożnie bawić się ostrem narzędziem!—dodał lękliwie trochę, lecz bardziéj jeszcze ciekawie na Sylwka patrząc.

Sylwek spokojnie opuścił ręce na kolana i z zamyśleniem rzekł:

— Chciałbym widzieć go zblizka.

— Po co pan nóż ten nosisz przy sobie? — zapytał Moryś.

— Jak to po co?—ze szczerem zdziwieniem odparł Sylwek;—albož to nam. jak wam, lokaje nakrywają stoły?

Po chwili powtórzył znowu:

— Chciałbym widzieć go zblizka.

— Kogóż to?—zapytał Moryś.

— Wujaszka waszego.

Krótką odpowiedź tę wymówił z uśmiechem, w którym błysnęły białe jego zęby. Kto inny byłby może uśmiechem tym zaniepokojony, ale Moryś, pomimo ciekawości swéj. dalekim był od badania fizyonomij ludzkich.

— Możesz go zobaczyć, dla czego nie? dziś choćby Matka moja nagadała mu o biedzie i nieszczęściach Szarskich; że zaś wuj znał kiedyś Szarskiego i lubił go nawet, postanowił przez delikatność nie posyłać mu jałmużny, ale przywieźć ją osobiście. Aurelka uparła się téż jechać z ojcem na tę szczególną wizytę i pewno pojedzie, bo jak ona czego zachce, to już tak być musi... Za godzinę jaką przyjadą do Szarskich, a pan będzie mógł zaspokoić swoję ciekawość i zblizka na wuja mego popatrzeć. Warto zresztą, warto. Wielki pan, co się zowie, i z urodzenia, i z mająt-

ku, i z postawy... a Aurelka! no! ale o niéj nie miéjsce tu mówić. Jakiekolwiek powody mam do użalania się na wuja, a nawet gniewania się na niego, nie mogę przecież nie szczycić się, że jestem jego krewnym, albo nie być mu wdzięcznym za to, że sprowadził na świat taką cudowną istotkę, jak Aurelka...

Mówił w sposób ten długo jeszcze, chwaląc się i uskarżając naprzemian, lecz nikt go nie słuchał. Kępa z łokciami, opartemi na skrzyni, z twarzą w dłoniach, wpadł w kamienną zadumę; Sylwek zaś katarynkę swą wziął na plecy i wyszedł.

W téj saméj prawie chwili, Placyda Lirska, wzruszona i zdyszana, wbiegła do mieszkania Szarskich.

— Heleno! Heleno! — wołała, chwytając za ręce bladą, wątłą i nagłém wejściem jéj chorobliwie wzruszoną kobiétę. — Będziecie mieli gości, przygotuj się, uprzątnij trochę w mieszkaniu... przyszłam cię uprzedzić.

Helena patrzała na nią osłupiałym wzrokiem.

— Gości? — zaczęła; — takeś mię przelękła, moja pani Placydo... któżby to mógł być? Któż sobie o mnie przypomniał? Czy nie krewni moi...

— Nie twoi, ale moi,—Heleno;—Tytus Tarżyc z córką wnet tu przybędą. Dowiedzieli się oni o waszych nieszczęściach i pragną wam przyjść z pomocą, zarazem też krewny mój życzy sobie odnowić znajomość z mężem twoim...

Helena nie słuchała. Jak ktoś, na kogo spadło niespodziewane a wielkie szczęście, splotła ona chude swe ręce modlitewnym gestem, a turkusowe oczy wzniosła ku pajęczynom, sufit okrywającym.

— Nakoniec, nakoniec ktoś z rodzinnego świata mego przypomniał sobie o nieszczęsnéj wygnance? Tak, wiem; to

pewno rodzina moja upominać się o mnie zaczyna... Przebaczyła mi już mezalians mój, przysyła po mnie... Nowy dzień świta nad moją głową... O! jakże mi serce bije...

Porwała się z siedzenia i zaczęła gorączkowo krzątać się po mieszkaniu.

— Jakże ja ich przyjmę?—szeptała.—Boże mój, jak ja jestem ubrana! Ani kanapy, ani dywana żadnego, ani służby... O jaki wstyd! wstyd!

Tymczasem brudny szezląg z poduszką, sianem wypchaną, z gorączkowem wysileniem wyciągnęła na środek izby, przystawiła doń stolik poplamiony stearyną, a obejrzawszy się dokoła, ku przyozdobieniu zapewno, rzuciła na stolik ten parę podartych i strasznie starych książczyn z francuzkiemi tytułami. Potém pobiegła ku komodzie i, odsuwając szuflady, a przyglądając się w nadtłuczonem lusterku, przypinała sobie do włosów zmiętą kokardę, a stanik podartéj sukni okrywała różowym łachmankiem.

Lirska patrzała na nią z litością. Po chwili zapytała:

— Gdzie mąż twój, Helenko? dzieci?

— Jestem tu, moje uszanowanie...—wymówił w drzwiach głos stłumiony, do ciężkiego szeptu podobny. Szarski znajdował się wówczas w epoce trzeźwości. Przychodził do domu na obiad, a pod luźnym, poplamionym paltotem swym przynosił mnóstwo różnéj wielkości zawinieńć i pakietów. Oddawszy Lirskiéj cóś na kształt ukłonu, zbliżył się do komody, przy któréj Helena gorączkowo przyozdabiała i uświetniała osobę swoję i zaczął wydobywać z pod paltota przyniesione przedmioty. Przytém, jednostajnym zawsze, ciężkim szeptem mówił:

— Herbata... pamiętaj Helenko, kiedy dzieci przyjdą z podwórza, z mrozu... a tu trochę krup, dla Klarki... świe-

ce, cukier, ot! i drobnych trochę. Jeślibym jutro nic nie zarobił...

Helena, z błyszczącemi od gniewu oczami, zwróciła się ku mężowi i, gwałtownym gestem przyniesione przez niego przedmioty z komody na ziemię rzucając, krzyknęła:

— Weź to, weź! sprzątnij! o Boże mój, po co on tu jeszcze przyszedł, w takiéj chwili!

Szarski obojętnie wzruszył ramionami i zapytał:

— Czy zupełnie już zwarjowałaś?

— Żona twoja, kochany panie Szarski, spodziewa się gości.—wytłómaczyła Lirska,—krewny mój...

Nie miała czasu dokończyć, bo drzwi pierwszéj izby roztworzyły się i, córkę prowadząc pod rękę, wszedł Tytus Tarżyc.

Wówczas Helena Szarska z ustami i rękami drżącemi z plamami ceglastych rumieńców na zapadłych policzkach, postąpiła ku wchodzącym, przybierając postawę, ruchy i wyraz twarzy światowéj, swobodnéj i pełnéj wdzięku kobiéty. Podnosiła głowę wysoko i usiłowała uśmiechać się. Gdy jednak stanęła już przed gośćmi, którzy zatrzymali się także, znieruchomiała, wyciągnęła, a potém cofnęła rękę, wyszeptała coś niedosłyszalnego, aż wreszcie na twarzy jéj, wstrząsanéj nerwowemi drganiami, i w oczach, które łzami zapływać zaczęły, odmalowała się niewysłowiona męka. Ze swéj strony, Hilary Szarski miał pozór człowieka osłupiałego. Usta jego roztworzyły się nieco ze zdumienia, co rzuciło mu na twarz cały wyraz głupowatości, a tylko spłowiałe, obrzękłe jego oczy patrzyły na przybywających z pod brwi i z takim wyrazem, jak gdyby zapytywały: czego oni chcą odemnie?

Tarżyc, z wprawą i łatwością doskonale światowego człowieka, przedstawił córkę swoję gospodyni domu i, uwalniając ramię jéj, zwrócił się do Szarskiego:

— Nie poznajesz mię, panie Szarski, jesteśmy przecież dawnymi znajomymi. Przybywałem do pana niegdyś za interesami i spotykaliśmy się też w paru wspólnie znajomych domach. Ale postarzeliśmy obaj...

W sposób ten wesoły i uprzejmy mówił dość długo, przypominaniem dawnych dobrych jego czasów, usiłując ośmielić i zbliżyć ku sobie nędzarza tego, który stał przed nim w ociężałéj i przygarbionéj postawie z głupowato otwartemi usty, a zagasłą źrenicą zdawał się ciągle pytać: czego on chce odemnie?

Był tak beznadziéjnym, że nawet te niespodziane odwiedziny człowieka możnego nie sprawiały mu otuchy żadnéj, a tak w samym sobie zawstydzonym, że ani dobroć mu okazywana, ani przypomnienie dostojniéjszéj przeszłości, podnieść go w oczach własnych nie mogły. Tarżyc umilkł, bacznie w twarz mu popatrzył i, zmieniając ton mówienia, poważnie wyrzekł:

— Należysz pan, panie Szarski, do kategoryi ludzi, dla których ogół nasz posiada niejakie obowiązki. Odebrano ci możność uczciwego pracowania bez żadnéj z twéj strony winy. Skrzywdzono cię dla solidarności twéj z ogółem. Nie powinieneś dziwić się, ani obrażać, jeżeli ktoś przypomniał sobie obowiązek śpieszenia ci z pociechą i pomocą.

Szarski szybko podniósł powieki, lecz wnet spuścił je znowu i powoli ramionami wzruszając:

— Jaka tu może być pomoc...—szepnął.

— Chciałbym z panem sam na sam i długo pomówić,—rzekł Tarżyc i, poufale ująwszy go pod ramię, poprowadził ku oknu.

Tymczasem Helena Szarska bawiła młodą i piękną dziewczynę, która, pomimo ciemnego i skromnego ubioru swego, w mieszkaniu tém i otoczeniu, wyglądała jak zjawisko z innego świata. Kosztowne futro jéj zdawało się kłócić z brudnym szezlągiem, na którym, pośrodku wielkiéj, nagiéj, zimnéj izby usiadła. Helena, przysunąwszy sobie krzesło ze złamaną poręczą i wypadającą z materaca sierścią, zaczęła od zawiadomienia młodéj panny, że niegdyś znała dobrze strony, w których położonym jest Targów, że w strony te przyjeżdżała z rodzicami swemi, którzy nieopodal dobra swe mieli, że ojciec jéj był w ścisłéj przyjaźni z sąsiadem Targowa, księciem Henrykiem, a ona sama bardzo lubiła w strony te jeździć, w zimie szczególniéj, karetką na saniach... obładowaną strojami, które służyć jéj miały na odbywające się tam zabawy... Zresztą—i latem także doświadczała wielu przyjemności... rodzice jéj mieli także piękne lasy... ona zaś bardzo lubi naturę, choć, z drugiéj strony, nadewszystko przekłada świat i życie światowe... Oddawać wizyty, wyjeżdżać na przejażdżki, wieczory spędzać w teatrach, lub na koncertach, co za przyjemność!

W tym roku bawią się podobno w mieście wybornie... słyszała, że książę Henryk, z rodziną swą, przybył do miasta na zimę. Żyje tak ustronnie, że nawet nie wié na pewno, jakie panują mody; zdaje się jéj jednak, że suknie *a panier* najwięcéj są noszone, a kolory najmodniéjsze... Mówiła to wszystko śpiesznie bardzo, a tak nieprzerwanie, że ani Aurelia, ani Lirska, która ją, od czasu do czasu, na znak przestrogi, za suknię pociągała, wtrącić nie mogły, ani jednego słowa. Przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, mieszała w mowę swą francuzkie wyrazy, czasem całe

okresy, żywcem z książki wyjęte, a nieustannie drżącemi rękami dotykała to włosów swych, to różnych części ubrania. Przytém na policzkach jéj rozszerzały się rumieńce, a zapadłe turkusowe oczy co chwilę zachodziły łzami, które, przygryzając zsiniałą wargę, powstrzymywała. Miała w ogóle pozór istoty choréj i w gorączce bredzącéj. Piękna panna patrzała na nią ze zdumieniem naprzód, potém z niewypowiedzianą litością, nakoniec z głębokiem zmieszaniem, gdy w tém, z koralowych ust jéj, wydobył się wesoły okrzyk, pochyliła się i pieszczotliwie wyciągnęła ramiona ku wbiegającéj do izby Klarce. Dziecko, zarumienione od mrozu, było prześlicznem. Drobne nóżki jéj okryte były cienkiem i wytwornem, lecz w szmaty już rozpadającem się, obówiem, podarte i brudne hafty jakieś wydobywały się z pod sukienki dziurawéj i oblepionéj błotem, od bladego czoła na nagą szyję spływały potoki złotych kędziorów.

Kiedy Tarżyc, po dość długiéj rozmowie z gospodarzem domu, zwrócił ku izbie twarz, okrytą wyrazem zniechęcenia i smutnego wzruszenia, Klarka siedziała na kolanach jego córki, ciekawie dotykając i oglądając wszystkie szczegóły jéj toalety; Aurelia zaś bawiła się z dzieckiem i wydawała się niém żywo zajętą.

— Ojcze—zawołała, wstając i w ramionach swych podnosząc Klarkę;—czy pamiętasz dziewczynkę tę? Przypomnij sobie, ojcze, gdzieśmy ją widzieli?

Tarżyc przypomniał sobie wybornie, gdzie i jak widział to piękne dziecko. Spójrzeniem przecież ostrzegł córkę, aby o tém nie mówiła, lecz Klarka zaczęła sama szczebiotać o maskaradzie, o tém jak była za małpeczkę przebrana, jak siedziała na ramieniu Sylwka i jak jéj pani (tu wskazała na Aurelię) rzuciła garść cukierków.

— Wszystkich nie zjadłam, — dodała z nadąsaną minką,—Tomek, jak zobaczył, tak powalił mię na ziemię i odebrał... żeby jego licho wzięło!

Teraz, w ciemnych oczach Aurelii, wpatrzonych w dziecko, stanęły łzy. Biedna! biedna mała, szepnęła. Potém, pieszczotliwie skłaniając głowę ku ramieniu ojca, mówiła cóś do niego pocichu i długo, a z prośbą składając ręce, głośniéj dokończyła:

— Mama będzie bardzo, bardzo rada! ona taka dobra i tak lubi dzieci!

Tarżyc zsunął brwi z niezadowoleniem pewném; zdawało się, że namyśla się i waha.

— Mój drogi ojcze!—powtórzyła dziewczyna.

Uśmiechnął się do niéj, jak ojciec do dziecka, kochanego nad życie. Obejrzał się dokoła, wzrokiem szukając Szarskiego.

Szarski pozostał pod oknem, z tym samym wyrazem twarzy i tą samą postawą, z jakiemi przedtém, przez dobry kwadrans, z gościem swym rozmawiał. Była to postawa ociężała i przygarbiona, a wyraz twarzy, pełen kamiennéj dla wszystkiego i wszystkich obojętności.—obojętności, z za któréj przeglądał tylko uśmiech, drwiący jakby z próby téj, dokonywanéj nad poprawieniem jego i losu jego. Możnaby myśléć, że z tajoną niecierpliwością oczekiwał końca uciążliwych dlań odwiedzin, że nie myślał i nie czuł nic, nie spodziewał się i nie pragnął niczego. Jednak obrzękłe powieki jego drgnęły, a głupowate usta zacisnęły się w chwili, gdy Tarżyc, z wymuszoną, więcéj niż szczerą, wesołością oznajmił mu, że córka jego pragnie zabrać ze sobą Klarkę na czas jakiś, a jeśli pokochają się wzajemnie, może i na długo.

— Państwo macie podobno dwoje jeszcze dzieci—dodał;—u nas żadnéj małéj istotki w domu już nie ma... Żona moja i córka niezmiernie lubią dzieci... bawić się będą z Klarką, a może potém i uczyć ją trochę...

Z Szarskim działo się cóś dziwnego. Możnaby powiedzieć, że człowiek, przemieniony w kamień. stawał się znowu człowiekiem; człowiekiem, którego całe ciężkie, zgarbione ciało, pod luźną i poplamioną odzieżą. drżéć zaczynało, którego głupowate usta przybierały wyraz bezdennego żalu, a zgasłe oczy zapalały się blaskiem niewysłowionéj radości.

Szybkim, choć ciężkim, krokiem zbliżył się ku gościowi swemu, chciał coś powiedziéć, nie mógł, ramiona rozpostarł, dokonał niemi kilku gestów i z głuchym jękiem runął na ziemię, obejmując i pocałunkami okrywając kolana Tarżyca. Radość upoiła go, jak upajała wódka. Z ust popłynął znowu potok słów, pośród których wciąż, nieustannie z różnemi nagięciami głosu wymawiany, powtarzał się wyraz: dzieci! Nie obwiniał się i nie usprawiedliwiał, nie przyrzekał nic i nie skarżył się na nic. O dzieciach swych mówił tylko, o ratunek dla nich błagał, na rany Boga ukrzyżowanego zaklinając, rozpowiadając niedolę ich i wszystkie niebezpieczeństwa, które im groziły.

— Dzieci... dzieci... dzieci!—powtarzał.—Ratujcie dzieci!

Kiedy wzruszony, ciche słowa współczucia wymawiając, Tarżyc dźwignął go z ziemi, a do Heleny zwrócił się z prośbą. aby dziecko czémś cieplejszém okryła, bo nie może przecież, tak jak jest, na wiatr i mróz wyjeżdżać, Szarski pobiegł do starego kufra, stojącego w drugiéj izbie, i otworzywszy go, trzęsącemi się rękami grzebać w nim zaczął. Wydobył nakoniec sukienną szmatę jakąś, a owi-

nąwszy w nią Klarkę, podniósł dziecko w ramionach i długo, z szerokim uśmiechem, w którym rozpacz mieszała się z szaloną radością, całował włosy jéj, czoło i usta...

Helena, wspierając się ręką o złamaną poręcz krzesła, stała w postawie, pełnéj zawstydzenia. Widać było, że to, co działo się wkoło niéj, upokarzało ją śmiertelnie. Do krwi już teraz przygryzała sobie wargę i blada była tak, jakby wnet zemdléć miała. Usiłowała jednak ciągle uśmiechać się i do Aurelii, która powtarzała jéj prośbę o pozwolenie zabrania Klarki, przerywanym i ledwie dosłyszalnym głosem, mówiła:

— Boleśnie mi jest bardzo... że z córką moją rozstać sie muszę... ale istotnie... znajduję się w położeniu tak dziwném i niespodziewaném... Zresztą, mam nadzieję... że rodzina moja przypomni sobie o mnie i z położenia tego mię wydźwignie... wkrótce będę u państwa, aby im za pamięć ich podziękować... tylko wybaczą państwo, że... toaleta moja...

Nie dokończyła. Twarz jéj wykrzywiła się spazmatycznie, pierś wzdęła się, zachwiały się nogi i w histerycznym ataku, pełnym łkającego śmiechu, na szezląg upadła.

W parę minut potém, przed bramą dziedzińca, Tarżyc i córka jego siadali do sań ozdobnych i zaprzężonych parą pięknych, rwących się do biegu, koni, a Szarski podawał im Klarkę, kawałem sukna okrytą. Aurelia siedziała już na saniach, Tarżyc, z nogą postawioną na stopniu, zatrzymał się nagle. Kiedy wychodził z bramy, mignęła mu przed oczami twarz stojącego przy bramie człowieka. Minął ją zrazu, ale potém obejrzał się i znieruchomiał na chwilę. Przy bramie stał Sylwek z kataryną swą na plecach. wpatrzony w niego, jak w tęczę, znowu twarz w twarz i oko w oko patrzali na siebie przez chwilę. Po-

tem Tarżyc wskoczył do sanek, które pomknęły lotem strzały.

— Czy widziałaś katarynkarza tego, co stał przy bramie?—z zamyśleniem zapytał córki.

— Zdaje mi się, że jest to ten sam chłopak, któregośmy wtedy, przyjeżdżając, tu spotkali... niepodobna nie poznać go! taką ma piękną i szczególną twarz...

— Szczególną!—powtórzył Tarżyc—i zdaje mi się, żem go już kilka razy spotykał i zawsze przypomina on mi kogoś... cóś... lecz kogo i co? nie pamiętam.

— Ale,—dodał po chwili,—czego się on na mnie tak wypatrzył, kiedym do sań siadał? Coś niedobrego było w jego oczach...

Klarka, która uważnie rozmowy téj słuchała, z wyrazem niezadowolenia, wydęła drobne usta i zawołała:

— Nieprawda! pan kłamie! Sylwek bardzo dobry. Jak papcia upije się i na drabinę lezie, Sylwek papkę z drabiny znosi, albo sprowadza... a kiedy Damek albo Miś głodni, to do niego idą, żeby im jeść dał... Dla mnie czasem pierniki kupuje i nie pozwala Tomkowi szczypać mię i tłuc... a pan Łukasz mówi, że on lepszy dla niego, jak jaki rodzony syn... A jak Sylwek ślicznie gra... Co niedzieli przychodzi do szynku i gra... Chaim mu za to złotówkę daje... w szynku wesoło!... tańczą i tak czasem biją się...

— Wielki Boże!—westchnął Tarżyc,—zdaje się, że to pięcioletnie dziecko mogłoby już pisać tajemnice miasta tego.

Aurelia, całując dziecko, upominała je, aby o drabinie, na którą papcia lezie, o Tomku, Chaimie i szynku nie mówiła nigdy. Klarka zaś ścisnęła drobne piąstki i, uderzając jedne o drugą, krzyczała:

— Będę gadać o papci, o Sylwku i o szynku! będę! Jak Boga kocham, będę!

Od dnia tego Sylwek nie rozmawiał prawie z Kępą. Tarżyc nie omylił się, spostrzegając w oczach jego cóś niedobrego. Teraz, więcej niż kiedy, wyglądał tak, jak gdyby w źrenicach „siedział mu nieczysty z rozpalonym żużlem w gębie.“

Po kilku dniach dopiéro rozchmurzył się po raz pierwszy, kiedy do sklepionéj izdebki wpadło małe stworzenie, krzyczące, zanoszące się od śmiechu i całe błękitne. Była to Klarka. Miała na sobie błękitny płaszczyk, błękitny kapturek i błękitne nawet buciki. Jednym skokiem znalazła się na kolanach Sylwka i drobnemi ramionami szyję jego objęła. Wtórując jéj śmiechem i ciemną ręką głaszcząc ją po rozrumienionéj twarzy, chłopak wołał:

— A to ty, mały głuptasku! Zkądżeś się tu wzięła, łotrzyczko jakaś! Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę. Przypomniałaś sobie o swoich starych przyjaciołach, duszyczko ty maleńka. Ale, jakim sposobem dostałaś się tutaj. Czyś na tych ślicznych saniach jak na obłoku zleciała?

— Uciekłam! — krzyknęła dziecko, — jak Boga kocham uciekłam. Niech ich djabli wezmą! Tak mnie tam nudno, tak smutno, że choć powiesić się! Musztrują, przestrzegają: Klarka mów, Klarka nie mów, Klarka siedź prosto, Klarka nie krzycz, a mnie dalibóg i nie chce się gadać, bo o niczém nie pozwalają. O papie gadam... czy o szynku, czy o Tomku... nuż na mnie, jak na jakiego psa! Myślę sobie: ucieknę! Jak na spacer pójdę z tą panną, co mnie pilnuje, jak djabeł złéj duszy, ucieknę. Poszłam i uciekłam. Ona w jedne stronę, a ja w drugą. Myk i schowałam się za ścianę. potém patrzę, a jéj już nie ma...

Mówiąc to wszystko, stroiła nadąsane minki, albo zanosiła się śmiechem.

— A w domu byłaś, ty mała kozo?—zapytał Sylwek.

Klarka wydęła usta i skarżącym się głosem odpowiedziała:

— A jakże, zaszłam. Papcio za te piéniądze, co mu pan dał, już sobie pije w szynku; mama szyje suknię na wizytę do państwa, kroi i szyje, porze i szyje i znów porze i płacze... Miś tak śpi, że dobudzić go się nie można, a Damek z Antką koty karmią w drwalni... Niech ich tam, z takiemi rodzicami i takimi *braciami!*

— No, to u nas zostać możesz. Zdejmę z ciebie te pańskie ubranie, przebiorę znowu za małpeczkę i będziem bawić się.

Jakże dziwna, miękka czułość napełniała, srogie przed chwilą, oczy dzikiego chłopca tego, gdy rozmawiał z tém dzieckiem!

— Jak raz! — zawołała Klarka, — płaszczyk mój tobie oddam, pewno, taki śliczny! i zostanę się tu, żeby znowu głodem mrzéć i pod rynnami walać się...

Roztworzyła szeroko turkusowe swe oczy i, bawiąc się guzikiem odzieży Sylwka, z powagą opowiadać zaczęła:

— Tam prześlicznie! Takie smaczne rzeczy jedzą, a pokoje wielkie jak świat. Dziś będzie muzyka i dużo, dużo gości. Muzykanty jakieś, het, z końca świata przyjechali, a pan dał im dużo piénię̇dzy za to, żeby przyszli do niego i przed gośćmi grali. U pani w szufladach świecących kamieni strach jak dużo! panienka ma takie białe paciórki piękne i sukien tyle, co trzasek w drwalni. Oho! nie zostanę się, nie zostanę się tu, za nic. Może mnie co pięknego darują, sukien nasprawiają... pobędę tu troszkę, a potém polecę... trafię, aj aj!

— Będą grali, — w zamyśleniu wymówił Sylwek i zapytał: — a kiedyż?

— Wieczorem, w nocy, czy ja wiem? dość, że będą grali na jakichś takich dziwnych skrzypcach, że nawet pan i pani jeszcze ich nigdy nie widzieli. I panienka będzie śpiewać... ona jak śpiewa, to tak krzyczy, że po całym domu rozlega się... i lody będą. Sylwek, czy ty kiedy jadł lody? Ja jadłam! takie słodkie...

Długo szczebiotała jeszcze, dziwne dziwy opowiadając o domu, w którym przebywała teraz, szczególniéj zaś o wieczorze, który dnia tego odbyć się miał w tym domu.

— Te panowie, co grać będą, noszą złote suknie,—mówiła, a na głowie mają takie zawoje, jak wstążki... Sylwek, przyjdź ty zobaczyć!

Sylwek milczał chwilę, potém, ze szczególném nagięciem głosu, odpowiedział:

— Przyjdę.

W kilka godzin potém, szedł istotnie Wiejską ulicą, w stronę białego domu, stojącego w głębi obszernego i ozdobnego dziedzińca. Dziedziniec, usłany warstwą topniejącego śniegu i otoczony bezlistnemi drzewami, pogrążony był w ciemnościach; wielkie zaś zwierciadlane okna domu płonęły rzęsistém światłem. Wieczór był późny, północy blizki. We wnętrzu domu toczyły się gammy przyciszonego gwaru i od chwili do chwili odzéwało się strojenie czy dorywcze próbowanie muzycznych instrumentów. Sylwek przyśpieszył kroku. Z za drzew bezlistnych i zakrytéj niemi budowy jakiéjś ozwały się poszczekiwania psa; w stronę tę rzucił cóś wydobytego z kieszeni, kęs żywności jakiéjś zapewne. Z pośpiechem gorączkowym przypadł ku ścianie domu, przylgnął do niéj piersią. a w ogromną szybę zatopił chciwy wzrok.

To, co za ogromną szybą zobaczyć miał. w nieznanym mu języku. nosiło nazwę muzykalnego wieczoru. Chwila. w któréj oczy jego, jak dwa czarne płomienie, zaświeciły za cienką oponą szkła, była kulminacyjnym momentem uroczystości téj raczéj, niż zabawy.

W wielkim salonie, o niepokalanie białych ścianach. gorzała setka gazowych płomyków. Część ich tworzyła piramidalny snop. który. spływając od sufita. na niedojrzalnych prawie łańcuchach, zdawał się być zawieszonym w powietrzu. Pośrodku przestrzeni téj, zalanéj światłem, dokoła kolumny, z któréj szczytu opuszczały się szerokie liście zielonéj rośliny, na bezładnie z pozoru ustawionych fotelach i taburetach, siedziało kilkanaście kobiet, których suknie rzucały na błyszczącą posadzkę fale różnobarwnych jedwabiów. Głowy kobiet tych, strojne i ukwiecone, zwracały się w strony różne. stosownie do umieszczenia siedzeń; twarze ich i wpół - odkryte ramiona, pod białém światłem gazu, posiadały przezroczystą białość alabastru. W tym punkcie salonu słychać było cichy szelest poruszanych wachlarzy i gdzie-niegdzie tęczowém światłem iskrzyły się. niby rosa na klombie kwiatowym, drogie kamienie. Dokoła klombu tego, rozsiani po całéj przestrzeni salonu, albo skupieni w małe gromadki, przy stołach, obciążonych księgami o złoconych brzegach, lub fortepianie, z klawiaturą odkrytą i oświetloną kilkuramiennemi świecznikami, stali, przechadzali się i przytłumionym głosem rozmawiali mężczyzni, na monotonném, czarném ubraniu których wykwintnie odbijały białe krawaty i złote łańcuchy. Ciepła, woni. błyszczących spójrzeń, miękkich uśmiechów i czarownych kształtów salon ten był tak pełen, że przedstawiały się one przez zamknięte okna i upadającą falą oblewały, przyciśniętą do szyby, twarz nocnego włóczęgi.

Jednego przecież, byle znającego się nieco na rzeczy, spojrzenia trzeba było, aby poznać, że w salonie tym i wśród towarzystwa tego panowało ciekawe, wytężone oczekiwanie.

Wszystkie, szczególniej kobiece, twarze zwracały się ku niewysokiej estradzie, w stronie salonu przeciwległej oknom, urządzonej, na której stały trzy poręczowe krzesła, a za którą znajdujące się wysokie zamknięte drzwi wiodły zapewne w głąb mieszkania. Po chwili szmer wzmógł się i zarazem wszyscy, tak siedzący, jak stojący i przechadzający się, znieruchomieli, a oczy w jeden punkt salonu zwrócili.

Drzwi, znajdujące się za estradą, otworzyły się szeroko, a przez nie weszli trzej ludzie, w barwistych malowniczych ubraniach i z małych rozmiarów instrumentami muzycznemi w ramionach. Okryci fałdzistą draperyą aksamitnych swych, złotem połyskujących, dolmanów, z okryciem głów, zakreślającem nad śniademi ich czołami tęczowe smugi, wysmukli, piękni i uśmiechnięci, trzej artyści, z dalekiego południa przybyli, niby bogowie, przynoszący ludziom dar estetycznych rozkoszy, przeszli estradę, usiedli na przygotowanych miejscach i białe dłonie położyli na strunach mandolin. Wzmożony przed chwilą w salonie szmer ustąpił przed niepokalaną ciszą, w którą po chwili polało się morze lotnych, tęsknych, przeczystych tonów. Były one tak lotne, iż zdawać się mogło, że, zamiast podnosić się od dołu, spadały z góry skrzydłatym rojem, a takie tęskne, że możnaby też wziąć je za deszcz rzewnych łez, i takie czyste, iż salon zdawał się być przemienionym w świątynię z kryształu, na ściany której rytmicznie spadał deszcz srebrnej rosy. Czarodziejska muzyka ta, zda-

jąca się być niezgłębioną tonią, odźwierciedlającą wszystkie ognie i uroki południowego nieba, pod którém powstała, przerywana krótkiemi pauzami i pełnemi tłumionego zachwytu szmery, trwała dość długo. Potém, żadnemi jakby względy powstrzymać się nie dające oklaski, niby głuchy grzmot, rozpierały przez chwilę ściany salonu; artyści podnieśli się z siedzeń swych i, tłumnie otoczeni, promieniejący tryumfem, z uprzejmą powagą rozpowiadający obecnym o sposobach zapewne, jakiemi, w kilku strônach, zaklinać umieli nieprzebrane bogactwo dźwięków, zeszli z estrady. Po salonie krążyli przez chwilę, ze srebrnemi tacami w rękach, czarno ubrani słudzy, aż znowu zapanowała głęboka cisza i wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę jednę. Gospodarz domu prowadził córkę swą do fortepianu. Zwolna przebywali całą długość salonu: on, z uśmiechem szczęścia na ustach i pełném zachęty spojrzeniem w twarz jéj patrzący, ona, kształtna jak posąg, ręką mistrza wyrzeźbiony, ciągnąca za sobą falę jedwabiu, z w półnagiemi ramiony, przysłoniętemi strugą płowych włosów, z pochyloną nieco głową i spuszczoną powieką. On był dumny ślicznym dzieckiem swém i szczęśliwy, że w pełni wdzięków jego ukazać je może światu; ona była zalękniona nieco i spłoniona, lecz ufnie i z rozkoszą, pośród mnóstwa obcych spojrzeń wspierająca się na opiekuńczém i ukochaném ramieniu. Piękna para ta przesunęła się tuż około okna, za szybą którego, jak dwa czarne płomyki, namiętnym ogniem i palącemi się w nim łzami, gorzało dwoje czarnych oczu ludzkich, a po chwili, w punkcie salonu, którego oczy te dosięgnąć nie mogły, zabrzmiało, męzką ręką, z fortepianu wywołane, huczne preludyum i wzniósł się w powietrzu potężny, a wszystkiemi tajemni-

cami sztuki doskonale władający, kobiécy śpiew. Zrazu, tłumiony nieco i tamowany falą wewnętrznych drżeń, śpiew ten stał się wkrótce szerokim, śmiałym i rzucił w powietrze ogromną aryą z Roberta. Potężne wołania o litość i łaskę rozległy się po salonie i zdawały się rozpiérać ściany jego bezbrzeżną rozpaczą. W téjże chwili, czarne płomyki, świecące dotąd za szybą jednego z okien, zniknęły, bo stojący tam nocny włóczęga osunął się na klęczki i, rozpalone czoło nurzając w topniejącym śniegu, wybuchnął łkaniem:

— „Łaski! łaski! łaski!...“ rozległy się wewnątrz domu coraz potężniejsze, w niebo zda się bijące lub w powietrzu rozpacznym szałem miotane, wołania. Za ścianą domu nizko, przy błotnistéj ziemi, wtórował im płacz głośny, konwulsyjnemi łkaniami w nocną ciemność buchający, a postać ludzka, czarna, pod spływającym na nią z okna snopem promieni, wiła się w bólu i żalu bez granic.

Potém wytworną ręką gospodarza domu, ze strón fortepianu wywołane, wspólnemi tony śpiewały długo ciche kołysanki i miękkie nokturny. Lecz, ani marzenia, snujące się łagodnie i cicho, ani monotonnie kołyszące się, senną rozkoszą przejęte, pieśni, nie ukołysały dziecka, które tam za oknem, ramionami obejmując kolumnę, podtrzymującą strop balkonu, twarz, mokrą od łez, wychylało pod migotliwe światło, palącéj się nad kolumną, latarni. Wszystko, co zobaczył dziś, i wszystko, co usłyszał, wzięło snać ducha jego na takie tortury, że bezprzytomny, roznamiętniony, rozpiérany ogniem niepojętych żalów i żądz, ze wzdętéj płaczem piersi, drgającemi usty, ciskał on w noc ciemną i w niebo, kilku nikłemi gwiazdami świécące, głośne pytania, jakieś prośby, czy przekleństwa... Podniósł się z klęczek wtedy dopiégo, gdy dziedziniec zahuczał głuchym po

śniegu turkotem karet, zatętniał pod kopytami koni i zajaśniał światłem, przebiegających go w różne kierunki, u powozów zapalonych latarni. Podniósł się wtedy i jak cichy, chwiejny cień, przesunąwszy się pod drzewami, zniknął w ciemnościach ulicy...

Nocy téj, jak najczęściéj zresztą bywało, Kępa nie spał. Przewracając się na garści słomy, wzdychając lub półgłosem wypowiadając, przed sobą samym i ciemnościami zalegającemi izdebkę, długie monologi, oczekiwał on powrotu towarzysza swego. Usłyszawszy szmer otwiérających się drzwi, omackiem przypełzł do skrzyni i zapalił stojącą na niéj świeczkę.

— Zapalam świecę,—zaczął półgłosem,—bo chcę, żebyś opowiedział mi, coś widział i słyszał...

Urwał nagle i zawołał:

— Cóż ci to? upiłeś się?

Sylwek zatoczył się od progu aż ku skrzyni i, rękami szukając w powietrzu punktu oparcia, bezwładnie opuścił się na ziemię.

— Upiłem się...—szepnął;—prawdę mówicie! upiłem się! tylko nie wódką, ale czémś takiém... ja nie wiem, jak nazywa się to, czém się ja tam upiłem...

Zakrył twarz rękami i znowu wybuchnął niby płaczem; nie płaczem jednak, bo oczy miał suche, lecz jękami, krzykiem i niezrozumiałém zawodzeniem. Chwilami z piersi jego wychodziły, dziecinne prawie, przewlekłe i rzewne skargi, lecz chwilami wydobywało się z nich jakby ryczenie rozwścieklonego źwierzęcia. Był to straszny wybuch natury pierwotnéj, nieposkromionéj żadną z tych władz wewnętrznych, które wytwarzają się i potężnieją pod wpływem kultury: refleksyą, wstydem lub sumieniem.

Był to wybuch człowieka dzikiego, który we krwi swéj, w każdym atomie istoty swojéj, nosił zarody cywilizacyi i gwałtowne ku niéj popędy, a w którym, nurtujące go od lat wielu, zawiści, gorycze, zażalenia, niezaspokojone żądze i zgwałcone skłonności, dosięgły teraz kulminacyjnego punktu wzrostu swego i w piersi wznieciły mu nieugaszoną niczém pożogę i burzę.

To téż, kiedy umilkł nakoniec i opuścił ręce, twarz jego nie była ani smutną, ani rozżaloną, lecz wprost i tylko wściekłą. Piekły ją ogniste rumieńce i wstrząsały spazmatyczne drgania.

Twarz tę, od któréj buchało gorąco, wysunął z cienia, przysunął ją blizko, blizko ku twarzy Kępy i ciężkim szeptem zapytał:

— A czy... jeżeli nie oddają. nie można wziąć?

Kępa drgnął i pobladł.

— Co... co mówicie?—odszepnął.

Sylwek, pośpiesznie i z namiętną gestykulacyą szeptał:

— Mówię, że buty te, w których pół świata przeskoczyć można, są... tam! I wody te, w których, gdy człowiek zanurzy się, traci pamięć o wszystkiém co było... są tam! I pałace morskie, w których mieszkają dziewczyny białe jak perły, z włosami jak księżyc, są... tam! I skrzydła, na których można do wysokiego słońca lecieć, są... tam. I wszystko jest tam, czego oko i ucho napić się pragną! Pójdę... i wezmę.

Kępa nagle zdmuchnął świecę, w ciemnościach zaszemrał naprzód pełen zgrozy wykrzyk: wielki Boże! a potém słychać było długie, długie szeptanie, pełne rozmyślań z jednéj strony, a uniesień z drugiéj, rozmowę dwu tych chorych rozjątrzonych, zbuntowanych duchów.

Ani Kępa, ani témbardziéj namiętnie wzruszony towarzysz jego, nie spostrzegli, że w chwili, gdy izdebka napełniła się dzikiemi łkaniami i krzykami Sylwka, w kącie izby podniosła się, zbudzona zapewne niemi, postać staréj kobiéty, pochyliła ku dwom, przy skrzyni siedzącym, ludziom głowę, w brudną szmatę owiniętą, i bacznie nasłuchiwać zaczęła. Gdy świeca zgasła, wraz z piérwszym wykrzykiem Kępy, zaszemrało w izdebce coś nakształt pełznącego po ziemi ludzkiego ciała...

Nazajutrz zaś, kiedy o dość późnéj godzinie dnia, po śnie krótkim i niespokojnym, Kępa otwierał oczy, w kącie izby, na garści zmiętéj słomy, stara Kępowa siedziała wyprostowana, uroczysto i zeschłym, zczerniałym palcem swym groziła synowi blizko, bardzo blizko oczu swych, napełnionych łzami.

W kilka godzin potém Wiejską ulicą szedł Moryś Lirski, wesoły, swobodny jak ptak, oczami liczący przelatujące wrony i gwiżdżący przez zęby nieokreśloną jakąś śpiewkę. Wesoły był, bo na wieczorze wczorajszym bawił się wybornie, a rozmarzonym nieco, bo kuzynka Aurelia nigdy jeszcze nie wydała mu się tak piękną jak wczoraj i najmniéj trzy razy przywoływała go do siebie, żądając niby drobnych przysług; Moryś jednak wiedział i najmocniéj był przekonany, że czyniła to z innych wcale pobudek. Niezawodnie była ona nim zajętą, może już nawet rozkochaną, cóż, gdy wuj, wedle wyrażenia jego, nie miał go za bożą podszewkę, a wujenka, to już doprawdy obchodziła się z nim jakby z uczniem jakim, który jeszcze z czwartéj klasy gimnazyalnéj nie wyszedł. O ten samolub! i ta godna jego małżonka! oni się za nic, za nic na uszczęśliwienie jego nie zgodzą, oni muszą koniecznie wynaléźć dla Aurelki Kre-

zusa jakiego, objadacza świata, pijawkę taką, jakiemi są sami...

Tak dumał Moryś. W tém usłyszał tuż za sobą jękliwy i od starości dygocący głos żebraczki, wołający:

— Paniczu, paniczu złoty!—zaczekajcie.—Mam cóś powiedzieć... ważnego, zaczekajcie chwileczkę.

Obejrzał się i zobaczył starą Kępową, która, kijem swym o kamienie stukając, śpiesznie dreptała za nim. Znał ją, i jako matkę człowieka, względem którego uczuwał podziw, zmięszany z instynktową sympatyą, nie mógł dać jéj odprawy takiéj, jakiéjby nie omieszkał udzielić każdéj innéj istocie ludzkiéj jéj stanu i położenia, któraby go, w dzień biały i śród ulicy, zaczepić śmiała. Z niezadowoleniem, połączoném z żartobliwością, zapytał:

— Czego chcecie odemnie? przecież nie o jałmużnę prosić macie u jednego z najlepszych przyjaciół, mogę powiedzieć, ucznia waszego syna?

Stara, obie ręce wspierając na kiju swym, patrzała na niego wzrokiem dziwnym, w którym były i ból i trwoga i tajemniczość, wyzywająca, zda się, pytania.

— Nie jałmużny chcę ja dziś, paniczu złoty, — zaczęła, wstrząsając głową, z któréj na twarz pomarszczoną i zczerniałą spadały z pod brudnéj chusty białe jak mleko włosy.— Nie jałmużny ja dziś chcę,—powtórzyła,—ale mogiły takiéj głębokiéj, żebym z za piasku żółtego nie widziała już świata... Chcę ja, nim stanę przed sądem Bożym, sumienie mieć czyste i nie dopuścić, aby sroga zbrodnia wyszła na świat z wnętrzności moich... Chcę pomówić z tobą, paniczu, tak, żeby nas ptak nawet żaden nie podsłuchał.

Niewiele trzeba było, aby obudzić ciekawość Morysia. Dziwny wyraz, z jakim stara żebraczka w twarz mu pa-

trzała, i tajemniczość ostatnich jéj słów skłoniły go do wysłuchania jéj prośby, co zresztą stanowiło dlań pewną rozrywkę i sposób zabicia czasu, z którym, jak zwykle, nie wiedział co uczynić. Ażeby jednak nie być widzianym w tak kompromitującéj kompanii, rzucił się w boczną, pustą prawie, uliczkę i śpiesznie zapytał:

— I cóż tam takiego? co? mówcie.

Stara jednak przez chwilę mówić nie mogła; głowę spuściła, a żółte pokurczone wargi jéj drżały coraz silniéj. Nakoniec, pogrążona jakby w zamyśleniu, monotonnie i, trzęsąc głową, mówić zaczęła:

— Powiedzcie mi, paniczu złoty.... wyście wysoko urodzeni i z edukacyą pewną, powiedzcież mnie, co to takiego: ludzkość. Do połowy dni moich słowa tego ani słyszały uszy moje, potém zato słuchałam go, o mój Boże, słuchałam tak często, że mi od niego przed czasem włosy posiwiały i zgarbiły się plecy. Oj, kosteczki moje kosteczki! one mi od ludzkości téj bolą. Oj, wątroba moja wątroba! od ludzkości to ona mi spuchła! Powiedzcie mi: czy to jest rzecz jakaś, taka wielka i taka ciężka, że jéj człowiek mizerny w żaden żywy sposób udźwignąć nie może, a jeżeli ot, na grzeszny grzbiecik swój wziąć ją sprobuje, to i w błoto! Jak Boga kocham, prościuteńko, z ciałem i duszą, w błoto!

— Co mi to wy dziś gadacie, matko,—przerwał Moryś,—upiliście się może, czy co?

Wpatrzone wciąż w twarz jego oczy staréj błyszczały bolesną iskrą.

— Oj, kosteczki moje, kosteczki!—zawołała,—piły one przez długie lata srogie bóle i zawody, to i upiły się już tak, że pod ziemię im się chce. Mówię ja jemu by

nie raz, nie sto razy: co to ludzkość? pokaż ty mi ją, niech ją oczy moje zobaczą i palce dotkną... po cóż tobie tak od razu skakać het, aż pod niebo wysokie. Przecież wielka bardzo drabina ta, po której Aniołowie święci w Jakóbowym śnie wstępowali. A na piérwszym stopniu téj drabiny, toć chyba matka rodzona, co cię w bólach i umartwieniach rodziła i hodowała, znajduje się, a na stopniu drugim znajduje się, czy ja wiem? może ot, te kamienie, po których całe życie chodzisz, może i te ludzie, między którymi wyrosłeś, może... ja nie wiem... nie uczonam, ale że nie ludzkość, to pewno... bo to takie jakieś stworzenie, co gdzieś za morzami i górami mieszka, a w powietrzu pływa, niby mgła, i nie zobaczysz jéj i nie obejmiesz rękami i nie złapiesz... Musisz tylko do niéj skakać; a kto skacze, ten i kark złamać sobie może... Tak ja jemu mówiłam, nie słuchał, nie wierzył, skoczył i przepadł!

Moryś niecierpliwił się już trochę.

— No, matko, dość już tego paplania. Gadasz dziś jak najęta, a jedno nie trzyma się drugiego. Co masz mówić, to mów, a nie, to puszczaj mię ztąd, bo czasu nie mam.

Miał czasu aż nadto i dla tego nie odchodził; żebraczka pochwyciła go za rękaw paltota, przysunęła się ku niemu tak, że czuł niemal oddech jéj na swéj twarzy i śpiesznie szepnęła:

— Ratujcie dusze ludzkie od zbrodni... ratujcie niewinnego od krzywdy! Powiedzcie panu temu, co w tym białym domu mieszka, do którego wy chodzicie często, żeby ostróżny był... bardzo ostróżny, bo będzie źle....

Teraz Moryś pochwycił ją za ramię.

— Co? czy to o wuju moim mówisz? Czy to jemu grozi niebezpieczeństwo jakie?

Stara potwierdzająco i w milczeniu wstrząsała głową, a z wyrazu twarzy jéj, tak mało nawet badawczy wzrok, jak Morysia, wyczytać mógł, że ani żartowała, ani kłamała.

To téż, naglęco i niecierpliwie, Moryś zarzucił ją pytaniami: co miało, co mogło zagrażać wujowi jego?

— Gadajcież,—krzyknął prawie i, uparcie, ponuro, milczącą kobiétą silnie wstrząsnął.

— Oj, kosteczki moje kosteczki!—zajęczała, a po chwilowém jeszcze milczącém wahaniu się, parę słów, tak cichych jak tchnienie, Morysiowi do ucha szepnęła.

— A! tak! — zawołał, mimowoli cofając się o kroków parę, lecz, w mgnieniu oka, znowu pochwycił ramię staréj i natarczywie pytać zaczął:

— Zkąd wiesz? kto? kiedy? kto?

Jęknęła głośno i z rąk mu się wyrwała.

— Nie wiem,—żałośnym głosem krzyczéć niemal zaczęła,—nie wiem, ani gdzie, ani kto, ani kiedy! żebyście mię, paniczu, trupem na miejscu położyli, nie powiem... Na rany Chrystusa Pana przysięgam, że nie powiem... Co wam do tego: gdzie, kto i kiedy.

— Jakto, co mnie do tego!—zawołał Moryś,—a to dobre! co mnie do tego! Chciałbym przecież złapać ptaszków i tęgiego zadać im pieprzu.

Stara z powagą wstrząsnęła głową. Coś, jakby szyderstwo, zadrżało pomiędzy zmarszczkami jéj twarzy.

— Nie dla tego wcale powiedziałam wam to, paniczu, oj Bożeż mój, nie dla tego wcale, żebyście ich łapali i gorzkiego pieprzu zadawać im mieli. Powiedziałam wam to, bo żądam z czystém sumieniem przed blizkim sądem bożym stanąć i żądam téż, więcéj może niż zbawienia duszy własnéj, aby jedna dusza ludzka nie miała możności obciążenia

się ciężkim grzechem. Młody jesteś, paniczu, i nie wiesz, że można srodze gniewać się a jednakowoż miłować, wyrzekać a żałować, łająć a błogosławić... Ty nie wiesz, paniczu mój, wiele jeszcze rzeczy... ale ja wiem dobrze, że tacy wielmożni, jak ten pan, co wujem twoim podobno jest, mają także sposoby pilnowania domów swoich, aby ludzi pokusa nawet nie brała w szczeliny ich zaglądać. Niechże pilnuje, a ja stare kości moje pod kościół powlekę i na nieszporach prosić Boga, Ojca naszego miłosiernego, żeby mi prędzéj oczy do snu wiekuistego zamknął, a na tamtym choć świecie, z łaski swéj Przenajświętszéj, objawić mi raczył, co to takiego ta ludzkość!

Odwróciła się i, stękając, a kijem swym o kamienie bruku uderzając, powlekła się ku środkowi miasta. Moryś stał długo jak w ziemię wryty, pogrążony cały w czynności, któréj oddawał się niezmiernie rzadko: w myśleniu. Potém podniósł twarz, drgającą całą od uśmiechu, klasnął w palce i zawołał:

— Mam cię ptaszku! mam!

A patrząc w stronę, w któréj zniknęła stara żebraczka, śmiejąc się już głośno prawie, dodał:

— Niby to niepowiedziałaś, wiedźmo kijowska, kto i co, a ja wiem! Ech doprawdy! głowę nie dla proporcyi na karku noszę. Wiem. Nie darmo cygańskie oczy te dwa razy już za oknem wujaszka zobaczyłem. Mam cię ptaszku!

Zamyślił się znowu i z troską, która nagle odmalowała się mu na twarzy, zapytał siebie:

— Ale co teraz robić? jak zrobić? Wiedźma wygadała się... podobno tam i mistrz mój paluszki swoje umoczyć chce, a jeżeli jemu noga pośliźnie się... co będzie z odrodzeniem się świata?... z ideą? Co tu robić? co robić?

Z palcem, w głębokiéj zadumie, do ust przyłożonym, od chwili do chwili muskając rudawy wąsik, albo wznosząc oczy ku wronom przelatującym pod niebem, Moryś przechadzał się długo po najustronniejszéj części miasta. Pragnął snać być samotnym, bo unikał ulic ludnych, a toczył z samym sobą rozmowę, pełną świetnych pomysłów, to znowu smutnych wątpliwości, bo zadumana twarz jego zachmurzała się i rozjaśniała z kolei: wyrażała na przemian tryumf pełen radości, to głęboki na duchu upadek. Wieczór był późny już i ciemny; pora, w któréj zwykle pijał herbatę, przeszła już była dawno, gdy nakoniec wrócił do domu.

W skromnym, lecz wygodnym i czystym, jak kryształ, saloniku, który zarazem był sypialną Morysia, Lirska oczekiwała syna z utęsknieniem i niepokojem. Samowar, wciąż odgrzewany, kipiał i dymił się na stole, łóżko, uścielane zwykle własnemi rękami Lirskiéj, piętrzyło się miękkiemi poduszkami, woniało uperfumowaną bielizną, lśniło jedwabną, w hafty zdobną, kołdrą. Przy samowarze stała przygotowana przekąska i butelka najdoskonalszego Jamajskiego rumu. Jakież jednak zdziwienie i jaka trwoga ogarnęły Lirską, gdy syn jéj, zdjąwszy paltot i kapelusz, na przekąskę przelotnego nawet wejrzenia nie rzucił, zamyślony niezmiernie, muskając zlekka wąsiki i uśmiechając się do siebie, począł wielkimi krokami po saloniku chodzić.

— Morysiu! — zaczęła Lirska, — czy byłeś gdzie na herbacie?

Nie odpowiedział.

— Morysiu, — powtórzyła, — doskonała szynka i rum...

Stanął i gniewnie zawołał:

— Czy mama będzie kiedy cicho, czy nie? o to, doprawdy, męka czysta! tra ta ta! tra ta ta! tra ta ta! nad uchem! pomyśleć nawet spokojnie nie można.

Grobowe milczenie zapanowało w pokoju. Lirska, ze schyloną głową, pogrążyła się w szydełkowéj robocie swéj i tylko, od czasu do czasu, ze zniecierpliwieniem oglądała się na szumiący samowar. Zdawało się, że chciała nań zawołać: cichoże! nie przeszkadzaj mu myśleć!

Nagle, pośrodku pokoju, rozległ się wykrzyk Morysia:

— Zdecydowałem się! jak Boga kocham, niech sobie już będzie co chce. Zdecydowałem się...

Zbliżył się do stołu, porwał przygotowaną dlań szklankę herbaty z rumem, a przełknąwszy od razu połowę prawie zawartości jéj, spotkał się z utkwionym weń, lękliwie pytającym, wzrokiem matki. Parsknął śmiechem.

— Co mama na mnie tak patrzy, jakby mi rogi na głowie wyrosli!—zawołał, a potém puszczając się znowu na przechadzkę swą po pokoju, mówić zaczął:

— Rogi mi na głowie nie wyrosły, ale żem urósł sam, to pewnie. Ho, ho! figura teraz ze mnie... nie mała! Wié mama? losy kilku ludzi w ręku swojém trzymam i stanie się z nimi to, co ja zechcę aby się stało... ale ja już wiem, czego chcę. Zdecydowałem się... Wié mama, że dziwne dziwy dzieją się czasem na tym świecie?

Lirska zcicha odpowiedziała:

— Nic nie wiem, moje dziecko, i nic nie rozumiem, ale boję się, czyś trochę nie chory, bo takie masz rumieńce i błyszczące oczy...

— To ze wzruszenia, — odrzekł Moryś, — chory nie jestem, ani trochę, ale bardzo wzruszony. Jestbo czego! No, jednę rzecz, to już mogę mamie powiedzieć... ale nie poleci mama jutro z językiem nigdzie i nie rozpowie? pewno?

— Mój Morysiu,—zaczęła, — kiedyż to ja gdziekolwiek z językiem...

Nie dokończyła, bo pochylił się ku niéj i tajemniczym szeptem mówić zaczął:

— Położenie jest takie... niech mama tylko dobrze słucha... położenie jest takie, że jeżeli ja, słyszy mama? ja, nie przyjdę mu z pomocą...

Tu głosem, pienie koguta niéco przypominającym, dokończył:

— Wujaszeczek kochany cienko zaśpiewa!

— A niechże Pan Bóg broni!—zawołała Lirska,—dla czego on ma cienko śpiewać!

— Dla czego? dla czego? a dla czego mama nie mądra? ot tak sobie... przez jakieś zrządzenie Boże i koniec! tak samo i to! przeznaczenie snać chciało, abym był takim ubogim rycerzem, jak ten, który uratował królowi życie i któremu za to król córkę swą i połowę królestwa swego oddał.

— Mój Morysiu, tobie się chyba coś stało...

— Stało się! co miało stać się? Stanie się jeszcze coś... to pewno, ale coś takiego, że mama ze zdziwienia chyba, jak żona Lota, w słup soli się zamieni... Przybliża się już, moja mamo, czas wielkich katastrof... ta, o któréj ja wiem, ma być zapewne katastrofą pierwszą, no, ale niech już sobie z innego końca zaczynają... albo to świat bez téj jednéj katastrofy odrodzić się nie może?

Dokończył pić herbatę i z wyraźném zadowoleniem śledził na twarzy matki wrażenia, które na nią słowa jego sprawiały. Rozkoszował się nową mu rolą sfinksa, a język aż palił się mu od wielkiéj chęci wygadania wszystkich nadzwyczajności, któremi był przepełniony.

Skrzyżował ramiona i zapytał:

— Czy mama wie, co to: idea?

— Dla czegożbym wiedzieć nie miała, dziecko moje? idea jest pojęciem o czémś...

— Otóż to; idea jest pojęciem o czémś. Bardzo dobrze mama się wyraziła. Jest to pojęcie o czémś wielkiém, ogromném, nadzwyczajném, o czémś takiém, co ma odrodzić i uszczęśliwić ludzkość. Czy mama wié, że ja niedawno, ot, w początku jesieni jakoś, poznałem się z jedną taką ideą, bardzo ją pokochałem i chciałem był poświęcić się na jéj usługi. Ale teraz... pomyślałem sobie: albo to mało jest ludzi na tym świecie? Niechaj sobie służą idei, bezemnie obejdzie się ona i postanowiłem służyć samemu sobie...

Zsunął brwi, a pełnym powagi krokiem przechadzając się znowu po pokoju, z oratorskiemi gestami, mówił:

— Bo przekonałem się zresztą i *on* już także przekonał się, że świat nie na miłości stoi, ale na nienawiści. Nie miłość jest sprężyną, poruszającą ludzkiemi czynami, ale nienawiść. Przekonałem się o tém z doświadczenia. Żebym cygana tego nie nienawidził, możebym i nie zrobił tego, co zrobię, ale ja jego tak nienawidzę. Uf!

Uczynił obu rękami gest taki, jakby komu szyję skręcał i stanął przed matką.

— Czy mama wie,—zaczął uroczystym głosem,—że jest na świecie człowiek jeden, który mi raz wielką, ale to bardzo wielką nieprzyjemność zrobił... Nie cierpię go tak, że kiedy na niego patrzę, wszystkie złości mię biorą i żałuję, że nie jestem pszczołą, aby mu żądło aż w samo serce zapuścić... Otóż teraz będę pszczołą taką... otóż zgniotę! otóż pomszczę się! ha! aż Aniołowie w niebie razem zemną śmiać się będą!

Tymczasem śmiał się już sam, bez anielskiego akompaniamentu. Blade oczy jego błyszczały gorączkowo, zlekka czerwonawa cera zachodziła ciemnym rumieńcem.

Lirska zaczęła już drżeć z niepokoju.

— Mój Morysiu,—zaczęła błagalnie,—możebyś położył się już, uspokoił. Ja nie wiem, co ci jest, ale lękam się...

— Nudna mama jesteś z tém swojém wiecznem: lękam się! ale istotnie, położę się z ochotą. Czuję się zmęczonym trochę... Prawdę to jednak mówią ludzie, że praca umysłowa, to djabelnie męcząca rzecz... Napracowałem się... aż mię głowa zaczęła boleć!

Lirska zakrzątnęła się pośpiesznie; postawiła przy łóżku syna: wodę, sok, trochę konfitur, flakonik z perfumą, a potém, jak małe dziecko, rozebrała go własnemi rękami i gorąco w czoło ucałowała. Moryś, topiąc się w puchach, pocałował téż matkę w obie ręce i, przymilając się do niéj, rzekł:

— Ot, dobra z mamy kobiécina i jeżeli ja mamę, czasem, słowem jakiem obrażę, to przez prędkość tylko... doprawdy! proszę nie gniewać się na mnie i dobrze spać!

A gdy, ze łzami rozczulenia w oczach i radośnym uśmiechem na twarzy, odchodziła, zawołał jeszcze:

— Ja przecież staram się i różne plany obmyślam nietylko dla siebie, ale téż i dla mamy, bo jak mnie będzie dobrze na świecie, to i mama będzie szczęśliwa, prawda? Kiedy zostanę wielkim panem i z Aurelką ożenię się, mama będzie mieszkać sobie przy nas, jak u Pana Boga za piecem, i ptasiego mleka nawet mamie nie zabraknie, jak Boga kocham!

Lirska nie odpowiedziała, bo w ciasnéj szufladce swéj rozbierając się, półgłosem odmawiała pacierze; tylko mruczenie jéj wzdęło się radośnemi jakby i błogosławiącemi westchnieniami.

W godzinę potém, w ciemności napełniającéj mieszkanie, ozwał się jeszcze głos Morysia:

— Czy mama nie śpi?

— Nie śpię, moje dziecko, jestem trochę niespokojną o ciebie i nie spię...

— I ja nie mogę spać!—jęknął Moryś,—rzucam się po łóżku, jak ryba w wodzie, nie mogę...

Tu ziewnął szeroko, ale w przyległéj szufladzie zaszeleściło tak, jakby ktoś zrywał się z łóżka...

— Może ci czego potrzeba?—zapytała Lirska,—herbaty ci może zrobić? a może trochę laurowych kropel dla uspokojenia nerwów?

W odpowiedź, na te pełne troskliwości pytanie, ozwał się w saloniku przyciszony, ale serdeczny śmiech.

— Jak Boga kocham! — zawołał Moryś, — aż mi serce skacze od śmiechu, kiedy sobie pomyślę, jakto wkrótce wujaszeczek cienko zemną zaśpiewa!...

VII.

Nigdy jeszcze, w burzliwem jednak życiu swojém, Szymon Kępa tak bardzo wzburzonym nie był, jak gdy następnego dnia do izdebki jego wszedł Maurycy Lirski. Stał on pośrodku izdebki, z rękami rozkrzyżowanemi w powietrzu i z uniesieniem niezmierném przemawiał do Sylwka, który, siedząc na ziemi przed pełnym żaru piecem, z pozoru przynajmniéj, zajęty był pieczeniem kartofli. Na widok wchodzącego, Kępa urwał mowę swą w połowie wyrazu i zaszamotał się, jak człowiek pochwycony znienacka

śród tajemnych czynności czy myśli i nie wiedzący, co mówić lub czynić mu wypada. Lecz wesołość i swoboda humoru, którą od samego wejścia okazał Moryś, oprzytomniła go wkrótce.

— Mówiliśmy, — jąkając się i z nieprzytomnym jeszcze trochę wzrokiem rzekł do gościa, —mówiliśmy tu o wpływie, który wywrzeć muszą na przyszłość ludzkości wielkie katastrofy, które, w uśpione jéj sumienie, jak grom uderzą...

— A! wielkie katastrofy,—powtórzył Moryś,—rozumiem, mówiłeś już mi pan o nich nieraz. Sądzisz więc pan, że sumienie ludzkości jest uśpione? słowo honoru, lubię za to tę ludzkość; że tak sobie drzemie, bo i sam dziś chciałbym to tylko czynić. Tak się téj zimy bawię, że nigdy wyspany nie jestem. Zawczoraj, naprzykład, u wujaszka na muzykalnym wieczorze bawiono się do piątéj... A śliczny był wieczór, prawda?

Ostatnie pytanie to skierował najwyraźniéj ku Sylwkowi, który też zwrócił ku niemu twarz swą, oblaną czerwoném światłem żaru i przez ostatnie dni widocznie zmienioną. Policzki mu schudły i zapadły oczy. Za całą odpowiedź obojętnie wzruszył ramionami.

— No nie zapieraj się pan, — zaśmiał się Moryś, — widziałeś doskonale wieczór ten, bo patrzałeś przez okno, nikt tego nie spostrzegł, ale ja...

— A no patrzałem, — śmiało patrząc mu w twarz, odrzekł Sylwek.—Myślicie, że zapierać się będę? Alboż zjadłem wam kawałek téj waszéj zabawy?

— Ależ nie! gdzie tam! i żebyś zresztą nadgryzł jéj trochę, nicby w tém złego nie było. Możnaby ztamtąd nietylko cząsteczkę jakąś, ale połowę wziąć i jeszczeby tyle zostało, że, w przyjemnościach różnego rodzaju, wujaszek

z całą familiją swoją kąpaćby się mógł aż po włosy. Strach, jaki on bogaty! W biórku jego, w jednéj szufladzie, widziałem na własne oczy przynajmniéj trzydzieści tysięcy, w biletach bankowych, cały posag Aurelki. U wujenki brylantów i różnych drogich kamieni choć przesypywać garściami. A srebro stołowe, a futra kosztowne... he, będzie tam tego wszystkiego razem na jakie pół-milionika najmniéj...

Tryumfującym wzrokiem potoczył do koła, bo w jakichkolwiek tajemnych zamiarach opowiadał on o bogactwach krewnego swego, chełpienie się tém, że był to jego krewny, sprawiało mu żywą przyjemność. Pomimo jednak, że wyraz oczu jego był tryumfującym, był on też zarazem badawczym i przenikliwym. Nie uszło też jego uwagi, że spojrzenia dwóch obecnych ludzi nagle spotkały się z sobą i rozbiegły się wnet z błyskawiczną szybkością, poczém Sylwek patrzał w czerwony żar nieruchomem okiem, a źrenice Kępy znowu na chwilę zmąciły się wyrazem bezprzytomności. Moryś wygodniéj rozsiadł się na pieńku, który służył mu za siedzenie, i z nieporównaną swobodą wymowy i humoru daléj prawić zaczął:

— Dziwna to jest rzecz, moi panowie, jak dalece piekielna pycha zaślepia tych krezusów i objadaczy świata. Myślą oni, że są tak wielkimi, ale to tak wielkimi, że nikt i nic szkody im żadnéj przynieść nie ośmieli się, że sam Pan Bóg rozkazał katastrofom wszelkim, aby dotykać ich nie śmiały. Oni myślą, że wszyscy ich, jak panów bogów, szanować muszą. Wujaszek naprzykład... co za nieostrożność, z pychy i wiecznéj pomyślności pochodząca! będąc tak bogatym, bogactwa swego strzeże tak, jak ja, z przeproszeniem, parę starych butów. Nic tam nigdy nie zamknięte,

nie pilnowane. Nie raz mówiłem mu, że będzie kiedyś katastrofa; odpowiada: że całe życie tak przebył i nigdy mu się nic nie stało... Co to panu? sparzyłeś się?

Pytanie to skierowane było znowu do Sylwka, który istotnie przeciągle syknął. Tymrazem jednak chłopak nie odwrócił twarzy, a machinalnie wygrzebując z popiołu kartofle, odmruknął raczéj, niż odpowiedział:

— Nie, nie sparzyłem się. Albo to od ognia tylko boli, gdy go dotknąć...

— Aha! wiele, wiele rzeczy na świecie boli! Ot, jak pan, panie Kępa, dzieło swoje wydrukujesz i jak sprawiedliwość stanie się już na świecie, nikogo już nic boleć nie będzie. Ale, wracając do wujaszka... bo mam tam nimi teraz głowę nabitą... jadą dziś wszyscy całą czeredą na bal; najstarszy lokaj, który porządku w domu dogląda, jedzie z nimi, a w domu tak: chłopcy z kredensu do suteren z kucharzem i kuchcikami w karty grać; panna służąca do znajomych hulać; pokojówki na górę, na salkę, i śpią jak zabite...

Tu pochwycił nagle kapelusz i zerwał się z pieńka.

— Aj, zagadałem się, — zawołał, — a mama z obiadem czeka i sam djabelnie jestem głodny. Panie Kępa, przyrzekłeś mi pan już dawno przeczytać najważniéjszy rozdział swego dzieła, ten, o suchych drzewach, na spalenie przeznaczonych. Przyjdę jutro trochę wcześniéj i będę korzystał... A i pan idziesz także?

Sylwek istotnie z pośpiechem wciągnął na siebie bluzę, na plecy wziął katarynkę i stanął przy drzwiach.

— Jeżeli pan pozwoli... jeżeli pan wstydzić się nie będzie kompanii mojéj,—rzekł zcicha,—pójdziem razem kawałek drogi, tylko do któréj ze środkowych ulic i... pogawędzim.

— I owszem i owszem,—z niezmierną uprzejmością zgodził się Moryś.

Wyszli obaj. Sylwek wrócił do izdebki ledwie o zmroku. Postawił na ziemi katarynkę, usiadł na niéj i odezwał się:

— Dziś... mój dzień.

— Dziś! — jak echo, lecz echo grozy pełne, powtórzył w zmroku Kępa. Potém, po chwilowem milczeniu, zwolna, z powagą wielką i głębokim smutkiem, mówić zaczął:

— Nie tego pragnąłem... nie o tém marzyłem, nie takiemi sposoby zamierzałem pierwotnie odrodzić ludzkość. Ale idea moja ma wymagania swe dziwne, niepojęte, rozwoje przyczyn i następstw nieprzewidziane, a człowiek, chociażby tak jak ja, miał wolę najsilniejszą i najpotężniéjszy rozum, jest jako kula, która toczy się nie tą drogą, którą sobie obrała, ale na którą popycha ją punkt jéj wyjścia. U punktu wyjścia mego była miłość, sama tylko przeczysta i przegorąca miłość, lecz wielki Boże! ileż żywiołów innych przybrała w siebie ta piérwotna sprężyna życia mego, tocząc się drogą, pełną kamieni, obrazy i fatów-morganów, pełną przeróżnych nadziei, zawodów i nędz...

Po chwili milczenia zaczął znowu:

— Marzyłem o tłumnych scenach, zbiorowych działaniach, o katastrofach, któreby rozeszły się od końca do końca świata i postać jego szybko od razu zmieniły. Tymczasem ciasne ramy ziemskiego życia strasznie zwęziły mi wymarzone obrazy. Zgodzić się muszę z twardą rzeczywistością: działać dorywczo, karcić i zawstydzać jednostki i jednostki téż popychać ku domierzaniu sprawiedliwości.

Milczał znowu chwilę, potém z wielkim wybuchem głosu, tak zupełnie, jakby w téj chwili dokonał uszczęśliwiającego jakiegoś odkrycia, zawołał:

— Bo i w istocie: dla czegóż miałoby być wzbronioném jednostce to, co, wedle idei mojéj, jest świętém prawem tłumów!

W cieniu odezwał się przytłumiony, ponury głos:

— Gdym dzieckiem był, powiedziałeś mi, żem srodze skrzywdzony przez jednego z tych, którzy mieszkają tam, wysoko. Powiedziałeś mi, że miejsce moje własne i rodzone znajduje się tam, wysoko. Powiedziałeś mi. żebym rósł na to. aby uczynić pomstę. Pytałem się potém każdéj godziny i każdéj minuty mego życia, czy mówiłeś mi prawdę, a każda godzina i minuta i każda kropla własnéj mojéj krwi krzyczała: prawda! prawda! prawda!... Darmo, darmo teraz, wczoraj i dziś, zawodziłeś zemną sprzeczki. Co kamieniem ciężkim wpadło w serce, to zeń nie wypadnie, co we wnętrznościach człowieka rosło przez długie lata, tego w jednéj minucie nie zdmuchnąć, nie zniweczyć. Kiedy przyszedł mój dzień. kiedy idę naprawiać krzywdę swoję, pomstę czynić i zabierać sobie rodzone miejsce swoje, które jest tam, wysoko,—nie przeszkadzaj, nie zabraniaj,—nie posłucham.

Długo, godzinę może całą, milczeli obaj. Potém szept głośny i wyraźny rzucił w zmrok jeden tylko wyraz:

— Idź.

Sylwek wstał i wyszedł z izdebki. Kępa zapalił świeczkę i, stojąc nad skrzynią ze skrzyżowanemi ramiony, a w rozrzucone arkusze rękopismu swego wbijając wzrok, z nieopisaném, radości pełném, szyderstwem mówić zaczął:

— Jestem więc jednym z tych głupców, którym się wydaje, że świat na to został zrobionym, aby go oni przerabiać mogli. Tak powiedziałeś o mnie, ty, wielki, który ciężkim cieniem ległeś na drodze mojéj. Zobaczymy teraz, kto z nas możniéjszy i czy głupiec ten, ten waryat, na świetną

dolę twoję opuścić też nie potrafi ciężkiego cienia. Jakkolwiek stanie się, czy dziecko to z ognistéj próby téj wyjdzie tak, czy inaczéj, ja, ja zatruję ci serce i życie. To będzie rozkosz moja, korzyść moja cała, nagroda moja za wszystko, a pożytek dla świata jaki? Oto widok i odgłos wielkiéj katastrofy, od któréj zadrżeć musi sumienie ludzkości.

W kącie izby stała niewielkich rozmiarów, z prostych i starych desek zbita, skrzynka Sylwka. Kępa z elastycznością źwierzęcia, rzucającego się na łup swój, poskoczył ku niéj, grzebał w niéj chwilę, aż w kieszeni staréj jakiéjś odzieży wynalazł zżółkły i zmięty arkusz papiéru, pośpiesznie zasunął go za surdut swój, który szczelnie i uważnie zapiął aż po brodę.

W téj chwili Sylwek wszedł na dziedziniec Szarskich i zatrzymał się przed otwartemi drzwiami staréj drwalni.

— Antka! Antka!—zawołał półgłosem.

— Ha?—ozwało się lakoniczne pytanie, kędyś w górze, i dał się słyszeć szelest zsuwającego się z dachu ciała.

Dziewczyna, w krótkiéj spódnicy i rozwartéj u piersi koszuli, ze zwinnością małpią, czepiała się przez chwilę gzémsów i belek, a potém, ze znacznéj jeszcze wysokości, lekko jak pióro, na ziemię skoczyła.

— Czego?—zapytała i, wnet podnosząc twarz ku szczytowi dachu, wołać zaczęła: kici! kici! kici!

— Antka!...—zaczął Sylwek, ale ona nie słuchała go.

Tą samą drogą, którą schodziła, żółty kot złaził z dachu, z najniższego gzémsu wprost na ramię jéj skoczył i wplątał się w rozpuszczone jéj włosy tak, że aż syknęła. Nie skarciła go jednak za ból, który jéj sprawił, tylko pogrążyła się całkiem w wydobywaniu włosów swych z drapieżnych jego uścisków.

— Rzuć precz to zwierzę! — krzyknął prawie Sylwek; lecz ona odskoczyła i spójrzała na niego oczami, w zmroku nawet błyszczącemi od gniewu.

— Rzuć! — krzyknęła, — jak raz! rzuć! kici, kici moje! kici, kici!

— No to słuchaj, głupia dziewko, co ci powiem, uważnie tylko słuchaj. Czy znasz biały ten dom, duży, co tam, na Wiejskiéj ulicy, za temi pustemi ogrodami i za tą gromadą drzew, w wielkim dziedzińcu stoi...

— Ajaj! — odpowiedziała i wykonała piruetę, w któréj nogi jéj zatrzepotały w powietrzu, jak skrzydła ptasie.

Sylwek wiedział, że była to zwykła jéj twierdząca odpowiedź. Bardziéj jeszcze zniżonym głosem zapytał:

— A wiesz najlepszą drogę do tego domu?

— Ajaj! -- wykrzyknęła znowu i tym razem nie siebie samę, ale kota swego wyrzuciła w powietrze.

— Ale taką drogę, słyszysz? którą nikt... nikt... nigdy nie chodzi...

— Oj oj! — odpowiedziała i obu ramionami tuląc do piersi kota, a gorliwie zajęta jak najlepszem ukrywaniem go w zgarniętych na piersi włosach, recytować zaczęła:

— Hyc! przez płot, na zagony, w prawo, pod krzakami... aż do dziury w chlewie tym, co wali się... szmyk! przez dziurę, koło parkanu wysokiego, gdzie furtka ze szczeliną, co w nią jak palec włożył, to i klamkę z tamtéj strony otworzył... przez furtkę, między drzewa! od drzewa do drzewa i pod samiuteńkie okna!

— Poprowadzisz?—zaszemrał w zmroku głos cichy, jak tchnienie.

— Cha cha cha! cha cha cha! cha cha cha!—rozległ się śmiech szalony i niewielka postać, niby ludzka, z długiemi

nogami, a rozwiewającemi się włosy, wykonywała pod ścianą drwalni napowietrzne, niby skrzydłami ptasiemi łopocące, skoki.

— Cicho! waryatko!—szepnął gwałtownie niewielki téż cień, który wysunął się z czarnego jak otchłań wnętrza drwalni i, schwyciwszy wpół, ręką jéj usta przycisnął.

— Damek! zadusisz!—krzyknęła Antka.

— A ja wam niepotrzebny? — cichutko zapytał Sylwka syn Szarskiego.

Sylwek odszepnął mu jeden tylko wyraz.

— Dobrze, — odpowiedział chłopiec, — dla czego nie? byliście zawsze dobrzy dla nas wszystkich. Co mi to szkodzi przysługę wam oddać. Gdzież i kiedy przynieść wam to żelaztwo.

— Jak piérwsza wybije na kościelnéj wieży... od Chaima wyjdę...

Jakby mu rozmowa ta strasznie ciężyła, odwrócił się szybko i odszedł.

W handlu Chaima, przez całe prawie noce, żółty płomyk świecił w odymionym kominie lampki i rozczochrana dziewka, ze wschodniém, płomiennem okiem, zawieszona na wysokim stołku, bezmyślnie wpatrywała się w ściany, okryte pudełkami z tytuniem. Nocy téj dziewka ta miała chwilę przestrachu, gdy z idyotycznéj zadumy jéj wyrwał ją stuk gwałtownie otwierających się drzwi i gdy zobaczyła wchodzącego przez nie człowieka, który znajomym jéj był wprawdzie, ale przystąpił do bufetu takim krokiem i z takim wyrazem twarzy, że mimowoli i instynktownie krzyknęła:

— Tate! tate!

Z za drzwiczek, przysłoniętych z wewnątrz firanką, pośpiesznie wysunął się Chaim.

— Wódki!—stłumionym głosem i ze spuszczonemi oczami zawołał gość.

W mgnieniu oka Chaim podał mu blaszaną czarkę, pełną żądanego napoju. Gość wychylił ją od razu, zakrztusił się, spąsowiał cały i, oddając ją gospodarzowi handlu, głucho wymówił:

— Jeszcze!

— Nu, co waści stało się, panie Cmentarnik,—zagadał żyd; — waść, jeszcze jak żyw, kruczka wódki u mnie nie wypiłeś, a dziś... no, węglem na kominie zapisać...

Wypił i drugą czarkę. Żyd mówił prawdę. Musiał on mieć dotąd wstręt do wódki i nie pić jéj nigdy, bo nieprzyzwyczajony, po dwu jéj czarkach, zachwiał się na nogach, zatoczył aż pod ścianę i stał tam chwilę z czołem, do pudełek z tytuniem przyciśniętém. Upojenie to przecież było chwilowém. Przeciągły, basowy, jeden tylko dźwięk, zdala kędyś, ze środka miasta dolatujący, rozbrzmiał w powietrzu.

— Piérwsza bije!—zauważył Chaim.

Rozczochrana dziewka głośno i szeroko ziewnęła. Cmentarnik wyprostował się i wyszedł z szynku na zaułek.

Tu, przy ścianie domostwa, nad rynsztokiem, podniosło się, jakby z ziemi wyrosło, kilka niewielkich cieniów.

— W drogę szczury... o tam... co będę wam rzucał, łapcie.

Jeden z cieniów pomknął przodem, biegł chwilę wzdłuż starego parkanu, potém wdrapał się na szczyt jego i, giętkie ciało ku towarzyszom wyginając, zawołał z cichym chichotem: kici! kici! kici! kici!

W pobliżu, kędyś za węgłem jakiegoś domostwa, rozległ się szept radosny:

— Mam cię ptaszku! mam cię Aurelko!

I szczupły, wysmukły człowiek śpiesznie podążył w stronę zaułka, wiodącą ku szerszym i widniejszym ulicom.

Nie wiele później Kępa także opuścił swą izdebkę i powolnym uroczystym krokiem posuwał się w tym samym kierunku, choć inną drogą.

Tytus Tarżyc na bal nie pojechał. Kiedy córka jego, oplatając mu szyję ramiony swemi i pocałunkami czoło okrywając, prosiła go, aby towarzyszył jéj na tę świetną zabawę, która bez niego będzie dla niéj smutną, śmiejąc się, odpowiedział, że widocznie stworzony jest na wieśniaka i hreczkosieja, bo zmęczonym czuje się trochę tém arcyświatowém życiem, które w mieście prowadzić musi; że tęskni za chwilą ciszy i samotności; że od miesiąca już książki żadnéj otworzyć nie miał czasu; że tylko obowiązek zapoznania ją z ludźmi, pośród których żyć jéj przyjdzie i wielka téż chęć pochwalenia się nią przed ludźmi, skłonić go mogły na starość do rzucenia się w wir wizyt tych, wieczorów i zabaw wszelkich... A gdy, jak rozpieszczone dziecko, nieprzywykłe do przeciwności najlżejszéj, zachmurzyła się nieco, z powagą rzekł:

— Jedziesz z matką, pod szanowną i przez wszystkich szanowaną jéj opieką, a jakkolwiek ja tam z tobą nie będę, nie przestanie strzedz i osłaniać cię to, że jesteś moją córką.

Niewiele przed północą zaturkotały na dziedzińcu koła karety; Aurelia, wesoła już, piękna, strojna, wybiegła z głę-

bi mieszkania i rzuciła się ojcu na szyję. Pożegnanie trwało długo. Nie rozstawali się z sobą nigdy prawie, nie mogli się téż od siebie oderwać.

— Ojcze! ojcze! konwalje moje! — zawołała dziewczyna, gdy zbyt mocno przycisnął ją do piersi, a ukazawszy ojcu kilka zgniecionych u sukni kwiatów, rzuciła mu w powietrzu ostatni pocałunek i pobiegła ku matce, którą on pośpieszył okryć troskliwie kosztownem futrem. Ucałował potém ręce żony i gdy turkot karety oddalił się od okien, a służba, pogasiwszy światła w pokojach, zniknęła, z zapaloną lampą w ręku wszedł do gabinetu swego. Był to piękny, obszerny pokój, pełen sprzętów wygodnych i wytwornych, z wielkiém biórem pośrodku, ozdobnie przybranem, okrytém książkami. Tytuły książek okrywających bióro i parę wysmukłych, zgrabnych etażerek, obrazy zdobiące ściany, pianino otwarte, z pulpitem obciążonym nutami, świadczyły o wykształceniu właściciela pokoju tego wysokiém, lecz przeważnie i może nawet wyłącznie artystyczném. Artystyczne to może skłonności i zajęcia sprawiały, że pośród światowego gwaru, w którym od paru miesięcy zostawał, a który przecież złożonym był z samych tylko miłych dlań wielostronnie żywiołów, tęsknił on za chwilą ciszy i samotności, pragnął skupić się w sobie: nad tém, co było, zastanowić się, i o tém, co będzie, pomarzyć. Jak wszyscy ludzie, których życie kołysało miękkiemi pieszczoty, a piękno pała nektarem szlachetnych i rozkosznych wzruszeń, lubił on niekiedy samotnie i w niezmąconym spokoju myśleć i marzyć.

Teraz dom jego pustym był i cichym.

Usiadł przy biórku, wziął do ręki książkę i czytał ją chwil kilka. Widać jednak było, że nie do czytania czuł

się usposobionym. Aurelka, śliczna córka jego, w balowym stroju i z licem, spłonioném nadzieją zabawy, jak zaklęta stała mu przed oczami. Pomyślał najprzód, że wkrótce, wkrótce zapewno przyjdzie mu rozstać się z dzieckiem tém, które stanowiło przeważną część jego szczęścia. Westchnął i pomyślał znowu, że znajduje się w bardzo ważnéj epoce życia swego. Wiek jego był tym, w którym człowiek, nie tracąc jeszcze energii młodości, czuje przecież zbliżający się jéj koniec. Włosy zaczynały coraz gęściéj srebrzyć się mu nad skrońmi, jedyne dziecko jego dorosło i rozpocząć miało wkrótce życie samoistne, stać się ogniskiem i zawiązkiem rodziny innéj. Mógł więc powiedzieć sobie, że dzień jego pochyla się ku końcowi i że wszystko, co odtąd dlań nastąpi, będzie długim może, pogodnym zapewne, lecz już—wieczorem. Myśl ta przecież nie zasmuciła go wcale, tylko nasunęła mu dwa pytania: czy przez dość długi już szereg lat przeżytych był szczęśliwym i czy na szczęście swoje zasłużył? Na piérwsze z pytań tych, bez chwili wahania, odpowiedział sobie twierdząco. Tak; dola jego była jednym z tych promienistych szlaków, które zrzadka, niby dla dania wypoczynku zmęczonym oczom ludzkim, przewijają się pośród ziemskich niedostatków i nędz. Były zapewne na szlaku tym i ciemne także punkty, przedstawiające chwilowe troski, konieczne i naturalne straty, cierpienia, nie z osobistych źródeł płynące. Lecz były to punkty drobne, szybko znikające, nieliczne. Zresztą, wszystko mu się zawsze wiodło, wszystko mu sprzyjało. Dobre wieszczki dostatków, stanowiska społecznego, zewnętrznych darów, które dla posiadaczy ich serca ludzkie jednają, dobre te wieszczki, splotłszy się w wieniec z mocami, krzeszącemi we wnętrzu człowieka zdolność poznania i ukochania piękna,

w chwili urodzin jego, otoczyły jego kolebkę i wiernie już towarzyszyły mu aż do chwili obecnéj. Nad drugiém jednak pytaniem, samemu sobie zadaném, Tarżyc zadumał się długo i głęboko. Czy był godnym szczęścia swego? Któryż człowiek z sercem w piersi i sumieniem wykształconém, przez myśl oświeconą, na pytanie podobne, bez namysłu i wahania, odpowiedzieć sobie może: tak! Tarżyc jednak czuł w téj chwili głęboką, niezmożoną potrzebę zdania przed samym sobą rachunku z życia tego, o którém wprzódy śmiało już był powiedział sobie, że było szczęśliwém. Nie należał on do tych, którzy radzi są mówić sobie i innym: jesteśmy wielcy! Lecz także nie zeznał tego przed sobą, aby był małym. Z ręką na piersi położoną, pomyślał, że przecież spełnił chyba wszystkie obowiązki, które w spuściznie pozostawili mu przodkowie i które następnie włożyły nań okoliczności i koleje własnego jego losu. Nie zmarnował dóbr, pozostawionych mu w darze przez pracę kilku zbiegłych pokoleń, nie oddał na pastwę ruinie i zatracie, jak to czyniło tylu innych, ścian rodzinnego domu i ziemi, w któréj spoczywały czczone przezeń zawsze popioły ojców. Rodzinne życie jego płynęło bez burz i niezgód, owszem — w czystéj i spokojnéj atmosferze serdecznych uczuć, które, przez przybycie na świat jedynego dziecka, wzmogły się w potęgę i w dalszą już przyszłość sięgnęły. Czy dostatków, których używał sam, skąpił i strzegł przed innymi? Nie; jeżeli cokolwiek wyrzucać sobie mógł, to chyba zbytnią skłonność do czynienia dobrodziéjstw, które często na niewdzięczną padały glebę. Czy wytwarzał z nich mętne źródło występnych i poniżających uciech? Nie; sztuka i szlachetne rozkosze, przez nią sprawiane, były zawsze namiętnością jego, najwyższą uciechą, przedmiotem, dla któ-

rego poświęcić był zawsze gotów część mienia swego i czasu... Zresztą, cóż? Honor jego, rodowy klejnot ten, który wraz z tarczą herbową, po długim szeregu nieskazitelnych, często nawet wielkich, przodków swych otrzymał, nieskazitelnym téż i najmniejszą szczerbą nienadwerężonym przekazać mógł jedynemu dziecku swemu. Wyryte na klejnocie tym słowa: „Szlachectwo obowiązuje", świeciły mu zawsze przed oczami, jak rozkaz wykrzykiwany doń przez przeszłość wiekową, od rozkazu tego nie uchylił się nigdy, cześć imienia swego, cześć swą szlachecką i ludzką, mogąc w każdéj chwili, niby księgę o białych kartach, przedstawić przed światem, aby w nią patrzał.

Nie idzie zatém. aby Tarżyc w cichéj téj i szczeréj zupełnie spowiedzi, przed samym sobą uczynionéj, uznał się za świętego, za wolnego od wszelkich błędów i grzechów. Były to przecież błędy małego znaczenia, grzechy powszednie, z naturalnéj i powszechnéj ułomności ludzkiéj płynące. W młodości swéj żywym był, gwałtownym nawet nieraz, miewał zachcianki i przemijające upodobania, dogadzaniu którym sprzyjały w szczególny sposób warunki stanowiska i fortuny jego. Wtedy, a może i późniéj jeszcze, zbłądzić mógł, uczynić coś, czegoby z zimną krwią i w innych okolicznościach nie uczynił pewnie. Wszystkie te jednak drobne zboczenia i powszednie grzechy nie stanowiły wcale o treści jego życia, które było poważne i czyste, ani w najmniéjszym stopniu nadwerężać nie mogły honoru jego, który był nieskazitelnym...

Gdy tak rozmyślał, przywodząc sobie na pamięć mnóstwo szczegółów swojego życia. uśmiechając się ku jednym z nich, nad innemi długo dumając, płomyk, zawarty w małéj lampie, umniejszał się coraz, aż zgasł zupełnie. Nie za-

uważył tego. W ciemności lepiéj jeszcze, spokojniéj było mu myśleć. Nie zauważył téż: jak po obszernych ciemnych pokojach jego mieszkania rozbiegło się echo basowego donośnego dźwięku, którym, z wieży kościoła, zegar miejski ogłaszał piérwszą po północy godzinę. Nie dosłyszał potém także i nie zauważył lekkiego bardzo szmeru, który zaszeleścił w oknach, przylegającéj do gabinetu, sali jadalnéj. Był to szmer, podobny do przesuwania się ostrza jakiegoś po jakimś twardym przedmiocie, trwał on dość długo, poczém lekko zadzwoniło szkło i do gabinetu wpadł szeroki powiew mroźnego powietrza. Powiewem tym dopiéro, z głębokiéj zadumy swéj zbudzony Tarżyc, szybko zapalił jednę ze świec, w ozdobnych lichtarzach na biórku stojących i, jakby sprężyną z miéjsca ruszony, zerwał się z siedzenia swego. O kilka od niego kroków, pomiędzy biórem a otwartemi na oścież drzwiami jadalni, stał, w pochylonéj nieco naprzód postawie, szczupły, wysmukły chłopak, w manszestrowéj bluzie i jaskrawo czerwonéj chustce na szyi. Nad śniadą, tak, że aż prawie bronzową, twarzą jego piętrzyły się czarne jak noc włosy, a z za drobnego czarnego wąsa, w dziwnym, bolesnym i zajadłym uśmiechu błyskały białe zęby. W jednym ręku trzymał głuchą latarenkę, w drugiém ciężki pęk żelaztwa. Na widok roznieconego światła i podnoszącéj się nad biórkiem wysokiéj postaci pana domu, chłopak ten drgnął i cofnął się kroków parę. Był to przecież ruch instynktowy tylko, nie z lękliwości wcale, ani w zamiarze ucieczki dokonany. Stanął bowiem wnet jak w ziemię wryty i tylko latarenka z ręki mu wypadła i zgasła.

— Kto pan jesteś i czego chcesz? — głosem, w którym najlżejsze nie ozwało się drżenie, zapytał Tarżyc.

Zarazem uczynił ruch, ku wiszącéj u bocznéj ściany gabinetu, taśmie od dzwonka. Lecz ruch ten jego dostrzegłszy, szczególny ów gość nocny pochylił się nieco i jednym sprężystym skokiem drogę mu zagrodził. W téjże chwili, błyskawicznym ruchem z kieszeni wydobyty, w ręku jego błysnął niewielki, ale jak stal najczystsza połyskujący, nóż. Tarżyc nie drgnął, cień trwogi nie odmalował się na twarzy jego, która ani zbladła, ani wyrazu pogardliwéj nieco wyniosłości nie utraciła. Cofnął się tylko ku biórku, skrzyżował ramiona i przenikliwie a niewzruszenie patrzał w twarz złoczyńcy. Lecz i ten także powiek nie spuszczał. Podniósł owszem głowę, oczy mu zagorzały płomieniem ciemnéj, ponuréj dumy. a na ustach zawisł znowu, wpół boleśny, wpół nienawistny uśmiech. Tak przez sekund kilkanaście stali naprzeciw siebie milczący obaj, śmieli i różną, lecz jednako niezgiętą, dumą wyniośli, a pomimo przepaści niepodobieństw, która ich dzieliła, dziwnie, dziwnie do siebie podobni...

W tém, w przyległéj sali dały się słyszéć pośpieszne i tłumne kroki. Na odgłos ich dopiéro zmąciło się i z twarzy Tarżyca spłynęło spójrzenie złoczyńcy. Jak wprzódy, machinalnie i instynktowo raczéj, niż z chwilowego choćby namysłu, rzucił się ku drzwiom. Tu jednak powstrzymał go mur piersi i łańcuch ramion ludzkich. Pomiędzy policyantami, którzy z jeńcem swym gromadnie wtłoczyli się do gabinetu, lękliwie jeszcze nieco, lecz więcéj już tryumfalnie, wszedł Moryś Lirski. Złoczyńca, gdy go pochwycono, nie stawił najlżejszego oporu, tylko zwrócił twarz w stronę otwartego okna i donośnym głosem zawołał:

— Zmykajcie szczury!

Moryś zaś zbliżył się do Tarżyca, który, obu dłońmi wspierając się o biórko, jak w tęczę wpatrywał się w twarz złoczyńcy i, pełnym przymilenia a zarazem tryumfu głosem, mówić zaczął:

— Zbawiłem ci życie, wujaszku... widzisz, mówiłeś zawsze, że nie mam serca, widzisz, poświęciłem się dla tego, aby cię uratować, słowo honoru, z narażeniem siebie samego na najstraszniejsze katastrofy pilnowałem domu twego. I głowę też mam nie dla proporcyi, żeby nie płoszyć ptaszka, nie dzwoniłem do drzwi głównych, ale tych panów wprowadziłem przez sutereny, gdzie szanowna służba twoja, wujaszku, hula sobie i zagrywa się w karty. Jak Boga kocham, żeby nie ja, zrabowaliby cię, a może i zamordowali. Zbawiłem cię, wujaszku, czy słyszysz... wujaszku!

Mógłby mówić w ten sposób do dnia sądnego, Tarżyc nie słyszałby go i nawet nie widział. Patrzał on na złoczyńcę ze szczególną, chciwą prawie ciekawością. Słuchał też z niezmierną uwagą urywanej rozmowy, którą prowadził z nim najstarszy z pomiędzy obecnych stróż publicznego bezpieczeństwa.

— Aha? wytrychy! oto i dowód, że kraść tu przyszedłeś.

Złoczyńca podniósł powieki i, patrząc prosto w twarz mówiącego, odpowiedział:

— Nie; kraść nie chciałem. ale zrabować dom ten... do szczętu.

— A tenże nóż? Czy kogo zabijać nim myślałeś.

— Nie, bo mam dwie silne ręce, któremi zadusić go mogłem!

— A taki jeszcze młody jesteś!—wykrzyknął urzędnik.

Spuszczając znowu powieki, ciszéj jak wprzódy, odpowiedział:

— Chciałbym wcale nie być.

Teraz Tarżyc zadrżał. Taka nienawiść i taka rozpacz przeraziła go do głębi. Z litością bardziéj, niż z gniewem, a zawsze z ciekawością wielką, patrząc na tego, który przyszedł tu po majątek jego, a może i życie, mówić zaczął:

— Widziałem cię już kilka razy. Zaciekawiasz mię. Kto jesteś?

Z zaciśniętych zębów zapytanego wyszła odpowiedź:

— Nie wiem.

— Nie miałeś chyba nigdy na świecie nikogo... Któż jest twój ojciec?

Tak samo, jak wprzódy, odrzekł:

— Nie wiem.

— Ale ja wiem,—zaszeptał, nad samym prawie uchem Tarżyca, człowiek, w długim zapiętym po szyję surducie z dwoma końcami czerwonawéj chustki, stérczącemi nad głową,—człowiek, który wszedł tu za innymi, a teraz krokiem uroczystym, z wyrazem namaszczenia na małéj skurczonéj twarzy, przebył pokój i obok pana domu stanął. Lecz, gdy tu się już znalazł, uroczystość i namaszczenie jego zniknęły. Przekonany, że w kapłańskiéj roli idzie spełniać „krwawą ofiarę,“ lub budzić sumienie ludzkości wywołaniem „wielkiéj katastrofy,“ Szymon Kępa, — wcielona ta utopija, — gdy znalazł się w bezpośredniéj blizkości Tarżyca, uczuł w sobie człowieka,—człowieka, miotanego zmięszanemi namiętnościami: zawiści, gniewu i pomsty.

— Ale ja wiem,—syknął i, palcem na złoczyńcę wskazując, z cichym, głębi istoty jego sięgającym, chichotem, do-

dał jeszcze słów parę, których obecni dosłyszeć nie mogli. Ale Tarżyc usłyszał je i wielka bladość spadła mu na twarz. Obie ręce wyciągnął przed siebie, jakby od śmiertelnego jakiegoś ciosu bronić się chciał, i zawołał:

— Co? jakto, zkąd wiesz? dowody! dowody! dowody!

Kępa sięgnął za surdut, wydobył arkusz zżółkłego papieru, roztworzył go, przed oczy Tarżyca przysunął i sam, półgłosem, powoli, z wracającą mu znowu uroczystością, przeczytał:

— „W roku X, dnia X, w parafialnym kościele Targowskim, ochrzczonem zostało dziecię płci męzkiéj, urodzone z Rozalii Klinównéj włościanki i niewiadomego ojca. Na imię mu dano Sylwester“.

Tarżyc obie dłonie podniósł do czoła i krzyknął:

— Tak! tak! tak! nakoniec... przypomniałem! pamiętam! wiem!—zachwiał się i bezprzytomny prawie runął na sprzęt najbliższy.

Kiedy odzyskał przytomność i dłonie odjął od twarzy, w gabinecie znajdowali się już tylko przerażeni i z Morysiem na czele krzątający się dokoła niego domownicy.

Zerwał się i, biegnąc w głąb mieszkania, wołał:

— Wróćcie! wróćcie! Przyprowadźcie mi tego... tego... to dziecko!

I do służby zwrócił się, w niezwykły sobie szorstki i natarczywy sposób, rozkazując jéj, aby szła, biegła i z drogi zwróciła tych, którzy tylko co ztąd odeszli.

Lecz nie wraca nigdy przeszłość i nie zwracają się z drogi swéj następstwa, niezłomnym łańcuchem toczące się z łona swéj przyczyny...

Na ciemną noc, na mroźny wiatr, wiejący śnieżną zamiecią, Tarżyc wysuwał przez okno otwarte twarz śmier-

telnie bladą, a w ruchu jego, nieskończone, nieprzerwane, wiekuiste zda się tętniały po bruku ulicy ciężkie stąpania kilkunastu ludzi, w nieskończoną, niezgłębioną, wiekuistą ciemność uprowadzających tego... tego... to dziecko.

Szczury zemknęły. Dały one nurka na dno śmietniska. gdzie znajdą pewnie opiekę i naukę Szymona Kępy.